

NAJNOWSZY BESTSELLER

# D JAMES PATTERSON

*Najbardziej  
dynamiczny i wstrząsający  
thriller psychologiczny Pattersona.  
„New York Times”*



# ŁASICA





**JAMES PATTERSON**  
**Alex Cross 05 - Lasica**

**Tytuł oryginału**

**POP GOES THE WEASEL**

**Warszawa: Amber, 2000.**

**isbn 83-7245-452-3**

**Prolog**

O siódmej trzydzieści rano Geoffrey Shafer, ubrany z fantazją w niebieski blezer, białą koszulę, krawat w prążki i wąskie szare spodnie H. Huntsman & Sons, wyszedł ze swojego waszyngtońskiego domu i wszedł do czarnego jaguara XJ 12.

Wycofał go ostrożnie z podjazdu, po czym docisnął pedał gazu. Smukły sportowy wóz rozpędził się do osiemdziesięciu kilometrów jeszcze przed znakiem stopu przy Connecticut Avenue, w ekskluzywnej dzielnicy Waszyngtonu – Kaloramie.

Shafer nie zatrzymał się przed ruchliwym skrzyżowaniem.

Docisnął jeszcze gaz, nabierając prędkości.

Pędził sto dwadzieścia na godzinę i marzył o tym, żeby roztrzaskać jaguara o betonowy mur biegnący wzdłuż ulicy. Podjechał bliżej.

Widział już tę kolizję, wyobrażał ją sobie, czuł całym ciałem.

W ostatniej sekundzie spróbował uniknąć śmiertelnego zderzenia. Skręcił ostro kierownicą w lewo. Wozem zarzuciło przez całą szerokość alei. Opony zapiszczały, smród palonej gumy rozszedł się w powietrzu.

Jaguar sunął przez jakiś czas niewłaściwą stroną jezdni, jego czarne szyby spoglądały martwo na nadjeżdżające samochody.

Shafer ponownie dodał gazu i ruszył naprzód, pod prąd. Klaksony samochodów i ciężarówek złały się w jeden nieprzerwany ryk.

Shafer nie próbował nawet złapać oddechu, zapanować nad sobą. Pędził ulicą, nabierając szybkości. Przemknął przez Rock Creek Bridge i skręcił w lewo, i jeszcze raz w lewo, na Rock Creek Parkway.

Z ust wyrwał mu się cichy okrzyk bólu. Bezwiedny, nieoczekiwany.

Chwila strachu, słabości.

## **Wcisnął pedał do oporu i silnik ryknął. Na liczniku miał sto**

**dwadzieścia, sto trzydzieści. Sunął oszalałym zygzakiem między limuzynami, wozami osobowymi, sportowymi i okopconymi furgonetkami.**

**Niewielu już trąbiło. Większość kierowców była przerażona, otępiała ze zgrozy. Wyjechał z Rock Creek Parkway z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę i znowu przyśpieszył.**

**O tej godzinie P Street była zatłoczona bardziej nawet niż Parkway. Waszyngton właśnie się budził i wyruszał do pracy Shafer wciąż widział tamtą ścianę na Connecticut. Zdawała się go przywoływać. Szkoda, że się zawahał. Zaczął się rozglądać za innym betonowym obiektem, o który można by się rozbić.**

**Dojeżdżając do Dupont Circle miał na liczniku sto dwadzieścia.**

**Wystrzelił do przodu jak rakieta. Na czerwonym świetle stały w dwóch rzędach samochody. Tym razem nie ma ucieczki, pomyślał. Ani w lewo, ani w prawo.**

**Nie chciał wpakować się od tyłu na tuzin samochodów! Nie tak powinien to zakończyć – zakończyć swoje życie – zderzając się z pospolitym chevy caprice, hondą accord i furgonetką dostawczą.**

**Skręcił gwałtownie w lewo i wyprysnął na przeciwległy pas, wprost pod koła samochodów jadących na wschód. Widział przerażone, zdumione twarze za zakurzonymi, zapaskudzonymi szybami. Zawyły klaksony, piskliwa symfonia strachu.**

**Przejechał następne światła i cudem wcisnął się między dżipa a betoniarkę.**

**Pomknął w dół M Street, potem Pennsylvania Avenue, w stronę Washington Circle. Uniwersyteckie Centrum Medyczne imienia Georgea Waszyngtona było tuż przed nim. Doskonały koniec?**

**Radiowóz pojawił się nie wiadomo skąd. Policyjna syrena zawyła jakby w akcie protestu, błysnął kogut na dachu, wzywając do zatrzymania się. Shafer zwolnił i podjechał do krawężnika.**

**Gliniarz podszedł do niego z ręką na kaburze pistoletu, przestraszony i niepewny. –Proszę wysiąść z wozu – rozkazał. – Natychmiast!**

**Shafera ogarnął nagle spokój.  
Odprężył się. Napięcie**

opuściło jego ciało.

–Dobrze, dobrze! Już wysiadam. Nie ma problemu.

**- Czy pan wie, z jaką prędkością  
pan jechał? – zapytał**

gliniarz. Był podniecony, na twarzy wykwitł mu rumieniec. Shafer zauważył, że nadal trzyma rękę na kaburze.

Wydał wargi, zastanawiając się nad odpowiedzią.

**- Powiedziałbym, że pięćdziesiąt na  
godzinę – odezwał się w**

końcu. – Może ciut za szybko.

Wyjął legitymację i wręczył ją policjantowi.

**- Ale nic mi pan nie może zrobić.  
Jestem z ambasady**

brytyjskiej.

Mam immunitet dyplomatyczny.

**II**

Tego wieczoru, jadąc z pracy do domu, Geoffrey Shafer poczuł, że znów traci panowanie nad sobą. Zaczynał się bać samego siebie. Od pewnego czasu całe jego życie kręciło się wokół gry RPG o nazwie Cztery Jeźdźcy Apokalipsy. Był w niej Śmiercią. Gra stała się dla niego wszystkim, jedyną częścią życia, która miała jeszcze sens.

Z ambasady brytyjskiej pognął na drugi koniec miasta do Petworth w Northwest. Wiedział, że nie powinien się tu pokazywać. Biały mężczyzna w jaguarze zwracał uwagę w tej części Waszyngtonu. Nie panował jednak nad sobą, tak samo jak rano.

Zatrzymał się na obrzeżach Petworth. Wyjął laptopa i wystukał wiadomość dla pozostałych graczy, Jeźdźców.

**PRZYJACIELE,  
ŚMIERĆ ZBIERA DZISIAJ ŻNIWO W WASZYNGTONIE.**

**GRA SIĘ ROZPOCZĘŁA.**

Wysłał wiadomość i przejechał te kilka przecznic dzielących go od Petworth. prostytutki już paradowały po Vamum i Webster. Z rozwibrowanego niebieskiego BMW płynęła piosenka Nice and Slow. Słodki głos Ronnie McCall sączył się w mrok wczesnego wieczoru.

Dziewczyny machały na niego, pokazywały piersi: duże, płaskie, sterczące lub obwisłe. Ubrane były przeważnie w kolorowe staniczki, obcisłe rybaczkki i srebrne lub czerwone buty na koturnach.

Zatrzymał się przy drobnej Murzynce, która wyglądała na szesnaście lat i miała niezwykle piękną twarz, a nogi smukłe i nieproporcjonalnie długie w stosunku do reszty ciała. Była zbyt wymalowana na jego gust, ale mimo to trudno się jej było oprzeć i Shafer wcale nie próbował.

–Fajny samochód. Jaguar. Bardzo mi się podoba – wdzięczyła się dziewczyna. Rozchyliła zmysłowo uszminkowane usta, układając je w literę „O”.

Ty też mi się podobasz.

Odwzajemnił uśmiech.

–Więc wskakuj! Zabiorę cię najazdę próbną. Sprawdzimy czy to miłość, czy tylko zauroczenie. – Rozejrzał się szybko po ulicy. Żadna inna dziewczyna nie pracowała na tym rogu.

–Stówka za pełną obsługę, kotku? – zapytała Murzynka, wkręcając się drobnymi pośladkami w siedzenie jaguara. Jej perfumy pachniały jak guma do żucia. Miał wrażenie, że się w nich wykąpała.

–Sto dolców to dla mnie drobne – powiedział.

Wiedział, że nie powinien zabierać jej do jaguara, ale nawet się nie zawahał. Już nie panował nad sobą.

Zawiózł dziewczynę do małego parku w dzielnicy Shaw.

Zaparkował w gąszczu jodeł, które całkowicie skryły samochód.

Spojrzał na prostytutkę.

Była młodszą i drobniejszą niż mu się z początku wydawało.

–Ile masz lat? – zapytał.

–A ile mam mieć? – Uśmiechnęła się. – Złotko, najpierw forsa. Wiesz, jakie są zasady.

–Tak. A ty wiesz?

Sięgnął do kieszeni i wyjął nóż sprężynowy. W następnej chwili ostrze dotknęło szyi dziewczyny.

–Nie rób mi krzywdy – wyszeptwała.

–Wysiadaj z wozu. Powoli. Nie radzę krzyczeć!

Shafer wysiadł z nią razem, nie odrywając ostrza od zagłębienia w jej szyi.

–To tylko gra, kochanie – wyjaśnił. – Ja jestem Śmiercią. A ty masz szczęście. Ponieważ jestem najlepszym graczem.

**Aby to udowodnić, dźgnął ją po raz pierwszy.**

**Księga pierwsza**

**Morderstwa Jane Doe**

**Rozdział 1**

**Dzień zaczynał się nieźle.**

**W upalny czerwcowy poranek objeżdżałem Southeast pomarańczowym autobusem szkolnym i pogwizdywałem Ala Greena. Musiałem zabrać szesnastu chłopców z normalnych rodzin i dwójkę z rodzin zastępczych.**

**Usługa pierwsza klasa, z odbiorem i dostawą do domu.**

**W zeszłym tygodniu wróciłem z Bostonu, gdzie zamknąłem sprawę Mr. Smitha. Poza Mr. Smithem w morderstwo zamieszany był patologiczny zabójca Gary Soneji. Potrzebowałem wytchnienia i wziąłem wolny ranek, żeby zrobić coś, co da mi zadowolenie.**

**Za mną siedział John Sampson, mój partner, i dwunastolatek Enol Mignault. John ubrany był w czarne dżinsy i czarny T-shirt z nadrukiem „Stowarzyszenie Ludzi Dobrej Woli. Przyślij dotacje – nie czekaj!”, na nosie miał ciemne okulary. John ma ponad dwa metry wzrostu i sto dwadzieścia kilogramów żywej wagi. Przyjaźnimy się od czasu, gdy mieliśmy po dziesięć lat, a ja przeprowadziłem się do Waszyngtonu.**

**John, Errol i ja rozmawialiśmy o bokserze Sugar Ray Robinsonie, przekrzykując jazgot silnika i eksplozje gazów w rurze wydechowej.**

**Sampson trzymał swoje wielkie łapsko na ramieniu Errola. Nie ma to jak właściwy kontakt fizyczny, kiedy pracuje się z tymi chłopcami.**

**W końcu zgarnęliśmy ostatniego typka z naszej listy, ośmiolatka, który mieszkał w Benning Terrace, „trudnym” osiedlu, znanym pod nazwą Simple City.**

**Kiedy je opuszczaliśmy, ohydne bazgroły na murze powiedziały wszystko, co powinniśmy wiedzieć o tej okolicy. „Turysto – opuszczasz strefę wojny. Przeżyłeś, by opowiedzieć o niej potomnym”.**

**Wieźliśmy dzieci do więzienia Lorton w Wirginii, na spotkanie z ojcami. Najmłodszy chłopiec miał osiem, najstarszy trzynaście lat.**

**Stowarzyszenie Ludzi Dobrej Woli dowozi do więzień około pięćdziesięcioro dzieci tygodniowo na widzenie z matką lub ojcem.**

**Cel jest szlachetny: obniżyć o jedną trzecią poziom przestępczości w Waszyngtonie.**

**Już nie pamiętam, ile razy byłem w tym więzieniu. Dyrektorkę Lorton znam dość dobrze. Jakiś czas temu spędziłem tam całe wieki, przesłuchując Garyego Soneji.**

**Szefowa, Marion Campbell, przygotowała na Poziomie Pierwszym specjalną salę, w której chłopcy spotykali się z ojcami. Była to mocna scena, bardziej wzruszająca niż oczekiwałem.**

**Stowarzyszenie poświęca wiele czasu na przygotowanie rodziców, którzy chcą uczestniczyć w programie. Obejmuje ono cztery stopnie wtajemniczenia: jak okazywać miłość; zaakceptować winę i odpowiedzialność; osiągnąć synowsko – ojcowską harmonię; odkryć nowy początek.**

**Jak na ironię, to chłopcy udawali twardszych niż byli w rzeczywistości.**



Usłyszałem jak jeden z nich mówi: „Nie interesowałeś się mną dotąd, dlaczego teraz mam cię słuchać?” Za to ojcowie próbowali ukazać łagodniejszą stronę swojej natury.

Sampson i ja przywieźliśmy chłopców do Lorton po raz pierwszy, ale już wiedziałem, że zrobię to ponownie, jak tylko nadarzy się sposobność.

Więzienna sala aż kipiała nadzieją, pragnieniem czegoś dobrego i uczciwego. Nawet jeżeli część tej siły obróci się wniwecz, liczył się sam wysiłek i przeświadczenie, że wyniknie z tego coś wartościowego.

Zastanowiłem się, widząc jak silna więź nadal łączy niektórych ojców i synów. Pomyślałem o moim własnym chłopcu, Damonie, o tym, jak nam się poszczęściło. Więźniowie w Lorton na ogół wiedzieli, co źle robili, po prostu nie mieli pojęcia, jak ze złem skończyć.

Przez półtorej godziny przechadzałem się między nimi, chwytając urywki rozmów. Od czasu do czasu wzywano mnie w charakterze psychologa.

Radziłem sobie jak mogłem. W pewnej chwili usłyszałem słowa:

–Proszę cię, powiedz matce, że ją kocham i tracę zmysły z tęsknoty.

Więzień i jego syn rozplakali się i padli sobie w ramiona.

Sampson dołączył do mnie po godzinie. Uśmiechał się od ucha do ucha.

–Człowieku, kocham to! Nie ma to, jak zrobić komuś dobrze.

–Mnie też wzięło. Wsiadam do tego pomarańczowego autobusu, jak tylko nadarzy się okazja.

–Myślisz, że to coś da? Takie spotkania? – zapytał.

Rozejrzałem się po sali.

–Myślę, że to coś wielkiego dla tych facetów i dzieciaków.

Sampson skinął głową.

–Stara zasada małych kroczków. Na mnie to działa, Alex!

Na mnie również. Jestem w gruncie rzeczy miękki.

Kiedy po południu wracaliśmy do domów, mogłem stwierdzić, że chłopcy wynieśli coś ze spotkania z ojcami. Nie byli nawet w połowie tak hałaśliwi i nieokiełznani jak w drodze do Lorton. Nie udawali twardzieli.

Zachowywali się po prostu jak dzieci.

Wysiadając z pomarańczowego autobusu, niemal wszyscy dziękowali Sampsonowi i mnie. Nie było to konieczne. Woleliśmy tę robotę stokroć bardziej niż uganianie się za maniakalnymi zabójcami.

Ostatnim pasażerem był ośmiolatek z Benning Terrace.

Uściskał Johna, potem mnie, a potem zaczął płakać.

–Tęsknię za tatą – powiedział i pobiegł do domu.

## Rozdział 2

Tego wieczoru pełniliśmy z Sampsonem służbę w Southeast. Jesteśmy starszymi detektywami wydziału zabójstw, a ja pełnię również funkcję łącznika między F-Bi-al a waszyngtońską policją. O wpół do pierwszej w nocy otrzymaliśmy wezwanie do dzielnicy Shaw. Miało tam miejsce paskudne zabójstwo.

Na miejscu zbrodni znajdował się już radiowóz i całkiem spory tłumek dzielnicowych czubków.

Scena przypominała dziwaczną uliczną imprezę w samym środku piekła. W kubkach na śmieci płonęły ogniska, kompletnie bez sensu, zważywszy na duszny upał.

Ze zgłoszenia wynikało, że ofiarą jest młoda kobieta, a raczej dziewczyna, między czternastym a osiemnastym rokiem życia.

Nietrudno było ją znaleźć. Jej nagie, zmaltretowane ciało porzucono we wrzosowych zaroślach na małym skwerku, nie więcej niż dziesięć metrów od asfaltowej ścieżki.

Kiedy szliśmy z Sampsonem w stronę ciała, jakiś chłopiec krzyknął do nas zza policyjnej taśmy zabezpieczającej teren:

–Hej, wy! To tylko dziwka!

Zatrzymałem się i popatrzyłem na niego. Przypomniały mi się dzieci, które odwieźliśmy do więzienia Lorton.

–Tania dziwka. Nie warta ani waszego, ani mojego czasu, panowie detektywi! – rapował chłopiec.

Podszedłem do dowcipnisia.

–Skąd wiesz? Widziałeś ją tu przedtem?

Chłopak najpierw się cofnął, potem jednak pokazał w uśmiechu złotą gwiazdkę na przednich zębach.

–Nic nie ma na sobie i wyleguje się na wznak. Ktoś ją nieźle wypieprzył. Musi być dziewczyną.

Sampson zlustrował wzrokiem chłopaka, który wyglądał na czternaście lat, ale mógł mieć mniej.

–Wiesz, kto to jest?

–Kurde, nie! – zawołał chłopiec z udanym oburzeniem. –

Człowieku, ja nie zadaję się z dziewczynami!

Oddalił się luzackim krokiem. Obejrzał się raz czy dwa, potrząsając głową.

Podeszliśmy z Sampsonem do dwóch umundurowanych policjantów stojących obok ciała. Najwyraźniej czekali na posiłki. Czyli na nas.

–Wezwaliście karetkę? – zapytałem.

–Trzydzieści pięć minut temu – powiedział starszy z funkcjonariuszy.

Dobiegał trzydziestki, pielęgnował zaczątek wąsa i pozował na kogoś, kto jest otrząskany ze scenami takimi jak ta.

–Czyli całkiem niedawno – potrząsnąłem głową. – Znaleźliście coś przy niej? Jakieś dokumenty?

–Nic. przeszukaliśmy krzaki. Nie ma nic z wyjątkiem ciała – powiedział młodszy funkcjonariusz. – A ono pamięta lepsze czasy. – Pocił się obficie i sprawiał wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

Założyłem gumowe rękawiczki i pochyliłem się nad dziewczyną. Wyglądała na szesnaście, siedemnaście lat. Gardło miała poderżnięte od ucha do ucha, twarz i

**podeszwy stóp pocięte nożem, co było dość niezwykle.**

**Zadano jej kilkanaście ran w brzuch i piersi. Rozchyliłem jej nogi.**

**Zemdliło mnie. Między udami widniał metalowy uchwyt. Byłem prawie pewien, że to nóż i że został wepchnięty w pochwę aż po trzonek.**

**Sampson przykucnął obok mnie.**

**–I co myślisz, Alex? Kolejna ofiara?**

**Wzruszyłem ramionami.**

**–Może, ale ona była narkomanką, John. Ślady na ramionach i nogach.**

**Pod kolanami pewnie też. Nasz chłopiec nie interesuje się narkomankami.**

**Uprawia bezpieczny seks. Z drugiej strony, morderstwo jest brutalne. W jego stylu. Widzisz metalowy uchwyt?**

**Sampson skinął głową. Niewiele umykało jego uwadze.**

**–Ubranie... – Powiedział. – Gdzie się podziało, do cholery?!**

**Musimy znaleźć jej rzeczy.**

**–Ktoś z miejscowych już je pewnie podprowadził – odezwał się młodszy z policjantów. Wokół ciała aż roilo się od śladów stóp. – Taka okolica. Nikogo nic nie obchodzi.**

**–Nas obchodzi – zaprzeczyłem. – Dlatego tu jesteśmy. Z jej powodu i z powodu wszystkich innych Jane Doe.**

**Rozdział 3**

**Geoffrey Shafer był tak szczęśliwy, że z trudem ukrywał to przed rodziną. Omal się nie roześmiał, całując w policzek swoją żonę Lucy. Uchwycił w nozdrza zapach jej perfum, Chanel numer pięć, posmakował suchość ust, kiedy pocałował ją po raz drugi.**

**Stali niby posągi w eleganckim holu wielkiego georgiańskiego domu w Kaloramie. Zawołano dzieci, żeby mogły się pożegnać z tatusiem.**

**Jego żona Lucy, z domu Rhys – Cousins, była platynową blondynką o zielonych oczach, błyszczących bardziej niż biżuteria Bulgari and Spark, którą zawsze nosiła. Wiotka i nadal piękna w wieku trzydziestu siedmiu lat, przed ślubem uczęszczała przez dwa lata do Newnham College w Cambridge.**

**Czytała bezużyteczne poezje i powieści i spędzała większość wolnego czasu na równie bezużytecznych lunchach, zakupach z przyjaciółkami tak jak ona skazanymi na banicję, meczach golfa lub żeglowaniu. Od czasu do czasu Shafer żeglował razem z nią. Swego czasu był w tym bardzo dobry.**

**Lucy uważano swego czasu za prawdziwą zdobycz i Geoffrey przypuszczał, że nadal jest łakomym kąskiem dla niektórych mężczyzn. Cóż, mogli sobie wziąć jej chudy, kościsty tyłek i tyle beznamiętnego seksu, ile zdołają przetrwać.**

**Shafer uniósł w ramionach czteroletnie bliźniaczki, Tricię i Erikę.**

**Dwa lustrzane odbicia matki. Sprzedałby je po cenie znaczka pocztowego.**

**Uściskał dziewczynki ze śmiechem, niby kochający tatuś, którego zawsze udawał.**

**Potem oficjalnie potrząsnął dłonią dwunastoletniego Roberta. Zakończono**

właśnie domową debatę, czy Robert pojedzie do Anglii, do szkoły z internatem w Winchester, gdzie kiedyś uczył się jego dziadek.

Shafer zasalutował synkowi. Kiedyś pułkownik Geoffrey Shafer służył w wojsku. Tylko Robert zdawał się pamiętać o tym epizodzie w życiu ojca.

–Jadę do Londynu tylko na parę dni, i nie będą to wakacje, lecz praca.

Nie zamierzam spędzać wieczorów w Athenaeum, ani nic podobnego – powiedział rodzinie. Uśmiechał się jowialnie, tak jak tego oczekiwali.

–Spróbuj się trochę rozerwać, tato. Zabaw się. Bóg świadkiem, że na to zasłużyłeś – powiedział Robert, zniżając głos o oktawę, jak to miał ostatnio w zwyczaju, zwłaszcza gdy zwracał się do ojca.

–Do widzenia, tatusiu! Do widzenia, tatusiu! – zapiszczały bliźniaczki. Shafer miał ochotę cisnąć nimi o ścianę.

–Do widzenia, Erika – san. Do widzenia, Tricia – san.

–Będziesz pamiętał o Orcs Nest? – zapytał Robert niespokojnie. – „Dragon” i „The Duelist”.

Orcs Nest, sklep w którym sprzedawano książki i gry z gatunku roleplaying, mieścił się na Earlham, tuż przy Cambridge Circus w Londynie.

Zaś „Dragon” i „The Duelist” były najpopularniejszymi czasopismami brytyjskimi poświęconymi tym grom.

Na nieszczęście dla Roberta, Shafer nie wybierał się do Londynu.

Miał ciekawsze plany na weekend. On też zamierzał zabawić się w kogoś innego, ale tutaj, w Waszyngtonie.

#### Rozdział 4

Zamiast na lotnisko Dullesa, pomknął na wschód, czując się tak jakby zdjęto z niego przygniatający ciężar. Boże, jakże nienawidził tej swojej doskonałej angielskiej rodziny, a jeszcze bardziej ich klaustrofobicznego życia w Ameryce.

Jego własna rodzina w Anglii też była „doskonała”. Miał dwóch starszych braci, doskonałych studentów, wzór młodzieńczych cnót, i ojca dyplomatę. Shafer skończył dwanaście lat, kiedy rodzina wróciła na stałe do Anglii i osiadła w Guildford pod Londynem. Tam Shafer doskonalił uczniowskie wybryki, które praktykował od chwili, gdy skończył osiem lat.

W centrum Guildford znajdowało się kilka budowli historycznych i Shafer przystąpił z zapalem do ich niszczenia. Zaczął od szpitala imienia Abbota, gdzie umierała jego babka. Wypisywał wulgaryzmy na ścianach. Potem zabrał się za zamek, ratusz, a następnie za Królewską Szkołę Podstawową i guildfordzką katedrę. Rozszerzył zasób słów i malował wielkie penisy w żywych kolorach. Nie miał pojęcia, dlaczego czerpie taką radość z niszczenia rzeczy pięknych, ale kochał to. A jeszcze bardziej kochał bezkarność.

We właściwym czasie wysłano go do szkoły w Rugly, gdzie nadal oddawał się ulubionemu zajęciu. Potem, w St. Johns College, poświęcił się filozofii, nauce japońskiego i poniewieraniu pięknych kobiet.

Przyjaciele byli zdumieni, kiedy jako dwudziestojednolatek wstąpił do wojska.

Znał języki, wysłano go do Azji. Tam właśnie przeniósł swoją złowrogą działalność

w zupełnie nowy wymiar, tam zaczął bawić się w najwspanialszą z gier.

Wstąpił na kawę do? – Eleven w Washington Heights – a właściwie na trzy kawy. Czarne, z czterema kostkami cukru każda. Pierwszą wypił w drodze do kasy.

Hinduski kasjer rzucił mu ukośne, podejrzliwe spojrzenie i Shafer roześmiał mu się prosto w brodatą gębę.

–Naprawdę myślisz, że ukradłbym cholerną kawę za siedemdziesiąt pięć centów?! Ty żaloszny śmieciu! Ty smętny kutasie!

Rzucił pieniądze na ladę i wyszedł prędko, żeby nie zabić ekspedienta gołymi rękami, co nie sprawiłoby mu większej trudności.

Z? – Eleven pojechał do północno – wschodniej części Waszyngtonu, dzielnicy zamieszkałej przez klasę średnią. Nazywała się Eckington.

W okolicy uniwersytetu Gallaudet zaczął rozpoznawać ulice zabudowane dwupiętrowymi kamienicami. Były wykończone winylowym płytami w kolorze cegły lub obrzydliwego błękitu, który przyprawiał Shafera o gęsią skórę.

Zatrzymał się przed ceglany domem z ogrodem na Uhland Terrace, w pobliżu Second Street. Dom był z garażem. Poprzedni dzierżawca ozdobił ceglana fasadę dwoma betonowymi kotami.

–Witajcie, dupeczki! – powiedział Shafer. Odetchnął z ulgą. Napędzał się, wprowadzał w stan euforii. Uwielbiał to uczucie, nigdy nie miał go dość.

Był już czas rozpocząć grę.

Rozdział 5

Przerdzewiała, odrapana fioletowo – niebieska taksówka stała w podwójnym garażu. Shafer używał jej od czterech miesięcy. Taksówka zapewniała mu anonimowość, dzięki niej stawał się niemal niewidoczny w każdej dzielnicy D. C. Nazwał ją Maszyną Koszmaru.

Zaparkował jaguara obok taksówki i wbiegł po schodach na piętro. Znalazłszy się w mieszkaniu, natychmiast włączył klimatyzację. Wypił jeszcze jedną przesłodzoną kawę.

Potem łyknął pigułki, jak na grzecznego chłopczyka przystało. Thorazine i librium. Benadryl, xanax, vicodin. Zażywał narkotyki w rozmaitych kombinacjach od lat. Stosował metodę prób i błędów, i wiele się dzięki niej nauczył. Lepiej się czujesz, Geoffrey? Tak, o wiele lepiej, dziękuję bardzo.

Próbował czytać dzisiejszy „Washington Post”, potem stary egzemplarz „Private Eye”, a na końcu katalog DeMask, największej na świecie hurtowni fetyszy skórzanych i gumowych z siedzibą w Amsterdamie.

Zrobił dwieście skłonów tułowia i kilkaset pompek, niecierpliwie czekając, aż nad Waszyngtonem zapadnie zmrok.

Za piętnaście dziesiąta zaczął się szykować do wielkiej przygody. Poszedł do małej, obskurnej łazienki, pachnącej tanimi środkami czyszczącymi. Stanął przed lustrem.

Lubił swoje odbicie. Nawet bardzo. Gęste, jasne, faliste włosy, których nigdy nie straci. Charyzmatyczny, elektryzujący uśmiech.

Jaskrawobłękitne oczy, które miały zdolność rejestrowania najmniejszych

szczegółów. Doskonała kondycja fizyczna jak na mężczyznę w wieku czterdziestu czterech lat.

Przystąpił do pracy, zaczynając od brązowych szkieł kontaktowych.

Robił to tyle razy, że znał każdy ruch na pamięć i ta łatwość była częścią jego rzemiosła. Nałożył czarną farbę na twarz, szyję, dłonie, przeguby.

Gruba warstwa podkładu, żeby szyja wydawała się szersza, ciemna czapka, żeby pokryć każdy kosmyk włosów.

Spojrzał krytycznie w lustro – i ujrzał dość przekonującą wersję czarnego mężczyzny. Wiedział, że nabierze każdego, zwłaszcza w kiepskim świetle. Nieźle, wcale nieźle. Było to dobre przebranie na noc rozputy w takim mieście jak Waszyngton.

A więc niech rozpocznie się gra! Czterej Jeźdźcy Apokalipsy.

O dziesiątej dwadzieścia pięć zszedł do garażu. Ostrożnie okrążył jaguara i podszedł do fioletowo – niebieskiej taksówki.

Już zaczynał zatracać się w cudownej fantazji.

Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął trzy nietypowe kostki. Miały po dwadzieścia boków, jak niemal wszystkie kostki stosowane w grach rote – playing. Zamiast kropek, widniały na nich cyfry.

Shafer obracał kości w lewej dłoni.

Zasady Czterech Jeźdźców były jasno sprecyzowane; wszystko

zależało od kości. Chodziło o to, by w efekcie zrealizować niesamowitą fantazję, kompletny odjazd. Uczestnikami byli czterej gracze, rozrzucony po całym świecie. Żadna gra nie mogła się równać z Czterema Jeźdźcami.

Shafer przygotował już przygodę na ten weekend, ale istniała alternatywa dla każdej wersji. Jak już się rzekło, wiele zależało od kości.

W tym tkwił urok zabawy – wszystko mogło się zdarzyć.

Wsiadł do taksówki, uruchomił silnik. Dobry Boże, był gotów!

Rozdział 6

Nakreślił wspaniały plan. Będzie brał tylko tych nielicznych pasażerów, którzy przyciągną jego uwagę, rozpalą jego wyobraźnię w najwyższym stopniu.

Nie śpieszyło mu się. Miał całą noc; miał cały weekend. Była to jego forma czynnego wypoczynku.

Trasę opracował już wcześniej. Najpierw pojechał do modnej dzielnicy Adams – Morgan. Przepatrywał zatłoczone chodniki, które wydawały się jednym długim, płynnym pasmem ruchu. Miłośnicy nocnych lokali snuli się niemrawo od baru do baru. Człowiek odnosił wrażenie, że każda restauracja w Adams – Morgan nosi nazwę Cafe. Jadąc wolno, odczytywał migotliwe neony. Minął Cafe Picasso, Cafe Lautrec, La Fourchette Cafe, Bukom Cafe, Cafe Dalbol, Montego Cafe, Sheba Cafe.

Około jedenastej trzydzieści, na Columbia Road, zwolnił. Serce załomotało mu w piersiach. Ujrzał coś niezwykle interesującego.

Przystojna para opuszczała popularny Chief Ikes Mambo Room.

Mężczyzna i kobieta, w typie latynoskim, oboje pod trzydziestkę.

Zmysłowi ponad ludzkie wyobrażenie.

Shafer rzucił kości na przednie siedzenie: sześć, pięć, cztery – dawało to sumę piętnastu. Wysoki wynik.

–Niebezpieczeństwa! To ma sens. Para jest zawsze ryzykowna.

Shafer czekał, aż przejdą przez jezdnię. Szli w jego stronę.

Jak to miło z ich strony! Dotknął rękojeści magnum spoczywającego pod przednim siedzeniem. Był gotów na wszystko.

Kiedy otworzyli drzwi taksówki, zmienił zdanie. Miał do tego prawo!

Stwierdził, że nie są tak atrakcyjni jak mu się wydawało. Mężczyzna miał twarz i czoło usiane pryszczami, zbyt mocno wypomadowane włosy.

Kobieta miała kilka kilogramów nadwagi, była pulchniejsza niż się wydawało z daleka, w korzystnym świetle ulicznej latarni.

–Zajęty! – rzucił Shafer i odjechał. Oboje pożegnali go nieprzyzwoitymi gestami.

Shafer roześmiał się głośno.

–Macie szczęście, głupcy! Najszczęśliwsza noc w waszym życiu, a wy nawet o tym nie wiecie.

Gra zawiądnęła nim całkowicie. Nieporównywalny z niczym dreszcz emocji. Miał absolutną władzę nad latynoską parą. Był panem życia i śmierci.

–Śmierć jest piękna – wyszeptał.

Zatrzymał się na kawę w Starbucks na Rhode Island Avenue.

Nie majak kawa! Kupił trzy i do każdej wsypał sześć łyżeczek cukru.

Godzinę później był w Southeast. Nie zatrzymał się już. Po chodnikach przelewał się tłum pieszych. W tej części Waszyngtonu brakowało taksówek, brakowało nawet „lewych” taksówek. Żałował, że wypuścił z ręki Latynosów. Zaczął ich idealizować, wyobrażać sobie tak, jak wyglądali w świetle latarni. Pamięć o rzeczach minionych, zgadza się? Przypomniał sobie wielkie zagajenie Prousta: „Przez długi czas kładłem się spać wcześniej”. Podobnie jak Shafer – dopóki nie odkrył wielkiej gry.

Raptem ją zobaczył – brązową boginię – jakby ktoś wręczył mu cudowny prezent. Szła sama, przecnicę od E Street, szybko, jak człowiek, który wie, dokąd zmierza. Shaferowi wróciło uczucie euforii.

Zachwycił go jej chód, precyzjakażdego ruchu.

Kiedy podjechał bliżej, zaczęła się rozglądać, jakby czegoś szukała. Może taksówki? Czy to możliwe? Chciała go?

Ubrana była w jasnokremowy żakiet, fioletową jedwabną spódniczkę i pantofle na wysokich obcasach. Wyglądała na kobietę z klasą której zasadniczą cechą jest opanowanie.

Rzucił szybko kości i wstrzymał oddech. Dodał cyfry. Serce skoczyło mu do gardła. Na tym właśnie polegała gra zwana Czterech Jeźdźców Apokalipsy.

Kobieta zamachała na niego.

–Taxi! – zawołała. – Taxi! Jest pan wolny?

Zatrzymał się przy krawężniku, a ona zrobiła trzy kroczki w jego stronę.

Na nogach miała pantofle z połyskliwego jedwabiu, po prostu urocze. Z bliska była jeszcze ładniejsza. Dziewięć i pół w skali od jeden do dziesięciu.

Otworzyła drzwi taksówki i na chwilę stracił ją z oczu.

Potem zobaczył, że trzyma w ręku kwiaty i zaciekał się, dla kogo.

Jakaś specjalna okazja? Oczywiście! Niosła kwiaty na własny pogrzeb.

–Dziękuję, że się pan zatrzymał – powiedziała bez tchu, sadowiąc się w aucie.

Wyraźnie się odprężyła, bezpieczna we wnętrzu taksówki. Głos miała kojący, miękki, a zarazem zmysłowy i realny.

–Zawsze do usług! – Shafer odwrócił się do niej z uśmiechem. – A propos, jestem Śmierć. Zostałaś moją fantazją na ten weekend.

Rozdział 7

W poniedziałkowe ranki pracuję zwykle w kuchni polowej przy szpitalu świętego Antoniego w Southeast. Robię to jako społecznik od sześciu lat, trzy razy w tygodniu, od siódmej do dziewiątej rano.

Tego dnia byłem niespokojny, podminowany. Nie przyszedłem jeszcze do siebie po sprawie Mr. Smitha, podróżach po Wschodnim Wybrzeżu i Europie.

Może potrzebne mi były prawdziwe wakacje, urlop z dala od Waszyngtonu?

Patrzyłem na podwójną, a miejscami nawet potrójną kolejkę mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy nie mieli pieniędzy na jedzenie. Kolejka ciągnęła się od szpitala w górę Twelfth Street, aż do drugiego rogu. Nigdy nie mogłem pogodzić się z myślą, że tylu ludzi w Waszyngtonie głoduje albo musi się zadowolić jednym posiłkiem dziennie.

Zostałem społecznikiem przez pamięć mojej żony, Marii. Kiedy się poznaliśmy była pracownikiem socjalnym u świętego Antoniego, niekoronowaną królową; wszyscy ją kochali, a ona kochała mnie. Zginęła w ulicznej strzelaninie, niedaleko kuchni polowej. Byliśmy małżeństwem cztery lata, mieliśmy dwójkę dzieci. Zabójca nigdy nie został ujęty i ta świadomość nadal jest dla mnie torturą. Może dlatego staram się doprowadzić do końca każdą sprawę, nawet wtedy, gdy wydaje się beznadziejna.

W kuchni świętego Antoniego pilnuję, żeby nikt nie stwarzał kłopotów podczas posiłków. Przy swoim wzroście i wadze dziewięćdziesięciu kilogramów, nadaję się znakomicie do roli wykidajły, jeżeli okoliczności tego wymagają. Najczęściej jednak udaje mi się zażegnać kłopoty kilkoma łagodnymi słowami i uspokajającymi gestami. Większość stołowników przychodzi tu, żeby coś zjeść, a nie wszczynać awantury.

Wydaję również masło orzechowe i galaretkę wszystkim, którzy mają ochotę na pierwszą albo i drugą dokładkę. Jimmy Moore, z pochodzenia Irlandczyk, który z ogromnym oddaniem i właściwą dozą dyscypliny prowadzi kuchnię, niezmiennie wierzy w kojącą moc masła orzechowego i galaretki. Niektórzy stali bywalcy nazywają mnie Facetem od Masła Orzechowego.

Od lat.

–Nie wyglądasz najlepiej – stwierdziła niska, zażywna

kobieta, która przychodzi do kuchni od roku lub dwóch. Wiem, że na imię jej Laura, że urodziła się w Detroit i ma dwóch dorosłych synów. Kiedyś pracowała jako pomoc domowa na M Street w Georgetown, ale pracodawcy uznali, że jest już za stara, wręczyli jej miesięczną odprawę i pożegnali z serdecznymi wyrazami



wdzięczności.

–Zasługujesz na coś lepszego. Zasługujesz na mnie – powiedziała Laura i roześmiała się szelmowsko. – Co ty na to?

–Lauro, pochlebiasz mi – odparłem, serwując jej, jak zwykle, dokładkę. – Zresztą, poznałaś Christine. Wiesz, że jestem już zajęty.

Laura zachichotała i skrzyżowała ramiona na piersiach. Miała zdrowy, gromki śmiech, nawet w tych smętnych okolicznościach.

–Młoda dziewczyna musi marzyć. Miło cię widzieć, jak zawsze.

–Ciebie również, Lauro. Życzę smacznego.

–Och, dziękuję. Apetytu mi nie brak.

Witałem się radośnie ze starymi znajomymi, nakładałem

czubate porcje masła orzechowego i rozmyślałem o Christine. Laura miała pewnie rację: nie wyglądałem najlepiej. Prawdopodobnie nie tylko dzisiaj, lecz od dobrych paru dni. przypomniałem sobie wieczór sprzed dwóch tygodni. Zamknąłem właśnie sprawę seryjnych morderstw w Bostonie. Staliśmy z Christine na werandzie jej domu w Mitchellville. Próbowałem coś zmienić w moim życiu, ale nie było to łatwe.

Mam takie ulubione powiedzenie: „Myśl sercem”.

Czułem zapach kwiatów w nocnym powietrzu; róże i niecierpki

rosły tam w dużej obfitości. Wdychałem woń Gardenia Passion, ulubionych perfum Christine.

Znałem ją już półtora roku. Poznaliśmy się przy okazji śledztwa, podczas którego zginął jej mąż. Potem zaczęliśmy się spotykać. Stojąc na werandzie pomyślałem, że wszystko prowadziło nas do tego właśnie momentu. przynajmniej w mojej wyobraźni.

Jeszcze się nie zdarzyło, żeby Christine wydała mi się nieatrakcyjna, żeby jej widok nie uderzył mi do głowy. Jest wysoka, ma prawie sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, i to mi się też podoba. Jej uśmiech mógłby rozświetlić połowę kraju. Tamtego wieczoru ubrana była w obcisłe, wypłowiałe dżinsy i białą koszulkę zawiązaną w pasie na supeł. Stopy miała nagie, paznokcie pomalowane czerwonym lakierem. Jej piękne, brązowe oczy lśniły.

Wyciągnąłem ręce i wziąłem ją w ramiona, i nagle świat wydał mi się piękny. Zapomniałem o potwornej sprawie, którą właśnie zamknąłem, zapomniałem o wyjątkowo wrednym mordercy, znanym jako Mr. Smith. Łagodnie ująłem w dłonie jej słodką, delikatną twarz. Lubię myśleć, że nic mnie już nie przeraża, i faktycznie jest tych rzeczy coraz mniej, ale im więcej dobra ma się w życiu, tym łatwiej doświadcza się strachu.

Christine była dla mnie taka cenna – więc może jednak się bałem.

Myśl sercem.

Mężczyźni nieczęsto to robią, ale ja się nauczyłem.

–Jeszcze nikogo tak nie kochałem jak ciebie, Christine.

Nauczyłaś mnie czuć i myśleć w zupełnie nowy sposób. Kocham twój uśmiech, to, jak odnosisz się do innych ludzi, zwłaszcza do dzieci, to, jaka jesteś dobra. Nie potrafiłbym wyrazić, jak bardzo cię kocham, nawet gdybym tu stał do rana.

Wyjdiesz za mnie, Christine?

Nie odpowiedziała od razu. Poczułem, że się odsuwa, tylko trochę, ale serce we mnie zamarło. Spojrzałem jej w oczy i zobaczyłem ból i niepewność. Jezu!

–Och, Alex! – wyszeptała. Wyglądała tak, jakby się miała rozplakać. – Nie potrafię ci odpowiedzieć. Dopiero wróciłeś z Bostonu. Prowadziłeś kolejne śledztwo w sprawie potwornego morderstwa. Nie zniosę tego.

Twoje życie znów było w niebezpieczeństwie. Ten szalenciec był w twoim domu. Zagroził twojej rodzinie. Nie możesz temu zaprzeczyć.

Nie mogłem. To było przerażające doświadczenie. Omal wówczas nie zginąłem.

–Nie zaprzeczę niczemu. Ale kocham cię. Temu też nie mogę zaprzeczyć.

Wystąpię z policji, jeżeli będzie trzeba.

–Nie. – Popatrzyła na mnie łagodnie i pokręciła głową. – To by było złe dla nas obojga.

Staliśmy na werandzie trzymając się w ramionach, a ja czułem, że mam problem. Nie wiedziałem, co zrobić. Może powinienem rzucić policję, wrócić do psychologii, prowadzić normalne życie z Christine i dziećmi.

Ale czy mogłem to zrobić? Czy potrafiłbym wystąpić z policji?

–Zapytaj mnie jeszcze raz – wyszeptała. – Za jakiś czas.

Rozdział 8

Nadal spotykałem się z Christine, znajdując w tym związku ukojenie, poczucie normalności i romantyzmu. Zawsze tak między nami było.

Ja jednak zastanawiałem się ciągle, czy nasz problem da się rozwiązać. Czy Christine mogła być szczęśliwa z detektywem z wydziału zabójstw? Czy potrafiłbym żyć inaczej? Nie wiedziałem.

Z rozmyślań o Christine wyrwało mnie przenikliwe zawodzenie syreny policyjnej dochodzące z Twelfth Street. Skrzywiłem się na widok czarnego nissana Sampsona, który zahamował przed szpitalem.

Wyłączył koguta na dachu, ale nacisnął klakson i zapomniał zdjąć z niego palec. Wiedziałem, że przyjechał po mnie, przyjechał zabrać mnie gdzieś, dokąd nie chciałem jechać. Klakson wył.

–To twój przyjaciel, John Sampson! – zawołał Jimmy Moore. – Słyszysz go, Alex?

–Wiem, kim on jest – odkrzyknąłem. – Mam nadzieję, że sobie pojedzie.

–Mało prawdopodobne.

W końcu wyszedłem na zewnątrz, przecisnąłem się przez

kolejkę, skąd natychmiast posypały się dowcipy. Ludzie, których znałem od lat wytykali mi, że pracuję na pół gwizdka albo proponowali, że sami wezmą tę posadę, skoro ja jej nie chcę.

–Co jest? – zawołałem, zanim jeszcze dotarłem do czarnego sportowego wozu.

Sampson opuścił szybę. Wsunąłem głowę do środka.

–Zapomniałeś? Mam dzisiaj wolne.

–Chodzi o Ninę Childs – powiedział Sampson niskim, miękkim

głosem, którego używa, gdy jest wściekły albo bardzo poważny. Próbował nadać twarzy nieprzenikniony wyraz, opanować emocje, ale nie bardzo mu wychodziło. –

**Nina nie żyje, Alex.**

**Zadrzałem bezwiednie. Otworzyłem drzwi wozu i wsiadłem. Nie wróciłem nawet do kuchni powiedzieć Jimmyemu Mooreowi, że wychodzę.**

**Sampson ruszył ostro z miejsca. Syrena zawyła ponownie, ale teraz powitałem z ulgą jej żałobne zawodzenie. Działo otępiająco.**

**–Co wiemy? – zapytałem, kiedy mijaliśmy posępne ulice Southeast, a potem most nad szarą Anacostią.**

**–Znaleziono ją w jednym z szeregowych budynków na Eighteenth i Garnesville. Jest z nią teraz Jerome Thurman. Twierdzi, że prawdopodobnie leży tam od niedzieli. Jakiś ćpun znalazł ciało. Brak odzieży i dokumentów.**

**Spojrzałem na niego.**

**–Więc skąd wiedział, że to Nina?**

**–Miejscowy policjant ją rozpoznał. Znał ją ze szpitala.**

**Wszyscy znali Ninę.**

**Zamknąłem oczy, ale ujrzałem twarz Niny Childs i co prędzej je otworzyłem. Pracowała jako dzienna pielęgniarka w izbie przyjęć w szpitalu świętego Antoniego, gdzie wpadłem kiedyś jak burza z umierającym chłopcem w ramionach. Nie potrafiłbym zliczyć, ile razy z nią współpracowaliśmy.**

**Sampson chodził z nią nawet przez rok, ale potem zerwali.**

**Wyszła za faceta z sąsiedztwa, pracownika urzędu miejskiego.**

**Mieli dwójkę małych dzieci.**

**Kiedy widziałem ją po raz ostatni, wyglądała na bardzo szczęśliwą.**

**Nie mogłem uwierzyć, że leży martwa w piwnicy domu po złej stronie Anacostii.**

**Została porzucona, jak inne Jane Doe.**

**Rozdział 9**

**Ciało Niny Childs znaleziono w opuszczonym szeregowcu w jednej z najbiedniejszych, najbardziej obskurnych i przerażających dzielnic miasta. Na miejscu zbrodni stał jeden radiowóz i jedna sfatygowana, obtłuczona karetka; zabójstwa w Southeast nie wzbudzają wielkiego zainteresowania.**

**Gdzieś naszczekiwał pies i był to jedyny dźwięk na wyludnionej ulicy.**

**Musieliśmy przejść obok ulicznego targu narkotykowego na rogu Eighteenth Street. Przeważali mężczyźni, ale dostrzegłem również kilkoro dzieci i dwie kobiety. Narkotykowe targi można spotkać wszędzie w tej części Southeast. Lokalna młodzież trudni się handlem crackiem.**

**–Zbieracie trupy, panowie? – zagadnął młody mężczyzna. Był w czarnych spodniach na szelkach, ale bez koszuli, skarpetek i butów.**

**Wyglądał jakby niedawno wyszedł z więzienia. Całe ciało miał wytatuowane.**

**–Zwózka śmieci? – zażartował starszy mężczyzna z niesfornej szpakowatej brody. – Zabierzcie tego cholernego psa, skoro już tu jesteście. Drze japę przez całą noc. Będzie z was przynajmniej jakiś pożytek – dodał.**

**Ignorując zaczepki, szliśmy dalej Eighteenth, aż do zabitego deskami, trzypiętrowego budynku na końcu ulicy. Z okna trzeciego piętra wychylał się biało-czarny bokser i ujadął nieprzerwanie. Poza tym budynek wydawał się opuszczony.**

**Drzwi frontowe przeżyły tyle włamań, że nawet nie miały klamki.**

**W środku cuchnęło dymem, śmieciami i grzybem. W suficie widniała wielka dziura po wybuchu gazu. Trudno się było pogodzić z myślą, że Nina skończyła w takim ohydny, zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu.**

**Od przeszło roku badam nie rozwiązane sprawy w Southeast, z których większość opatrzona jest kryptonimem Jane Doe. Zgodnie z moimi wyliczeniami liczba morderstw przekroczyła setkę, ale nikt w wydziale nie jest skłonny uznać tych danych, nawet gdyby zaniżyć je do połowy. Wśród zamordowanych kobiet zdarzały się narkomanki i prostytutki. Nina do nich nie należała.**

**Zeszliśmy ostrożnie krętymi schodami, nie dotykając rozchwianej, zniszczonej poręczy. Gdzieś w dole błyskały światła latarek.**

**Nina znajdowała się w piwnicy opuszczonego budynku. Ktoś przynajmniej pofatygował się i zabezpieczył miejsce zbrodni taśmą policyjną.**

**Zobaczyłem ciało Niny – i musiałem odwrócić wzrok.**

**Nie chodziło o to, że była martwa, lecz o to, w jaki sposób ją zabito.**

**Próbowałem myśleć o czymś innym, patrzeć w bok, dopóki nie odzyskam panowania nad sobą.**

**Na miejscu był Jerome Thurman z ekipą dochodzeniową. Dostrzegłem również policjanta; to pewnie on zidentyfikował zwłoki. Nie było natomiast lekarza policyjnego, co nie należało do rzadkości na miejscach zbrodni w Southeast.**

**Na podłodze, w pobliżu ciała, leżały zwiędłe kwiaty.**

**Wpatrywałem się w nie, nadal niezdolny spojrzeć na Ninę.**

**Zabójstwo nie pasowało do wzoru Jane Doe, ale ten morderca nigdy nie trzymał się ściśle schematu, i na tym między innymi polega nasz problem.**

**Mogło to znaczyć, że jego fantazja nadal ulega przeobrażeniom i że może mieć jeszcze wiele pomysłów.**

**Zauważyłem strzępy folii i celofanu rozrzucone po całej podłodze.**

**Błyszczące przedmioty przyciągają szczury, które często zanoszą je do swoich nor. Gęste pajęczyny snuły się od jednej ściany piwnicy do drugiej.**

**Musiałem ponownie spojrzeć na Ninę. Musiałem przyjrzeć się jej uważnie.**

**–Jestem detektyw Alex Cross. Proszę mi pozwolić dokonać oględzin -zwróciłem się w końcu do mężczyzny i kobiety, młodych ludzi z ekipy. – Zajmie mi to tylko parę minut, potem pozwolimy wam robić swoje.**

**–Ten drugi detektyw kazał już zabrać ciało – powiedział mężczyzna.**

**Był chudy jak tyka, z jasnymi długimi włosami w kolorze przybrudzonego piasku. Nawet nie podniósł na mnie wzroku. – Dajcie nam skończyć i wynośmy się z tej nory. Cały teren jest zainfekowany – śmierdzi jak cholera.**

**–Odsuń się! – warknął Sampson. – Wstawaj, człowieku, albo sam postawię cię na tych chudych nogach.**

**Gość zaklął pod nosem, ale podniósł się i odsunął od ciała Niny. Podszedłem bliżej, spróbowałem się skoncentrować, działać profesjonalnie, przypomnieć sobie szczegóły poprzednich morderstw w Southeast. Szukałem powiązań. Zastanawiałem**

się, czy jeden człowiek mógł zabić tylu ludzi.

Jeżeli tak, byłaby to hekatomba.

Wzięłam głęboki oddech i ukląknęłam przy Ninie. Szczury już

się do niej dobrały, ale morderca dokonał o wiele większych zniszczeń.

Wyglądało na to, że Nina została zakatowana na śmierć uderzeniami pięści i nóg.

Otrzymała co najmniej sto ciosów. Nigdy nie widziałem, by kogoś tak skatowano.

Dlaczego to się musiało stać!? Miała dopiero trzydzieści jeden lat, dwójkę dzieci.

Była miła, zdolna, oddana pracy w szpitalu.

Nagle w budynku rozległ się huk przypominający wystrzał z karabinu. Ściany piwnicy zdawały się wibrować. Para z karetki podskoczyła jak ukłuta szpilką.

Reszta z nas roześmiała się nerwowo. Wiedziałem, co to za hałas.

–Pułapki na szczury – powiedziałem. – Musicie się przyzwyczaić.

Rozdział 10

Spędziłem na miejscu zbrodni przeszło dwie godziny, o wiele więcej niż chciałem,

i każda sekunda napawała mnie przerażeniem. Nie potrafiłem zgłębić schematu

zabójstw Jane Doe, a morderstwo Niny Childs nie posunęło mnie ani o krok do

przodu. Dlaczego zabójca uderzył ją tyle razy, tak brutalnie? Co robiły kwiaty na

podłodze? Czy mogła to być robota tego samEGO CZŁOWIEKA?

Pracując na miejscu zbrodni, staram się obejrzeć je jakby z lotu ptaka.

Wychodzę z założenia, że ciało powie mi najwięcej.

Obeszliśmy z Sampsonem cały budynek, poczynawszy od piwnicy,

przez kolejne piętra, aż po strych. Zwiedziliśmy okolicę. Nikt nie zauważył nic

niezwykłego, co było do przewidzenia. Potem nastąpiła najtrudniejsza część. Wprost z miejsca zbrodni pojechaliśmy do

mieszkania Niny w Brookland, na wschód od Uniwersytetu Katolickiego. Wiedziałem,

że znów daję się wciągnąć w koszmar i nic nie mogłem na to poradzić.

Panował dławiący upał, słońce paliło bez miłosierdzia.

Odbyliśmy tę drogę w milczeniu, pogrążeni każdy w swoich myślach. Czekало nas

najtrudniejsze zadanie – trzeba było powiedzieć rodzinie o śmierci kogoś

najbliższego. Nie wiedziałem, jak tym razem zdołam przez to przebrnąć.

Nina mieszkała w zadbanej kamieniczce przy Monroe Street. Na parapetach okien

kwitły miniaturowe różyczki w wysokich jasnozielonych skrzynkach. Wydawało się

nieprawdopodobne, by coś złego mogło się przytrafić mieszkańcom tego domu. Był

taki pogodny i pełen nadziei, zupełnie jak Nina.

Byłem coraz bardziej wstrząśnięty brutalnym, ohydny morderstwem i coraz bardziej

wkurzony tym, że prawdopodobnie nie doczeka się on solidnego śledztwa,

przynajmniej oficjalnie. Nana uzna to za kolejny dowód na poparcie swojej teorii o

białych panach i ich „karygodnej obojętności” wobec mieszkańców Southeast.

Powtarzała mi często, że czuje się moralnie wyższa od białych ludzi, ale nigdy,

przenigdy, nie potraktowałaby ich tak, jak oni traktują czarnych waszyngtończyków.

–Siostra Niny, Marie, opiekuje się dziećmi – powiedział Sampson, kiedy

skręciliśmy w Monroe Street. – To miła dziewczyna. Kiedyś miała problem z

narkotykami, ale wyszła z tego. Nina jej pomogła. Rodzina jest bardzo żyta.

**Podobna do twojej. To będzie okropne, Alex.**

**Popatrzyłem na niego. Nic dziwnego, że przeżywał śmierć Niny bardziej nawet niż ja. Nie zwykł jednak okazywać emocji.**

**–Sam to zrobię, John. Zostań w samochodzie. Pójdę na górę porozmawiać z rodziną.**

**Sampson potrząsnął głową i westchnął ciężko.**

**–Nie ma tak lekko, kotku!**

**Zatrzymał nissana przy krawężniku i wysiedliśmy. Nie kazał mi zostać, zrozumiałem więc, że jestem mu potrzebny. Nie pomylił się. To było okropne.**

**Mieszkanie Childsów mieściło się na pierwszym i drugim piętrze. Frontowe drzwi zdobił jakiś delikatny wzór. Mąż Niny stał już w progu. Ubrany był w kombinezon roboczy stołecznego wydziału budownictwa: wysokie buty poplamione błotem, niebieskie spodnie, koszula z napisem „Wydział Budownictwa”. Na rękę trzymał jedną z córeczek, piękną dziewczynkę, która uśmiechnęła się do mnie, gaworząc.**

**–Możemy wejść na chwilę? – zapytał Sampson.**

**–Nina! – powiedział mąż i załamał się od razu, jeszcze w drzwiach.**

**–Przykro mi, William! – powiedziałem cicho. – Została zamordowana. Znaleźliśmy ją dzisiaj rano.**

**William Childs wybuchnął głośnym łkaniem. Wyglądał na krzepkiego faceta, ale to nie miało znaczenia. Tulił zdziwioną córeczkę do piersi, próbował opanować płacz, ale nie potrafił.**

**–O Boże! O Boże! Nino, moja maleńka! Jak ktoś mógł ją zabić!? Jak ktoś mógł zrobić coś takiego!? Och, Nino, Nino, Nino!**

**Zza jego pleców ukazała się młoda, ładna kobieta, zapewne siostra Niny, Marie. Wyjęła dziecko z ramion szwagra i dziewczynka zaczęła krzyczeć, jakby zrozumiała, co się stało. Widziałem tyle rodzin, tylu porządnych ludzi, którzy stracili bliskich na tych bezlitosnych ulicach.**

**Wiedziałem, że nie da się wyeliminować zbrodni, ale miałem nadzieję, że będzie ich coraz mniej.**

**Nadzieję płonną!**

**Siostra Niny gestem zaprosiła nas do środka. Na stoliku w holu leżały dwie broszurowe powieści. W przytulnej, ładnej bawialni stały lekkie bambusowe meble z białymi poduszkami. Na końcu stołu zauważyłem porcelanową figurkę pielęgniarki. Mieszkanie wypełniał szum klimatyzacji.**

**Myślni nadal przebywałem w miejscu zbrodni, próbowałem powiązać to morderstwo z innymi. Dowiedzieliśmy się, że sobotni wieczór Nina spędziła na imprezie dobroczynnej na rzecz szpitala. William wziął nadgodziny.**

**O jej zaginięciu rodzina zawiadomiła policję w sobotę późnym wieczorem.**

**Zjawili się dwaj detektywi, spisali zeznania, ale aż do tej chwili nic nie było wiadomo o losie Niny.**

**Trzymałem dziecko, podczas gdy Marie podgrzewała butelkę mleka dla malej.**

Była to smutna, wzruszająca chwila. Przygniatała mnie świadomość, że ta biedna dziewczynka nigdy już nie zobaczy matki, nie dowie się, jaka była wyjątkowa. Pomyślałem o własnych dzieciach i ich matce, o Christine, która bała się, że zginę podczas takiego śledztwa jak to.

Podeszła do mnie starsza z sióstr. Mogła mieć najwyżej trzy latka.

–Mam nową fryzurę – oznajmiła z dumą i odwróciła się profilem, żeby ją zaprezentować.

–Bardzo piękna. Kto ci zaplótl warkoczyki?

–Moja mamusia – odparła dziewczynka.

Godzinę później opuściliśmy dom Niny. Wracaliśmy w takim samym milczeniu i rozpaczy, w jakiej tam jechaliśmy. Po paru minutach Sampson zatrzymał wóz przed zrujnowaną budą oklejoną reklamami piwa i napojów.

Odetchnął spazmatycznie, ukrył twarz w dłoniach i zaczął płakać. Nigdy przedtem nie widziałem Johna w takim stanie, ani w czasach, gdy byliśmy dziećmi, ani później, kiedy się przyjaźniliśmy. Położyłem dłoń na jego ramieniu, a on się nie odsunął.

–Kochałem ją, Alex – zwierzył mi się po raz pierwszy. – Ale pozwoliłem jej odejść. Nigdy nie powiedziałem jej, co czuję. Musimy dorwać tego skurwysyna.

Rozdział 11

Czułem, że znajduję się na progu kolejnego zagmatwanego śledztwa.

Nie chciałem tego, ale już nie mogłem zatrzymać koszmaru. Musiałem coś zrobić w sprawie Jane Doe. Nie mogłem siedzieć beczynn timer.

Chociaż formalnie pracowałem w Siódmym Okręgu jako starszy detektyw, współpraca z F-Bi-al dawała mi wyższy status, większą swobodę działania przy minimalnym nadzorze przełożonych. Mój umysł pracował jasno i już wkrótce ustaliłem powiązanie między zabójstwem Niny a niektórymi nie wyjaśnionymi sprawami w Southeast. Po pierwsze, przy ofiarach brakowało dokumentów. Po drugie, ciała były porzucane w budynkach, gdzie odnalezienie ich nastęrczało trudności. Po trzecie, nie było ani jednego świadka, który widziałby choćby potencjalnego podejrzanego. Co najwyżej dowiadrywaliśmy się, że w miejscu, gdzie popełniono morderstwo, panował duży ruch, było pełno ludzi na ulicy. To pozwalało sądzić, że morderca wie, jak wtopić się w tłum i że prawdopodobnie jest czarny.

Około szóstej po południu wróciłem w końcu do domu. To był mój wolny dzień. Miałem domowe obowiązki i próbowałem zrównoważyć wymogi pracy i rodziny najlepiej jak potrafiłem. przywołałem uśmiech na twarz i pchnąłem drzwi.

Damon, Jannie i Nana śpiewali w kuchni Sit Down, You re Rocking the Boat. Była to muzyka dla moich uszu i serca. Dzieciaki wydawały się bardzo szczęśliwe. Ech, cudowny wieku niewinności!

Usłyszałem jak Nana mówi:

–A może zaśpiewamy I Can Tell the World?

Cała trójka zaintonowała jeden z najpiękniejszych hymnów kościelnych jakie znam. Głos Damona wydał mi się szczególnie silny. Nigdy dotąd tego nie zauważyłem.

–Czuję się tak, jakbym przez przypadek znalazł się w powieści Louisy Maise

**Alcott – Roześmiałem się po raz pierwszy tego cholernie długiego dnia.**

**–Potraktuję to jako komplement – powiedziała Nana. Nie wyglądała na swój wiek – dobiegała osiemdziesiątki, lub już ją przekroczyła – i trzymała go w ścisłej tajemnicy.**

**–Kto to jest Louise Maise Alcott? – zapytała Jannie i skrzywiła twarz jakby polizala cytrynę. Ma zdrowe, sceptyczne podejście do życia, ale daleko jej do cynizmu. Przypomina w tym zarówno swego ojca, jak i babkę.**

**–Sprawdź w encyklopedii, kotku. Pięćdziesiąt centów za właściwą odpowiedź – powiedziałem.**

**–Umowa stoi – Jannie uśmiechnęła się szeroko. – Możesz zapłacić mi od razu, jeżeli chcesz.**

**–Mnie też? – zapytał Damon.**

**–Oczywiście. Sprawdź, kto to Jane Austen – powiedziałem. –**

**A co z tymi niebiańskimi pieniemi? Nawiasem mówiąc, bardzo mi się podobały. Chciałem się tylko dowiedzieć, co to za okazja?**

**–Żadna. Po prostu śpiewamy sobie podczas gotowania obiadu –**

**powiedziała Nana z błyskiem w oku. – Ty grasz jazz i bluesa na pianinie, prawda?**

**A my udajemy anioły. Bez specjalnej okazji. To dobrze robi na duszę.**

**Może pomóc, a na pewno nie zaszkodzi.**

**–Nie przerywajcie sobie z mojego powodu – powiedziałem, ale**

**oni nie zamierzali dalej śpiewać. Szkoda. Coś wisiało w powietrzu – tyle zdołałem wydedukować. Muzyczna zagadka w moim własnym domu.**

**–Czy nadal jesteśmy umówieni na boks po kolacji? – zapytałem ostrożnie.**

**Ostrożnie, ponieważ nie chciałem, żeby odwołali lekcję, która stała się domowym rytuałem.**

**–Oczywiście! – odparł Damon i skrzywił się wymownie, jakby chciał zasugerować, że tylko szaleniec może o to pytać.**

**–Jasne! Dlaczego mielibyśmy nie być umówieni? – dodała Jannie i potraktowała moje głupie pytanie machnięciem dłoni. – Jak się miewa pani Johnson? – pytała dalej. – Rozmawiałeś z nią dzisiaj?**

**–Ale o co chodzi z tym śpiewaniem? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie.**

**–Jesteś w posiadaniu cennej informacji. Ja również.**

**Dokonamy wymiany? Co ty na to?**

**Trochę później postanowiłem, że zadzwonię do Christine. Ostatnio miałem wrażenie, że wróciły czasy sprzed śledztwa w sprawie Mr. Smitha.**

**Rozmawialiśmy przez chwilę, a potem zapytałem, czy umówi się ze mną na piątkowy wieczór.**

**–Oczywiście. Z przyjemnością, Alex. W co mam się ubrać? – zapytała.**

**Zawahałem się.**

**–Podobasz mi się we wszystkim. Ale załóż coś specjalnego.**

**Nie zapytała, dlaczego.**

**Rozdział 12**

**Po obiedzie złożonym z pieczonego kurczaka, gotowanych słodkich ziemniaków i domowego chleba zabrałem dzieci na dół na cotygodniową lekcję boksu. Kiedy**



skończyliśmy, spojrziałem na zegarek i stwierdziłem, że jest już po dziewiątej.

Chwilę później odezwał się dzwonek u drzwi. Odłożyłem wspaniałą książkę „Kolor wody” i dźwignąłem się z fotela w pokoju rodzinnym.

–Ja otworzę. To pewnie do mnie – zawołałem.

–Kto wie? Może to Christine – wyraziła przypuszczenie

Jannie, po czym umknęła do kuchni. Moje dzieci uwielbiają Christine, chociaż jest dyrektorką ich szkoły.

Dobrze wiedziałem, kto przyszedł. Oczekiwałem czterech detektywów z wydziału zabójstw z Pierwszego Okręgu – Jeromea Thurmana, Rakeema Powella, Shawna Morrea i Sampsona.

Trzech z nich stało na werandzie. Rosie, nasza kotka, i ja wpuściliśmy ich do mieszkania. Sampson zjawił się pięć minut później i przeszliśmy wszyscy na podwórko. Nasze poczynania nie kolidowały z prawem, ale też nie przysporzyłyby nam przyjaciół w departamencie policji.

Usiedli na ogrodowych krzeselkach, a ja wyniosłem piwo i niskokaloryczne precle, które wzbudziły pogardę Jeromea (sto trzydzieści kilo wagi).

–Piwo i niskokaloryczne precle!? Daj żyć, Alex! Straciłeś rozum? A może masz romans z moją żoną? Tylko ona mogła ci podsunąć taki pomysł.

–Kupiłem je specjalnie dla ciebie, grubasie. Próbuję odciążyć twoje serce. – Powiedziałem i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Podkpiwamy sobie z Jeromea.

Nasza piątka spotyka się nieformalnie od paru tygodni, rozpracowując morderstwa Jane Doe. Wydział nie prowadzi oficjalnego śledztwa; nie próbował nawet przypisać morderstw seryjnemu zabójcy. Próbowałem rozpocząć takie śledztwo, ale szef, Pittman, odesłał mnie z kwitkiem.

Stwierdził, że nie odkryłem schematu łączącego wszystkie zabójstwa, a poza tym nie ma ludzi do pracy w Southeast.

–Zakładam, że słyszeliście już o zabójstwie Niny Childs? – zwrócił się Sampson do pozostałych detektywów. Wszyscy oni znali Ninę, a Jerome był z nami na miejscu zbrodni.

–Szkoda dziewczyny! – Rakeem Powell skrzywił się boleśnie i potrząsnął głową. Rakeem jest mądry i twardy, przepowiadają mu karierę w wydziale. Jego oczy przybrały zimny, twardy wyraz.

Wprowadziłem ich w sprawę. Położyłem nacisk na fakt, że przy Ninie nie znaleziono dokumentów. Przedstawiłem wnioski do jakich doszedłem, badając miejsce zbrodni. Przy okazji wspomniałem również o wysokiej liczbie nie wyjaśnionych morderstw w Southeast. Potem przeszedłem do miażdżących statystyk, jakie zebrałem w czasie wolnym od pracy.

–Gdyby te liczby dotyczyły Georgetown albo okręgu Capitol, ludzie w tym mieście byliby oburzeni. Byliby wściekli. Mielibyśmy codziennie nagłówki w „Washington Post”. Sam prezydent by się zaangażował.

Pieniądze nie byłyby problemem. Wielka narodowa tragedia! – grzmiał Jerome Thurman, wymachując ramionami, jakby to były flagi sygnalizacyjne.

–Jesteśmy tu po to, żeby coś z tym zrobić – powiedziałem spokojnie. Dla nas

pieniądze nie są problemem. Ani czas. Pozwólcie, że opowiem wam coś o tym zabójcy – ciągnąłem. – Myślę, że trochę o nim wiem.

–Sporządziłeś profil? – zapytał Shawn Moore. – Nie rozumiem, jak możesz tyle myśleć o tych pokręconych draniach i nie oszaleć.

Wzruszyłem ramionami.

–To umiem najlepiej. Przeanalizowałem wszystkie przypadki

Jane Doe – powiedziałem. – Zajęło mi to całe tygodnie. Sam na sam z tym pokręconym draniem.

–Do tego dochodzi fakt, że bada odchody gryzoni – wtrącił Sampson. –

Widziałem, jak zbiera bobki do papierowej tutki. To kwiat jego sekretu.

Pokazałem zęby w uśmiechu i przytoczyłem wnioski.

–Myślę, że sprawcą co najmniej tuzina zabójstw jest jeden

mężczyzna. Nie przypuszczam, żeby był geniuszem zbrodni, jak Gary Soneji czy Mr. Smith, ale jest na tyle sprytny, żeby nie dać się złapać. Jest zorganizowany, w miarę ostrożny. Moim zdaniem, nie notowany. Prawdopodobnie ma porządną pracę. Może nawet rodzinę. Moi znajomi z F-Bi-al w Quantico są tego samego zdania. Z całą pewnością dał się pochwyć w rosnącą spiralę fantazji. Chyba się całkowicie uzależnił. Może jest w trakcie kształtowania nowej osobowości, staje się kimś lub czymś innym. Z całą pewnością nie skończył z mordowaniem. – Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że nienawidzi swojej dawnej tożsamości, chociaż ludzie z najbliższego otoczenia mogą tego wcale nie zauważać. Jest gotów opuścić rodzinę, pracę, przyjaciół, jeżeli ich ma. Swego czasu żywił silne przekonania – wobec prawa i porządku, religii, rządu – ale już się ich wyzbył. Zabija w różny sposób; nie istnieje żaden schemat. O zabijaniu wie dużo. Używa różnych technik, różnych rodzajów broni. Być może jeździł dużo po świecie. Niewykluczone, że spędził sporo czasu w Azji. Uważam za wysoce prawdopodobne, że jest czarny. Kilka razy zabił w Southeast i nikt go nie zauważył.

–Kurde blaszka! – zaklął Jerome. – A gdzie ta dobra wiadomość?

–Jest i ona, chociaż przyznaję, że to już zupełne domysły. Uważam, że ma skłonności samobójcze. Pasuje to do jego profilu psychologicznego, nad którym pracuję. Jego życie jest pełne niebezpieczeństw, ryzyka.

Istnieje możliwość, że sam strzelił sobie w łeb.

–Pif, paf i po łasicy – powiedział Sampson.

W ten sposób znaleźliśmy imię dla mordercy: Łasica.

Rozdział 13

Geoffrey Shafer grywał w Czterech Jeźdźców w każdy czwartek od piątej po południu do pierwszej w nocy, i przepadał za tym.

Gra była dla niego wszystkim. Poza nim brali w niej udział jeszcze trzej gracze, rozrzucony po całym świecie: Jeździec na Białym Koniu, czyli Zdobywca; Jeździec na Czerwonym Koniu – Wojna; Jeździec na Czarnym Koniu – Głód i on sam, Jeździec na Siwym Koniu – Śmierć.

Lucy i dzieci wiedzieli, że pod żadnym pozorem nie wolno mu przeszkadzać, kiedy przebywa w bibliotece na drugim piętrze. Jedną ścianę pokoju zdobiła kolekcja

ceremonialnych sztyletów. Niemal wszystkie nabył w Hong Kongu i Bangkoku. Na tej samej ścianie wisiało wiosło, pamiątka po wygranych regatach studenckich.

W cokolwiek grał Shafer, prawie zawsze wygrywał.

Porozumiewał się z pozostałymi graczami przez internet, na

długo zanim stało się to powszechną metodą komunikacji. Zdobywca grał z miasteczka Dorking w hrabstwie Surrey; Głód krążył między Bangkokiem, Sydney, Melbourne i Manilą; Wojna zwykle nadawał z Jamajki, gdzie miał nadmorską posiadłość. Bawili się w Jeźdźców od siedmiu lat.

Zamiast ich znudzić, gra stawała się coraz bardziej urozmaicona.

Rozrastała się z każdym rokiem, stając się czymś nowym, bardziej wciągającym.

Celem było stworzenie wybornej, niezwykłej fantazji lub przygody.

Przemoc była niemal zawsze częścią gry, morderstwo niekoniecznie. Shafer jako pierwszy przyznał, że historie, które opowiada wcale nie są fantazjami, że je urzeczywistnia.

Zdarzało się, że i pozostali gracze twierdzili to samo. Czy faktycznie realizowali swoje marzenia, tego Shafer nie wiedział. Celem gry było przedstawienie najbardziej zdumiewającej fantazji i zdystansowanie innych graczy.

O dziewiątej wieczorem Shafer siedział przy laptopie. Podobnie jak reszta graczy. Rzadko ktoś opuszczał sesję, a jeżeli był do tego zmuszony, pozostawiał dokładny opis, rysunki, a nawet fotografie rzekomych kochanków czy ofiar. Od czasu do czasu przesyłano materiały filmowe i gracze musieli sami osądzić, czy prezentowane sceny zostały zainscenizowane, czy też wykorzystano fragmenty filmów.

Shafer nie wyobrażał sobie sytuacji, w której opuściłby rozgrywkę. Śmierć była zdecydowanie najbardziej interesującą postacią, najpotężniejszą i najbardziej oryginalną. Shafer rezygnował z ważnych imprez towarzyskich i dyplomatycznych, żeby uczestniczyć w czwartkowych sesjach. Grał, kiedy miał zapalenie płuc, grał następnego dnia po bolesnej operacji przepukliny.

Czterej Jeźdźcy byli wyjątkowi pod wieloma względami, ale najważniejsze było to, że nie istniał jeden mistrz gry, który by nakreślał i kontrolował jej przebieg. Każdy z uczestników miał zupełną swobodę i mógł opisać lub przedstawić własną historię w dowolny sposób, o ile trzymał się zasad i parametrów postaci.

Czterej Jeźdźcy byli bezkonkurencyjni, tak okrutni i szokujący, jak pozwalała na to wyobraźnia uczestników i ich umiejętności prezentacji.

Tego dnia obecni byli wszyscy – Zdobywca, Głód i Wojna.

Shafer zaczął pisać.

**ŚMIERĆ ZATRIUMFOWAŁA JESZCZE RAZ W WASZYNGTONIE. POZWÓLCIE, ŻE NAJPIERW PRZEDSTAWIĘ SZCZEGÓŁY, A POTEM WYŚLUCHAM WSPANIAŁYCH**

# OPOWIEŚCI ZDOBYWCY, GŁODU I WOJNY.

**ŻYJĘ DLA TEJ CHWILI, JAK MY WSZYSCY.**

**W TEN WEEKEND ZNÓW JEŹDZIŁEM MOJĄ CUDOWNĄ TAKSÓWKĄ, MASZYNĄ KOSZMARU. POSŁUCHAJCIE! ZNALAZŁEM KILKA ROZKOSZNYCH OFIAR, ALE ODRZUCIŁEM JE JAKO NIEGODNE. POTEM ODNALAZŁEM KRÓLOWĄ, A ONA PRZYPOMNIAŁA MI NASZE DAWNE CZASY W BANGKOKU I MANILI. KTO**

**MÓGŁBY**

**ZAPOMNIEĆ ROZKOSZ, JAKĄ DAJE BOKSERSKI RING? URZĄDZIŁEM SOBIE WŁASNY MECZ. PANOWIE, ZATŁUKŁEM JĄ PIĘŚCIAMI I NOGAMI. PRZESYŁAM ZDJĘCIA.**

**Rozdział 14**

**Coś wisiało w powietrzu i nie sądziłem, żeby to było coś przyjemnego.**

**Następnego ranka zjawiłem się na komendzie tuż przed siódmą trzydzieści rano. Zostałem wezwany przez szefostwo, co zapowiadało kłopoty.**

**Pracowałem do drugiej w nocy nad zabójstwem Niny Childs i byłem wykończony.**

**Dzień zaczynał się źle. Byłem podenerwowany i spięty. Bardzo nie podobało mi się to ranne wezwanie do pracy.**

**Potrząsnąłem głową i skrzywiłem się, kiedy trzasnęło mi w karku. W końcu zacisnąłem mocno zęby i otworzyłem mahoniowe drzwi. Szef detektywów George Pittman czekał na mnie w swoim biurze, które składało się z trzech połączonych gabinetów. Jeden z nich pełnił funkcję sali konferencyjnej.**

**Jefe, jak nazywa go wielu „wielbicieli”, ubrany był w szary garnitur biznesmena i za mocno wykrochmaloną białą koszulę ze srebrzystą muszką.**

**Szpakowate włosy miał gładko zaczesane do tyłu. Wyglądał na bankiera i w pewnym sensie nim był. Jak często powtarza, pracuje z napiętym budżetem i nigdy nie zapomina o kosztach. Jest niewątpliwie dobrym menadżerem i dlatego właśnie komisarz policji przymyka oczy na fakt, że jest także chamem, bigotem, rasistą i karierowiczem.**

**Na ścianie jego gabinetu wiszą trzy wielkie, przytłaczające mapy – wykresy. Pierwszy ukazuje krzywą gwałtów, zabójstw i napadów z ostatnich dwóch miesięcy. Drugi wykres dotyczy włamań do obiektów prywatnych i publicznych. Trzeci – kradzieży. Wykresy i „Washington Post” dowodziły, że poziom przestępczości w Waszyngtonie maleje. Nie tam, gdzie ja mieszkam.**

**„ – Wiecie, oczywiście, dlaczego chciałem się z wami zobaczyć? – zapytał Pittman bez wstępu. Nie można było liczyć na uprzejmości ze strony Jefa. – Oczywiście, że pan wie, doktorze Cross. Jest pan psychologiem. Powinien pan wiedzieć, jak działa ludzki umysł. Ciągle o tym zapominam.**

**Tylko spokojnie, powiedziałem sobie. Zachować zimną krew i ostrożność. Zrobiłem coś, czego Pittman się nie spodziewał – uśmiechnąłem się i powiedziałem miękko:**

**–Nie, naprawdę nie wiem. Zatelefonował do mnie pański asystent, więc jestem. Pittman odwzajemnił uśmiech, jakbym opowiedział mu niezły kawał.**

Potem nagle podniósł głos, a jego szyjai twarz przybrały karmazynowy odcień. Nozdrza mu się rozdziły, ukazując szczeciniaste włosy w nosie.

Zacisnął jedną dłoń w pięść, rozcapierzając palce drugiej. Przypominały teraz ołówki sterczące ze skórzanego kubka na jego biurku.

–Nikogo nie oszukasz, Cross, a już na pewno nie mnie. Wiem, że prowadzisz jakieś cholerne śledztwo w sprawie zabójstw w Southeast, chociaż nie jesteś do tego upoważniony. Robisz to wbrew moim wyraźnym rozkazom. Niektóre z tych spraw są zamknięte od przeszło roku. Nie pozwolę na to – nie będę tolerował twojej niesubordynacji, twojej protekcyjnej postawy. Wiem, co próbujesz zrobić. Ośmieszyć wydział, a zwłaszcza mnie, podlizać się burmistrzowi, a przy okazji zrobić z siebie bohatera ludowego Southeast.

Mówił obrzydliwe rzeczy obrzydliwym tonem, ale już dawno nauczyłem się pewnego triku. Jest to prawdopodobnie najważniejsza rzecz, jaką należy wiedzieć o zasadach funkcjonowania każdej organizacji.

Prosty klucz do każdego małego królestwa. Wiedza naprawdę jest potęgą, jest wszystkim, a jeśli jej nie masz, to chociaż udawaj, że ją posiadasz.

Zgodnie z tą zasadą, nie odpowiedziałem Pittmanowi. Nie zaprzeczyłem i do niczego się nie przyznałem. Nie zrobiłem kompletnie nic.

Jak Mahatma Gandhi.

Pozwoliłem mu myśleć, że być może badam stare sprawy w

Southeast -ale nie powiedziałem tego otwarcie. Pozwoliłem mu myśleć, że być może mam mocne wejście u burmistrza Monroe i Bóg wie jakich jeszcze potentatów na szczycie City Hall. Pozwoliłem mu myśleć, że być może mam chrapkę na jego posadę, albo – broń Boże! – jeszcze wyższe aspiracje, – Pracuję nad sprawami, które mi przydzielono, proszę sprawdzić u kapitana. Staram się zamykać ich tyle, ile zdołam.

Pittman skinął krótko głową – jeden raz. Nadal wyglądał na kogoś, kogo zaraz trafi szlag.

–W porządku. Chcę, żebyś zamknął tę sprawę, i to szybko. Wczoraj w nocy na M Street obrabowano i zastrzelono turystę – powiedział. – Znanego niemieckiego lekarza z Monachium. Kurewska pierwsza strona w dzisiejszym „Post”. Również w „International Herald Tribune” i każdej gazecie w Niemczech, rzecz jasna. Zajmiesz się tą sprawą i rozwiążesz ją w try miga.

–Ten lekarz był biały? – zapytałem z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

–Mówiłem, że to Niemiec.

–Mam kilka otwartych spraw w Southeast – powiedziałem. – W weekend zamordowano pielęgniarkę.

Pittman nie chciał o tym słyszeć. Potrząsnął głową – jeszcze raz.

–Teraz masz tylko jedną ważną sprawę. W Georgetown. Rozwiąż ją, Cross. Masz się zająć tym, i niczym więcej. To jest rozkaz...

Rozkaz Jefa.

Rozdział 15

Gdy tylko Cross opuścił gabinet Pittmana, starszy detektyw Patsy Hampton

wślizgnęła się do pokoju bocznymi drzwiami prowadzącymi do sali konferencyjnej. Detektyw Hampton miała, z rozkazu Pittmana, słuchać, oceniać „ sytuację z perspektywy ulicznego gliniarza, doradzać i pocieszać.

Hampton nie lubiła tego zajęcia, ale rozkaz Pittmana był wyraźny.

Pittmana też nie lubiła. Był tak spięty, że gdyby wsadzić mu w tyłek węgiel, po tygodniu można by wyciągnąć diament. Do tego był chamski, małostkowy i mściwy.

–Widzisz, z czym ja się tu borykam? Cross wie, jak zaleźć człowiekowi za skórę. Z początku tracił panowanie nad sobą. Teraz po prostu ignoruje, co do niego mówię.

–Wszystko słyszałam – odparła Hampton. – Jest śliski, to prawda. – Zamierzała przyznać Pittmanowi rację w każdej kwestii.

Patsy Hampton była przystojną kobietą o krótko przyciętych włosach koloru piasku i najbardziej przenikliwych niebieskich oczach po tej stronie Atlantyku. Miała trzydzieści jeden lat i dobre perspektywy w wydziale. Jako dwudziestosześcioletka była najmłodszą kobietą detektywem w Waszyngtonie. Teraz miała na oku o wiele wyższe cele.

–Nie docenia pan siebie, szefie. Dostał go pan, wiem to. – Mówiła Pittmanowi to, co chciał usłyszeć. – Po prostu potrafił to ukryć.

–Jesteś pewna, że spotyka się z tymi detektywami? – zapytał Pittman.

–Wiem o trzech spotkaniach w domu Crossa przy Fifth Street.

Podejrzewam, że było ich więcej. Słyszałam o nich od znajomej detektywa Thurmana.

–I żaden z nich nie był wtedy na służbie?

–O ile wiem – nie. Są ostrożni. Spotykają się po pracy.

Pittman nachmurzył się, potrząsnął głową.

–Cholerna szkoda. Trudniej będzie im udowodnić winę.

–Z tego, co słyszałam, uważają, że wydział skąpi pieniędzy na rozwikłanie zabójstw w Southeast i części Northeast. Ofiarami są w większości przypadków kobiety czarne lub latynoskie.

Pittman zacisnął zęby i odwrócił wzrok od Hampton.

–Liczby, które podaje Cross są wyssane z palca – powiedział gniewnie. – Kompletna bzdura! Wykorzystuje je do swoich celów.

Ile jeszcze pieniędzy mamy utopić w morderstwach narkomanów i prostytutek w Southeast? Kryminaliści mordują innych kryminalistów. Wiesz, co się dzieje w tych czarnych dzielnicach.

Hampton znowu skinęła głową, wykorzystując okazję, żeby zgodzić się z Pittmanem. Bała się, że mogłaby zniechęcić go do siebie, gdyby mówiła prawdę.

–Uważają, że przynajmniej część ofiar to niewinne kobiety. Ta pielęgniarka z izby przyjęć, którą zamordowali w weekend, była znajomą Crossa i Sampsona. Cross uważa, że w Southeast grasuje zabójca kobiet.

–Seryjny morderca w getcie? Litości! Nigdy ich tam nie mieliśmy.

Są

rzadkością w śródmieściu. Dlaczego mieliby się pojawić teraz? Dlaczego tutaj? Ponieważ leży to w interesie Crossa!

–Cross i inni odeprą zarzut, twierdząc, że tak naprawdę nigdy nie próbowaliśmy złapać drania.

Pittman zatopił spojrzenie małych oczek w jej twarzy.

–Zgadza się pani z tym poglądem, detektywie Hampton?

–Nie, sir. Nie mam wyrobionego zdania. Wiem z całą

pewnością, że wydział nie ma wystarczających środków w żadnym rejonie miasta, może z wyjątkiem Capitol Hill. Ale to już kwestia polityczna.

Pittman uśmiechnął się, słysząc jej odpowiedź. Wiedział, że trochę go urabia, ale i tak ją lubił. Lubiał być w jednym pokoju z Patsy Hampton. Była taką śliczną laleczką.

–Co wiesz o Crossie, Patsy?

Wyczuła, że szef odpuścił. Teraz życzył sobie, by rozmowa

stała się mniej oficjalna. Była pewna, że ją lubi, czuje do niej miętę, ale jest zbyt spięty, by w jakikolwiek sposób dać upust pożądaniu, dzięki Bogu!

–Wiem, że Cross jest w policji od ponad ośmiu lat. Obecnie jest łącznikiem między departamentem a F-Bi-al, działa w ramach programu Zapobiegania Brutalnej Przeszłości. Specjalizuje się w portretach psychologicznych i wyrobił sobie markę. Zrobił doktorat z psychologii w Johns Hopkins.

Przez trzy lata prowadził prywatną praktykę, potem wstąpił do policji. Wdowiec z dwójką dzieci, w domu gra bluesy na pianinie. Czy to wystarczy jako tło? Co jeszcze chce pan wiedzieć? Odrobiłam lekcje, zna mnie pan – powiedziała Hampton, po raz pierwszy z uśmiechem.

Pittman też się uśmiechał. Miał drobne, nie schodzące się zęby, które kojarzyły się Patsy z uchodźcami z Europy Wschodniej i rosyjskimi gangsterami.

Mimo to detektyw Hampton uśmiechała się nadal. Pittman lubił, gdy dostosowywała się do jego nastroju – o ile zachowywała należyty respekt.

–Jeszcze jakieś uwagi? – zapytał.

Ale z ciebie miękki, flakowaty kutas, chciała powiedzieć

Patsy Hampton, ale tylko potrząsnęła głową.

–Ma urok osobisty i układy w kręgach politycznych.

Rozumiem, dlaczego on pana niepokoi.

–Uważasz, że Cross ma urok osobisty?

–Jest śliski, jak już mówiłam. Ludzie mówią, że wygląda jak

młody Muhammad Ali. Wydaje mi się, że czasem lubi go naśladować: tańczy jak motyl, kąsa jak osa. – Znowu się roześmiała i Pittman jej zawtórował.

–przygwoźdźmy Crossa – powiedział. – Migiem wróci do prywatnej praktyki. Ty mi w tym pomożesz. Załatwicie to, prawda, detektywie Hampton? Potrafisz patrzeć perspektywicznie. To właśnie mi się w tobie podoba.

Hampton uśmiechnęła się leciutko.

–Mnie również.

Rozdział 16

Ambasada brytyjska mieści się w prostym, bezpretensjonalnym budynku na Massachusetts Avenue, w bezpośrednim sąsiedztwie domu wiceprezydenta i Obserwatorium. Rezydencja ambasadora zajmuje dostojną gregoriańską budowlę o

wysokich, obłych kolumnach; biura mieszczą się w Chancery.

Geoffrey Shafer siedział za małym mahoniowym biurkiem w ambasadzie i gapił się na Massachusetts Avenue. Personel ambasady liczył czterysta piętnaście osób. Wkrótce zmniejszy się do czterystu czternastu, pomyślał Shafer. W jego skład wchodziłi eksperci wojskowi, specjaliści od polityki zagranicznej, handlu, stosunków międzynarodowych, urzędnicy i sekretarki.

Stany Zjednoczone i Wielka Brytania podpisały wprawdzie porozumienie o zakazie wzajemnego szpiegowania się, niemniej Geoffrey Shafer był szpiegiem. Był jednym z jedenastu pracowników Security Service, od dawna znanej jako MI6, zatrudnionych w ambasadzie w Waszyngtonie.

Ta jedenastka nadzorowała działalność agentów w konsulatach generalnych w Atlancie, Bostonie, Chicago, Houston, Los Angeles, Nowym Jorku i San Francisco.

Tego dnia Shafer tłuł się po biurze jak Marek po piekle. Wstawał z biurka bez potrzeby, spacerował tam i z powrotem po dywanie okrywającym trzeszczące deski podłogi. Wykonał mnóstwo niepotrzebnych telefonów, próbował pchnąć do przodu robotę, chociaż nienawidził swojej pracy i wszystkich aspektów życia codziennego.

Powinien pracować nad idiotycznym oświadczeniem w sprawie zaangażowania swego rządu w ochronę praw człowieka. Minister spraw zagranicznych oznajmił bombastycznie, że Wielka Brytania przyłączy się do międzynarodowego bojkotu reżimów łamiących prawa człowieka, będzie popierała międzynarodowe instytucje zaangażowane w tę sprawę, ujawniała przypadki łamania takowych praw, itepe, itede. Rzygać się chce.

Przejrzał kilka gier komputerowych, które zwykle pomagały mu zwalczyć niepokój – Riven, Mech Commander, Unreal, TOCA, Ultimate Soccer Manager. Żadna nie wzbudziła jego zainteresowania.

Nadchodziło załamanie nerwowe; znał to uczucie. – Spadam i tylko jedno może powstrzymać upadek: Czterech Jeźdźcy.

Na domiar złego z poszarzałego, smętnego nieba lały się strugi deszczu.

Samo miasto i jego okolice wydawały się opuszczone, wywoływały przygnębienie. Wszystko było do chrzanu. Chryste, był naprawdę w złym nastroju, gorszym niż zwykle.

Pustym wzrokiem wpatrywał się w szpaler drzew stanowiących granicę parku nazwanego imieniem tego żalostnego pacyfisty Kahlila Gibrana. Próbował marzyć, głównie o pieprzeniu rozmaitych atrakcyjnych kobiet zatrudnionych w ambasadzie.

Zadzwoił do domowego gabinetu swojego psychiatry, Boo Cassidy, ale Boo zaczynała właśnie sesję terapeutyczną i nie mogła rozmawiać.

Ustalili, że wpadnie do niej na szybki, ostry numer przed powrotem do domu, do Lucy i zasmarkanej dzieciarni.

Nie odważył się zagrać w Czterech Jeźdźców. Za wcześnie po pielęgniarkę. Ale, Boże miłosierny, jakże chciał zagrać! Marzył o tym, żeby zabić kogoś w jakiś przemyślny sposób tu na miejscu, w ambasadzie.

Czekała go wprawdzie duża przyjemność, ale dopiero o trzeciej – zachował ją na ostatek. Kości pomogły mu podjąć osobistą decyzję.



Tuż przed lunchem zadzwonił do Sarah Middleton i powiedział, że muszą uciąć sobie małą pogawędkę. Czy mogłaby wstąpić do jego gabinetu, powiedzmy o trzeciej?

Sarah była wyraźnie zdenerwowana, powiedziała, że może przyjść wcześniej, w każdej chwili, nawet zaraz.

–Więc nie jesteś zajęta? Nie masz zbyt wiele do roboty? – zapytał Shafer.

Będzie punktualnie o trzeciej, powiedziała pośpiesznie.

Sekretarka, potworna Betty z Belgrawii, zadzwoniła w chwili,

gdy wskazówka dosięgła trzeciej. Widać, w końcu wbił jej do głowy punktualność.

Shafer nie odbierał przez dobrą chwilę, potem poderwał słuchawkę, jakby przerwała mu w momencie kluczowym dla bezpieczeństwa narodowego.

–O co chodzi, pani Thomas? Jestem niesłychanie zajęty.

Pracuję nad komunikatem dla sekretarza.

–Przepraszam, że przeszkadzam, panie Shafer, ale przyszła pani Middleton.

Rozumiem, że ma pan z nią spotkanie o trzeciej.

–Hmmy. Naprawdę? Tak, rzeczywiście. Proszę poprosić Sarah, żeby poczekała.

Potrzebuję jeszcze kilku minut. Zadzwonię, kiedy będę gotowy ją przyjąć.

Shafer uśmiechnął się z zadowoleniem i sięgnął po Red Coat, pracowniczy biuletyn ambasady. Wiedział, że Betty nie znosi, kiedy zwraca się do pani Middleton po imieniu.

Przez następnych parę minut fantazjował o Sarah. Chciał pofiglować z panią Middleton od ich pierwszej rozmowy kwalifikacyjnej, ale na to był zbyt ostrożny. Boże, znenawidził tę sukę. To będzie taka przyjemność!

Jeszcze przez dziesięć minut patrzył, jak deszcz bębni o dachy samochodów posuwających się z wolna Massachusetts Avenue. W końcu chwycił słuchawkę. Nie mógł czekać ani minuty dłużej.

–Proszę wpuścić Sarah.

Obrócił w palcach kości. Pomyślał, że to może być naprawdę duża przyjemność. Terror w biurze.

Rozdział 17

Uroczą Sarah Middleton weszła do gabinetu niemal opanowana, niemal uśmiechnięta. Shafer czuł się jak boa dusiciel obserwujący zdobycz.

Miała naturalnie kręcone rude włosy, ładną twarz i świetną figurę. Dzisiaj ubrana była w bardzo krótką spódniczkę, czerwoną jedwabną bluzkę z trójkątnym wycięciem, czarne pończochy. Dla Shafera było oczywiste, że przyjechała do Waszyngtonu złapać męża.

Czuł przyspieszone bicie serca. Zawsze go podniecała.

Wyobrażał sobie, że ją bierze, w dosłownym znaczeniu tego słowa. Wydawała się mniej zdenerwowana i spłoszona niż ostatnio, co prawdopodobnie oznaczało, że się naprawdę boi i próbuje to ukryć. Starał się rozumować tak jak Sarah.

Dodawało to pikanterii zabawie, chociaż trudno mu było wcielić się w osobę tak nerwową i niepewną siebie.

–Ten deszcz był bardzo potrzebny – bąknęła i skuliła się, zanim jeszcze słowa

przebrzmiały.

–Usiądź, Sarah – powiedział. Starał się zachować obojętny, oficjalny wyraz twarzy. – Jeżeli o mnie chodzi, nienawidzę deszczu. To jeden z wielu powodów, dlaczego nie zostałem w Londynie.

Westchnął teatralnie zza namiociku, jaki zbudował z własnych palców.

Ciekawe, czy Sarah zauważyła, jakie są długie i czy kiedyś zastanawiała się, jak okazałe są inne partie jego ciała. Dałby głowę, że tak. Tak działał ludzki umysł, chociaż kobiety pokroju Sarah nigdy by się do tego nie przyznały.

Odchrząknęła, po czym splotła dłonie na kolanach, aż zbieleły kostki jej palców. Chryste, jej wyraźna męka dostarczała mu tyle cholernej przyjemności! Kobieta sprawiała wrażenie, że lada chwila wyskoczy ze skóry.

A przy okazji również z tej opiętej małej spódniczki i bluzki.

–Sarah, wydaje mi się, że mam złe wieści – dość niefortunne, przyznaję, ale nie da się tego uniknąć.

Pochyliła się na krześle. Była naprawdę ładnie zbudowana.

Shafer dostał erekcji.

–O co chodzi; panie Shafer? Co to znaczy? Wydaje się panu, że ma dla mnie złe wiadomości? Nie rozumiem.

–Musimy pozwolić ci odejść. Ja muszę pozwolić ci odejść. Cięcia budżetowe – powiedział. – Zdaję sobie sprawę, jakie to ci się musi wydawać niesprawiedliwe i nagle. Zwłaszcza w obliczu faktu, że przejechałaś pół świata z Australii, żeby objąć tę posadę i mieszkasz w Waszyngtonie zaledwie od sześciu miesięcy. I nagle, trach! Jak grom z jasnego nieba.

Patrzył, jak walczy ze łzami. Wargi jej drżały. Było jasne, że czegoś takiego się nie spodziewała. Nie miała pojęcia, jaką niespodziankę jej zgotował.

Była w miarę inteligentną, rozsądną kobietą, ale teraz nie mogła nad sobą zapanować.

Doskonale. Udało mu się ją złamać. Żałował, że nie ma kamery video.

Mógłby utrwalić wyraz jej twarzy i odgrywać w nieskończoność w samotności.

Sarah zupełnie się rozkleiła i Shafer napawał się jej cierpieniem.

Patrzył jak jej oczy wilgotnieją i po policzkach spływają wielkie łzy, znacząc ślady w skromnym makijażu pracującej dziewczyny.

Wypełniło go poczucie władzy i było tak miłe, jak tego oczekiwał. Mała, niewiele znacząca zabawa, ale jakże satysfakcjonująca. Jakie to piękne uczucie, wiedzieć, że jest zdolny zadać taki ból.

–Biedna Sarah. Biedne, biedne kochanie – wyszeptał.

I wtedy Shafer zrobił coś niewybaczalnego, okrutnego ponad

ludzkie wyobrażenie. Był to również postępek skandaliczny i niebezpieczny.

Wstał i obszedł biurko, żeby ją pocieszyć. Stanął nad nią i przycisnął się do jej ramienia. Wiedział, że jest to ostatnia rzecz, jakiej dziewczyna w tej chwili pragnie – czuć, że jej dotyka, że jest podniecony.

Zesztywniała i odsunęła się, jakby ją oparzył.

–Drań! – powiedziała przez zaciśnięte zęby. – Skończony

**drań!**

**Sarah wybiegła z gabinetu, zapłakana i drżąca, chwiejąc się na wysokich obcasach. Uwielbiał sadystyczną przyjemność, jaką czerpał z ranienia kogoś, z niszczenia niewinnych kobiet. Zapamięta sobie wyraz twarzy Sarah na zawsze. Będzie go przywoływał w pamięci, ciągle od nowa.**

**Tak, był draniem. Skończonym draniem.**

**Rozdział 18**

**Kotka Rosie przycupnęła na parapecie i patrzyła jak szykuję się na randkę z Christine. Zazdrościłem Rosie prostoty życia:**

**Kocham zjadać te myszki, myszki kocham zjadać je.**

**W końcu zszedłem na dół. Zrobiłem sobie wieczór wolny od pracy i byłem bardziej zdenerwowany, nieobecny duchem i niecierpliwy niż kiedykolwiek. Nana i dzieci czuli, że coś się święci, ale nie wiedzieli co, i to doprowadzało moich wścibskich milusińskich do szału.**

**–Tatusiu, powiedz mi, co się dzieje, proszę! – Jannie złożyła ręce jak do modlitwy i spoglądała błagalnie.**

**–Powiedziałem „nie”, a to oznacza – nie! Nawet jeżeli padniesz na swoje kościste kolanka – powiedziałem z uśmiechem. – Mam dzisiaj randkę.**

**Po prostu randkę. Więcej nie musisz wiedzieć, młoda damo.**

**–Z Christine? – dopytywała się Jannie. – Tyle chyba możesz powiedzieć?**

**–Wystarczy, że ja wiem. – Zawiązałem krawat przed lustrem obok schodów. – Sprawa cię w ogóle nie dotyczy, moja wścibska panienko.**

**–Założyłeś ten fikuśny garnitur w paseczki, fikuśne wyjściowe pantofelki i ulubiony fikuśny krawat. Cały jesteś fikuśny.**

**–Dobrze wyglądam? – zapytałem moją osobistą garderobianą.**

**–Pięknie, tatusiu! – rozpromieniła się moja córeczka i wiedziałem, że mogę jej wierzyć. Jej oczy były połyskliwymi lusterkami, które zawsze mówiły prawdę. – I dobrze o tym wiesz. Jesteś piękny jak grzech śmiertelny.**

**–To mi się podoba! – Roześmiałem się. Piękny jak grzech śmiertelny.**

**Usłyszała to od Nany, bez wątpienia.**

**Damon naśladował siostrę.**

**–Wyglądasz pięknie tatusiu.**

**–Dobrze wyglądam? – zwróciłem się do Damona.**

**Przewrócił oczami.**

**–Może być. Dlaczego tak się wystroiłeś? Mnie możesz powiedzieć.**

**Jak mężczyzna mężczyźnie. O co biega?**

**–Powiedz tym biednym dzieciom – wtrąciła w końcu Nana.**

**Zerknąłem na nią z szerokim uśmiechem.**

**–Nie wykorzystuj biednych dzieci do zdobycia swojej dziennej dawki ploteczek. No, to uciekam – oznajmiłem. – Wrócę przed świtem.**

**Muu – haha – ha – wykonałem ulubioną imitację potwora i cała trójka wzniosła**

oczy do nieba.

Była za minutę ósma i kiedy wyszedłem na werandę, przed domem właśnie zatrzymał się czarny, wydłużony lincoln. Najwyższy czas! Nie chciałem się spóźnić.

–Limuzyna? – zachłysnęła się Jannie i omal nie zemdląła na frontowej werandzie.  
– Jedziesz limuzyną?!

–Aleksie Cross! – zawołała Nana. – Co się dzieje?

Zbiegłem ze schodków tanecznym krokiem. Wsiadłem do czekającego samochodu, zatrzasnąłem drzwi i kazałem kierowcy jechać. Kiedy samochód płynnie ruszył spod domu, wysunąłem głowę przez otwarte okno i pokazałem język.

Rozdział 19

Uniosłem ze sobą ich obraz. Cała trójka, Jannie, Damon i Nana, stała na werandzie z językami wywalonymi na brodę. Świetnie się razem bawimy, myślałem, kiedy samochód mknął do Prince Georges, gdzie w dawnych, dobrych czasach stanąłem twarzą w twarz z dwunastoletnim mordercą, i gdzie mieszkała teraz Christine Johnson.

Powtarzałem w myślach zaklęcie na ten wieczór: „Myśl sercem”. Musiałem w to wierzyć.

–Limuzyna?! – wykrzyknęła Christine, kiedy zajechałem pod jej dom w Mitchellville.

Była uderzająco piękna, jak zawsze zresztą, przynajmniej w moich oczach. Miała na sobie długą czarną suknię bez rękawów, czarne satynowe sandały i wzorzysty żakiet z brokatu przerzucony przez ramię.

Boże, jak ja kochałem tę kobietę, kochałem w niej wszystko!

Wsiadliśmy do samochodu.

–Alex, nie powiedziałeś mi, dokąd dzisiaj jedziemy.

Wspomniałeś tylko, że w jakieś wyjątkowe miejsce.

–Powiedziałem za to naszemu kierowcy. – Zastukałem w szybę dzielącą nas od szofera i limuzyna pomknęła w letnią noc. Taki dziś byłem: ja, Alex Tajemniczy.

Trzymałem Christine za ręce, kiedy jechaliśmy autostradą Johna Hansona w stronę Waszyngtonu. Zbliżyła do mnie twarz i pocałowaliśmy się w tym przytulnym mroku. Kochałem słodycz jej warg, miękką, gładką skórę. Miała nowe perfumy, których dotąd nie znałem, i to też mi się podobało.

Ucałowałem zagłębienie jej szyi, policzki, powieki, włosy.

Mógłbym tak spędzić resztę nocy.

–Jest tak romantycznie! – westchnęła. – Jakoś tak wyjątkowo. Jesteś niezwykle, kochany.

Tuliliśmy się i całowali całą drogę do Waszyngtonu. Trochę rozmawialiśmy, ale nie pamiętam o czym. Czułem jak jej piersi wznoszą się i opadają tuż przy mnie. Samochód minął skrzyżowanie Massachusetts i Wisconsin.

Coraz bliżej miejsca, gdzie czeka moja niespodzianka...

Christine już o nic nie pytała. Aż do chwili, gdy samochód

przyhamował przed waszyngtońską katedrą, a szofer wysiadł i otworzył dla nas

drzwi.

–Katedra? – zapytała Christine. – Wchodzimy do środka?

Skinąłem głową i spojrzałem w górę na zapierające dech

gotyckie dzieło sztuki, które podziwiałem jeszcze jako chłopiec. Katedra króluje

na pięćdziesięciu akrach trawników i zagajników i jest najwyższym punktem w Waszyngtonie, wyższym niż Washington Monument. O ile dobrze pamiętam, jest drugim co do wielkości kościołem w Stanach Zjednoczonych i chyba najpiękniejszym.

Wprowadziłem Christine do środka. Trzymała mnie leciutko za rękę.

Weszliśmy do północno – zachodniej nawy, która ciągnie się prawie sto pięćdziesiąt metrów, aż do ogromnego ołtarza.

Wszystko wydawało się wyjątkowe, bardzo piękne i uduchowione, takie jak być powinno. Podeszliśmy do ławki pod zdumiewającym Space Window. Ze wszystkich stron, gdzie tylko spojrzałem, otaczały nas bezcenne witraże.

Padło na nas cudowne światło, czułem się tak, jakby mnie błogosławiło. Na ścianach migotały barwne plamy: czerwienie, ciepła żółć, zimne błękity.

–Piękne, prawda? – wyszeptalem. – Wieczne i wzniosłe. Stary dobry gotyk, o którym tyle pisał Henry Adams.

–Och, Alex! To chyba najpiękniejsze miejsce w Waszyngtonie. The Space Window, Kaplica Dziecięca – zawsze kochałam ten kościół. Mówiłam ci o tym, prawda?

–Chyba tak – powiedziałem. – A może po prostu wiedziałem, że tak jest.

Doszliśmy aż do Kaplicy Dziecięcej. Była mała, piękna i cudownie intymna.

Stanęliśmy pod witrażem przedstawiającym Samuela i Dawida jako dzieci.

Odwróciłem się i spojrzałem na Christine, a serce waliło mi tak głośno, że musiała to słyszeć. Oczy migotały jej jak klejnoty w rozchybotanym świetle świec. Czarna sukienka połyskiwała i zdawała się opływać jej ciało.

Przykląknęłam na jedno kolano i uniosłam ku niej twarz.

–Pokochałam cię w chwili, gdy cię pierwszy raz ujrzałam w

Sojourner Truth School – szepnąłam, żeby tylko ona mnie słyszała. – Wtedy nie wiedziałem jeszcze jaka jesteś wyjątkowa. Jaka mądra, dobra. Nie wiedziałem, że będę czuł się taki wypełniony za każdym razem, gdy jesteś ze mną. Zrobiłbym dla ciebie wszystko. Zrobiłbym wszystko, żeby być z tobą choćby jeszcze jedną chwilę.

Umilkłam na ułamek sekundy i zaczerpnąłam powietrza.

Christine nie odrywała wzroku od moich oczu.

–Kocham cię tak bardzo. Wyjdiesz za mnie, Christine?

Nadal patrzyła mi w oczy i ujrzałam w nich tyle ciepła i

miłości, a także pokory, która jest nieodłączną cechą Christine.

Jakby nie mogła sobie wyobrazić, że mogę ją kochać.

–Tak, wyjdę za ciebie. Och, Alex, nie powinnam czekać tak długo.

Ale to jest taki wyjątkowy, doskonały moment, że niemal się cieszę, że zwlekałam. Tak, zostanę twoją żoną.

Wyjąłem pierścienek zaręczynowy i ostrożnie wsunąłem go na palec Christine.

Pierścionek należał do mojej matki. Umarła, kiedy miałem dziewięć lat. Historia pierścionka nie jest jasna, wiadomo tylko, że znajdował się w posiadaniu rodziny Crossów od czterech pokoleń i był moim jedynym dziedzictwem.

Pocałowaliśmy się w cudownej Kaplicy Dziecięcej w Katedrze Narodowej i był to najpiękniejszy moment mojego życia. Nigdy go nie zapomniałem, nigdy też nie utracił nic ze swej doniosłości.

Tak, zostanę twoją żoną.

Rozdział 20

Minęło dziesięć dni bez urzeczywistnienia fantazji i Geoffreya Shafera znów opanowało przemożne pragnienie czynu. Dał się ponieść potężnej fali.

Szybował niby latawiec – euforyczny, dwubiegunowy, maniacki; lekarze różnie nazwaliby stan, w jakim się znajdował. Wziął już ativan, librium, valium i depakote, ale leki zdawały się go tylko napędzać.

Tego wieczoru około szóstej wyprowadził jaguara z parkingu po północnej stronie ambasady, minął Winstona Churchilla, który stał na podium z jedną serdelkową ręką uniesioną w geście zwycięstwa; w drugiej dzierżył nieodłączne cygaro.

Z samochodowych głośników rozbrzmiewała muzyka Erika Claptona.

Shafer zwiększył głośność, uderzając dłońmi w kierownicę.

Miał wrażenie, że rytm go wypełnia, pcha naprzód.

Skręcił w Massachusetts Avenue i podjechał pod Starbucks. Wszedł śpiesznie do środka i przygotował sobie trzy kawy. Czarne jak jego serce, z sześcioma kostkami cukru. Mniem, mniem. Jak zwykle wykończył pierwszą zanim jeszcze doniósł ją do kasy.

Drugą wypił spokojniej, już za kierownicą jaguara. Przełknął trochę benadrylu i nascanu. Nie zaszkodzi, a może pomóc. Wyjął kości. Dzisiaj musi zagrać.

Dwanaście lub więcej punktów i jedzie prosto do Boo Cassady na szybki sprośny numerek, a potem do domu i znieawidzonej rodziny.

Siedem do jedenastu – totalna klęska – prosto do Lucy i dzieciaków. Trzy, cztery, pięć lub sześć będą oznaczały, że może jechać do kryjówki i przygotować się na noc wielkiej przygody.

Niech wyjdzie trzy, cztery, pięć. Proszę, maleńka! Proszę!

Potrzebuję tego dzisiaj. Naprawdę potrzebuję!

Potrząsał kośćmi przez jakieś trzydzieści sekund. Przeciągał oczekiwanie, trwał w zawieszeniu. W końcu rzucił kości na siedzenie fotela z szarej skóry i patrzył z bliska jak się toczą.

Jezu, wyrzucił czwórkę! To cud! Mózg mu płonął. Mógł dzisiaj grać.

Kości przemówiły, przemówiło przeznaczenie.

Radośnie wystukał numer na tarczy telefonu komórkowego.

–Lucy – powiedział już z uśmiechem. – Jak to dobrze, że

jesteś w domu, kochanie... Tak, domyśliłaś się, przy pierwszym sygnale.

Utknąłem tu na dobre, dasz wiarę? Bo ja nie. Uważają, że jestem ich własnością i pewnie nie do końca się mylą. Znowu ten przemyt narkotyków. Wrócę, jak tylko będę mógł. Ale nie czekaj na mnie. Ucałuj dzieci. Ja też, kochanie.

**Ja też cię kocham. Jesteś najlepszą, najbardziej wyrozumiałą żoną na świecie.**

**Dobrze zagrane, pomyślał Shafer odetchnąwszy z ulgą. Doskonale przedstawienie, zważywszy te wszystkie prochy, jakich się nałykał.**

**Shafer rozłączył się z żoną. Tak się niefortunnie składało, że to dzięki pieniądzom jej rodziny mieli dom w mieście, zagraniczne wakacje, nawet tego jaguara i modnego range rovera., Którym ona jeździła.**

**Wystukał kolejny numer na komórce.**

**–Doktor Cassady. – Odezwała się niemal natychmiast.**

**Wiedziała, że to on. Zwykle dzwonił z samochodu i wpadał w drodze do domu.**

**Lubili podniecać się przez telefon. Była to ich ulubiona gra wstępna:**

**–Znowu mi to zrobili! – zaskowyczał Shafer do słuchawki.**

**Lubił dramaturgię.**

**Krótką cisza, a potem:**

**–Chcesz powiedzieć, że znowu nam to zrobili? Nie możesz się jakoś wyrwać? To tylko cholerna posada, w dodatku znieawiedzona!**

**–Wiesz, że wyrwałbym się, gdyby to było możliwe. Brzydzę się tą robotą, każda chwila tutaj to katonga. A w domu jest jeszcze gorzej, Boo. Jezu, przecież ty wiesz.**

**Wyobraził sobie leciutki mars na czole Boo, jej odęte wargi.**

**–Mówisz jakbyś był naćpany, Geoffrey. Naćpałeś się, kochany? Wzięłeś proszki?**

**–Nie marudź! Jasne, że wzięłem leki. Jestem podekscytowany. Jestem na haju. Prawdę mówiąc, chodzę po suficie. Dzwonię między jednym a drugim zebraniem pracowników. Do diabła, tęsknię za tobą, Boo. Chcę być w tobie, głęboko. Chcę ci go włożyć w cipkę, w tyłeczek, w gardło. Myślę o tym teraz. Chryste, stwardniałem na kamień w gabinecie urzędnika państwowego. Stoi mi jak drut, będę go musiał zbić pałką. My, Brytyjczycy, tak załatwiamy te sprawy.**

**Roześmiała się, a on omal nie zrezygnował z wystawienia jej do wiatru.**

**–Wracaj do pracy. Będę w domu, gdybyś skończył wcześniej – powiedziała. – Mnie też by się przydała obróbka.**

**–Kocham cię, Boo! Jesteś dla mnie taka dobra.**

**–To prawda.**

**Rozłączył się i pojechał do kryjówki w Eckington. Zaparkował jaguara obok fioletowo – niebieskiej taksówki w garażu i pobiegł na piętro się przebrać.**

**Boże, kochał to swoje tajemne życie, swoje noce z dala od wszystkiego i wszystkich, których nienawidził.**

**Ostatnio za często ryzykował, ale nic go to nie obchodziło.**

**Rozdział 21**

**Był nabuzowany, gotowy na noc szaleństwa. Rozpoczęła się gra. Dziś wszystko mogło się zdarzyć. Mimo to odkrył, że jest w refleksyjnym nastroju. W każdej chwili mógł przejść od maniakalnego haju do czarnej depresji.**

**Przyglądał się sobie z zewnątrz niby obserwator cudzego snu. Kiedyś był agentem brytyjskiego wywiadu, ale odkąd skończyła się zimna wojna, nie miał**

wielkiego pola do popisu. Zachował posadę tylko dzięki wpływom ojca Lucy, Duncana Cousinsa, niegdyś generała armii, obecnie prezesa koncernu handlującego proszkami do prania, mydłem i wodą toaletową.

Lubił zwracać się do Shafera per pułkownik, jakby przypominając mu o jego obecnym poślednim stanowisku. Z przyjemnością rozwodził się również nad olśniewającymi sukcesami dwóch braci Shafera, którzy zbili miliony w biznesie.

Shafer wrócił myślami do terażniejszości. Ostatnio często mu się zdarzało, że odpływał, cichł niby źle nastawione radio. Wziął głęboki oddech i wyprowadził taksówkę z garażu. Kilka chwil później skręcił w Rhode Island Avenue. Znow zaczął padać, mżawka zacierała światła przejeżdżających samochodów, rozmazywała kształty w impresjonistyczne plamy.

Podjechał do krawężnika i zatrzymał się na wezwanie wysokiego, szczupłego Murzyna. Wyglądał na handlarza narkotyków, kogoś, kto nie przedstawiał dla Shafera żadnej wartości. Może po prostu zastrzeli drania, a ciało porzuci. To mu odpowiadało. Parszywy dealer, po którym nikt nie będzie tęsknił.

–Na lotnisko – oznajmił mężczyzna z wyższością, wsiadając do taksówki. Bezczelny typ rzucił mokry parasol na siedzenie wozu.

Potem zatrzasnął skrzypiące drzwi i natychmiast przypiął się do komórki. Shafer nie jechał na lotnisko i nie na lotnisko wiózł swego nocnego pasażera. Przysłuchiwał się rozmowie. Mężczyzna mówił z przejęciem zdumiewająco kulturalnym głosem. r

–Zdążę chyba na samolot o dziewiątej, Leonard. Delta lata co godzinę, r prawda? Dzięki Bogu, udało mi się złapać taksówkę. Zwykle nawet się nie zatrzymują w tej części Northeast, gdzie mieszka moja biedna mama.

A tu, wyobraź sobie, nadjeżdża taki fioletowo – niebieski gruchot i zatrzymuje się na wezwanie, dzięki Ci miłosierny Boże!

Cholera, został zidentyfikowany! Shafer zaklął w duchu; co za pech!

Cóż, zmienne koleje gry: niesłychane wzloty i paskudne upadki.

Będzie musiał zawieźć tego gnojka aż na lotnisko międzynarodowe. Jego zniknięcie zostałoby powiązane z fioletowo – niebieskim gruchotem.

Docisnął pedał gazu i pomknęli w stronę lotniska. Autostrada była zatkana, nawet o dziewiątej wieczorem. Shafer klął pod nosem. Lało jak z cebra, zygzaki błyskawic przecinały niebo, grzmoty wtórowały dudnieniu ulewy.

Próbował opanować narastający gniew i coraz posępniejszy nastrój. Upłynęło czterdzieści minut zanim dotarł do cholernego terminalu i pozbył się pasażera. Nastrój zdążył już mu się zmienić i Geoffrey poddał się następnej fantazji. Znow buzowało mu pod czaszką.

Może mimo wszystko powinien pojechać do doktor Cassady. Kończyły mu się prochy, zwłaszcza lit. Dzisiejszy wieczór przypominał przejażdżkę na diabelskim młynie, w górę, w dół, i znowu w górę. Miał ochotę pójść na całość. Jednocześnie czuł, że owładnęło nim szaleństwo. Zdecydowanie tracił kontrolę.

Wszystko mogło się zdarzyć, kiedy był w takim nastroju. I o to chodziło!

Staął w kolejce taksówek, żeby złapać pasażera na drogę powrotną do D. C.



Burza wzmagala się z każdą chwilą. Błyskawice rozdierały niebo wysoko ponad lotniskiem. Widział potencjalne ofiary skupione pod ociekającym wodą daszkiem. Niewątpliwie odwołano lub opóźniono wiele lotów.

Rozkoszował się tanią dramaturgią, niepewnością. Ofiarą mógł być każdy, od dyrektora korporacji po zabieganą sekretarkę, a nawet całą rodzinę wracającą z wakacji w Disney Worldzie.

Ani razu nie spojrział wprost na kolejkę pasażerów, chociaż zbliżał się coraz bardziej do jej początku. Jeszcze dwa wozy i znajdzie się u celu.

Widział ofiarę kątem oka. W końcu nie wytrzymał; rzucił jej ukradkowe spojrzenie. Wysoki mężczyzna.

Spojrzął ponownie, nie mógł się opanować.

Biały mężczyzna, biznesmen. Zszedł z krawężnika i wszedł do taksówki. Klął pod nosem, zirytowany pogodą.

Shafer zlustrował go wzrokiem. Amerykanin, pod czterdziestkę, pizaty.

Analitik inwestycyjny, może bankier – coś w tym rodzaju.

–Możemy jechać, kiedy już pan się zdecyduje – rzucił ostro mężczyzna.

–Przepraszam bardzo – Shafer uśmiechnął się służalczo do wstecznego lusterka.

Rzucił kości na przednie siedzenie: szóstka! Serce załomotało mu w piersiach.

Sześć oznaczało natychmiastowe działanie! Ale on znajdował się ciągle na terenie lotniska międzynarodowego. Wszędzie było mnóstwo samochodów, policji i świateł. Zbyt niebezpiecznie, nawet jak dla niego.

Kości przemówiły. Nie miał wyboru. Gra się rozpoczęła.

Przed oczami miał morze czerwonych światełek. Jak ma to zrobić tutaj?

Zaczął się pocić.

Ale nie miał wyboru. Była to nienaruszalna zasada gry.

Musiał to zrobić zaraz. Musiał zamordować tego dupka na lotnisku.

Skręcił gwałtownie na najbliższy parking. Nie było to dobre posunięcie.

Gnał wąską alejką. Jeszcze jedna błyskawica przecięła ciemności, jakby podkreślając szaleństwo i chaos tej chwili.

–Dokąd ty, do diabła, jedziesz?! – wrzasnął biznesmen.

Uderzył dłonią w tył fotela kierowcy. – Nie tędy, dupku!

Shafer łypnął na niego okiem we wstecznym lusterku. Znienawidził faceta za to, że nazwał go dupkiem. Poza tym drań przypominał mu jego braci.

–Ja? Nigdzie! – odwrzasnął. – Za to ty jedziesz prosto do diabła!

–Co? Coś ty powiedział? – wybełkotał biznesmen.

Shafer odwrócił się i wystrzelił ze Smitha Wessona. Miał

tylko nadzieję, że huk zginął pośród grzmotów i klaksonów.

Był zlany potem i bał się, że makijaż mu się rozpuści. W każdej chwili spodziewał się zatrzymania. Czekał, aż policja otoczy taksówkę.

Jaskrawoczerwona krew spryskała obficie siedzenia i szyby. Biznesmen siedział rozparty w rogu, jakby spał. Shafer nie widział, w którym miejscu kula przebiła

karoserię.

Wyjechał z lotniska, zanim do reszty stracił rozum. Jechał ostrożnie do Benning Heights w Southeast. Nie mógł ryzykować, że zostanie zatrzymany za przekroczenie prędkości. Odchodził od zmysłów, nie wiedząc, czy postępuje słusznie.

Zatrzymał się w bocznej uliczce, wyciągnął ciało i rozebrał do naga.

Postanowił porzucić zwłoki wprost na ulicy. Starał się przede wszystkim, by jego postępowanie nie dało się sprowadzić do jednego schematu.

Potem umknął z miejsca zbrodni i pojechał do domu.

Nie pozostawił nic, co mogłoby pomóc w identyfikacji ofiary.

Nie pozostawił nic, z wyjątkiem ciała.

Mała niespodzianka – John Doe.

Rozdział 22

Wróciłem od Christine około drugiej trzydzieści nad ranem, w stanie takiego uniesienia i szczęścia, jakiego nie zaznałem od lat.

Zamierzałem obudzić Nanę i dzieci, powiedzieć im nowinę. Chciałem zobaczyć wyraz zaskoczenia na ich twarzach. Żałowałem, że nie ma ze mną Christine, żebyśmy mogli świętować razem.

Telefon zadzwonił w chwili, gdy przekroczyłem próg domu.

–Och, nie! – pomyślałem. Nie dzisiaj. Nic dobrego nie wynika z telefonów o drugiej trzydzieści nad ranem.

Odebrałem w dużym pokoju i usłyszałem głos Sampsona po drugiej stronie linii.

–Kotku? – wyszeptał.

–Zostaw mnie w spokoju – powiedziałem. – Spróbuj rano.

Jestem już nieczynny.

–Jesteś czynny i to bardzo, Alex! Już jedziesz na Alabama Avenue, mniej więcej trzy przecznice na wschód od Dupont Park. Znaleźniono tam mężczyznę w ryszotku. Jest nagi i martwy. Facet jest biały i nie ma przy sobie żadnego dokumentu.

Rano, raniutko powiem dzieciom i Nanie o Christine i o mnie.

Teraz musiałem iść. Miejsce zbrodni znajdowało się w odległości dziesięciu minut drogi, po drugiej stronie Anacostii.

Sampson czekał na mnie na rogu ulicy.

Razem z Johnem Doe.

Oraz podnieconym, wrogim tłumem. Nagie białe ciało porzucone w tej dzielnicy wzbudziło niemal taką samą ciekawość, jak jeleni spacerujący Alabama Avenue.

–Ktoś nam podrzucił Kacpra Przyjaznego Duszka – wysilił się na dowcip jeden z gapiów, kiedy przeszliśmy z Sampsonem pod żółtą taśmą okalającą miejsce zbrodni. Dalej ciągnęły się rzędy odrapanych budynków, które zdawały się wykrzykiwać imiona zatraconych, zapomnianych, tych, którzy nigdy nie otrzymali swojej szansy.

W tej dzielnicy woda często stoi na ulicach, ponieważ nikt nie sprawdza studzienek burzowych. Przyklęknąłem przy skręconym nagim ciebie, zanurzonym częściowo w kałuży. Na mokrym asfalcie nie pozostały żadne ślady opon. Ciekawe, czy morderca o tym pomyślał.

Nie musiałem notować swoich obserwacji, zapamiętywałem je wszystkie. Mężczyzna miał wypielęgnowane paznokcie dłoni i stóp. Żadnych odcisków i zgrubień na rękach i nogach. Żadnych siniaków, zadrapań, znaków szczególnych, jeżeli pominąć straszną ranę po kuli, która rozerwała mu lewą połowę twarzy.

Ciało było mocno opalone, z wyjątkiem skąpego paska wokół bioder.

Na środkowym palcu lewej ręki widniała cienka, jasna obwódka, prawdopodobnie po obrączce.

Brakowało jakiegokolwiek znaku identyfikacyjnego, jak przy zwłokach Jane Doe.

Przyczyną zgonu była bez wątpienia rana postrzałowa głowy. Wątpiłem czy morderstwo popełniono tutaj. Alabama Avenue stała się przypuszczalnie wtórną sceną zbrodni dokonanej gdzie indziej.

–Co sądzisz? – Sampson przykucnął tuż przy mnie. W kolanach mu trzasnęło. – Coś skurwiela mocno wkurzyło.

–To dziwne, że trafił tutaj, do Benning Heights. Nie wiem, czy ma powiązania z Jane Doe. Jeżeli tak, tym razem chciał, żebyśmy odnaleźli ciało jak najprędzej. Inaczej porzuciłby je w Fort Dupont Park.

Postępuje coraz dziwniej. I masz rację, jest wściekły na świat.

Notowałem w myślach kolejne obserwacje z miejsca zbrodni, zwykle pytania, jakie zadaje sobie w takiej sytuacji detektyw wydziału zabójstw.

Dlaczego morderca zostawił ciało na ulicy, w rynsztoku? Dlaczego nie w jakimś niezamieszkanym budynku? Dlaczego w Benning Heights? Czy seryjny wrócił? Taka teoria nadal wydawała się najbardziej prawdopodobna, chociaż seryjni rzadko wracają.

Podszedł do nas sierżant z Jednostki Ochrony Miejsc Zbrodni.

–Co mamy robić, detektywie Gross?

Spojrzałem na nagie, białe ciało.

–Sfilmować go, obfotografować, zrobić szkice.

–Zebrać trochę śmieci z rynsztoka i chodnika?

–Wszystko. Nawet te całkowicie nasiąknięte wodą.

Sierżant skrzywił się boleśnie.

–Wszystko? Wszystkie te mokre śmieci? Dlaczego?

Alabama Avenue znajduje się na wzgórzu, widziałem w oddali

jasno oświetlony Capitol. Wyglądał jak odległe ciało niebieskie, jak samo niebo!

Pomyślałem o tych wszystkich, którzy mają, i o tych, którzy nie mają nic.

–Ponieważ ja tak pracuję – powiedziałem.

Rozdział 23

Detektyw Patsy Hampton przybyła na miejsce zbrodni około drugiej piętnaście. Asystent Jefa zawiadomił ją telefonicznie o nietypowym morderstwie, które mogło mieć związek z Jane Doe. Różniło się pod paroma względami, ale z drugiej strony istniało zbyt dużo podobieństw, by można je było zignorować.

Obserwowała poczynania Aleksa Crossa na miejscu zbrodni.

Zaimponował jej, zjawiając się o tak wczesnej godzinie.

Interesował ją od dawna.

Hampton znała Crossa z opowiadań, śledziła kilka prowadzonych przez niego spraw. Pracowała nawet przez kilka tygodni nad tragicznym porwaniem Maggie Rose Dunnie i Michaela Goldberga.

Dotychczas żywiła wobec Crossa mieszane uczucia. Był w miarę sympatyczny i więcej niż przystojny. Był wysokim, silnie zbudowanym facetem.

Odniosła wrażenie, że traktuje się go w wydziale protekcyjnie, ponieważ jest z wykształcenia psychologiem. Patsy Hampton starannie odrobiła swoją pracę domową.

Rozumiała, że kazano jej ośmieszyć Crossa, pokonać, rozłożyć na łopatki i wdeptać w ziemię. Wiedziała, że to będzie ciężka walka, ale wiedziała również, że jest jedyna do tej roboty. Nigdy jeszcze nie poniosła porażki.

Dokonała już własnych oględzin miejsca zbrodni, kiedy niespodziewanie pojawili się Cross i Sampson.

Uważnie obserwowała Crossa, patrzyła jak obchodzi miejsce zbrodni.

Był naprawdę potężnie zbudowany, podobnie jak jego partner, dwumetrowy olbrzym. Cross miał prawie metr dziewięćdziesiąt i jakieś dziewięćdziesiąt kilo. Nie wyglądał na swoje czterdzieści jeden lat. Zdawał się cieszyć szacunkiem policjantów z patrolu, a nawet personelu karetki. Ścisnął dłonie, poklepywał plecy, wymieniał uśmiechy.

Hampton doszła do wniosku, że jest to część roli, jaką dla siebie wybrał.

W dzisiejszych czasach każdy coś udawał, zwłaszcza w Waszyngtonie.

Rola Crossa polegała na roztaczaniu charyzmy i czaru.

Do diaska, ona też potrafiła grać! Przybierała pozę

„nieszkodliwej” i „kobiecej”, a potem zaskakiwała postępując wbrew oczekiwaniom. Zwykle kompletnie zbijala kolegów z tropu. Mężczyźni zorientowali się, jaki z niej twardziel, kiedy była już bardzo wysoko w wydziałowej hierarchii. A to niespodzianka, co?! Pracowała jak wyrobnica, była twardsza niż większość mężczyzn i nigdy nie spoufalala się z gliniarzami.

Ale popełniła jeden wielki błąd. Włamała się do samochodu podejrzanego bez nakazu i została złapana na gorącym uczynku przez zazdrosnego detektywa. Teraz Pittman miał na nią haka i umiejętnie go wykorzystywał.

Za piętnaście trzecia Hampton wróciła do swojego zgniło-zielonego explorera, odnotowując w myślach, że należałoby zajechać do myjni. Miała już kilka interesujących koncepcji w sprawie martwego mężczyzny. Ani przez chwilę nie wątpiła, że uda się jej pokonać Crossa.

Księga druga

Śmierć Jeździ na siwym koniu

Rozdział 24

George Bayer był Głodem wśród Czterech Jeźdźców Apokalipsy. Uczestniczył w grze od siedmiu lat i uwielbiał ją. Przynajmniej do niedawna, do czasu, gdy Geoffrey Shafer wymknął się spod kontroli.

Głód był fizycznie niepozorny, sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, niecałe osiemdziesiąt kilogramów wagi. Był krępy, łysiejący, nosił okulary w drucianej

oprawce, ale zawsze wiedział, że jego wygląd jest mylący, że żyje z tych, którzy go nie docenili. Z ludzi takich jak Geoffrey Shafer.

Podczas długiego lotu z Azji do Waszyngtonu jeszcze raz przeczytał czterdziestostronicowe dossier Shafera. Dowiedział się wszystkiego o Shaferze, a także o postaci, jaką odgrywa – o Śmierci. Na lotnisku Dallesa wynajął granatowego forda sedana, pod fałszywym nazwiskiem. W trakcie trzydziestominutowej jazdy do miasta nadal był w refleksyjnym nastroju, nieobecny duchem.

Jednocześnie nękał go niepokój. Bał się o wszystkich Jeźdźców, ale najbardziej o siebie. Musiał doprowadzić do konfrontacji ze Śmiercią i martwił się, że Shaferowi odbije.

George Bayer był agentem MI6 i znał Geoffreya z lat wspólnej służby.

Przyjechał do Waszyngtonu, żeby sprawdzić Shafera. Tak jak inni jeźdźcy, podejrzewał, że Shafer przekroczył granicę, nie grał według zasad i stanowił śmiertelne zagrożenie dla pozostałych. Ponieważ Bayer pracował kiedyś w Waszyngtonie i znał miasto, powierzono mu tę misję.

Nie chciał odwiedzać ambasady na Massachusetts Avenue, ale porozmawiał z kilkoma znajomymi, o których wiedział, że potrafią zachować milczenie. Wieści o Shaferze potwierdziły jego najgorsze obawy.

Zdradzał żonę i wcale nie starał się zachować dyskrecji. Była również pani seksuolog, którą odwiedzał kilka razy w tygodniu, często w godzinach pracy. Krążyły plotki, że ostro pije i zażywa narkotyki. Bayer skłonny był uwierzyć w to ostatnie.

Przyjaźnili się z Shaferem na placówce w Tajlandii i na Filipinach i ćpali równo: Oczywiście, byli wtedy o wiele młodszy i głębszy, a przynajmniej można tak było powiedzieć o Bayerze.

Waszyngtońska policja złożyła zażalenie do ambasady w sprawie nieostrożnej jazdy Shafera. Bayer przypuszczał, że Geoffrey był wtedy naćpany. Jego obecne obowiązki w ambasadzie sprowadzały się w zasadzie do zera; zostałby zwolniony i odesłany do Anglii, gdyby nie wpływy teścia, generała Duncana Cousinsa. Bez wątplenia Shafer spał sobie życie.

Ale nie to jest najgorsze, prawda Geoffrey? – pomyślał George Bayer, wjeżdżając do północnej części Waszyngtonu, znanej jako Eckington Place.

Chodzi o coś więcej, drogi chłopcze. Jest o wiele gorzej niż uważa ambasada. Jest to prawdopodobnie największy skandal w długiej historii służb bezpieczeństwa, a ty stanowisz jego epicentrum. Razem ze mną.

Zatrzymując się na światłach, Bayer uruchomił automat zamykający drzwi. Okolica wydała mu się wysoce podejrzana, jak tyle innych waszyngtońskich dzielnic. Jakim ta Ameryka stała się nienormalnym, smutnym krajem. Idealnym miejscem dla takiego Shafera.

Głód zapuszczał wzrok w mijane przecznice i zagłębiał się coraz dalej w dość nędzną dzielnicę. Nie było porównania z Londynem. Mijał rzędy kamienic z czerwonej cegły, mocno podupadłych lub wręcz zrujnowanych.

Ujrzał dom wynajmowany przez Shafera i przyhamował przy krawężniku. Znał dokładne położenie kryjówki z opisu, jakim Shafer uraczył pozostałych graczy. Znał

adres. Teraz musiał dowiedzieć się tylko jednej rzeczy: czy morderstwa, które Shafer przedstawił jako fantazje, dokonały się naprawdę? Czy Geoffrey był bezlitosnym mordercą?

Bayer podszedł do drzwi garażu. W mgnieniu oka otworzył zamek i zajrzał do środka.

Tyle słyszał o Maszynie Koszmaru, fioletowo – niebieskiej taksówce, którą Shafer wyruszał na swoje wyprawy. Teraz miał ją przed sobą. Była równie rzeczywista, jak on sam. Poznał prawdę. George Bayer pokręcił głową.

Shafer zabił tych wszystkich ludzi. To już nie była zabawa.

## Rozdział 25

Bayer mozolnie wspiął się na piętro, do mieszkania. Ręce i nogi ciążyły mu, czuł lekki ból w piersiach, wzrok jakby go zawodził. Zaciągnął zakurzone rolety i rozejrzał się po pokoju.

Shafer wielokrotnie opowiadał o garażu i taksówce. Pysznił się kryjówką i przysięgał, że nie jest tylko wytworem wyobraźni czy elementem gry.;. Geoffrey otwarcie wezwał pozostałych graczy, żeby przekonali się o tym naocznie. To dlatego Bayer przyjechał do Waszyngtonu.

No dobra, Geoffrey, kryjówka istnieje – przyznał w duchu. – Jesteś bezwzględny mordercą. Nie blefowałeś.

O dziesiątej wieczorem Bayer wyprowadził taksówkę z garażu. Kluczyki tkwiły w stacyjce jak wyzwanie. Zaproszenie? Bayer uznał, że powinien doświadczyć tej nocy tego, co doświadczał Shafer Geoffrey twierdził, że połowa zabawy tkwi w grze wstępnej – rozpatrywaniu możliwości, zanim się podejmie decyzję.

Od dziesiątej do jedenastej trzydzieści Bayer objeżdżał ulice District Columbia, ale nie brał pasażerów. – Więc na tym to polega... – myślał. Czy Geoffrey tak to robi? Czy tak się czuje, grasując po mieście?

Z marzeń wyrwał go stary włóczęga w spłaszczonym kapeluszu, który wepchnął wózek z butelkami prawie pod koła taksówki. Sprawiał wrażenie kogoś, komu jest wszystko jedno, czy zostanie przejechany, ale Bayer dał po hamulcach. To znów zwróciło jego myśli ku Geoffreyowi. Dla niego granica między życiem a śmiercią przestała istnieć.

Bayer jechał już ostrożniej. Minął kościół. Nabożeństwo się skończyło i na ulicę wylał się tłum ludzi.

Zatrzymał się na wezwanie atrakcyjnej Murzynki w niebieskiej sukience i pantoflach w tym samym kolorze. Musiał sprawdzić, co przeżywa Shafer, śmierć. Pokusa była zbyt silna.

–Dziękuję bardzo – powiedziała kobieta, wsuwając się na tylne siedzenie taksówki. Wyglądała tak nobliwie i na miejscu! Obejrzał ją sobie w tylnym lusterku. Niewiele oferowała od pasa w górę, ale twarz miała niezłą.

I długie brązowe nogi w jedwabnych pończochach. Próbował sobie wyobrazić, co zrobiłby teraz Shafer, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Shafer chełpił się, że morduje ludzi w biednych dzielnicach Waszyngtonu, gdzie nikt i tak o nich nie dba. Bayer podejrzewał, że mówił prawdę. Nie na darmo spędził z

nim parę lat w Tajlandii i na Filipinach. Znał najgłębsze, najciemniejsze sekrety Shafera.

Bayer odwiózł atrakcyjną Murzynkę pod jej dom i był zdumiony, kiedy dała mu sześćdziesiąt centów napiwku za czterodolarowy kurs. Wziął pieniądze i podziękował uprzejmie.

–Angielski taksówkarz? – zdziwiła się. – To niezwykle!

Życzę miłego wieczoru.

Jeździł po mieście, aż do drugiej po północy. Chłonał obrazy, bawił się w oszałamiającą grę. Potem musiał się zatrzymać. Dwie dziewczyny łapały taksówkę na rogu. Dzielnica nazywała się Shaw, a sądząc po licznych tablicach informacyjnych, Howard University był gdzieś blisko.

Dziewczęta były szczuplutkie, zgrabne, w butach na wysokich obcasach i ubraniach połyskujących w mroku. Jedna z nich miała minispódniczkę i zamszowe buty do pół uda. Pewnie dziwki – ulubione ofiary Shafera.

Druga prostytutka była nawet ładniejsza i bardziej seksowna od koleżanki, ubrana w obcisłe spodnie sznurowane z boku i maleńką obcisłą bluzeczkę do pępka.

–Dokąd jedziecie? – zapytał Bayer, kiedy podbiegły do taksówki.

–Princeton Place. W Petworth, kotku. A dalej już bez ciebie – powiedziała dziewczyna w minispódniczce. Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się wyzywająco. Bayer parsknął pod nosem. Dał się wciągnąć w zabawę.

Dziewczęta wsiadły i Bayer nie mógł oprzeć się pokusie. Obejrzał je sobie we wstecznym lusterku. Spryciara w minispódniczce zauważyła, że wlepia w nią wzrok. Poczul się jak uczeń – zahipnotyzowany widokiem kobiety, nie mógł odwrócić od niej wzroku.

Niedbałym ruchem pokazała mu środkowy palec. Dalej patrzył.

Nie mógł przestać. Więc tak przeżywa to Shafer Swoją wielką grę.

Nie spuszczał oczu z dziewcząt. Serce łomotało mu w piersi. Minispódniczka miała na sobie gorset sznurowany z przodu, paznokcie pomalowane na kolor mango i kiwi. Za paskiem spódnicy tkwił pager. Nie zdziwiłby się, gdyby w torebce nosiła broń.

Druga dziewczyna uśmiechnęła się do niego nieśmiało. Wydawała się bardziej niewinna. Czy aby na pewno? Naszyjnik z napisem Maleństwo dyndał między młodymi piersiami.

Skoro jechały do Petworth, musiały być w pracy. Niewątpliwie były młode i kute na cztery nogi: szesnaście, najwyżej siedemnaście lat. Bayer widział już jak się z nimi pieprzy i ten obraz całkowicie zawładnął jego wyobraźnią, Wiedział, że powinien być ostrożny. Sytuacja mogła się wymknąć spod kontroli w każdej chwili. Bawił się przecież w grę Shafera, prawda? I był zachwycony.

–Mam dla was propozycję – zwrócił się do Minispódniczki.

–W porządku, kotku – odparła. – Niech będzie setka dla każdej. Plus darmowy przejazd do Petworth. To moja propozycja.

Rozdział 26

Shafer lubił wiedzieć, gdzie podróżują inni gracze, zwłaszcza jeżeli celem ich

podróży był Waszyngton. Zadał sobie wiele trudu, żeby zdobyć dostęp do ich komputerów. Głód kupił ostatnio bilety lotnicze i teraz przebywał w Waszyngtonie. Dlaczego?

Nietrudno było śledzić Georgea Bayera, kiedy już znalazł się w mieście. Shafer nie zatracił jeszcze tej umiejętności; zdobył sporą praktykę podczas pracy w służbach specjalnych.

Był rozczarowany, że Głód postanowił wcielić w życie jego fantazje.

Takie rzeczy zdarzały się w Czterech Jeźdźcach, ale niezwykle rzadko. Gracze powinni uzgodnić to wcześniej. Głód najwyraźniej łamał zasady. Co wiedział albo myślał, że wie?

Potem Bayer naprawdę go zaskoczył. Nie tylko odwiedził kryjówkę, ale wybrał się na przejażdżkę taksówką. Co on, u licha, wyprawiał?

Trochę po drugiej Shafer zobaczył, jak fioletowo – niebieska taksówka zabiera dwie dziewczyny w Shaw. Czyżby Bayer uprawiał plagiat?

Może zastawiał pułapkę na Shafera? A może chodziło o coś innego?

Bayer zawiózł dziewczęta na S Street. Wszedł z nimi na ciemne schody starego budynku z piaskowca i cała trójka zniknęła w środku.

Bayer niósł granatowy płaszcz przerzucony przez prawe ramię i Shafer podejrzewał, że pod spodem ma pistolet. Chryste! Facet wziął obie panienki.

Mógł go zobaczyć każdy na ulicy. Taksówkę zaparkował w najgorszym miejscu, przed samymi drzwiami.

Shafer zaparkował na ulicy. Czekał i obserwował. Niepokoilo go, że znalazł się w tej części Shaw bez przebrania, w dodatku za kierownicą jaguara. Ulica składała się z kilku piaskowców i zabitych deskami ruder o ścianach pokrytych graffiti. Nie było na niej żywego ducha.

Ujrzał jak w oknie na najwyższym piętrze zapala się światło i doszedł do wniosku, że tam właśnie znajduje się Bayer z panienkami. W ich mieszkaniu.

Obserwował budynek prawie do czwartej rano. Nie mógł oderwać oczu.

Czekając, wyobrażał sobie dziesiątki powodów, które przywiodły Głód do Waszyngtonu. Zastanawiał się, czy pozostali też są w mieście. A może Głód działa w pojedynkę? Może właśnie teraz bawi się w Czterech Jeźdźców?

Shafer czekał i czekał, żeby Bayer wyszedł z budynku. Robił się coraz bardziej niecierpliwy, niespokojny i wściekły. Denerwował się. Oddychał z trudem.

Snuł sprosne, paranoiczne fantazje o tym, co Bayer robi na górze.

Zabił te dwie dziewczyny? Zastawiał pułapkę? To wydawało się najbardziej prawdopodobne.

Ani śladu Georgea Bayera.

Shafer nie mógł tego znieść. Wysiadł z jaguara. Stanął na chodniku i wlepił oczy w okna mieszkania. Zastanawiał się, czy on też jest obserwowany.

Wyczuwał zasadzkę, zastanawiał się, czy nie powinien uciec.

Gdzie, u diaska, jest Bayer? Jaką grę toczy Głód? Czy

istnieje tylne wyjście z budynku? Jeżeli tak, dlaczego zostawił taksówkę jako



**dowód rzeczowy? Dowód? Niech go lichy!**

**I wtedy właśnie zobaczył Bayera wychodzącego z bramy. Dawny przyjaciel przeciął szybko S Street, wsiadł do taksówki i odjechał.**

**Shafer postanowił iść na górę. Podbiegł do bramy i odkrył, że drewniane drzwi są otwarte. Wspiął się na strome, kręcone schody. W jednej ręce trzymał zapaloną latarkę, w drugiej pistolet automatyczny.**

**Dotarł na czwarte piętro. Instynkt bezbłędnie podpowiedział mu, które z dwóch mieszkań jest tym właściwym. Na odrapanych drzwiach wisiał plakat Mary J. Blige, z albumu Whats the 411? Było to mieszkanie dziewcząt.**

**Przekręcił gałkę i ostrożnie pchnął drzwi. Wsunął do środka pistolet, gotowy do strzału.**

**Jedna z dziewcząt wyszła z łazienki odziana w puchaty, czarny ręcznik na głowie i nic więcej. Gorąca sztuka o różowych, sterczących cycuszkach.**

**Chryste, Głód musiał za nie zapłacić! Co za głupiec! Co za palant!**

**–Kim pan jest, do ciężkiej cholery?! Co pan tu robi?! – krzyknęła gniewnie dziewczyna.**

**–Jestem Śmiercią – uśmiechnął się od ucha do ucha. – Przyszedłem po ciebie i twoją śliczną przyjaciółkę.**

**Rozdział 27**

**Wróciłem do domu o trzeciej trzydzieści nad ranem. Poszedłem prosto do łóżka, nastawiając budzik na pół do siódmej. Zwlokłem się zanim dzieci wyszły do szkoły.**

**–Ktoś wrócił bardzo, bardzo, bardzo późno! – Jannie zaczęła się droczyć zanim jeszcze pokonałem schody. Wszedłem do kuchni i zastałem wszystkich przy śniadaniu.**

**–Ktoś wygląda tak, jakby położył się późno spać – dodała Nana ze swojego miejsca.**

**–Ktoś aż się prosi o kłopoty – odparłem, żeby ich uciszyć. – Słuchajcie! Chcę wam powiedzieć coś ważnego zanim pójdziecie do szkoły.**

**–Zachowujcie się przyzwoicie. Zawsze uważajcie na lekcjach, nawet jeżeli nauczyciel zanudza. Nie wdawajcie się w szkolne bójki! – wyrecytowała Jannie i puściła do mnie oko.**

**Wzniosłem oczy do nieba.**

**–Chciałem powiedzieć, żebyście byli dzisiaj wyjątkowo mili dla pani Johnson. Widzicie, wczoraj Christine obiecała, że wyjdzie za mnie za mąż.**

**To chyba oznacza, że wyjdzie za nas wszystkich.**

**W jednej chwili kuchnia zmieniła się w dom wariatów. Wszyscy krzyczeli i padali sobie w ramiona. Dzieci rozsmarowały na mnie mleko czekoladowe i tłuszcz z bekonu. Nigdy nie widziałem Nany tak szczęśliwej. Ja czułem się podobnie albo jeszcze lepiej.**

**Poszedłem jednak do pracy tego ranka. Śledztwo w sprawie Johna Doe postępowo naprzód. Wczesnym rankiem we wtorek ustaliłem, że mężczyzna, którego znaleźliśmy na Alabama Avenue, niejaki Franklin Odenkirk, miał trzydzieści**

**cztery lata i był z zawodu analitykiem. Pracował w Bibliotece Kongresu.**

**Nie podałem wiadomości do prasy, ale natychmiast poinformowałem biuro Pittmana. I tak by się dowiedział.**

**Po ustaleniu tożsamości ofiary informacje napływały szybko i, jak zwykle w takich przypadkach, były smutne. Odenkirk był żonaty i miał trójkę małych dzieci. Wracał samolotem z Nowego Jorku, gdzie wygłosił odczyt w Instytucie Rockefellera. Samolot wylądował o czasie i Odenkirk odprawił się około dziesiątej. Co stało się dalej, pozostawało tajemnicą.**

**Przez resztę tygodnia byłem pochłonięty śledztwem. Odwiedziłem Bibliotekę Kongresu i nowy Medison Building na Independence Avenue. Rozmawiałem z tuzinem współpracowników Franka Odenkirka.**

**Byli uprzejmi i chętni do współpracy. Poinformowano mnie wielokrotnie, że Odenkirk, choć nieco wyniosły, był na ogół bardzo lubiany.**

**Nikt nie słyszał, żeby brał narkotyki, nadużywał alkoholu i uprawiał hazard. Był wierny żonie. Nie miał z nikim poważnego zatargu.**

**Pracował w Oddziale Edukacji i Opieki Społecznej i spędzał większość czasu we wspaniałej Czytelni Głównej. Nie istniał żaden oczywisty motyw morderstwa i właśnie tego się obawiałem. Okoliczności pasowały z grubsza do Jane Doe, ale szef detektywów nie chciał o tym słyszeć. Twierdził przecie, że Jane Doe nie istnieje. Dlaczego? Ponieważ nie chciał przerzucić paru tuzinów detektywów do Southeast i wszczać rozległego śledztwa tylko na podstawie mojego przekonania i policyjnego wyczucia.**

**Powiedział kiedyś niby żartem, że Southeast nie jest częścią „jego miasta”.**

**Przed opuszczeniem Medison Building zajrzałem jeszcze do Czytelni Głównej. Została niedawno odnowiona i nie widziałem jej od czasu ukończenia prac remontowych.**

**Usiadłem przy stole i patrzyłem na wspaniałe sklepienie wysoko nad moją głową, na wizerunki pieczęci czterdziestu ośmiu stanów i posągi sławnych ludzi, takich jak: Michał Anioł, Platon, Szekspir, Edward Gibbon i Homer. Mogłem sobie bez trudu wyobrazić biednego Franka Odenkirka pracującego w tej sali, i ten obraz budził niepokój. Dlaczego został zamordowany?**

**Czy było to dzieło Łasicy? Śmierć Odenkirka była wielkim szokiem dla wszystkich, którzy go znali, a kilka osób, rozmawiając ze mną o morderstwie, zdradzało objawy silnego wzruszenia.**

**Nie miałem wielkiej ochoty na przesłuchiwanie pani Odenkirk, ale w piątek po południu pojechałem do Forest Heights. Chris Odenkirk była w domu z matką i teściami, którzy przylecieli z Briarcliff Manor w powiecie Westchester. Powtórzyli tylko to, co usłyszałem w Bibliotece Kongresu.**

**Nikt w rodzinie nie znał nikogo, kto mógłby zabić Franka.**

**Był kochającym ojcem, czułym mężem, troskliwym synem i zięciem.**

**Od jego żony dowiedziałem się, że Odenkirk wyszedł z domu ubrany w zielony garnitur, że spotkania w Nowym Jorku przeciągnęły się i że dotarł do lotniska La Guardia z dwugodzinnym opóźnieniem. Zwykle brał taksówkę z lotniska w**

**Waszyngtonie, ponieważ samoloty lądują z opóźnieniem.**

**Jeszcze przed wizytą w Forest Heights wysłałem dwóch detektywów na lotnisko. Rozmawiali z personelem linii lotniczych, ekspedientami sklepów, bagażowymi, pracownikami dyspozytorni taksówek i taksówkarzami.**

**O szóstej pojechałem do laboratorium, żeby poznać wyniki sekcji.**

**Obejrzałem zdjęcia i rysunki z miejsca zbrodni. Sekcja trwała około dwóch i pół godziny. Każde zagłębienie ciała Franka Odenkirka zostało wytamponowane i wyskrobane, a jego mózg powędrował do słoika.**

**Rozmawiałem z panią doktor podczas autopsji. Nazywała się Angelina Torres i znaliśmy się od lat. Zaczęliśmy pracę mniej więcej w tym samym czasie. Angelina nie miała więcej niż sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu i ważyła czterdzieści pięć kilo w mokrych ciuchach.**

**–Ciężki dzień, Alex? – zapytała. – Wyglądasz okropnie.**

**–Ciężki dzień, Angelino? Wyglądasz pięknie, tyle że nie urosłaś od naszego ostatniego spotkania.**

**Skinęła głową z uśmiechem, po czym założyła szczuplutkie ramiona za głowę. Wydała przeciągły jęk, który mniej więcej oddawał mój stan ducha.**

**–Masz dla mnie jakieś niespodzianki? – zapytałem, kiedy już skończyła z przeciąganiem i pojękiwaniem.**

**Nie spodziewałem się żadnych rewelacji, ale mnie zaskoczyła.**

**–Jedną. Został wykorzystany seksualnie po śmierci. Nasz zabójca działa na obie strony, Alex.**

## **Rozdział 28**

**Jadąc do domu tego wieczoru, odczułem potrzebę oderwania się choć na chwilę od śledztwa. Pomyślałem o Christine i od razu zrobiło mi się lżej na duszy.**

**Wyłączyłem nawet pager. Nie życzyłem sobie, żeby mnie niepokojono przez jakieś dziesięć, piętnaście minut.**

**Chociaż nie wspominała o tym ostatnio, nadal uważała, że moja praca jest zbyt niebezpieczna. Problem polegał na tym, że miała absolutną rację.**

**Martwiłem się, że zostawię Damona i Jannie samych na świecie. Teraz doszła jeszcze Christine. Jadąc znajomymi ulicami Southeast zastanawiałem się, czy jestem w stanie rzucić pracę w policji. Często myślałem o tym, żeby wrócić do prywatnej praktyki jako psycholog, ale nigdy nie podjąłem w tym kierunku żadnych kroków. Najprawdopodobniej nie miałem na to ochoty.**

**Kiedy około siódmej trzydzieści dotarłem do domu, Nana siedziała na frontowej werandzie. Wyglądała jak chmura gradowa, miała wyraz twarzy, który znałem aż za dobrze. Nadal potrafi sprawić, że czuję się jak dziewięciolatek, dla którego ona jest najwyższym autorytetem.**

**–Gdzie dzieci? – zawołałem, ledwo stanąłem na chodniku. Połamany Batman i smoczy latawiec nadal tkwiły w koronie drzewa na podwórku i odczułem irytację, że nie zdjąłem ich stamtąd przed kilkoma tygodniami.**

**–Zagoniłam ich do zmywania naczyń – powiedziała Nana.**

**–Przykro mi, że nie zdążyłem na obiad.**

–Powiedz to swoim dzieciom – burknęła marszcząc gniewnie czoło.

Miała w sobie akurat tyle subtelności, co huragan. – Powiedz im to od razu.

Twój przyjaciel Sampson dzwonił dopiero co. A zaraz po nim zadzwonił twój ziomek, Jerome Thurman. Zdarzyły się kolejne morderstwa, Alex. Użyłam liczby mnogiej, podkreślam na wypadek, gdyby uszło to twojej uwagi.

Sampson czeka na ciebie na miejscu zbrodni, jak wy to nazywacie. Dwa ciała w Shaw, w pobliżu Howard University, jakby już nie było gdzie. Kolejne dwie czarne dziewczyny. To się nigdy nie skończy, prawda?

To się nigdy nie kończy w Southeast.

Nie, to się nigdy nie kończy.

Rozdział 29

Stary, podupadły dom z piaskowca stał w gorszej części S Street w Shaw.

Jest to dzielnica uboższej klasy średniej, pełna studentów i młodej inteligencji. Ostatnimi czasy prostytutka stała się tam prawdziwym problemem. Sampson ustalił, że dwie zamordowane dziewczyny uprawiały ten zawód i chociaż zdarzało się, że pracowały na miejscu, zwykle zarzucały sieci w Petworth.

Na miejscu zbrodni stał wóz patrolowy i furgonetka. U wejścia do budynku tkwił umundurowany policjant, sądząc z postawy – gotów strzec go z narażeniem życia. Był młody, o dziecięcej twarzyczce i gładkiej, brzoskwiniowej cerze. Nie znałem go, wyciągnąłem więc legitymację.

–Detektyw Cross... – mruknął. Wyczułem; że już o mnie słyszał.

–Co już wiemy? – zapytałem, zanim rozpocząłem wspinaczkę na wysokie czwarte piętro. – Jakież ustalenia?

–Dwie dziewczyny na górze. Najwyraźniej prostytutki. Jedna z nich tu mieszkała. Zgłoszenie anonimowe. Może od sąsiada, a może alfonsa.

Mają po szesnaście, siedemnaście lat, może nawet mniej.

Wielka szkoda!

Nie należało się im.

Skinąłem głową, wziąłem głęboki oddech i szybko pokonałem

strome, skrzypiące schody. Śledztwo w sprawie śmierci prostytutki jest zawsze trudne, zastanawiałem się, czy Łasica o tym wie. prostytutka w Petworth załatwia przeciętnie tuzin klientów, a to oznacza, że na jej ciele pozostaje mnóstwo prawie nieczytelnych śladów.

Mieszkanie 4A stało otworem. Była to kawalerka z jednym dużym pokojem, wnęką kuchenną i łazienką. Między dwoma tapczanami leżał puchaty biały dywan.

Sampson tkwił na czworakach przy jednym z tapczanów. Wyglądał jak napastnik N.B.A, szukający na parkiecie swoich szkieł kontaktowych.

Wszedłem do pokoju, który pachniał kadzidłem, brzoskwiniowym odświeżaczem do powietrza i tłustym jedzeniem. Czerwono – żółty kartonik McDonalda z frytkami leżał na kanapie.

Na krzesłach piętrzyły się brudne ubrania: szorty z dżinsu, szorty z bawełny, krótkie bluzeczki. Buteleczki lakieru i zmywaczy do paznokci wały się na podłodze

razem z kłębkami waty. Pokój wypełniała ciężka woń perfum.

Obszedłem tapczan, żeby spojrzeć na ofiary. Dwie bardzo młode kobiety, obie nagie od pasa w dół. Łasica tu był – czułem to.

Dziewczęta leżały jedna na drugiej, w pozycji kochanków.

Wyglądało to tak, jakby uprawiały seks na podłodze.

Jedna ubrana była w granatową bluzeczkę do pasa, druga w czarny peniuar. Obie nadal miały na nogach wiązane sandaalki, bardzo dzisiaj modne.

Jane Doe były zwykle nagie, ale w przeciwieństwie do innych ofiar, te dwie dziewczyny mogliśmy zidentyfikować bez większego trudu.

–Brak dokumentów – powiedział Sampson nie podnosząc nawet głowy znad podłogi.

–Jedna z nich wynajmowała to mieszkanie – zauważyłem.

Skinął głową.

–I płaciła gotówką, jak wszyscy w tej branży.

Sampson miał na rękach gumowe rękawiczki. W swoich poszukiwaniach zbliżał się coraz bardziej do denatek.

–Zabójca pracował w rękawiczkach – powiedział, nadal nie patrząc na mnie. – Ani śladu odcisków palców. Tak twierdzi technik po pierwszych oględzinach. Obie zostały zastrzelone, Alex. Strzałem w czoło.

Nadal rozglądałem się po pokoju, zbierając informacje, pozwalając by obraz miejsca zbrodni zapadł mi w pamięć. Zauważyłem tacę z zestawem do pielęgnacji włosów: lakier, pianki, żel do modelowania, kilka peruk. Na jednej z nich tkwiła zielona wojskowa czapka z naszywkami, powszechnie zwana w wojsku „cipką”, z tej racji, że – zdaniem żołnierzy – łatwiej poderwać na nią dziewczyny, zwłaszcza na Południu. Był tam również pager.

Dziewczęta były młode i ładne. Miały chude długie nogi, drobne, kościste stopy, srebrne obrączki na dużych palcach, jakby pochodziły z tego samego sklepu. Ich ubranie tworzyło maleńką, niepozorną kupkę na zakrwawionej podłodze z desek.

W kącie pokoju zgromadzono pamiątki z krótkiego dzieciństwa. Była tam gra Lotto, pluszowy niebieski miś, który wyglądał na tyleż lat, co dziewczęta, laleczka Barbie, korkowa tablica.

–Spójrz tutaj, Alex. To się robi coraz bardziej niesamowite.

Naszej Łasicy zaczyna naprawdę odbijać.

Pochyliłem się z westchnieniem, żeby obejrzeć znalezisko Sampsona.

Drobniejsza i chyba młodsza z dziewcząt leżała na górze, jej koleżanka pod nią, na plecach. Jej szkliste brązowe oczy spoglądały na zepsuty halogenek na suficie z takim wyrazem, jakby ujrzęły tam coś przerażającego.

Jej koleżanka została upozowana z głową – a raczej językiem – przytkniętym do jej krocza.

–Morderca brzydko się z nimi bawił, kiedy już były martwe – powiedział Sampson.

– Ułożył jedną na drugiej. Uniósł jej głowę. Alex, widzisz to?

Widziałem. Zupełnie nowy element u Jane Doe, przynajmniej dla mnie.

Zastanawiałem się, co morderca chciał nam w ten sposób powiedzieć. Dziewczyna leżąca na wierzchu była połączona z tą pod spodem – językiem. Sampson westchnął.

–Myślę, że w jakiś sposób przytwierdził ten język. Jestem tego prawie pewny, Alex. Łasica je zszyl.

Popatrzyłem na dwie dziewczyny i potrząsnąłem głową.

–Nie wydaje mi się. Gdyby je zszyl, nawet chirurgicznie, szwy na języku puściłyby do tego czasu... Ale nie klej Kropelka.

### Rozdział 30

Morderca działał coraz szybciej, więc i ja musiałem zrobić to samo.

Zamordowane dziewczyny niedługo pozostawały Jane Doe. Miałem ich nazwiska jeszcze przed wiadomościami o dwudziestej drugiej.

Zignorowałem wyraźne rozkazy szefa i nadal prowadziłem śledztwo.

Wczesnym rankiem spotkaliśmy się z Sampsonem w liceum Stamford, do którego uczęszczały Tori Glover i Marion Cardinal. Pierwsza miała siedemnaście, druga czternaście lat.

Obraz z miejsca zbrodni utkwiał mi w pamięci, wywołując mdłości, które nie ustępowały całymi godzinami. Christine ma rację – myślałem.

Rzuć to, chłopie, zabierz się za coś innego. Już czas!

Dyrektorką Stamford była Robin Schwartz, niska, drobna

kobieta o rudych włosach. Wychowawca klasy, Nathan Kemp, zebrał uczniów, którzy znali ofiary i oddał do naszej dyspozycji dwa pokoje. Jerome Thurman prowadził przesłuchanie w jednym, Sampson i ja w drugim.

Szkoła letnia była w pełnym toku i Stamford przypominało dom towarowy w sobotnie popołudnie. W drodze do klas minęliśmy kafeterię, zapakowaną po brzegi mimo wczesnej godziny. Ani jednego wolnego miejsca.

Salę wypełniała woń smażonych frytek, ten sam ciężki zapach, który panował w mieszkaniu dziewcząt.

Kilka osób zachowywało się hałaśliwie, ale na ogół młodzież była spokojna. Ze słuchawek sączyła się muzyka Wu Tang i Jodeci. Szkoła sprawiała wrażenie zdyscyplinowanej i dobrze prowadzonej. W przerwach zakochani przytulali się czule, spleceni małymi palcami, delikatnie ocierając się policzkami.

–To nie były złe dziewczęta – powiedział nam Nathan Kemp. – Pewnie już wiecie, że Tori rzuciła szkołę w zeszłym semestrze. Powodem były kłopoty rodzinne. Marion była celującą uczennicą.

Mówię wam, panowie, to nie były złe dziewczęta.

Sampson, Thurman i ja spędziliśmy resztę popołudnia na rozmowach z młodzieżą. Dowiedzieliśmy się, że wszyscy w szkole lubili Tori i Marion.

Lojalne wobec przyjaciół, zabawne, dobre kumpelki. Marion była nawet wystrzałowa, co znaczyło, że naprawdę błyszczała. Tori czasem odbijało, była lekko zbikowana. Większość uczniów nie wiedziała o ubocznym zajęciu dziewcząt w Petworkh, wszyscy jednak przyznawali, że Tori Glover nigdy nie narzekała na brak pieniędzy.

Szczególnie jedno przesłuchanie utkwiło mi w pamięci. Evita Cardinal była czwartoklasistką i kuzynką Marion. Miała na sobie trykotowe białe spodnie i czerwoną bluzkę. Żółtawe okulary przeciwsłoneczne w czarnej oprawce zatknęła na czubku głowy.

Rozplakała się, gdy usiadła naprzeciwko mnie, po drugiej stronie nauczycielskiego biurka.

– Jest mi naprawdę przykro z powodu Marion – powiedziałem i była to szczerą prawdą. – Chcemy schwytać człowieka, który to zrobił.

Detektyw Sampson i ja mieszkamy w Southeast. Moje dzieci chodzą do Sojourner Truth School.

Dziewczyna popatrzyła na mnie. Oczy miała zaczerwienione od płaczu, czujne.

– Nikogo nie schwytaacie – powiedziała w końcu. Tak uważała większość mieszkańców dzielnicy i w zasadzie miała rację. Przecież mnie i Sampsona nie powinno tu nawet być. Powiedziałem mojej sekretarce, że jadę rozpracowywać morderstwo Franka Odenkirka. W rzeczywistości robili to za nas inni detektywi.

– Od jak dawna Tori i Marion pracowały w Petworth? Wiesz, ile jeszcze dziewcząt ze szkoły tam jeździ?

Evita potrząsnęła głową.

– Tori pracowała na ulicy, fakt, ale nie Marion. Marion była porządną dziewczyną. Obie były porządne. Marion była moim małym kociątkiem - powiedziała Evita i łzy popłynęły nowym strumieniem.

– Marion była w Petworth z Tori. Rozmawialiśmy z ludźmi, którzy widzieli ją w Princeton Place tej nocy.

Kuzynka Marion rzuciła mi wrogie spojrzenie.

– Coś się panu pomyliło, panie detektywie. Nie zna pan prawdy.

– Więc słucham, Evito. Jestem tutaj, żeby poznać tę prawdę.

– Marion nie poszła tam, żeby się sprzedać. Poszła tam, bo się bała o Tori, chciała ją chronić. Nigdy nie zrobiła nic złego dla pieniędzy, wiem o tym.

Dziewczyna zaczęła znowu szlochać.

– Moja kuzynka była dobrą dziewczyną, moją najlepszą przyjaciółką.

Chciała tylko chronić Tori i za to ją zabili. Policja nic nie robi. Już tu nie wrócicie. Zawsze tak jest. Nic was nie obchodzimy. Jesteśmy dla was nikim – powiedziała Evita Cardinal i w tych słowach zawarła wszystko.

Rozdział 31

Jesteśmy dla was nikim. To przerażające i absolutnie prawdziwe stwierdzenie sięgało głęboko, aż do korzeni śledztwa w sprawie Jane Doe i pogoni za Łasicą. Demaskowało cyniczną filozofię Georgea Pittmana o mieście w mieście. Było również powodem tego, że już o szóstej trzydzięci wieczorem byłem otępiały ze zmęczenia. Uświadomiłem sobie, że morderstwa Jane Doe zataczają coraz szerszy krąg.

W ostatnich dniach prawie nie widywałem dzieci, postanowiłem więc pojechać do

domu. Po drodze pomyślałem o Christine i natychmiast się uspokoiłem. Od czasu, gdy byłem nastolatkiem miewam pewne widzenie.

Stoję sam na zimnej, nagiej planecie. Jest mi okropnie, ale przede wszystkim czuję się samotny i zagubiony. Wtem podchodzi do mnie kobieta.

Bierzemy się za ręce, obejmujemy i nagle wszystko wydaje się w porządku. Tą kobietą jest Christine, a ja nie mam pojęcia, jakim cudem przedostała się z moich marzeń do rzeczywistego świata.

Nana, Damon i Jannie właśnie wychodzili z domu, kiedy skręciłem na podjazd. A to co? – zdumiałem się.

Gdziekolwiek się wybierali, musiała to być specjalna okazja, byli bowiem wystrojeni i wyglądali odświętnie. Nana i Jannie założyły najlepsze sukienki, a Damon miał na sobie granatowy garnitur, białą koszulę i krawat.

Prawie nigdy nie zakłada stroju, który nazywa małym albo pogrzebowym garniturem.

–Gdzie wy się wybieracie? – zapytałem, gramoląc się ze starego porsche. – Chyba nie wyprowadzacie się ode mnie?

–Nic takiego! – powiedział Damon, dziwnie wymijająco.

Umykał wzrokiem na boki.

–Damon dostał się do Waszyngtońskiego Chóru Chłopięcego! – obwieściła Jannie z dumą. – Nie chciał ci nic mówić, dopóki to nie będzie pewne. No, ale udało się. Damon jest teraz chórzystą.

Brat szturchnął ją w ramię. Nie za mocno, ale wystarczająco, by okazać swoje niezadowolenie.

–Hej! – zawołała Jannie i uniosła ramiona niby rasowy bokser, jakim się staje pod moim czujnym okiem.

Wkroczyłem między nich jak profesjonalny sędzia ringowy, jak Mills Lane, który obsługuje wielkie walki zawodowców.

–Żadnych meczów poza ringiem. Znacnie zasady. A teraz powiedzcie, o co chodzi z tym chórem?

–Damon startował w eliminacjach do Chóru Chłopięcego i został przyjęty – powiedziała Nana i popatrzyła promiennym wzrokiem na Damona. – Zrobił to zupełnie sam.

–Więc będziesz śpiewał w chórze! – uśmiechnąłem się do syna równie promiennie jak Nana. – O rany!

–Mógłby śpiewać w Boyz Two Men, tatusiu. Albo nawet w Boyz Two Boyz. Jest gładki jak aksamit, a jego głos jest jak źródłana woda.

–Czy tak, Sister Soul? – zwróciłem się do mojej dziewczynki.

–Absolutnie! – droczyła się dalej Jannie, klepiąc Damona po plecach.

Było widać, że jest z niego niesłychanie dumna. Była jego największym fanem, choć on jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy. Pewnego dnia to zrozumie.

Damon nie mógł ukryć radosnego uśmiechu, ale szybko go powściągnął.

–To nic wielkiego.

–Tysiące chłopców próbowało – powiedziała Jannie. – To jest



coś wielkiego, coś największego w twoim krótkim życiu, braciszku.

–Setki – poprawił ją Damon. – Setki chłopców startowało.

Chyba miałem szczęście.

–Setki tysięcy! – zawołała Jannie i odskoczyła, zanim brat zdążył ją trzepnąć, na co czasem w pełni zasługuje. – A szczęście masz od urodzenia.

–Mogę pójść z wami na próbę? – zapytałem. – Będę grzeczny.

Będę siedział cicho. Nikomu nie przyniosę wielkiego wstydu.

–Jeżeli masz czas. – Nana wyrzuciła prawy sierpowy. Jej nie musiałem uczyć boksu. – Nie wiem, czy twój rozkład zajęć na to pozwala. Jeżeli tak, chodź z nami., – Jasne, tato – powiedział Damon w końcu.

Więc poszedłem z nimi.

## Rozdział 32

Z radością szedłem ulicami do Sojourner Truth School z Naną i dziećmi. Miałem na sobie codzienne ubranie, a oni byli wystrojeni, ale nie miało to znaczenia. Nogi niosły mnie same. Ująłem Nanę pod ramię, a ona uśmiechnęła się, kiedy przytuliłem jej dłoń.

–Tak już lepiej. Jak za dawnych czasów – wykrzyknąłem.

–Czasem wychodzi z ciebie bezwstydnny czaruś – powiedziała

Nana i roześmiała się w głos. – Potrafiłeś oczarować człowieka już wtedy, gdy byłeś w wieku Damona. Nadal umiesz to robić, bez dwóch zdań!

–Pamiętaj, że w dużej mierze jestem twoim dziełem.

–I jestem z tego dumna, Alex. I jestem taka dumna z Damona.

Dotarliśmy do Sojourner Truth School i przeszliśmy wprost do małego audytorium na tyłach budynku. Rozglądałem się za Christine, ale nigdzie nie było jej widać. Potem zacząłem się zastanawiać, czy już wie o Damonie i Chórze Chłopcym, czyjej pierwszej powiedział. Chciałem, żeby tak było.

Chciałem, żeby byli sobie bliscy. Wiedziałem, że Damon i Jannie potrzebują matki, nie tylko ojca i prababki.

–Nie jesteśmy jeszcze zbyt dobrzy – poinformował mnie Damon, zanim dołączył do grupy chórzystów. Jego twarz wyrażała niepokój i lęk przed upokorzeniem. – To dopiero nasza druga próba. Pan Dayne mówi, że jesteśmy straszni. Jest ostry jak brzytwa, tato. Każe nam godzinę stać prosto bez ruchu.

–Pan Dayne jest ostrzejszy niż ty, tato, ostrzejszy niż pani Johnson -powiedziała Jannie, i uśmiechnęła się szelmowsko. – Ostry jak brzytwa.

Słyszałem już, że Nathaniel Dayne, przydomek Wielki Dayne, jest wymagającym maestro i że jego chóry należą do najlepszych w kraju, oraz że obcowanie z mistrzem i jego metody pracy wychodzą chłopcom na dobre.

Już ustawiał chórzystów na scenie. Był bardzo krępy mężczyzną wzrostu niższego niż przeciętny. Nosił czarny garnitur i czarną koszulę z zapiętym kołnierzykiem, bez krawata. Rozpoczął próbę od kilku radosnych taktów Tree Blind Mice, które według mnie brzmiały bardzo dobrze.

–Tak się cieszę przez wzgląd na Damona. Jest taki dumny – wyszeptałem do Nany i Jannie. – Przystojny z niego gość.

–Pan Dayne organizuje chór dziewczęcy jesienią – poinformowała mnie Jannie scenicznym szeptem. – Zobaczysz, mnie też się uda.

–Na pewno! – Nana uściskała Jannie. Była specjalistką od zachęcania.

Nagle rozległ się głos Daynea.

–Uff! Słyszę dysonans. Nie chcę tu żadnych dysonansów, dżentelmeni.

Chcę tu pięknej dykcji i bezbłędnych dźwięków. Chcę srebra i jedwabiu.

Kącikiem oka dostrzegłem Christine w korytarzu. Patrzyła na Daynea i chłopców, a potem odwróciła wzrok ku mnie. Przez chwilę jej twarz była zawodowo poważna, potem uśmiechnęła się i puściła do mnie oko.

Podszedłem do niej. Spokojnie, moje serce!

–Tam jest mój chłopak – powiedziałem, nadymając się z dumy.

Christine miała na sobie miękkie szare spodnium i bluzkę w koralowym odcieniu. Byłem szczęśliwy, że jestem z nią, patrzę na nią, stoję tuż obok. Po prostu jestem.

Christine uśmiechnęła się. Właściwie to zaśmiała się cichutko, trochę ze mnie.

–Jest cholernie dobry we wszystkim, za co się weźmie. Miałam nadzieję, że tu będziesz, Alex – wyszeptała. – Stałam tu i skręcałam się z tęsknoty. Znasz to uczucie?

–Tak, to uczucie i ja jesteśmy dobrymi znajomymi.

Trzymaliśmy się za ręce, podczas gdy chór ćwiczył Bacha.

Wszystko dobrze się układało, aż trudno było w to uwierzyć.

–Czasem... Czasem śni mi się, że George został postrzelony i umiera – powiedziała, kiedy tak staliśmy obok siebie. Mąż Christine został zamordowany w ich domu, a ona patrzyła, jak umiera. Był to jeden z wielu powodów, dla których bała się ze mną związać: bała się, że pewnego dnia ja też zginę podczas pełnienia obowiązków służbowych, bała się, że i ja sprowadzę terror i przemoc do domu.

–Pamiętam każdy szczegół tego popołudnia, kiedy dowiedziałem się, że Maria została zastrzelona. Ból słabnie z czasem, ale nigdy nie mija.

Christine dobrze o tym wiedziała. Znalazła odpowiedzi na większość pytań, jakie sobie stawiała, ale lubiła wszystko dokładnie omówić.

Pod tym względem byliśmy do siebie podobni.

–A jednak nadal pracuję tutaj, w Southeast. Przyjeżdżam tu dzień w dzień. Mogłabym objąć posadę w jakiejś milej szkole w Maryland albo w Wirginii – powiedziała.

Skinąłem głową.

–Tak, Christine, wybrałaś pracę tutaj.

–Tak jak ty.

–Tak jak ja.

Zacisnęła leciutko palce wokół mojej dłoni.

–Zdaje się, że zostaliśmy dla siebie stworzeni – powiedziała. – Po co z tym walczyć?

Rozdział 33

Rankiem następnego dnia byłem z powrotem w swoim pokoju na posterunku

**Okręgu Siódmego i pracowałem nad zabójstwem Johna Doe.**

**Przyszedłem do pracy jako pierwszy.**

**Nikt nie zauważył, jak Frank Odenkirk opuszczał lotnisko.**

**Nie udało się odnaleźć jego ubrań. Zgodnie z orzeczeniem patologa został zgwałcony po śmierci. Tak jak się spodziewałem, nie wykryto śladów spermy. Zabójca użył prezerwatywy. Jak przy Jane Doe.**

**Komisarz zaangażował się osobiście w sprawę Odenkirka i naciskał na wydział, doprowadzając wszystkich do szału. Pittman zdawał się być zainteresowany wyłącznie tą sprawą. Miał już podejrzanego w sprawie o morderstwo niemieckiego turysty, reszta go nie obchodziła.**

**Około jedenastej podszedł do mojego biurka Rakeem Powell.**

**Pochylił się i wyszeptał:**

**–Natrafiłem chyba na coś interesującego, Alex. Na dole, w więzieniu, jeżeli masz chwilę. To może być przełom w sprawie tych dwóch dziewczyn z Shaw.**

**Do więzienia schodziło się stromymi betonowymi schodami, mijając pokoje przesłuchań, areszt i rejestrację. Na ścianach i sufitach więźniowie wryli swoje ksywki albo podpisali się palcami uwalanymi w atramencie do zdejmowania odcisków. Szczyt głupoty z ich strony; dostarczali nam w ten sposób cennych informacji.**

**Więzienie jest celowo niedoświetlone. W każdej celi o wymiarach dwa metry na półtora znajduje się żelazne łóżko i toaleta – sedes. W korytarzu przed kilkoma celami leżały adidas, pozostawione przez doświadczonych więźniów, którzy woleli nie pozbywać się sznurowadeł. Sznurowadła są niedozwolone w więziennych celach ze względów bezpieczeństwa.**

**Drobny handlarz narkotyków i kieszonkowiec Alfred Spryciarz Streek siedział rozparty niby książę udzielnym w pokoju przesłuchań. Podniósł na mnie wzrok, kiedy wszedłem. Przytulny uśmiešek przemknął po jego wargach.**

**Spryciarz nosił okulary słoneczne, zakurzone dreadlocki i jaskrawozielony kapelusz z włóczki. Na białym T – shircie widniała twarz Haile Selassie i napis: Łowca Głów. Rastafarianin.**

**–Jesteś z biura prokuratora okręgowego? Nie wydaje mi się.**

**Nie ma umowy, nie ma gadania, człowieku.**

**Rakeem zignorował jego wypowiedź i zwrócił się do mnie.**

**–Spryciarz twierdzi, że ma cenne informacje w sprawie morderstwa Glover i Cardinal. Chciałby, żebyśmy wyświadczyli mu pewną przysługę w zamian za ujawnienie tego, co wie. Przymknęli go pod zarzutem włamania w Shaw. Złapali go, gdy wychodził przez okno mieszkania z telewizorem Sony w ramionach. Średnio sprytnie, powiedziałbym.**

**–Nie obrobiłem żadnej chaty. Nawet nie oglądam telewizji, człowieku.**

**I nie widzę tu żadnego zastępcy prokuratora, co by pójść na ugodę.**

**–Zdejmij okulary – powiedziałem.**

**Nie spojrzał na mnie, więc sam zdjąłem mu szkła. Oczy miał**

**tępe jak to się mówi w kręgach ulicznych. Wystarczyło jedno spojrzenie:**

Spryciarz już nie tylko sprzedawał, ale i brał prochy. Stałem naprzeciwko Spryciarza w więziennej celi i lustrowałem go wzrokiem. Dwudziestoparo-latek, gniewny, cyniczny, zagubiony w czasie i przestrzeni.

–Skoro nie obrobiłeś tego mieszkania, nie rozumiem po co ci prawnik z biura prokuratora okręgowego? To bez sensu, Alfred. Powiem ci teraz, co mogę zrobić dla ciebie i radzę słuchać uważnie, bo jest to jednorazowa propozycja. Jeżeli stąd wyjdę, już nie wrócę.

Streek słuchał mnie jednym uchem.

–Jeżeli podasz nam informacje, które w bezpośredni sposób przyczynią się do rozwiązania sprawy, pomogę ci przy oskarżeniu o włamanie. Sam pójde do prokuratora. Jeżeli nie podasz mi tych informacji, zostawię cię tutaj z detektywem Powellem i detektywem Thurmanem. Nie złożę ci tej oferty po raz drugi. To ci gwarantuję, a detektywi wiedzą, że zawsze dotrzymuję słowa.

Streek nadal nie reagował. Teraz on próbował lustrować wzrokiem mnie, ale jestem w tym lepszy niż przeciętny złodziej telewizorów.

W końcu rzuciłem spojrzenie Powellowi i Thurmanowi.

–Dobra. Panowie, musimy wycisnąć z niego wszystko, co wie o tych zamordowanych dziewczynach w Shaw. Kiedy z nim skończycie, nic od nas nie dostanie. Możliwe, że sam jest zamieszany w tę zbrodnię. Mógłby nawet być naszym mordercą. Musimy rozwiązać tę sprawę szybko. Traktujcie go jako głównego podejrzanego.

Wychodziłem już, kiedy Streek przemówił.

–Tylne Drzwi, człowieku. Kręci się w okolicy Downing Park.

Możliwe, że Tylne Drzwi wie, kto załatwił te dziewczyny. Tak mi powiedział.

Powiedział, że widział mordercę. Więc jak mi pomożecie?

Byłem już w drzwiach celi.

–Znasz umowę, Alfred. Rozwiążemy sprawę, twoje informacje nam w tym pomogą, my pomożemy tobie.

Rozdział 34

Czułem, że jesteśmy blisko. Dwa radiowozy i dwa nie oznakowane sedany zatrzymały się przed wejściem na maleńki plac gier w Shaw.

Rakeem Powell i Sampson pojechali ze mną w odwiedziny do Joe Tylne Drzwi Bookera, miejscowego zabijaki.

Znałem Tylne Drzwi z widzenia i umiejscowiłem go natychmiast. Był niski, brodaty i tak dobry w kosza, że czasem grywał w pomarańczowych buciorach robotnika budowlanego, żeby się popisać. Miał je na nogach dzisiaj. Do tego wyblakłą czarną kurtkę z nylonu i czarne nylonowe spodnie, wiązane w kostce.

Na pełnowymiarowym boisku toczył się właśnie mecz koszykówki, szybki, znakomity mecz na poziomie między ligą amatorską a zawodową. Boisko nie mogłoby być bardziej prymitywne – czarny makadam, spłowiałe białe linie, metalowe tablice i kosze bez siatki.

Zawodnicy dwóch czy trzech drużyn siedzieli z boku, czekając na swoją kolej, by

zagrać ze zwycięzcą. W strojach dominowały nylonowe szorty i obuwie Nike. Boisko, zwane klatką, otaczała z czterech stron gruba, drucziana siatka. Kiedy przyjechaliśmy, wszyscy odwrócili ku nam głowy, łącznie z Bookerem.

–My następni! – krzyknął Sampson.

Gracze wymienili spojrzenia, kilka osób popatrzyło z

uśmiechem na jedno rzędowy garnitur Sampsona. Wiedzieli, kim jesteśmy. Piłka pozostała w grze.

Bywało, że drużyna Bookera utrzymywała się na boisku przez całe popołudnie:

Zmieniał poprawczaki i więzienia od czasu, gdy skończył czternaście lat, ale potrafił grać w kosza. W tej chwili szydził z zawodnika, który wszedł na boisko w spodniach od garnituru i z gołym torsem.

–Palant! – powiedział Tylne Drzwi. – Ściągaj te niedzielne portki.

Ogram cię w kosza, tenisa, kręgle, we wszystko – ofiaro!

Rakeem Powell dmuchnął w srebrny gwizdek sędziego, który

zawsze nosi przy sobie. W wolnych chwilach pracuje jako sędzia piłkarski.

Gwizdek jest nietypowy, ale zwraca uwagę w hałaśliwych miejscach. Mecz został przerwany.

Podeszliśmy w trójkę do Bookera, który stał na linii rzutów osobistych.

Sampson i ja górowaliśmy nad nim wzrostem, podobnie jak większość graczy. To nie miało znaczenia, i tak był najlepszy. Prawdopodobnie pokonałby Sampsona i mnie, nawet gdybyśmy grali dwóch na jednego.

–Och, zostawcie naszego brata w spokoju. Nic nie zrobił! – pożalił się basem jeden z wyższych graczy. Na plecach i ramionach miał więzienne tatuaże. – Był tu i grał w kosza, człowieku.

–Drzwi był tutaj przez cały dzień – powiedział ktoś z widzów. – Drzwi jest tu od wielu dni. Nie przegrał meczu od tygodnia!

Buchnął śmiech.

Sampson zwrócił się do najpotężniejszego mężczyzny na boisku.

–Zamknij jadaczkę! I przestań kozłować, kiedy do ciebie mówię. Dwie młode siostry zostały zamordowane. Dlatego tu jesteśmy. Dla nas to nie zabawa.

Zawodnik umilkł i chwycił piłkę. Na boisku zapadła dziwna cisza. Słysząc było szybkie uderzenia skakanki o betonowy chodnik. Trzy dziewczynki bawiące się tuż obok boiska śpiewały:

Mała panna Pinky w niebieskiej sukience, umarła wczoraj w swojej wanience. Piosenka dziwnie pasowała do realiów.

Otoczyłem Bookera ramieniem i odprowadziłem na bok.

–Booker – ciągnął Sampson – to się odbędzie tak szybko i przyjemnie, że będziesz pękał z kumplami ze śmiechu, zanim jeszcze zdążymy dojść do samochodów.

I – Aha, już to widzę! – mruknął Booker, starając się zachować spokój.

–Jestem poważny jak atak serca, stary. Widziałeś coś, co pomoże nam znaleźć mordercę Tori Glover i Marion Cardinal. Proste jak drut.

Powiesz nam to, a my sobie stąd natychmiast pójdziemy.

Booker patrzył na Sampsona, mrużąc oczy, jakby spoglądał w słońce.

–Gówno widziałem. Jest tak, jak powiedział Luki, nie schodzę z boiska od kilku dni. Te palanty nie są w stanie odebrać mi piłki.

Uniosłem rękę i niemal przytknąłem otwartą dłoń do jego spłaszczonej, okrągłej twarzy.

–Mierzą mi czas stoperem, Booker, więc nie przerywaj. Obiecuję ci, dwie minuty i już nas tu nie ma. Co z tego będziesz miał? Po pierwsze, pójdziemy sobie i spokojnie dokończycie mecz. Po drugie, detektywi Powell i Sampson zachowają cię we wdzięcznej pamięci i będą ci winni rewanż. Po trzecie, sto dolców od razu za fatygę. Zegarek tyka – powiedziałem. – Cyk, cyk, cyk. Łatwe pieniądze.

Booker skinął w końcu głową i wyciągnął rękę.

–Widziałem, jak te dwie dziewczyny złapały klienta. Około drugiej, trzeciej nad ranem, na E Street. Nie widziałem kierowcy, żadnej twarzy, ani w ogóle nic z tych rzeczy. Za ciemno, człowieku. Ale gość prowadził taksówkę. Fioletowo – niebieską albo coś podobnego. Dziewczyny wsiadły do tyłu i odjechały.

–I to wszystko? – zapytałem. – Nie chciałbym tu wracać.

Znowu przerywać wam mecz.

Booker zastanowił się nad tym, co powiedziałem.

–Taksówkarz był biały. Trzymał rękę wystawioną za okno. Jak żyję nie widziałem, żeby biały facet jeździł na nocnej zmianie w Shaw. Skinąłem głową, czekałem jeszcze chwilę, a potem uśmiechnąłem się do graczy na boisku.

–Kontynuujcie, panowie!

Byli naprawdę dobrzy.

## Rozdział 35

Zdobyta informacja dała nam punkt zaczepienia. Odwaliliśmy kawał niewdzięcznej roboty i nareszcie doczekaliśmy się jakichś rezultatów.

Mieliśmy kolor taksówki, która zabrała dziewczęta mniej więcej w czasie, gdy zostało popełnione morderstwo. Kolor skóry kierowcy był najlepszym tropem, jaki udało się nam zdobyć.

Zamiast na posterunek pojechaliśmy z Sampsonem do mnie do domu. Łatwiej nam było pracować z Fifth Street. W ciągu pięciu minut zdobyłem nowe informacje od znajomego w przedsiębiorstwie taksówkowym. Żadna firma działająca obecnie na terenie Waszyngtonu nie używa fioletowoniebieskich samochodów. A więc poszukiwany przez nas taksówkarz pracuje na dziko, tak jak podejrzewał Booker. Dowiedziałem się też, że firma Vanity Cabs używała kiedyś fioletowo – niebieskich wozów, ale splajtowała w 1995 roku. Znajomy powiedział mi również, że z pół tuzina takich taksówek jeździ nadal po mieście. Pierwotnie firma dysponowała piętnastoma pojazdami. To nie było wiele, nawet gdyby wszystkie były jeszcze na chodzie.

Sampson obdzwonił przedsiębiorstwa taksówkowe regularnie obsługujące Southeast, ze szczególnym uwzględnieniem Shaw. Tylko trzech białych kierowców

wyjechało na miasto tej nocy.

Pracowaliśmy w kuchni. Sampson tkwił przy telefonie, ja przed komputerem. Nana podała nam dzbanek świeżej kawy, owoce i połówkę ciasta z dynią.

Rakeem Powell zadzwonił około czwartej piętnaście. Ja odebrałem.

–Alex, szpicel Pittmana węszy tu jak oszalały. Fred Cook chce wiedzieć nad czym pracujecie z Sampsonem. Jerome powiedział mu, że nad morderstwem Odenkirka.

Skinąłem głową.

–Jeżeli morderstwa w Southeast są w jakiś sposób ze sobą powiązane, to powiedział prawdę.

–Jeszcze jedno – powiedział Rakeem, zanim się rozłączył. – Sprawdziłem w drogówce. Chyba coś dla nas mają. Policja spisała wczoraj w nocy fioletową taksówkę za przejechanie znaku stopu w Eckington, niedaleko uniwersytetu, Second Street. Może tam trzeba szukać naszego milusińskiego.

Klasnąłem w dłonie i pogratulowałem Rakeemowi. Długie godziny pracy nad sprawami Jane Doe w końcu zaczęły przynosić efekty.

Może byliśmy bliscy ujęcia Łasicy?

Rozdział 36

Ostatnio był dużo ostrożniejszy. Wizyta Georgea Bayera – Głodu -w Waszyngtonie była ostrzeżeniem, wstrząsem elektrycznym i Shafer potraktował to poważnie. Inni gracze mogli być równie niebezpieczni.

To oni nauczyli go zabijać, nie odwrotnie. Nie wolno mu nie doceniać Głodu, Zdobywcy i Wojny, zwłaszcza jeżeli chce wygrać grę.

Następnego dnia po wizycie Głodu, pozostali poinformowali go, że Bayer przyjechał do Waszyngtonu, aby go obserwować. Shafer potraktował to jako drugie ostrzeżenie. Jego działalność przeraziła ich, teraz odpłacają mu tym samym. To również było częścią gry.

Tego wieczoru, po pracy pojechał do kryjówki w Eckington. Z pół tuzina policjantów przeczesywało ulicę.

Natychmiast pomyślał o Jeźdźcach. Wydali go, mimo wszystko.

A może bawili się z nim w kotka i myszkę? Co robiły tu gliny?

Zaparkował jaguara kilka przecznic dalej i ruszył pieszo w stronę kryjówki i garażu. Musiał sprawdzić, co się dzieje. Ubrany był w garnitur w prążki, białą koszulę i krawat. Wiedział, że wygląda dostatecznie szacownie.

W rękę niósł skórzaną aktówkę i wyglądał jak biznesmen wracający z pracy do domu.

Na Uhland Terrace dwaj afroamerykańscy policjanci chodzili od bramy do bramy wpytując o coś miejscowych. To był zły znak – policja znajdowała się zaledwie pięć przecznic od kryjówki.

Czego szukali? Myśli kotłowały mu się w głowie, adrenalina szumiała w żyłach. Może to nie o niego chodziło, ale należało zachować ostrożność.

Podjeżdżał innych graczy, zwłaszcza Georgea Bayera. Ale dlaczego? Czy w ten sposób planowali zakończyć grę, wydając go w ręce policji?

Kiedy dwaj policjanci zniknęli za rogiem uliczki odchodzącej od Uhland, Shafer

postanowił wstąpić do budynku, z którego wyszli. Ryzykował trochę, ale musiał wiedzieć, co się dzieje. W bramie siedzieli dwaj starzy mężczyźni. Staroświeckie radio nadawało transmisję z meczu baseballu.

–Pytali panów o jakieś kłopoty w sąsiedztwie? – zapytał Shafer, siląc się na zdawkowy ton. – Zatrzymali mnie na ulicy.

Jeden z mężczyzn tylko popatrzył na niego ze śmiertelnym znużeniem, ale drugi skinął głową.

–A jakże! Pytali o taksówkę, fioletowo – niebieską.

Powiedzieli, że w związku z morderstwem. Ostatnio już się takich nie widuje. Kiedyś było takie przedsiębiorstwo, nazywało się Vanity. Pamiętasz, Earle?

Mieli takie fioletowe cudaki.

–Kawał czasu temu – przytaknął drugi mężczyzna. – Poszli z torbami.

–Ci dwaj byli chyba ze stołecznej. Ale nie pokazali żadnej legitymacji – powiedział Shafer i wzruszył ramionami. Mówił z amerykańskim akcentem, co przychodziło mu bez trudu.

–Detektywi Cross i Sampson – odparł bardziej gadatliwy z mężczyzn. – Detektyw Cross pokazał mi odznakę. Była na pewno prawdziwa.

–Och, z pewnością – powiedział Shafer. – Dobrze widzieć policję w okolicy.

–Co racja, to racja.

–Miłego dnia!

–A wzajemnie!

Shafer dotarł okrężną drogą do samochodu i pojechał do ambasady. Zamknął się w swoim gabinecie, gdzie czuł się bezpiecznie i pewnie.

Uspokoił nerwy, potem włączył komputer i poszukał danych o detektywach.

Znalazł więcej, niż się spodziewał, zwłaszcza o Crossie.

Rozmyślał o tym, w jaki sposób nowa okoliczność zmieni zasady gry.

Następnie przesłał wiadomość pozostałym Jeźdźcom. Doniósł im o Crossie i Sampsonie, dodając, że detektywi postanowili dołączyć do gry. Miał już wobec nich pewne plany.

## Rozdział 37

Zachary Scott Taylor jest wnikliwym, analitycznym i bardzo ciekawskim reporterem „Washington Post”. Szanuję go jak cholera.

Prezentuje większy cynizm i sceptycyzm, niż jestem w stanie przełknąć. Gdyby nie to, bylibyśmy bliskimi przyjaciółmi. A tak, pozostajemy jedynie dobrymi znajomymi.

Ufam mu jednak bardziej niż większości dziennikarzy.

Spotkałem go tego wieczoru w Irish Times na F Street, w

poblizu Union Station. Restauracja mieści się w zabytkowym budynku, otoczonym przez nowoczesne konstrukcje biurowe. Zachary opisał ją jako obskurną barową kloakę, idealne miejsce na spotkanie.

W uświęconej przez czas tradycji Waszyngtonu bywałem jednym z zaufanych



źródeł Zacharego i teraz też zamierzałem powiedzieć mu coś ważnego. Miałem nadzieję, że się zgodzi i przekona redaktorów „Post” do mojej historii.

–Jak miewa się panicz Damon i panienska Jannie? – zapytał Zachary, siadając naprzeciwko mnie w ciemnym kącie, pod starym zdjęciem srogiego jegomościa w czarnym cylindrze. Zachary jest wysoki, chudy i trochę przypomina mężczyznę z fotografii. Mówi zbyt szybko, polykając słowa, z lekkim wirgińskim akcentem.

Kelnerka podeszła w końcu do naszego stolika. Zamówił czarną kawę. Zrobiłem to samo.

–Dwie kawy? – zapytała kelnerka, jakby chciała się upewnić, czy dobrze słyszy.

–Dwie najlepsze czarne kawy, na jakie was stać – powiedział Zachary.

–To nie Starbucks, wie pan – odparła.

Uśmiechnąłem się z riposty kelnerki i z tego, co powiedział

Zachary na powitanie. Kiedyś musiałem wymienić imiona dzieci, a on miał encyklopedyczną pamięć.

–Powinieneś zmajstrować sobie kilkoro dzieciaków, Zachary – powiedziałem z szerokim uśmiechem.

Rzucił okiem na staroświecki wiatrak, który wyglądał, jakby lada chwila miał odfrunąć z sufitu. Wspaniała metafora współczesnego życia w Ameryce, stara infrastruktura, grożąca tym, że wymknie się spod kontroli.

–Nie mam nawet żony, Alex. Ciągle szukam właściwej kobiety.

–No więc dobrze. Znajdź sobie najpierw żonę, a potem załatw dzieciaki. To ci dobrze zrobi na nerwicę.

Kelnerka postawiła przed nami kubki z parującą kawą.

–Coś jeszcze? – zapytała. Pokręciła głową i odeszła.

–Może nie chcę, żeby coś utemperowało moje wybitnie

neurotyczne zachowania. Może w moim przekonaniu to one czynią ze mnie takiego cholernie dobrego reportera, bez nich zaś moja praca byłaby przyziemnym gównem. Wtedy stałbym się niczym w oczach Don Grahama i spółki.

Sączyłem wczorajszą albo przedwczorajszą kawę.

–Gdybyś miał dzieci, nie byłbyś już nikim.

Zachary przymrużył jedno oko i przygryzł dolną wargę. Miał bardzo ożywioną mimikę, zwłaszcza gdy myślał.

–Z tym że dzieci nie kochałyby mnie, a może nawet nie bardzo lubiły.

–Uważasz, że nie potrafisz wzbudzić miłości? Wręcz przeciwnie, Zachary! Zaufaj mi. Dzieci będą cię uwielbiały jak cholera, a ty będziesz uwielbiał swoje dzieci. Załóżcie towarzystwo wzajemnej adoracji.

Roześmiał się w końcu i głośno uderzył w dłonie. Sporo się śmiejemy, kiedy jesteśmy razem.

–Więc wyjdiesz za mnie i urodzisz mi dzieci? – Uśmiechnął się do mnie ponad obłoczkiem pary z kubka. – Dobrze miejsce na oświadczyń, w tym barze roi się od podrywaczy. Przychodzą tu pracownicy Urzędu Statystyki Pracy i Drukarni Państwowej w nadziei, że zaciągną do łóżka personel Kennedyego albo Glenna.

–To najlepsza propozycja, jaką dzisiaj otrzymałem.

Właściwie, kto z nas zwołał dzisiejsze zebranie? I dlaczego siedzimy w tej spelunie i pijemy paskudną kawę?

Taylor siorbnął z kubka.

–Jest dość mocna, prawda? Za to powinniśmy być wdzięczni.

Co się dzieje, Alex?

–Jesteś zainteresowany drugim Pulitzerem? – zapytałem.

Udawał, że zastanawia się nad odpowiedzią, ale oczy mu rozbłysły.

–Może. Widzisz, potrzebuję drugiej statuetki, żeby zrównoważyła pierwszą na gzymsie kominka. Powiedziała mi to kobieta, z którą się umawiałem. Potem nigdy jej już nie widziałem. Nawiasem mówiąc, pracowała u Gingricha.

Przez następne czterdzieści pięć minut wyjaśniałem Zacharemu, co się dzieje. Opowiedziałem mu o stu czternastu nie rozwiązanych morderstwach w Southeast i części Northeast D. C. Opisałem rażące różnice między sposobem prowadzenia dochodzeń w sprawie śmierci Franka Odenkirka i niemieckiego turysty w Georgetown a dwóch czarnych nastolatk, Tori Glover i Marion Cardinal. Opowiedziałem o szefie detektywów, o jego preferencjach i zasadach, jakimi się kieruje. Przyznałem się nawet do żywej antypatii wobec Pittmana, a Zachary wie, że niewiele jest osób spoza grona notorycznych morderców, o których wyrażam się niechętnie.

Kręcił głową w prawo i w lewo, w prawo i w lewo i nie skończył kręcić, kiedy umilkłem.

–Nie, żebym wątpił w to, co mówisz, ale masz jakieś dowody?

–zapytał.

–Zawsze czepiasz się szczegółów. Dziennikarze są strasznymi pedantami, kiedy się nad tym zastanowić.

Sięgnąłem pod stół i wyjąłem dwie grube papierowe teczki.

Oczy Zacharego rozbłysły.

–To powinno pomóc. Kopie sześćdziesięciu siedmiu raportów nie rozwiązanych spraw. W tym kopia raportu ze śledztwa Glover i Cardinal. Zwróć uwagę na liczbę detektywów oddelegowanych do każdego z nich. Sprawdź liczbę godzin. Zauważysz duże dysproporcje. To wszystko, co udało mi się zdobyć, ale jest tego więcej.

–Co jest przyczyną takich rażących zaniedbań? – zapytał Zachary.

Pokiwałem głową nad mądrością tego pytania.

–Odpowiedź zabrzmiała cynicznie, uprzedzam. Niektórzy

gliniarze ze stołecznej nazywają Southeast samoczyszczącym się piekarnikiem. Część morderstw w Southeast jest opatrzona kryptonimem BOWL – brak ofiar w ludziach. Tym ostatnim powiedzonkiem posługuje się Pittman.

Zachary przejrzał pobieżnie papiery, potem potrząsnął moją dłonią.

–Idę do domu, do mojego pustego mieszkania i do mojej jedynej pociechy – samotnego Pulitzera. Mam te wszystkie fascynujące akta policyjne do przeczytania, a potem, miejmy nadzieję, przerażające expose do napisania. Zobaczymy. Dzięki za

przyjęcie, Alex! Było świetne, jak zawsze. Pozdrów Damona, Jannie i Nanę. Chciałbym ich kiedyś poznać. Dopasować twarze do imion.

–Przyjdź na następne przedstawienie Waszyngtońskiego Chóru Chłopięcego – powiedziałem. – Wszystkie nasze twarze tam będą. Damon jest chórzystą.

### Rozdział 38

Pracowałem tego dnia do ósmej trzydzieści wieczorem, a potem pojechałem do Kinkeads w Foggy Bottom na spotkanie z Christine.

Kinkeads jest jedną z naszych ulubionych restauracji, a także doskonałym miejscem, by posłuchać jazzu i trochę się do siebie poprzytulać.

Siedziałem przy barze i aż do przyjścia Christine pławiłem się w muzyce Hiltona Feltona i Ephraina Woolfolca. Moja dziewczyna przyjechała prosto z jakiejś szkolnej imprezy, ale i tak była punktualnie. Z reguły nie pozwala sobie na spóźnienia i lekceważenie innych. Jest doskonała niemal pod każdym względem, przynajmniej w moich oczach.

Tak, zostanę twoją żoną.

–Jesteś głodna? Chcesz przejść od razu do stolika? – zapytałem.

Przywitaliśmy się jak ludzie, którzy nie widzieli się wiele lat, rozdzieleni tysiącami mil.

–Posiedźmy chwilę przy barze. Nie masz nic przeciwko temu? – zapytała. Jej oddech pachniał lekko miętą, twarz była tak gładka i miękka, że po prostu musiałem ująć ją w dłonie.

–O niczym innym nie marzę – odparłem.

Christine zamówiła Harveys Bristol Cream, a ja kufel piwa.

Rozmawialiśmy, podczas gdy muzyka zdawała się nas spowijać, przenikać na wskroś.

Miałem za sobą ciężki dzień i taka terapia była mi bardzo potrzebna.

–Czekałem na to cały długi dzień. Czy znów staję się zanadto staromodny i romantyczny? – zapytałem z uśmiechem.

–Nie dla mnie. Nigdy za bardzo staromodny, nigdy za bardzo romantyczny. To niemożliwe, Alex. – Christine odwzajemniła uśmiech.

Uwielbiałem ją taką. W jej oczach tańczyły iskierki radości. Czasem zatracam się w jej oczach, tonę w nich i znajduję wszystko to, za czym ludzie tęsknią, a tak rzadko dostają w dzisiejszych zdegenerowanych czasach.

Patrzyła mi w oczy, gdy koniuszkami palców pieściłem jej policzek.

Rozległy się pierwsze tony Stardust. Jest to mój ulubiony utwór, nawet w normalnych okolicznościach. Przemknęło mi przez myśl, że Hilton i Ephrain zagrali ją dla nas, a kiedy zerknąłem w stronę sceny, Hilton mrugnął nieznacznie.

Christine przytuliła się do mnie i tańczyliśmy w miejscu. Czulem bicie jej serca tuż przy swoim. Trwaliśmy tak dziesięć, piętnaście minut.

Nikt w barze zdawał się tego nie zauważać, nikt nam nie przeszkadzał, nie proponował uzupełnienia szklanek, nie prosił do stolika. Chyba rozumieli.

–Naprawdę lubię to miejsce – szepnęła Christine. – Ale wiesz co?

**Wolałabym być dzisiaj w domu. Zrobię ci jajka, cokolwiek zechcesz.**

**Nie masz nic przeciwko temu?**

**–Absolutnie nic. To doskonały pomysł. Chodźmy.**

**Zapłaciłem za drinki, odwołałem rezerwację stolika. Potem pojechaliśmy do Christine.**

**–Zaczniemy od deseru – powiedziała i uśmiechnęła się szelmowsko. To też w niej kocham.**

**Rozdział 39**

**Długo czekałem, żeby się znów zakochać, ale warto było. Chwyliłem Christine w ramiona, jak tylko przekroczyliśmy próg jej domu.**

**Wędrowałem dłońmi po jej plecach, biodrach i ramionach, muskałem piersi i delikatnie zarysowane kości policzkowe. Lubiliśmy robić to wolno, bez zbędnego pośpiechu. Ucałowałem jej wargi, potem przyciągnąłem ją bliżej i jeszcze bliżej.**

**–Masz takie łagodne dotknięcie – wyszeptała z wargami na moim policzku. – Mogłabym to robić całą noc. Po prostu tak stać przy tobie:**

**Chcesz wina? Może byś coś zjadł? Przygotuję ci.**

**–Kocham cię – powiedziałem, z czułością gładząc jej plecy.**

**–Będziemy to robić całą noc. W to nie wątpię.**

**–Tak bardzo cię kocham. – Usłyszałem, jak wciąga powietrze.**

**–Więc proszę, bądź ostrożny, Alex. W pracy.**

**–Będę ostrożny. Ale nie dzisiaj – powiedziałem.**

**Uśmiechnęła się.**

**–Nie dzisiaj. Dzisiaj pożyjemy niebezpiecznie. Oboje. Jak na gliniarza jesteś szalenie przystojny i dobroduszny.**

**Wziąłem ją na ręce i zaniósłem do sypialni.**

**–I do tego taki silny! – powiedziała. Zgasiła w przelocie lampę w korytarzu. W półmroku widziałem tylko zarysy mebli.**

**–Co powiesz na jakąś wycieczkę? – zapytałem. – Muszę się stąd wyrwać.**

**–Cudowny pomysł. Tak, zanim rozpocznie się szkoła.**

**Dokądkolwiek. Zabierz mnie, dokąd chcesz.**

**Jej pokój pachniał świeżymi kwiatami. Na nocnym stoliku stały różowe i czerwone róże. Christine przepadała za kwiatami i ogrodnictwem.**

**–Zaplanowałaś to wszystko, przyznaj się! Zaplanowałaś!**

**Zostałem tu zwabiony podstępem. Ty spryciaro!**

**–Myślałam o tym przez cały dzień – wyznała i westchnęła z zadowoleniem. – Przez cały dzień myślałam o tym, żeby być z tobą, w gabinecie, na korytarzach, na boisku szkolnym, a potem w samochodzie, w drodze do restauracji. Przez cały dzień miałam erotyczne wizje z tobą w roli głównej.**

**–Mam nadzieję, że im sprostam.**

**–Nie wątpię.**

**Jednym płynnym ruchem zdjęłem z niej czarną jedwabną bluzkę.**

**Przytuliłem usta do jej piersi, całując je przez koronkę stanika. Miała na sobie zamszową spódnicę i nie zdjęłem jej, tylko wolno podsunąłem do góry.**

Uklęknąłem i ucałowałem kostki Christine, stopy, potem powędrowałem wargami w górę długich nóg. Pieściła mój kark, plecy i ramiona.

–Naprawdę jesteś dzisiaj niebezpieczny. To mi dobrze robi.

–Terapia przez dotyk.

–Tak, proszę. Jestem chora wszędzie, doktorze.

Wbiła mi paznokcie w ramiona i jeszcze mocniej w kark. Oboje dyszeliśmy. Przyklęła przy mnie i rozchyliła dla mnie nogi.

Poruszałem się w jej wnętrzu; była niewiarygodnie ciepła. Sprężyny łóżka zaczęły śpiewać, drewniana rama uderzała rytmicznie o ścianę.

Christine odgarnęła włosy na jedną stronę, za ucho. Kocham ten gest.

–Jak dobrze. Och, Alex, nie przestawaj, nie przestawaj – wyszeptała.

Zastosowałem się do jej życzenia, radując się każdą chwilą, każdym wspólnym ruchem i przez chwilę zastanawiałem się nawet, czy nie zrobiliśmy dziecka.

#### Rozdział 40

Był już późny wieczór, kiedy usmażyliśmy jajka z cebulką, cheddarem i mozzarellą i otworzyliśmy butelkę Pinot Noir. Potem napaliłem w kominku. W sierpniu, przy rozkręconej klimatyzacji.

Siedzieliśmy przed kominkiem, śmialiśmy się i planowali krótki wypad z Waszyngtonu. Zgodziliśmy się na Bermudy i Christine zapytała, czy możemy zabrać ze sobą Nanę i dzieci. Czułem, że moje życie zmienia się w błyskawicznym tempie, zmienia się na dobre. Gdybym jeszcze mógł złapać Łasicę. Byłoby to wspaniałe zakończenie mojej kariery w stołecznej policji.

Wróciłem na Fifth Street bardzo późno, tuż przed trzecią. Nie chciałem, żeby Damon i Jannie wstali rano i nie zastali mnie w domu. O ósmej byłem już na nogach i zbiegałem ze schodów zwabiony cudowną wonią kawy i słynnych na całą okolicę bułeczek Nany.

Straszna dwójka była już gotowa do wyjścia do Sojourner Truth School, gdzie uczęszczali na poranne lekcje dla zaawansowanych.

Wyglądali jak para aniołków bez skazy. Nieczęsto odnoszę to wrażenie, postanowiłem więc wykorzystać je w pełni.

–Jak tam wczorajsza randka, tatusiu? – zapytała Jannie, spoglądając na mnie niewinnie oczami wielkimi jak spodki.

–Kto powiedział, że miałem wczoraj randkę? – Zrobiłem jej miejsce na swoim kolanie. Ugryzła słodką bułeczkę, którą Nana położyła na moim talerzu.

–Powiedzmy, że malutki ptaszek – zaćwierkała.

–Aha! I ten malutki ptaszek upiekł również te słodkie bułeczki?

Randka była niezła. A twoja? Miałaś randkę, prawda? Nie siedziałaś w domu sama?

–Twoja randka była niezła!?! A wróciłeś do domu razem z mleczarzem! – Jannie zaśmiała się w głos. Damon zachichotał. Jannie potrafi nas rozśmieszyć, kiedy tylko zechce. Zawsze tak było.

–Jannie Cross! – powiedziała Nana, ale odpuściła. Nie było sensu zmuszać

**Jannie, żeby zachowywała się jak typowa siedmiolatka. Była na to zbyt inteligentna, wygadana, pełna życia i humoru. Poza tym nasza rodzina wyznaje zasadę: śmieję się, pożyjesz dłużej!**

**–Dlaczego najpierw nie zamieszkacie razem? – zapytała Jannie. – Wszyscy tak robią w telewizji i na filmach.**

**Stwierdziłem, że jednocześnie śmieję się i marszczę gniewnie czoło.**

**–Nie zaczynaj mi tu opowiadać, co robią w telewizji i głupich filmach, młoda damo! Nie wychodzi im to na dobre. Christine i ja wkrótce się pobierzemy i dopiero wtedy będziemy mieszkać razem.**

**–Oświadczyłeś się? – wykrzyknęli chórem.**

**–Oświadczyłem.**

**–I ona się zgodziła?**

**–Dlaczego jesteście tacy zdumieni? Oczywiście, że się zgodziła. Kto mógłby oprzeć się pokusie stania się częścią tej rodziny?**

**–Hurrra! – wiwatowała Jannie. Czułem, że robi to z głębi swego małego serduszka.**

**–Hurrra! – zawtórowała jej Nana. – Dzięki Bogu! Dzięki Bogu!**

**–Zgadzam się – pisnął Damon. – Najwyższy czas, żeby życie znormalniało.**

**Przez kilka minut przyjmowałem gratulacje, aż w końcu Jannie powiedziała, że musi iść do szkoły.**

**–Nie chciałabym się spóźnić i uczynić pani Johnson zawód, zwłaszcza teraz, prawda? Tu masz poranną gazetę.**

**Jannie wręczyła mi „Washington Post” i serce skoczyło mi w piersiach.**

**To był naprawdę dobry dzień. Ujrzałem artykuł Zacharego Taylora w prawym dolnym rogu pierwszej strony. Nie zrobiono z niego czołówki, jak na to zasługiwał, ale Zacharemu udało się wcisnąć go na pierwszą stronę.**

**PRZYPUSZCZALNY SKANDAL W ZWIĄZKU Z NIE ROZWIĄZANYMI**

# MORDERSTWAMI W SOUTHEAST D.

## C.

### CZY POLICJA KIERUJE SIĘ UPRZEDZENIAMI RASOWYMI?

–Przypuszczalny skandal w rzeczy samej – powiedziała Nana pocierając brodę. – Jak to w przypadku ludobójstwa.

#### Rozdział 41

Vkroczyłem na posterunek tuż po ósmej i asystent Pittmana już na mnie czekał. Stary Fred Cook był kiedyś złym detektywem, teraz jest równie złym administratorem, spełnia za to wszystkie wymagania wydziałowego lizusa i wazeliniarza.

–Szef chce cię widzieć w swoim gabinecie, natychmiast! To ważne -powiedział Fred. – Lepiej się pośpiesz.

Skinąłem głową i spróbowałem ocalić swój dobry humor.

–Oczywiście, że to ważne. On jest szefem detektywów. Jakieś wskazówki, Fred? Wiesz o co chodzi, czego się można spodziewać?

–Sam zobaczysz – odparł Cook uszczęśliwiony faktem, że jest taki nieużyty. – Nie mogę nic powiedzieć, Alex.

Zniknął, pozostawiając mnie w niepewności. Czuję jak żółć podchodzi mi do gardła. Dobry nastrój prysnął.

Szedłem korytarzami do gabinetu szefa, wsłuchując się w poskrzypywanie desek pod stopami. Byłem przygotowany na wszystko, ale widok, jaki ujrzałem, zupełnie mnie zaskoczył.

Przypomniałem sobie, co Damon powiedział rano: Najwyższy czas, żeby życie znormalniało.

Sampson siedział w gabinecie szefa w towarzystwie Rakeema Powella i Jeromea Thurmana.

–Proszę do nas, doktorze Cross. – Pittman przywoływał mnie wyciągniętą dłonią. – Proszę, proszę. Czekaliśmy na pana.

–Co jest? – zapytałem Sampsona szeptem, przysuwając sobie krzesło.

–Nie wiem jeszcze, ale nie wygląda to dobrze. Jefe nie odezwał się ani słowem. Wyglądał przy tym jak kanarek, który zjadł kota.

Pittman wyszedł zza biurka i oparł się o nie tłustymi pośladkami.

Tego ranka wyglądał na jeszcze większego cymbała niż zwykle.

Myszowate włosy były przylepione do czaszki i przypominały hełm.

–Mogę odpowiedzieć na pańskie pytanie, detektywie Cross – powiedział. – Czekałem nawet na pana, żeby to zrobić. Z dniem dzisiejszym detektywi Sampson, Thurman i Powell zostają zawieszeni w obowiązkach służbowych. Pracowali nad sprawami będącymi poza kompetencjami wydziału.

Dochodzenie w tej sprawie oraz innych, jakie mogły się stać ich udziałem, jest jeszcze w toku.

Zacząłem coś mówić, ale Sampson chwycił mnie mocno za ramię.

–Spokojnie, Alex!

Pittman spojrzał na trójkę detektywów.

–Detektywi Sampson, Thurman, Powell jesteście wolni. Wasz przedstawiciel związkowy został poinformowany o sprawie. W przypadku wątpliwości i zastrzeżeń proszę zwracać się do niego.

Sampson zacisnął wargi i nie przemówił słowa. Wstał i opuścił gabinet.

Thurman i Powell poszli za nim. Oni również nie odezwali się do Pittmana.

Byli to wzorowi, oddani pracy detektywi i nie mogłem patrzeć spokojnie na taką niesprawiedliwość.

Zastanawiałem się, dlaczego Jefe mnie oszczędził. I dlaczego nie ma tutaj Shawna Moorea. Znając Pittmana podejrzewałem, że chce nas w ten sposób skłócić, wpoić w nas przekonanie, że Shawn zdradził.

Pittman sięgnął za siebie po „Washington Post” leżący na biurku.

–Widział pan może dzisiejszy artykuł? W dolnym prawym rogu?

Podał mi gazetę tak, że musiałem ją złapać w powietrzu, żeby nie upadła na podłogę.

–Skandal w związku z nie rozwiązanymi morderstwami w Southeast.

Tak, czytałem.

–Jasne, że pan czytał! Pan Taylor powołuje się na wiarygodne źródło w wydziale policji. Ma pan coś wspólnego z tym artykułem? –

Pittman utkwiał we mnie ciężkie spojrzenie.

–Dlaczego miałbym pójść z tym do „Washington Post”? – odpowiedziałem pytaniem. – Powiadomiłem pana o problemach w Southeast.

Jestem przekonany, że grasuje tam seryjny morderca. Dlaczego miałbym informować kogoś jeszcze? Zawieszenie tych detektywów z pewnością nie przyczyni się do rozwiązania problemu. Zwłaszcza jeżeli ten psychol wpadnie w szal zabijania, czego, moim zdaniem, jest bliski.

–Nie kupuję tej historii o seryjnym. Nie widzę żadnego wspólnego mianownika między morderstwami. Nikt nie widzi, z wyjątkiem pana. – Pittman trząsał głową. Był rozeźlony, wściekły, ale starał się nad sobą panować.

Znowu wyciągnął ku mnie rękę. Palce miał jak surowe kielbaski. Zniżył głos niemal do szeptu.

–Mam ochotę ci dopiec i zrobię to. Ale na razie odebranie ci sprawy Odenkirka nie byłoby korzystne. To by nie wyglądało dobrze i podejrzewam, że informacja o tym trafiłaby do „Posta”. Czekam na dzienne raporty w sprawie o kryptonimie Jane Doe. Czas, żebyś zaczął rozwiązywać te sto czternaście morderstw. Od tej chwili podlegasz bezpośrednio mnie.

Nie popuszczę ci, Cross. Jakies pytania?

Wyszedłem szybko z biura szefa Pittmana. Jeszcze chwila i dałbym mu w gębę.

Rozdział 42

Kiedy wyszedłem od Jefa, Sampson, Thurman i Rakeem Powell opuścili już budynek, Czułem, że zaraz wybuchnę. Omal nie zawróciłem do gabinetu Pittmana i nie użyłem go jako szmaty do podłogi.

Usiadłem za biurkiem i myślałem o tym, jak postąpić, próbowałem się uspokoić,



zanim zrobię coś głupiego i pochopnego. Przypomniałem sobie o swoich obowiązkach wobec mieszkańców Southeast i to mi pomogło.

Nadal jednak miałem ochotę pogruchotać Pittmanowi kości.

Zadzwoiłem do Christine i trochę się uspokoilem. Potem, pod wpływem chwili, zapytałem, czy może się wyrwać na długi weekend już w czwartek. Christine powiedziała, że to się da zrobić, Poszedłem do kadr, wypełniłem wniosek urlopowy i zostawiłem na biurku Freda Cooka. Tego najmniej spodziewałby się po mnie Pittman i jego asystent. Uznałem, że najlepiej będzie wyjechać, uspokoić się i dopiero potem opracować plan.

Wychodziłem już z budynku, kiedy zatrzymał mnie znajomy detektyw.

–Są w barze U Harta – powiedział. – Sampson prosił, żeby ci powtórzyć, że trzymają dla ciebie miejsce.

Pub U Harta, trochę spelunkowaty i bardzo popularny, mieści się na Second Street, Nie jest to lokal policyjny i dlatego tak go lubimy. Chociaż była dopiero jedenasta rano, w zatłoczonym barze panowała ożywiona, przyjazna atmosfera.

–Jest! – Jerome Thurman zasalutował mi kuflem z resztką piwa.

Otaczało go z pół tuzina znajomych. Wieści o zawieszeniach rozchodzą się szybko.

Bar rozbrzmiewał śmiechem i nawoływaniem.

–To twój wieczór kawalerski! – Sampson uśmiechał się od ucha do ucha, – Mamy cię, kotku! Z małą pomocą Nany. Szkoda, że nie widzisz swojej gęby!

Przez następne półtorej godziny do Harta napływali koledzy i przyjaciele. W południe, kiedy dołączyli stali bywalcy, pub pękał w szwach.

Właściciel, Mike Hart, płał się w chwale. Nie pomyślałem dotąd o urządzeniu wieczoru kawalerskiego, ale teraz, kiedy był już w toku, nie miałem nic przeciwko takiemu obrotowi sprawy, Mężczyźni z reguły starają się panować nad emocjami, ale nie na takiej imprezie jak wieczór kawalerski, zwłaszcza kiedy przygotowali go ludzie bliscy.

Mój wieczór kawalerski był udany. Nieprzyjemności poranka poszły w zapomnienie na parę godzin. Zostałem obściskany, a nawet wycalowany tysiące razy. Wszyscy, za przykładem Sampsona, mówili do mnie: kotku.

Słowo miłość było używane i nadużywane. Wysłuchałem dziesiątek sentymentalnych przemówień, które w owym momencie wydawały się szalenie dowcipne.

Wszyscy byliśmy na niezłej bani.

O czwartej po południu, podtrzymując się wzajemnie, wyszliśmy z Sampsonem w jaskrawe światło dnia. Mike Hart osobiście przywołał dla nas taksówkę.

Na jedną krótką, trzeźwą chwilę przypomniałem sobie o fioletowo – niebieskiej taryfie, której szukaliśmy, ale myśl rozmyła się niemal natychmiast w oślepiającym świetle dnia.

–Kotku! – wyszeptał mi Sampson w skroń, kiedy gramoliliśmy się do wozu. –

**Kocham cię nad życie. To prawda. Kocham twoje dzieci, kocham twoją Nanę, kocham twoją przyszłą żonę, uroczą Christine. Do domu! – rzucił w stronę kierowcy. – Alex się żeni.**

**–A on jest moim pierwszym drużbą – wyjaśniłem uśmiechniętemu kierowcy.**

**–Zgadza się – odparł Sampson. – Jestem pierwszy.**

### **Rozdział 43**

**W czwartkową noc Shafer znów grał w Czterech Jeźdźców. Zamknął się w bibliotece, ale przez pierwszych kilka godzin dobiegały go odgłosy życia rodzinnego. Potem, kiedy ucichły, ogarnęło go uczucie oderwania od reszty świata, całkowitej izolacji. Był zdenerwowany, rozdrażniony i zły bez konkretnego powodu.**

**Czekając na połączenie z resztą graczy, wspominał dziki rajd waszyngtońskimi ulicami. Odtwarzał w myślach zwłaszcza jedno przeżycie: wyobraził sobie nagle zderzenie z jakąś nieruchomą konstrukcją. Zobaczył je jako oślepiające światło. Przedmioty i on sam rozprysły się niby szkło, a potem stały się na powrót częścią kosmosu. Nawet ból, który czuł, stał się formą przekształcenia w inne fascynujące kształty i materię.**

**Mam skłonności samobójcze – pomyślał. Samobójstwo to tylko kwestia czasu. Ja naprawdę jestem Śmiercią.**

**Z wybiciem godziny dziewiątej wystukał wiadomość na komputerze.**

**Pozostali Jeźdźcy już czekali, ciekawi jego reakcji na wizytę i ostrzeżenie Georgea Bayera. Nie chciał ich rozczarować. To, co zrobili, zwiększyło tylko jego zainteresowanie grą.**

**Napisał: ŚMIERĆ NIE BYŁ ZASKOCZONY WIZYTĄ GŁODA W WASZYNGTONIE. OCZYWIŚCIE MIAŁ PEŁNE PRAWO PRZYJECHAĆ! TAK JAK ŚMIERĆ MA. PRAWO PRZYJECHAĆ DO LONDYNU, SINGAPURU, MANILI CZY KINGSTON. I BYĆ MOŻE ŚMIERĆ NAPRAWDĘ, ZŁOŻY WKRÓTCE WIZYTĘ KTÓREMUŚ Z WAS.**

**NA TYM POLEGA PIĘKNO TEJ GRY – WSZYSTKO MOŻE SIĘ ZDARZYĆ.**

**U JEJ PODSTAW LEŻY PRZECIEŻ ZAUFANIE, PRAWDA? CZY**

**UFAM, ŻE POZWOLICIE MI DALEJ PROWADZIĆ GRĘ TAK, JAK TEGO**

**SOBIE ŻYCZĘ? TO WŁAŚNIE SPRAWIA, ŻE JEST ONA TAK WYJĄTKOWA I**

**KUSZĄCA: WOLNOŚĆ, JAKIEJ DOŚWIADCZAMY.**

**PRZEKSZTAŁCIŁA SIĘ W COŚ NOWEGO. PODNIEŚLIŚMY STAWKĘ.**

**WIĘC ZABAWMY SIĘ NAPRAWDĘ, KOLEDZY JEŹDŹCY. MAM KILKA NOWYCH**

**POMYSŁÓW, KTÓRE CHCIAŁBYM WAM PRZEDSTAWIĆ. NIE WYKRACZAJĄ ONE**

**POZA ZASADY NASZEJ GRY. ŻADNEGO ZBĘDNEGO RYZYKA.**

**ZAGRAJMY TAK, JAKBY ZALEŻAŁO OD TEGO NASZE ŻYCIE.**

## BYĆ MOŻE, MOJE NAPRAWDĘ ZALEŻY?

JAK JUŻ WSPOMINAŁEM, MAMY DWÓCH NOWYCH GRACZY. SĄ TO WASZYNGTOŃSCY DETEKTYWI: ALEX CROSS I JOHN SAMPSON. GODNI PRZECIWNICY. OBSERWUJĘ ICH, ALE NIE MOGĘ OPRZEĆ SIĘ WRAŻENIU, ŻE WKRÓTCE ONI BĘDĄ OBSERWOWAĆ MNIE.

POZWÓLCIE, ŻE PRZEDSTAWIĘ SCENARIUSZ POWITANIA ICH W NAASZYM GRONIE. WYSYŁAM ZDJĘCIA – OTO DETEKTYWI CROSS I SAMPSON.

### Rozdział 44

Przygotowania do wyjazdu zajęły nam cały dzień, ale wszystkim spodobała się moja spontaniczność. Radowaliśmy się wyjątkowością okazji: po raz pierwszy mieliśmy spędzić weekend razem. I tak, Damon, Jannie, Nana, Christine i ja opuściliśmy Waszyngton w czwartek po południu i w świetnych nastrojach wylądowaliśmy wieczorem dwudziestego piątego sierpnia na międzynarodowym lotnisku na Bermudach.

Bardzo chciałem uciec z Waszyngtonu na parę dni. Dochodzenie w sprawie Jane Doe nastąpiło zbyt szybko po zamknięciu sprawy pana Smitha.

Potrzebny mi był odpoczynek. Mój dobry znajomy był współwłaścicielem hotelu na wyspach odległych tylko o kilka godzin lotu, padło więc na Bermudy.

Pewna scena z lotniska pozostanie na zawsze w mojej pamięci – Christine nuci Ja – da, ja – da, a Jannie tuli się ufnie do jej boku. Pomyślałem, że wyglądają jak matka i córka i nie mogłem opanować wzruszenia. Biło od nich uczucie, radość, były takie naturalne w swoich odruchach, jakby znały się przez całe życie. Obraz zapisał się trwale w moim umyśle. Już wtedy, stojąc i patrząc jak śpiewają i tańczą, wiedziałem, że nigdy nie zapomnę tej chwili., Pogoda dopisywała. Słońce świeciło cały boży dzień, a wieczorem niebo stawało się magiczną mieszaniną czerwieni, pomarańczy i fioletów. Dni należały do nas wszystkich, ale przede wszystkim do dzieci.

Szliśmy pływać i pluskać się do Elbow Beach, i Horseshoe Bay, a potem jeździliśmy rowerami po malowniczych nadmorskich drogach.

Noce należały do mnie i Christine i wykorzystaliśmy je w pełni.

Zaliczyliśmy wszystkie słynne lokale: Terrace bar w Palm Reef, Gazebo Lounge w Princess, Clay House Inn w Hamilton, Horizons w Paget.

Uwielbiałem spędzać z nią czas i ta myśl nie opuszczała mnie ani na chwilę. Miałem wrażenie, że nasza miłość okrzepla, ponieważ dałem Christine czas i przestrzeń.

Ona dopełniała mnie sobą. Nieustannie wracałem myślą do tamtej chwili, kiedy ujrzałem ją po raz pierwszy na dziedzińcu Sojourner Truth.

To ona, Alex! Nadal miałem to uczucie.

Siedzieliśmy w Terrace Bar z widokiem na miasto i port

Hamilton, na; morze usiane wysepkami, białymi żaglami, promami kursującymi między i Warwick i Paget. Trzymaliśmy się za ręce, a ja nie mogłem oderwać wzroku od jej oczu, nie chciałem.

–O czym tak rozmyślasz? – zagadnęła w końcu.

–Ostatnio zastanawiałem się poważnie nad podjęciem prywatnej praktyki – powiedziałem. – Tak chyba będzie najlepiej. Teraz ona zajrzała mi w oczy.

–Nie chcę, żebyś to robił dla mnie, Alex. Proszę cię! Nie chcę być powodem, dla którego rzucisz pracę w policji. Wiem, że ją kochasz, nawet jeżeli czasem masz dość.

–Ostatnio coraz częściej. Pittman jest nie tylko trudnym szefem, myślę, że jest złym człowiekiem. To, co zrobił Sampsonowi i innym, woła o pomstę do nieba. Pracowali nad nie rozwiązanyymi morderstwami po godzinach, po służbie. Mam ochotę podrzucić tę historię Zachowi Taylorowi.

Wywołałaby burzę. I dlatego nie powiadomię „Posta”.

Christine słuchała i próbowała mi pomóc, ale nie nalegała na żadne rozwiązanie, za co byłem jej wdzięczny.

–To bardzo brzydka, skomplikowana sprawa, Alex. Sama miałabym ochotę dokopać Pittmanowi. Przedkłada politykę nad obowiązek chronienia ludzi. Jestem pewna, że podejmiesz właściwą decyzję, kiedy nadejdzie właściwa chwila.

Następnego ranka zobaczyłem, jak spaceruje po ogrodzie z tropikalnymi kwiatami we włosach. Wyglądała tak promiennie, że zakochałem się od nowa.

Ucałowałem jej włosy między kwiatami. Ucałowałem jej słodkie usta, policzki, dołeczek w szyi.

Wczesnym popołudniem pojechałem z dziećmi do Horseshoe Bay Beach.

Nie mogły się nasycić szmaragdowym morzem, pływaniem, zamkami z piasku. Zbliżał się koniec wakacji, co jeszcze podnosiło intensywność naszych przeżyć.

Christine wybrała się rowerem do Hamilton, po pamiątki dla koleżanek z Sojourner Truth. Machaliśmy jej na pożegnanie, dopóki nie znikła za zakrętem Middle Road. Potem wskoczyliśmy z powrotem do wody.

Około piątej Damon, Jannie i ja wróciliśmy do hotelu Belmont, który stał niby wartownik pośród zielonych wzgórz na tle porcelanowo-niebieskiego nieba. Nana rozmawiała na werandzie z paroma nowymi najlepszymi przyjaciółkami.

–Raj utracony – pomyślałem i poczułem, jak coś w moim wnętrzu, coś utajonego i bezcennego wraca do życia.

Patrzyłem na bezchmurne niebo i żałowałem, że Christine nie podziwia go razem ze mną. Już za nią tęskniłem. Przytuliłem Jannie i Damona i wszyscy uśmiechnęliśmy się, tacy szczęśliwi, że jesteśmy tu razem i że mamy siebie.

–Tęsknisz za nią – wyszeptała Jannie. Było to stwierdzenie faktu. – To dobrze; tatusiu. Tak powinno być, prawda?

Kiedy wybiła szósta, a Christine nie wróciła, próbowałem zdecydować, czy czekać na nią w hotelu, czy jechać do Hamilton. Może miała wypadek.

Te cholerne rowery – pomyślałem, chociaż nie dalej jak po południu wydały mi się zabawnym i absolutnie bezpiecznym środkiem lokomocji.

Ujrzałem smukłą kobietę mijającą główną bramę Belmont. Jej wysoka, wiotka postać odcinała się ostro na tle krzewów hibiskusa i oleandrów. Odetchnąłem z ulgą, ale kiedy zbiegałem ze schodów werandy, zobaczyłem, że to wcale nie była Christine.

**Christine nie wróciła i nie zadzwoniła ani o szóstej trzydzieści, ani o siódmej.**

**W końcu zawiadomiłem policję.**

## **Rozdział 45**

**Inspektor Patrick Busby z policji w Hamilton zjawił się w hotelu Belmont około siódmej trzydzieści. Był drobnym, łysiejącym mężczyzną, który z pewnej odległości sprawiał wrażenie sześćdziesięcio-latka. Kiedy jednak zbliżył się do frontowej werandy, stwierdziłem, że nie może mieć więcej niż czterdzieści lat. Był więc mniej więcej w moim wieku.**

**Wysłuchał mojej opowieści, potem powiedział, że turyści często tracą poczucie czasu na Bermudach. Zdarzają się również wypadki na Middle Road.**

**Obiecał, że Christine wkrótce się pojawi z bólem głowy lub lekko skręconą kostką.**

**Nie dałem się przekonać. Była zawsze punktualna, a gdyby nie mogła wrócić na czas, z pewnością by zadzwoniła.**

**Wiedziałem, że znalazłaby sposób, by mnie zawiadomić, gdyby zdarzył się jej drobny wypadek. Przepatrzyliśmy więc wraz z inspektorem drogę między hotelem a Hamilton, a potem ulice stolicy, zwłaszcza Front i Reid.**

**W milczeniu, z posępną twarzą wyglądałem z samochodu w nadziei, że ujrzę Christine robiącą zakupy w bocznej uliczce, niepomną na upływ czasu.**

**Ale nie znaleźliśmy jej w mieście, nie zadzwoniła również do hotelu.**

**Kiedy minęła dziewiąta, a ona się nie pojawiła, inspektor Busby przyznał niechętnie, że Christine mogła zaginać. Zadał mi mnóstwo pytań, które świadczyły o tym, że jest sumiennym gliniarzem. Chciał wiedzieć, czy się nie pokłóciliśmy.**

**–Jestem detektywem wydziału zabójstw w policji waszyngtońskiej -przyznałem w końcu. – W ostatnich latach prowadziłem dochodzenia w sprawach seryjnych morderstw. Znam naprawdę złych ludzi. Zniknięcie Christine może mieć z tym związek. Mam nadzieję, że nie, ale nie można tego wykluczyć.**

**–Rozumiem – powiedział Busby. Był takim schludnym, akuratsnym mężczyzną z tym swoim cienkim, wypielęgowanym wąsikiem. Wyglądał bardziej na zatroskanego nauczyciela niż gliniarza, bardziej na psychologa niż ja. – Czy jest jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć, detektywie Cross? – zapytał.**

**–Nie. Ale sam pan rozumie, dlaczego się niepokoję, dlaczego pana wezwałem. Pracuję obecnie nad serią paskudnych morderstw w Waszyngtonie.**

**–Tak, teraz rozumiem powód pańskiego niepokoję. Sporządzę raport o zaginięciu.**

**Odetchnąłem z ulgą i poszedłem na górę porozmawiać z dziećmi i Naną. Staralem się ich nie przestraszyć, ale dzieci zaczęły płakać, a Nana im zawtórowała.**

**O dwunastej nadal nie mieliśmy żadnych wieści o Christine.**

**Inspektor Busby opuścił hotel o dwunastej trzydzieści. Był naprawdę miły i na tyle zatroskany, że dał mi swój domowy numer i kazał zadzwonić, jak tylko się czegoś dowiem. Potem powiedział, że będzie się modlił za mnie i moją rodzinę.**

**O trzeciej byłem nadal na nogach, przemierzałem pokój na trzecim piętrze i modliłem się sam. Właśnie odbyłem rozmowę z Quantico. F-Bi-al sprawdzało**

**wszystkie prowadzone przeze mnie sprawy, szukając powiązań z Bermudami. Biuro koncentrowało się na obecnej serii morderstw w Southeast.**

**Przesłałem im profil psychologiczny Łasicy.**

**Nie istniał żaden logiczny powód, by podejrzewać, że zabójca jest tutaj, na Bermudach, a jednak tego się właśnie bałem. Odezwał się ten sam instykt, który kazał mi nalegać na wszczęcie postępowania w sprawie seryjnych morderstw w Southeast.**

**Wiedziałem, że Biuro zgłosi się do mnie dopiero rano. Korciło mnie, żeby zadzwonić do znajomych w Interpolu, ale postanowiłem się wstrzymać... A potem zadzwoniłem.**

**Pokój hotelowy, pełen mahoniowych mebli z epoki królowej Anny i dywanów w barwie przyćmionego różu, wydawał się pusty i opuszczony. Stałem jak duch przed wysokimi oknami, upstrzonymi kroplami wody, gapiałem się na ruchome cienie na tle rozgwieżdżonego nieba i czułem Christine w swoich ramionach. Bez niej byłem kompletnie bezradny. I nie mogłem uwierzyć w to, co się stało.**

**Objąłem się ciasno ramionami i uświadomiłem sobie straszny ból wokół serca. Był jak żelazny pręt biegnący od piersi aż do głowy. Widziałem twarz Christine, jej piękny uśmiech.**

**Przypomniałem sobie, jak tańczyliśmy w Rainbow Room w Nowym Jorku, przypomniałem sobie kolacje w Kinkeas w Waszyngtonie i tę wyjątkową noc u niej w domu, kiedy śmialiśmy się i mówiliśmy, że być może zrobiliśmy dziecko. Czy Christine była gdzieś tutaj, na wyspie? Musiała być. Modliłem się, żeby była bezpieczna.**

**Musiała być bezpieczna. Przez kilka sekund nie pozwalałem sobie na żadne inne myśli.**

**Tuż po czwartej zadzwonił telefon. Nagły, rozdzierający dźwięk.**

**Serce utkwilo mi w gardle. Miałem wrażenie, że moja skóra się kurczy i już na mnie nie pasuje. Przebiegłem przez pokój i chwyciłem słuchawkę po pierwszym sygnale. Ręka mi drżała.**

**Przeraził mnie obcy, stłumiony głos.**

**–Ma pan e-mail.**

**Nie mogłem jasno myśleć. W ogóle nie mogłem myśleć.**

**Jadąc na wakacje wziąłem ze sobą laptopa.**

**Kto wie, że mam tutaj komputer? Kto może znać taki szczegół z mojego życia? Kto mnie obserwuje? Obserwuje nas?**

**Jednym szarpnięciem otworzyłem drzwi szafy, chwyciłem komputer, podłączyłem do sieci. Przebiegłem e-maile, aż do ostatniej wiadomości.**

**Była krótka i bardzo treściwa.**

# **JEST BEZPIECZNA, NA RAZIE. MAMY JĄ.**

Związła, chłodna wiadomość była gorsza niż najczarniejsze przypuszczenia. Każde słowo wbiło mi się w mózg, rozbrzmiewało ciągle od nowa.

Jest bezpieczna, na razie.

Mamy ją.

Księga trzecia

Elegia

Rozdział 46

Sampson przyjechał do hotelu Belmont następnego dnia po zaginięciu Christine. Pośpieszyłem przez mały hol na jego spotkanie. Przygarnął mnie do siebie, przytrzymał w mocnym, a zarazem łagodnym uścisku, jakby miał w ramionach dziecko.

–Dobrze się czujesz? Trzymasz się? – zapytał.

–Nie – powiedziałem. – Przez pół dnia sprawdzałem adres nadawcy.

Curtain@mindspring. Com. Adres jest fałszywy. Nic na niego nie przychodzi.

–Odzyskamy Christine. Znajdziemy ją. – Mówił to, co chciałem usłyszeć, ale byłem pewny, że wierzy w każde swoje słowo. Sampson jest największym optymistą, jakiego spotkałem w życiu. Nie da się go zniechęcić.

–Dzięki, że przyjechałeś! To wiele dla nas znaczy. Ja nie potrafię jasno myśleć. Jestem zdruzgotany, John. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, kto mógłby to zrobić. Może Łasica – nie wiem.

–Gdybyś mógł myśleć jasno w takiej chwili, martwiłbym się o ciebie bardziej niż zwykle. Dlatego tu jestem.

–Wiedziałem, że przyjedziesz.

–Jasne, że wiedziałeś. To przecież ja, Sampson Wierny Druh.

W hotelowym holu znajdowało się z pół tuzina gości i wszyscy patrzyli na nas. Personel wiedział o zaginięciu Christine, przypuszczam, że wiedzieli również goście w Belmont, podobnie jak wszyscy mieszkańcy małej rozplotkowanej wyspy.

–Piszą o tym na pierwszej stronie miejscowej gazety – powiedział Sampson. – Widziałem na lotnisku.

–Bermudy są małe, spokojne i względnie bezpieczne. Zaginięcie turysty, w ogóle każde brutalne przestępstwo, jest tu rzadkością. Nie rozumiem, jakim cudem prasie udało się zdobyć informacje tak szybko. Musi istnieć przeciek w policji.

–Miejscowa policja nam nie pomoże. Będzie raczej stała na zawadzie – mruknął Sampson kiedy podeszliśmy do recepcji. Zameldował się, po czym poszliśmy na górę powiedzieć Nanie i dzieciom o przyjeździe wujka Johna.

Rozdział 47

Cały następny ranek spędziliśmy z policjantami w Hamilton. Byli profesjonalistami, ale nieczęsto mieli do czynienia z porwaniami.

Pozwolili nam rozlokować się w swoim budynku na Front Street. Nadal nie

potrafiłem się skoncentrować tak, jak tego wymagała sytuacja.

Wyspa miała niecałe sześćdziesiąt kilometrów kwadratowych, wkrótce jednak odkryliśmy, że znajduje się na niej tysiąc dwieście dróg.

Podzieliliśmy je z Sampsonem między siebie i metodycznie sprawdzaliśmy teren. Przez następne dwa dni pracowaliśmy od szóstej rano do dziesiątej, jedenastej w nocy bez przerwy. Żał mi było czasu nawet na sen.

Powiodło się nam nie lepiej niż lokalnej policji. Nikt nic nie widział.

Trafiliśmy w ślepy zaułek. Christine zniknęła bez śladu.

Byliśmy wykończeni. Trzeciego wieczoru, po wyjściu z posterunku powlekliśmy się na plażę Elbow kilka kroków od hotelu.

Nauczyliśmy się pływać na basenie publicznym w D. C., Ulegając naleganiom Nany. Miała wtedy pięćdziesiąt cztery lata i duży upór.

Postanowiła, że ona też się nauczy i brała z nami lekcje w ramach akcji Czerwonego Krzyża.

W tamtych czasach większość mieszkańców Southeast nie umiała pływać i Nana uważała, że jest to symbol dyskryminacji getta.

Tak więc pewnego lata Sampson i ja zgłębiliśmy tajniki pływania na basenie miejskim. Chodziliśmy na zajęcia trzy razy w tygodniu, wczesnym rankiem i najczęściej zostawialiśmy jeszcze dodatkową godzinę. Wkrótce Nana potrafiła przepłynąć pięćdziesiąt basenów. Miała wigor, tak jak i teraz.

Ilekcioć wchodzę do wody, przypominam sobie tamto lato, kiedy stałem się stosunkowo dobrym pływakiem.

Teraz dryfowaliśmy z Sampsonem na gładkiej powierzchni, mniej więcej sto jardów od brzegu. Niebo nad nami miało odcień głębokiego granatu, iskrzyło się niezliczonymi punkcikami gwiazd. Kątem oka widziałem biały łuk plaży ciągnącej się na przestrzeni wielu mil. Palmy i drzewa casuariny szumiały w podmuchach morskiej bryzy.

Kompletnie zdruzgotany, obezwładniony bólem, pozwalałem unosić się morzu. Przed oczami tkwiła mi nieustannie twarz Christine. Nie mogłem uwierzyć, że jej nie ma. Nie mogłem znieść tej myśli, niesprawiedliwości losu.

–Chcesz porozmawiać o śledztwie? Usłyszeć, co sądzę? Czego się dzisiaj dowiedziałem? A może wolisz odpocząć? – pytał Sampson kiedy dryfowaliśmy na plecach. – Rozmawiamy, czy dajemy sobie wolne?

–Rozmawiamy. I tak nie mogę myśleć o niczym innym. Nie potrafię się zmusić. Powiedz, co sądzisz. Zauważyłeś coś szczególnego?

–Drobnostki, ale mogą okazać się ważne.

Nie odezwałem się, pozwoliłem mu mówić.

–Myślę o tym pierwszym artykule w gazecie – Sampson urwał na chwilę, po czym mówił dalej. – Busby twierdzi, że z nikim nie rozmawiał tamtej nocy. Absolutnie z nikim. Ty też nie. A jednak informacja znalazła się w porannym wydaniu gazety.

–To mała wyspa, John. Sam widziałeś.

Ale Sampson obstawał przy swoim i zacząłem myśleć, że być



może coś w tym jest.

–Posłuchaj, Alex, wiedziałeś tylko ty, Patrick Busby i człowiek, który uprowadził Christine. To on zadzwonił do gazety. Porywacz.

Rozmawiałem z dziewczyną, która odbiera w redakcji telefony. Wczoraj nie chciała nic powiedzieć, ale rozmawiałem z nią ponownie dzisiaj. Myślała, że dzwoni jakiś zatroskany obywatel. Uważam, że ktoś się tobą bawi; Alex. Ktoś prowadzi z tobą paskudną grę.

Mamy ją.

Jaką grę? Kim byli gracze? Czy Łasica był jednym z nich? Czy to możliwe, żeby był tutaj, na Bermudach?

Rozdział 48

Nie mogłem spać w hotelu. Nadal nie potrafiłem skupić myśli i było to niewiarygodnie frustrujące. Miałem wrażenie, że tracę rozum.

Gra? Nie, to nie była gra. To była tortura. To był koszmar, gorszy niż wszystkie przeżyte dotychczas. Kto mógłby zrobić coś takiego?

Dlaczego?

Czy sprawcą był Łasica?

Ilekcroć zamknąłem oczy i próbowałem spać, ukazywała mi się twarz Christine, widziałem jak macha mi ręką na pożegnanie, widziałem jak spaceruje po hotelowym ogrodzie z kwiatami we włosach.

Słyszałem jej głos przez całą noc. A potem znów było rano i poczucie winy, brzemień odpowiedzialności za to, co się wydarzyło, narastało we mnie z każdym dniem Nadal przeczesywaliśmy z Sampsonem Middle Road, Harbour Road, South Road. Policja i wojskowi twierdzili, że Christine nie mogła tak po prostu zniknąć. A jednak nie widział jej żaden sklepikarz, żaden taksówkarz ani kierowca autobusu w Hamilton ani w St. George. Możliwe więc, że w ogóle nie dotarła do miasta tego popołudnia.

Najbardziej niepokojący był brak jakichkolwiek wiadomości od porywaczy. Skontaktowali się ze mną tylko raz, wysyłając e-mail w noc zaginięcia Christine. Agent F-Bi-al zbadał adres e – mailowy i stwierdził, że nie istnieje.

Człowiek, który wysłał wiadomość był utalentowanym hakerem, zdolnym ukryć swoją tożsamość. Słowa, które odczytałem tamtej nocy cały czas rozbrzmiewały mi w uszach.

Jest bezpieczna, na razie.

Mamy ją.

Kim byli ci ludzie? I dlaczego nie nawiązali ponownego kontaktu?

Czego ode mnie chcieli? Czy wiedzieli, że doprowadzają mnie do obłędu?

Co chcieli zrobić? Czyżby za Łasicą krył się więcej niż jeden zabójca? Nagle stało się to dla mnie oczywiste.

Sampson wrócił do Waszyngtonu w niedzielę i zabrał ze sobą Nanę i dzieci. Nie chcieli wyjeżdżać beze mnie, ale był już na nich czas. Ja nie potrafiłem jeszcze opuścić wyspy. Czułbym się tak, jakbym zostawił Christine na pastwę losu.

W niedzielę wieczorem zjawił się w hotelu Belmont Patrick Busby.

Poprosił, żebym pojechał z nim do Southampton, mniej więcej sześć mil od hotelu, co powinno zająć nie więcej niż dwadzieścia minut.

Bermudczycy mierzą odległość w linii prostej, a ponieważ drogi na wyspie są kręte, jazda trwa zwykle dłużej, niż się człowiek spodziewał.

–O co chodzi, Patrick? Co jest w Southampton? – zapytałem na Middle Road. Serce podeszło mi do gardła. Przerazał mnie swoim milczeniem.

–Nie znaleźliśmy pani Johnson. Mamy jednak kogoś, kto był świadkiem uprowadzenia. Chcę, żebyś sam wysłuchał jego relacji. Sam zdecydujesz. To ty jesteś detektywem z wielkiego miasta.

Możesz pytać go, o co chcesz.

Mężczyzna nazywał się Perri Graham i mieszkał w kwaterach klubu golfowego Port Royal. Był wysoki i boleśnie chudy, a jego twarz zdobiła długa kozia bródka. Nie był uszczęśliwiony naszym widokiem...

Busby poinformował mnie już, że Graham pochodzi z Londynu i pracuje jako odźwierny i konserwator półprywatnego klubu golfowego. Wcześniej mieszkał w Nowym Jorku i Miami i był karany za sprzedaż cracku w Nowym Jorku.

–Powiedziałem już wszystko – burknął zaczepnym tonem, gdy tylko otworzył drzwi i ujrzał nas stojących w korytarzu. – Idźcie sobie.

Zostawcie mnie w spokoju. Dlaczego miałbym coś ukrywać albo...

–Nazywam się Alex Cross – przerwałem mu. – Jestem detektywem wydziału zabójstw w Waszyngtonie. Kobieta, którą pan widział, jest moją narzeczoną, panie Graham. Możemy wejść i porozmawiać? To zajmie tylko parę minut.

Trząśł głową w rozterce.

–Powiem wam, co wiem. Jeszcze raz – dodał w końcu, cofając się. – Wejdźcie. Ale tylko dlatego, że powiedział pan do mnie: panie Graham.

–Chodzi mi tylko o sprawę porwania. Nie będę pana pytał o nic innego.

Weszliśmy do pokoju niewiele większego od alkowy. Podłoga i wszystkie meble były zarzucone zmiętą odzieżą, głównie bielizną.

–Moja znajoma mieszka w Hamilton – powiedział Graham znużonym głosem. – Byłem u niej w tamten wtorek. Wypiliśmy za dużo wina.

Zostałem na noc, wiecie jak to jest. Jakoś udało mi się wytrzeźwieć.

Musiałem być w klubie w południe, ale wiedziałem, że nie zdążę i obetną mi z pensji.

Nie mam samochodu ani w ogóle... Złapałem okazję z Hamilton na South Shore Road. Wsiadłem w Paget, zdaje się. Cholernie gorące popołudnie, pamiętam...

Zszedłem nad morze, żeby się wykąpać, a kiedy wspiałem się z powrotem na wzgórze, zobaczyłem wypadek na drodze. Jakieś ćwierć mili w dół tego wielkiego wzgórza. Znacie je?

Skinąłem głową i słuchałem z zapartym tchem. Pamiętałem upał, jaki panował tamtego popołudnia, pamiętałem wszystko. Nadal widziałem Christine na niebieskim rowerze, widziałem jak macha ku nam uśmiechnięta.

Wspomnienie jej uśmiechu, który zawsze sprawiał mi taką radość, teraz

przynosiło ból.

–Widziałem, jak biała furgonetka wpada na kobietę na niebieskim rowerze. Nie jestem pewny, ale wyglądało to prawie tak, jakby wjechał na nią specjalnie. Kierowca zaraz wyskoczył z wozu i pomógł jej wstać. Nie wyglądało na to, żeby była poważnie ranna. Pomógł jej wsiąść do furgonetki.

Rower załadował z tyłu i odjechali. Pomyślałem, że zabiera ją do szpitala.

Potem w ogóle o tym zapomniałem.

–Jest pan pewien, że nie została poważnie ranna? –

zapytałem.

–Wcale nie jestem pewien. Ale zaraz wstała. I szła o własnych siłach.

–I nie wspomniał pan nikomu o tym wypadku nawet wtedy, gdy ukazały się artykuły w prasie? – zapytałem trochę zbyt ostro.

Mężczyzna zaprzeczył ruchem głowy.

–Nie widziałem żadnych artykułów. Lokalna prasa mnie nie interesuje. Same bzdety i ploty. Ale moja dziewczyna cały czas o tym mówiła. Nie chciałem iść na policję, ale ona mi kazała.

–Zauważył pan markę furgonetki? – zapytałem.

–Tylko tyle, że była biała. Może wynajęta. Czysta i nowa.

–Numery rejestracyjne?

Graham potrząsnął głową.

–Błędego pojęcia.

–Jak wyglądał kierowca furgonetki? – pytałem dalej. – Każdy drobiazg jest dla nas na wagę złota, panie Graham. Już i tak bardzo nam pan pomógł.

Wzruszył ramionami, ale widziałem, że wyteża pamięć.

–To był zwyczajny gość. Nie taki wysoki jak pan, ale wysoki. Wyglądał zupełnie przeciętnie. Zwykły czarny facet.

Rozdział 49

W małym mieszkaniu na przedmieściu Waszyngtonu detektyw Patsy Hampton leżała w łóżku, niecierpliwie przerzucając szpalty „Posta”.

Nie mogła spać, co przytrafiało się jej dosyć często.

Cierpiała na bezsenność jeszcze w czasach, gdy była dzieckiem i mieszkała w Hamsburgu, w Pensylwanii. Matka mawiała, że musi mieć nieczyste sumienie.

Obejrzała powtórkę serialu Ostry dyżur, potem wzięła sobie jogurt jagodowy i włączyła komputer. Odczytała wiadomość od ojca, który mieszkał obecnie w Delray Beach na Florydzie i od dawnej uniwersyteckiej koleżanki, z którą zresztą nigdy się nie przyjaźniła.

Koleżanka dowiedziała się właśnie od wspólnej znajomej, że Patsy robi wielką karierę jako detektyw w waszyngtońskiej policji i prowadzi niezwykle podniecające życie. Koleżanka napisała, że ma czwórkę dzieci, mieszka na przedmieściach Charlotte w Północnej Karolinie i jest śmiertelnie znudzona takim życiem. Patsy Hampton oddałaby wszystko za jedno dziecko.

Wróciła do kuchni i sięgnęła po butelkę wody mineralnej Evian. Zdawała sobie

sprawę, że jej życie to absurd. Spędzała za dużo czasu w pracy, za dużo czasu sama w mieszkaniu, zwłaszcza w weekendy. Mogłaby chodzić na randki, gdyby nie to, że ostatnio mężczyźni budzili jej niechęć.

Nadal marzyła o znalezieniu odpowiedniego partnera, o dzieciach, ale coraz bardziej męczyły ją i przygnębiały próby poznania kogoś interesującego. Zazwyczaj kończyła z facetami, którzy byli albo beznadziejnie nudni, albo zgrywali nastolatków, choć dawno przekroczyli trzydziestkę i zatracili wszelki urok młodości. Beznadzieja, beznadzieja, beznadzieja, myślała wysyłając pogodne kłamstwa w odpowiedzi na list ojca.

Zadzwoił telefon i zerknęła na zegarek. Było dwadzieścia po dwunastej.

Poderwała słuchawkę.

–Hampton przy telefonie.

–Tu Chuck, Patsy. Przepraszam, że dzwonię tak późno. Nie przeszkadzam? Nie obudziłem cię?

–Nie ma sprawy, Chucky Cheese. Czuwam wraz z innymi wampirami, podobnie jak ty.

Naprawdę było już późno, ale ucieszyła się z telefonu Chucka Hufstedlera, komputerowca z waszyngtońskiego biura F-Bi-a. Pomagali sobie wzajemnie, kiedy nadarzała się okazja, a ostatnio Patsy wspominała mu o nie rozwiązanych morderstwach w D. C. Chuck powiedział, że kontaktował się w tej sprawie z Alekssem Crossem, ale Cross miał teraz własne kłopoty. Jego narzeczona została porwana. Patsy Hampton zastanowiła się, czy ma to coś wspólnego z zabójstwami w Southeast.

–Co się dzieje, Chuck? Co trapi twój genialny umysł?

Zaczął od tego, że wyparł się geniuszu, co najlepiej świadczyło o jego niskim mniemaniu o sobie.

–Może nic, a może coś w sprawie tych zabójstw w Southeast, zwłaszcza tych dwóch dziewczyn w Shaw.

Patsy chłonęła każde słowo specja od komputerów.

–Powiedz mi, co odkryłeś, Chuck. Słucham cię uważnie.

Chuck jąkał się i chrząkał. Wielka szkoda, ponieważ poza tym był z niego sympatyczny gość.

–Wiesz coś o grach RP, Patsy? – zapytał.

–Wiem, że jest to skrót od gier role – playing. Zaraz, zaraz...

Jest takie czasopismo „Dragons Dungeons” albo odwrotnie.

–„Dungeons Dragons” plus wersja dla zaawansowanych. Muszę się do czegoś przyznać: sam gram w taką jedną RP. Nazywa się Koniec Millenium. Po kilka godzin dziennie, jeszcze więcej w weekendy.

–To coś nowego. Mów dalej, Chuck.

Boże, pomyślała, wyznania cyber przestrzenne w środku nocy.

–Bardzo popularna gra, nawet wśród tak zwanych dorosłych.

Postaci pracują dla Black Eagle Security. Jest to prywatna organizacja skupiająca

bojowników dobra, którzy wynajmują się do pracy w rozmaitych służbach bezpieczeństwa na całym świecie.

–To wspaniale, Chuck, Odmów sześć zdrowasiek, zrób rachunek sumienia i akt skruchy, a w końcu przejdź do sedna. Jest dwunasta trzydzieści „ w nocy, stary!

–Tak jest. Naprawdę mi przykro, szalenie przykro. W każdym razie, chodzi o to, że wszedłem do Gamesters Chatroom, na AOL. Właśnie w tej chwili toczy się tam fascynująca dyskusja o nowej grze. W zasadzie jest to antygra. Wszystkie RP, jakie znam, polegają na tym, że pozytywny bohater próbuje zwalczyć chaos i zło. Gra, o której mowa, ma kilkoro negatywnych bohaterów, próbujących pokonać dobro. Jeden z nich atakuje i morduje kobiety w Southeast, w Waszyngtonie. Mnóstwo ponurych szczegółów. Ci ludzie nie są właściwymi graczami, ale wiedzą o istnieniu takiej gry.

Dostęp do Czterech Jeźdźców Apokalipsy jest prawdopodobnie chroniony.  
Patsy Hampton była już zupełnie rozbudzona.

–Dzięki, Chuck! Na razie niech to pozostanie między nami,  
dobrze, stary?

–W porządku.

Upłynęło kilka minut zanim wlogowała się do AOL i weszła do Gamesters Chatroom. Nie uczestniczyła w rozmowie, czytała tylko wypowiedzi innych. Było to bardzo interesujące. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie dokonała przełomu w sprawie Jane Doe.

Rozmówcami w Chatroomie byli Viper, Landlokerd, J-Boy i Lancelot.

Dyskutowali bez końca o najnowszych grach typu RPG i czasopismach, tak długo, że omal nie usnęła. Temat Czterech Jeźdźców wypłynął dwa razy, ale na krótko, jedynie jako punkt odniesienia. Lancelot był najlepiej poinformowany. Chuck miał rację: nie byli to gracze, lecz ludzie, którzy w jakiś sposób dowiedzieli się o istnieniu gry.

Piętnaście po pierwszej zaczęła tracić do nich cierpliwość. W końcu, zupełnie wyczerpana, wystukała wiadomość dla pojebańców, używając ksywki Sappho...

**LANCELOT, WESZŁAM PÓŹNO, ALE CI CZTEREJ JEŹDŹCY WYDAJĄ MI SIĘ REWOLUCYJNĄ GRĄ. DOŚĆ ŚMIAŁĄ, PRAWDA?**

Lancelot odpisał:

**TEGO BYM NIE POWIEDZIAŁ, SAPPO. SPORO TEGO POJAWIŁO SIĘ OSTATNIO. ANTYBOHATEROWIE, PSYCHOLE. ZWŁASZCZA W GRACH O WAMPIRACH.**

Hampton wystukała:

**CHYBA CZYTAŁAM W GAZETACH O TAKICH SAMYCH MORDERSTWACH. A PROPOS, PISZE SIĘ SAPPHO, JAK TA POETKA.**

Lancelot:

**PAMIĘTAJ, ŻE WIELE GIER BAZUJE NA AKTUALNYCH WYDARZENIACH.**

## **TO ŻADEN SEKRET, SAPPO.**

Hampton uśmiechnęła się pod nosem. Facet był zarozumiałym gnojkiem, ale przyciągnęła jego uwagę, przynajmniej na chwilę.

Potrzebowała go. Ile wiedział o Czterech Jeźdźcach? Mógł być jednym z graczy? Próbowała zerknąć na jego protel, ale miał zastrzeżony dostęp.

**ZABAWNY JESTEŚ. SAM GRASZ, ZABAWALOT, CZY JESTEŚ TYLKO  
RECENZENTEM?**

**NIE PODOBA MI SIĘ SAMA KONCEPCJA JEŹDŹCÓW. ZRESZTĄ TO PRYWATNA  
GRA. ŚCIŚLE PRYWATNA. ZAKODOWANA. ZNASZ KTÓREGOŚ Z GRACZY? MOŻE  
BYM SPRÓBOWAŁA?**

Nie było odpowiedzi. Patsy przestraszyła się, że zbyt  
przycisnęła Lancelota. Cholera! Pośpieszyła się. Powinna mieć więcej rozumu.  
Cholera, cholera! Wracaj, Lancelot! Ziemia do Lancelota!  
**NAPRAWDĘ CHCIAŁABYM ZAGRAĆ W CZTERECH JEŹDŹCÓW.**

**NA SPOKOJNIE. LANCELOT?**

Patsy Hamilton czekała, ale Lancelot wyszedł już z  
chatroomu. Zniknął.

A wraz z nim jej jedyne powiązanie z kimś, kto bawił się w popełnianie brutalnych  
morderstw w Waszyngtonie.

**Rozdział 50**

Wróciłem do Waszyngtonu w pierwszym tygodniu września. Jeszcze nigdy nie  
byłem tak zdruzgotany. Pojechałem na Bermudy z rodziną i Christine, a wróciłem do  
domu bez niej. Ktokolwiek ją uprowadził, skontaktował się ze mną tylko raz.

Tęskniłem za nią niemal w każdej minucie i cierpiałem katusze na myśl, co się z nią  
dzieje.

Dzień mojego powrotu był wyjątkowo zimny i wietrzny. Odnosiło się niemal  
wrażenie, że lato przeszło nagle w środek jesieni, jakbym przebywał poza domem  
znacznie dłużej. Na Bermudach żyłem w jakiejś nierealnej mgłę i tak samo czułem się  
po powrocie do D. C. W życiu nie było ze mną tak źle!

Byłem kompletnie zagubiony, obolały.

Często nachodziła mnie myśl, że staliśmy się z Christine  
częścią iluzji szaleńca, elementem gry typu RPG. Jeżeli tak, kim był ten szaleniec,  
gdzie był? Czy był to Łasica? Znałem go w przeszłości? Okrutny, parszywy drań  
zakomunikował: Mamy ją. I to wszystko. Ani słowa więcej.

Przygniatająca, ogłuszająca cisza.

Wziąłem taksówkę z lotniska i przypomniałem sobie, co się  
przytrafiło przy tej okazji Frankowi Odenkirkowi pewnego sierpniowego wieczoru,  
kiedy to wylądował martwy na Alabama Avenue, w pobliżu Dupont Park. Nie  
myślałem o sprawie Odenkirka przez ostatnie trzy tygodnie.

Podczas pobytu na Bermudach nie myślałem nawet o morderstwach Jane Doe,  
ale teraz przypomniałem je sobie z poczuciem winy. Nie tylko ja poniosłem bolesną  
stratę z rąk mordercy.

Zastanawiałem się, czy poczyniono postępy w śledztwie i kto je teraz prowadzi,

przynajmniej tę część dotyczącą Odenkirka. Czułem, że w tej chwili sam nie mógłbym poprowadzić żadnej sprawy. Moje miejsce było na Bermudach i omal nie wróciłem tam prosto z lotniska.

Potem zobaczyłem nasz dom. Działo się coś dziwnego – na Fifth Street zgromadził się tłum.

## Rozdział 51

Mnóstwo ludzi stało na werandzie, inni tłoczyli się na podjeździe.

Wzdłuż ulicy stały rzędy zaparkowanych samochodów.

Rozpoznałem ciotkę Tię. Moja szwagierka Cilla i Nana stały

na werandzie z dziećmi. Był tam również Sampson ze swoją dziewczyną Millie, prawniczką z ministerstwa sprawiedliwości.

Gdy wysiadałem z taksówki, ludzie zaczęli do mnie machać rękami, zrozumiałem więc, że nic złego się tu nie stało. Ale co to wszystko mogło znaczyć?

Zobaczyłem moją siostrzenicę Naomi i jej męża Seta Taylora, którzy przyjechali aż z Durham, w Karolinie Północnej. Jerome Thurman, Rakeem Powell i Shawn Moore stali na trawniku przed domem.

–Hej, Alex, dobrze, że jesteś! – zagrział Jerome basem, kiedy mijalem go w drodze na werandę. Postawiłem w końcu podróżną torbę i zacząłem się witać, ściskać dłonie, wymieniać pocałunki i poklepywania po plecach.

–Zebraliśmy się tutaj dla ciebie – powiedziała Naomi. Podeszła do mnie i uściskała serdecznie. – Tak bardzo cię kochamy. Ale pojedziemy sobie, jeżeli wolisz być sam.

–Nie, nie! Cieszę się, że was widzę. – Pocałowałem moją siostrzenicę w oba policzki. Jakiś czas temu została porwana w Durhamie.

Przyjechaliśmy jej pomóc, ja i Sampson. – Dobrze, że jesteście. Nie potrafię wyrazić, ile to dla mnie znaczy.

Ściskałem krewnych i przyjaciół, moją babcię, moje piękne dzieci i uświadomiłem sobie, nie po raz pierwszy, jakie to szczęście, że mam tylu kochanych ludzi w swoim życiu. Przyszły również dwie nauczycielki z Sojourner Truth School, przyjaciółki Christine. Podeszły do mnie z płaczem. Chciały wiedzieć, czy śledztwo przyniosło jakieś rezultaty i czy mogą mi w czymś pomóc.

Powiedziałem im, że mamy świadka uprowadzenia i że jestem dobrej myśli. Upoili się tą wiadomością, która wcale nie była taka dobra, jak im to przedstawiłem. Nic nie wyniknęło z relacji naocznego świadka porwania.

Nikt inny nie widział białej furgonetki, która uwiozła Christine.

Jannie przydybała mnie w ogródku około dziewiątej wieczorem. Ostatnie pół godziny spędziłem z Damonem w piwnicy na męskiej rozmowie i niemrawej lekcji boksu.

Damon zwierzył się, że ma kłopoty z przywołaniem twarzy Christine, nie pamięta, jak ona wygląda. Powiedziałem mu, że to się często ludziom zdarza i że to nic złego. Potem długo się do siebie tuliliśmy.

Jannie czekała na mnie cierpliwie.

–Moja kolej? – zapytała.

–Wyłącznie twoja.

Jannie wzięła mnie za rękę i pociągnęła za sobą do domu.

Cicho poprowadziła mnie na piętro do mojego, nie swojego, pokoju.

–Jeżeli w nocy poczujesz się samotny, możesz przyjść do mnie – powiedziała, delikatnie zamykając za nami drzwi.

Jest taka mądra i rozsądna. Oboje z Damonem są takimi dobrymi dziećmi. Nana twierdzi, że mają mocne charaktery, które rozwijają się we właściwym kierunku. Czyli wszystko w porządku.

–Dziękuję ci, kochanie. Przyjdę do twojego pokoju, jeżeli będzie mi tutaj źle. Jesteś bardzo troskliwa i miła.

–To prawda, tatusiu. Jestem taka dzięki tobie i bardzo mnie to cieszy. A teraz chciałabym ci zadać. Pytanie, tatusiu. Trudno mi to przychodzi, ale muszę.

–Pytaj – powiedziałem, wierząc się niespokojnie pod jej poważnym spojrzeniem. Nie byłem w stanie zebrać myśli i bałem się, że nie dam sobie rady z trudnym pytaniem Jannie. – Słucham, kochanie. Wal!

Wypuściła moją dłoń po wejściu do pokoju, teraz ujęła ją ponownie i ścisnęła mocno w małych łapkach.

–Tatusiu, czy Christine nie żyje? – zapytała. – Możesz powiedzieć mi prawdę. Proszę cię o to. Chcę wiedzieć.

Omal się nie załamałem, siedząc na brzegu łóżka z Jannie. Jestem pewien, że nie miała pojęcia, jak zabolą mnie jej pytanie, ani jak trudno jest mi na nie odpowiedzieć.

Przez chwilę zwisałem nad czarną bezdenną przepaścią, ale wzięłem się w garść, zaczerpnąłem haust powietrza. Spróbowałem odpowiedzieć mojej dziewczynce najlepiej, jak potrafiłem.

–Nie wiem jeszcze. Taka jest prawda. Nadal mam nadzieję, że ją odnajdziemy, kochanie. Mamy jednego świadka.

–Ale ona może już nie żyć?

–Powiem ci, co myślę o śmierci. Powiem ci o jednej rzeczy, która w umieraniu jest na pewno dobra.

–Odchodzi się i już potem jest się zawsze z Jezusem – odparła Jannie bez większego przekonania. Zabrzmiało to jak jedna z ewangelicznych prawd Nany lub coś zasłyszanego w kościele.

–Tak, ta świadomość może być wielką pociechą, Jannie. Ale myślałem o czymś innym. Może zresztą chodzi nam o to samo, tylko wyrażamy to w inny sposób.

Patrzyła na mnie z napięciem, bez mrugnięcia powiekami.

–Możesz mi powiedzieć, tatusiu. Proszę! Chcę wiedzieć. To mnie bardzo interesuje.

–Ta świadomość bardzo pomaga, kiedy ktoś umiera. Pomyśl! Przychodzimy na świat z taką łatwością – skądś, z kosmosu, od Boga. Dlaczego odchodzenie miałoby być trudniejsze? Przychodzimy z miłego miejsca.

Opuszczamy życie i idziemy w inne miłe miejsce. Czy to do ciebie przemawia, Jannie?

Skinęła głową i dalej patrzyła mi głęboko w oczy.



**–Rozumiem – szepnęła. – To tak, jakby na huśtawce.**

**Milczała przez chwilę, rozważając zagadnienie.**

**–Ale tatusiu – powiedziała w końcu. – Christine nie umarła.**

**Wiem to.**

**Ona nie umarła. Jeszcze nie poszła do tego miłego miejsca.**

**Więc nie wolno ci tracić nadziei.**

**Rozdział 52**

**Charakter Śmierci tak bardzo przypomina mój własny, myślał Shafer, jadąc na południe autostradą I -95. Śmierć nie był geniuszem, ale radził sobie i, koniec końców, zawsze wygrywał.**

**Podczas gdy czarny jaguar mijał w pędzie zjazdy do rozmaitych miasteczek, Shafer zastanawiał się, czy chce zostać złapany już teraz, czy pragnie zdemaskowania, czy chce ukazać światu swą prawdziwą twarz. Boo Cassady twierdziła, że ukrywa się nie tylko przed nią, ale, co ważniejsze, nawet przed samym sobą. Może miała rację. Może chciał pokazać Lucy i dzieciakom, kim naprawdę jest. Również policji. Zwłaszcza nadętym i świętoszkowatym pracownikom ambasady.**

**Jestem Śmiercią – oto kim jestem. Jestem wielokrotnym mordercą – oto kim jestem. Nie jestem już Geoffreyem Shaferem, może nim nigdy nie byłem. A jeżeli byłem, to dawno, dawno temu.**

**Shafer miał w sobie naturalne zło. Odkrył to już w dzieciństwie, kiedy objeżdżał z rodziną Europę, potem Azję, by na koniec wrócić do Anglii.**

**Ojciec, attache militarny, był zawsze twardym facetem, zwłaszcza we własnym domu. Bił Shafera i jego dwóch braci, ale nawet w połowie nie tak często jak ich matkę, która umarła na skutek upadku ze schodów, kiedy Shafer miał dwanaście lat.**

**Shafer był wyrośnięty, cieszył się opinią twardziela.**

**Rówieśnicy bali się go, bali się go nawet jego bracia, Charles i George, którzy wierzyli, że Geoff jest zdolny do wszystkiego. Bo był zdolny do wszystkiego.**

**A jednak nic nie zapowiadało, że stanie się tym, kim się stał po wstąpieniu do MI6. Dopiero tam dowiedział się, że jest zdolny zabić człowieka, uświadomił sobie, jaką mu to sprawia przyjemność. Odkrył swoje powołanie, swoją prawdziwą życiową pasję. Stał się największym twardzielem, stał się Śmiercią.**

**Teraz jechał na południe autostradą międzystanową. Ruch był mały, z uwagi na późną porę ograniczał się właściwie do wielkich ciężarówek jadących, jak przypuszczał, na Florydę.**

**W myślach układał wiadomość dla pozostałych Jeźdźców.**

**Dzisiaj Śmierć jedzie do Fredericksburga w Maryland. Mieszka**

**tam przystojna trzydziestosiedmio-letnia kobieta z piętnastoletnią córką, która jest jej odbiciem. Kobieta jest rozwódką, małomiasteczkowym prokuratorem. Córka jest wzorową uczennicą i cheerleaderką drużyny futbolowej. Obie panie będą spały. Śmierć przybywa do Maryland, ponieważ Waszyngton stał się zbyt niebezpieczny. (Tak, wziąłem sobie do serca wasze ostrzeżenie.) Policja stołeczna szuka mordercy Jane Doe. Sprawę przydzielono wysoce cenionej detektyw Patsy Hampton, zaś detektyw Cross powrócił już z Bermudów.**

**Obserwacja zmian w jego charakterze może okazać się interesująca. Charakter jest najważniejszy, nie sądzicie?**

**Widzę już dom Cahillów. Wyobrażam sobie obie piękne panie. Mieszkają na małym ranczo. Podmiejska ulica jest wyludniona o pierwszej w nocy. Nikt nie skojarzy tych dwóch morderstw z Jane Doe. Szkoda, że nie możecie być teraz ze mną. Szkoda, że nie możecie czuć tego, co ja.**

### **Rozdział 53**

**Shafer zaparkował jaguara na ciemnej ulicy. Poczłł się samotny, poczuł lęk. Przerazał sam siebie. Tym, co myślał i robił! Nikt nie miał tak pokręconego umysłu – nikt nie myślał tak jak on. Nikt nie miał takich nieziemskich fantazji i pomysłów i nikt ich nie urzeczywistniał.**

**Pozostali gracze żyli wprawdzie w świecie chorych fantazji, ale nie mogli się z nim równać. Głód przyznawał się do popełnienia serii psychoseksualnych morderstw w Tajlandii i na Filipinach. Wojna uważał się za niekoronowanego przywódcę grupy – twierdził, że stymuluje przygody pozostałej trójki.**

**Zdobycwca był przykuty do wózka inwalidzkiego i zmyślał historie o tym, jak wykorzystuje swoje kalectwo, by zwabić ofiarę i zabić.**

**Shafer wątpił, czy któryś z nich miałby odwagę wprowadzić w życie którąkolwiek ze swoich fantazji.**

**Ale może czeka go niespodzianka. Może zrealizują swoje zabójcze marzenia. To by dopiero było coś!**

**Obie panie Cahill czuły się takie bezpieczne w swoim domu, zaledwie pięćdziesiąt jardów od miejsca, gdzie stał! Widział zielony drewniany płótek otaczający kamienny taras i mały basen na tyłach posesji. Na taras prowadziły rozsuwane drzwi. Tyle możliwości wtargnięcia do środka!**

**Mógłby wejść i urządzić egzekucję. Potem wrócić prosto do Waszyngtonu.**

**Miejscowa policja i F-Bi-ał wpadliby w totalną konsternację. Historia trafiłaby z pewnością do lokalnej telewizji. Dwie kobiety, matka i córka, zamordowane podczas snu. Żadnego motywu strasznego zabójstwa, żadnych podejrzanych.**

**Doznał erekcji i miał trudności z chodzeniem. Wydało mu się komiczne, że idzie z nabrzmiałym fiutem. Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu.**

**Gdzieś dalej, o dwa lub trzy domy stąd, zawył pies; jakaś skamląca pchła, sądząc po głosie. Po chwili dołączyło do niego większe bydło. Psy wyczuwają śmierć, prawda? Wiedziały, że on tu jest.**

**Shafer przykucnął obok klonu rosnącego na skraju podwórka. Skrył się w cieniu, podczas gdy księżyc zalewał trawnik łagodnym białym światłem.**

**Wyjął z kieszeni kości i pozwolił im upaść na trawę. No, to zaczynamy.**

**Wszystko zgodnie z zasadami gry. Zobaczmy, co noc ma nam do zaoferowania. Z trudem odczytał cyfry w ciemności.**

**Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Zapragnął zawyć i zadziwić okoliczne zwierzęta.**

**Suma wynosiła pięć. Śmierć musi odejść! Natychmiast! Nie będzie dzisiaj morderstw!**

**Nie! Nie zrobi tego! Do diabła z kośćmi. Nie odejdzie. Nie może. Już od dawna traci panowanie nad sytuacją, prawda? No więc, niech straci je do końca. Alea iacta est, pamiętał to z lekcji łaciny w szkole – Juliusz Cezar przed przekroczeniem Rubikonu. Kości zostały rzucone.**

**To będzie pamiętna noc. Po raz pierwszy złamał zasady.**

**Zmienił grę raz na zawsze.**

**Musiał kogoś zabić, zaspokojenie tego pragnienia było w tej chwili najważniejsze.**

**Pośpieszył do domu, jakby obawiając się, że zmieni zdanie. Był bardzo zdenerwowany. Adrenalina rozpychała mu żyły. Z początku posługiwał się nożem do cięcia szkła, ale potem po prostu wybił szybę ręką w rękawicze.**

**Przeszedł szybko ciemny hol. Pocił się – niezwykle objaw. Wszedł do sypialni Deirdre. Dźwięk tłuczonego szkła jej nie obudził. Spała z ramionami nad głową, zupełnie bezbronna.**

**–Uroczą! – wyszeptał.**

**Miała na sobie białe majteczki bikini i staniczek od**

**kompletu, długie nogi rozchylone, wyczekująco. W swoich snach musiała wiedzieć, że on przyjdzie. Shafer wierzył, że sny mówią prawdę, wystarczy ich posłuchać.**

**Był nadal podniecony i cieszył się, że złamał zasady.. – Kim pan jest, do cholery?! – usłyszał nagle za swoimi plecami.**

**Odwrócił się błyskawicznie.**

**To była córka, Lindsay, ubrana jedynie w różową bieliznę,**

**biustonosz i majteczki. Spokojnie uniósł broń mierząc między jej oczy.**

**–Ciiii! Wcale nie chcesz tego wiedzieć, Lindsay – powiedział bardzo spokojnie, nie starając się ukryć angielskiego akcentu. – Ale powiem ci, tak czy inaczej.**

**Nacisnął spust.**

**Rozdział 54**

**Po raz drugi w swoim życiu zrozumiałem, co to znaczy być ofiarą straszego przestępstwa, a nie detektywem prowadzącym dochodzenie.**

**Znalazłem się poza nim. Musiałem dokonać przełomu w śledztwie albo wrócić do ochotniczej pracy w szpitalu świętego Antoniego – musiałem zrobić cokolwiek, co odwróciłoby moje myśli od nieszczęścia.**

**Musiałem się czymś zająć, a jednocześnie wiedziałem, że straciłem zdolność koncentracji. Natknąłem się na sprawę szokujących morderstw w Maryland, które niepokoiły mnie z jakiegoś nieokreślonego powodu.**

**Nie zająłem się nimi. A powinienem.**

**Nie byłem sobą; byłem zagubiony. Nadal spędzałem mnóstwo**

**czasu rozmyślając o Christine, przypominając sobie wspólnie spędzone chwile.**

**Widziałem jej twarz wszędzie gdziekolwiek byłem.**

**Sampson próbował wyciągnąć mnie z tego odrętwienia. I**

**ciągnął. Razem obchodziliśmy ulice Southeast. Rozpuściliśmy wieść, że szukamy fioletowo-niebieskiej taksówki, prawdopodobnie lewej. Pukaliśmy do wszystkich mieszkań po kolei w całej dzielnicy Shaw, gdzie zamordowano Tori Glover i Marion**

**Cardinal. Znów pracowaliśmy do dziesiątej, jedenastej w nocy.**

**To nie miało znaczenia. I tak nie mogłem spać.**

**Dla Sampsona miało to znaczenie. Był moim przyjacielem.**

**–Powinieneś pracować nad sprawą Odenkirka, zgadza się? Ja**

**nie powinienem pracować w ogóle. Jefa trafiłyby szlag. Podoba mi się ta myśl –**

**powiedział Sampson, kiedy wleliśmy się S Street którejś nocy. Sampson mieszkał w tej dzielnicy przez wiele lat. Znał wszystkich miejscowych meneli.**

**–Jamal! – zawołał do młodzika z kocią bródką siedzącego w cieniu werandy, –**

**Wiesz coś, co ja powinienem wiedzieć?**

**–W ogóle nic nie wiem. Siedzę tu sobie i się relaksuję.**

**Studzę umysł.**

**A pan?**

**Sampson zwrócił się znów do mnie.**

**–Cholerni handlarze panoszą się tu jak szczury. Najlepsze**

**miejsce, żeby popełnić morderstwo i nie dać się złapać.**

**Rozmawiałeś ostatnio z policją bermudzką?**

**Skinąłem głową i zapatrzyłem się w jakiś punkt daleko przed sobą.**

**–Patrick Busby powiedział mi, że historia zaginięcia Christine zeszła z pierwszych**

**stron gazet. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle.**

**Prawdopodobnie źle.**

**Sampson się ze mną zgodził.**

**–Poczują się swobodniej. Wracasz tam?**

**–Jeszcze nie teraz. Ale tak, muszę tam wrócić. Muszę się**

**dowiedzieć, co się stało.**

**Zajrzał mi w oczy.**

**–Jesteś tu ze mną? Jesteś tutaj, kotku?**

**–Tak, jestem tutaj. Mniej lub bardziej. Funkcjonuję**

**normalnie. – Wskazałem pobliski budynek z czerwonej cegły. – Z okien musi być**

**widok na frontowe wejście do mieszkania dziewczyn. Wracajmy do pracy.**

**–Będę tu z tobą, jak długo zechcesz.**

**Obchodzenie ulic było teraz jedyną czynnością, jaką mogłem**

**wykonywać bez przymusu. Tego wieczoru rozmawialiśmy ze wszystkimi**

**mieszkańcami budynku, którzy byli w domu, mniej więcej z połową lokatorów.**

**Nikt nie widział fioletowo – niebieskiej taksówki, nikt nie widział Tori ani Marion.**

**A przynajmniej nikt się do tego nie przyznawał.**

**–Widzisz w tym jakiś sens? – zapytałem Sampsona, kiedy**

**schodziliśmy stromymi schodami z czwartego piętra. – Co przeoczyłem? Jaki błąd**

**popełniam?**

**–Nie popełniasz żadnego błędu, Alex. I niczego nie przeoczyłeś. Łasica nie**

**pozostawił śladu. Jak zwykle.**

**W bramie spotkaliśmy starszego mężczyznę obładowanego torbami ze Stop**

**Shop.**

**–Jesteśmy detektywami wydziału zabójstw – powiedziałem. – Dwie dziewczyny**

zostały zamordowane w budynku po drugiej stronie ulicy.

Mężczyzna skinął głową.

–Tori i Marion. Znałem je. Interesuje was ten facet, który obserwował budynek? Siedział tam przez większą część nocy. W takim eleganckim, fikuśnym samochodzie – powiedział. – Chyba był to czarny mercedes. Myślicie, że może być mordercą?

Rozdział 55

–Trochę mnie nie było, rozumiecie? Pojechałem w odwiedziny do sióstr w Północnej Karolinie. Tydzień wspominków i domowego żarcia – mówił starszy pan, kiedy wspinaliśmy się z powrotem na czwarte piętro. – Dlatego nie rozmawiałem z panami detektywami, którzy byli tu wcześniej.

Oto zalety starej szkoły policyjnej, myślałem mijając kolejny podest, robota, jakiej większość detektywów stara się uniknąć.

Mężczyzna nazywał się DeWitt Luke i był emerytowanym pracownikiem Bell Atlantic, wielkiej firmy telekomunikacyjnej obsługującej cały Północny Wschód. Był naszym pięćdziesiątym trzecim rozmówcą w Shaw.

–Zobaczyłem, jak tam siedzi, około pierwszej w nocy. Najpierw myślałem, że na kogoś czeka. Ale o drugiej nadal tam siedział. W swoim samochodzie. Trochę mi się to wydało dziwne. – Umilkł na dłuższą chwilę, jakby próbował sobie wszystko dobrze przypomnieć.

–Co było potem? – ponagliłem go.

–Zasnąłem. Ale gdzieś koło trzeciej trzydzieści wstałem, żeby się odlać.

Gość nadal siedział w tym błyszczącym czarnym wozie. Tym razem to mu się przyjrzałem. Gapił się na coś po drugiej stronie ulicy. Jak jakiś pieprzony tajniak albo co? Nie wiedziałem, na co tak patrzy, ale nie odrywał od tego wzroku. Myślałem, że może jest z policji. Ale na to miał za dobry samochód.

–Tu się pan nie myli – powiedział Sampson i parsknął śmiechem. – W życiu nie miałem mercedesa.

–Przysunąłem sobie krzesło pod okno i patrzyłem, Nie zapaliłem światła, żeby gość mnie nie zobaczył. Pamiętacie taki film Okno na podwórze?

Zastanawiałem się, dlaczego on tak siedzi i czeka. Zazdrosny kochaś, zazdrosny mąż, a może jakiś nocny marek. Ale on tylko siedział i nikogo nie niepokoił.

–Nie przyjrzał mu się pan? – zapytałem znowu.

–Mniej więcej wtedy, gdy szedłem się wysikać, wysiadł z wozu. Otworzył drzwi, ale światełko wewnątrz się nie zapaliło. To mi się wydało dziwne, no bo taki elegancki samochód i w ogóle... To mnie jeszcze bardziej zaciekawiło. Przyjrzałem mu się dobrze.

–Kolejna pauza.

–No i?

–To był wysoki blondyn. Biały gość. Niewielu ich tu widzujemy w nocy, ani nawet w dzień, jeżeli już o tym mowa.

Rozdział 56

**Patsy Hampton robiła wyraźne postępy w sprawie morderstw Jane Doe. Była pewna, że trafiła w dziesiątkę. Wierzyła w swoje umiejętności śledcze. Wiedziała z doświadczenia, że jest mądrzejsza od innych.**

**Fakt, że miała poparcie Pittmana i wszystkie środki wydziału do swojej dyspozycji, działał na jej korzyść. Spędziła półtora dnia z Chuckiem Hufstedlerem w kwaterze F-Bi-al. Zdawała sobie sprawę, że trochę go wykorzystuje, ale on nie zgłaszał pretensji. Był samotny, a ona lubiła jego towarzystwo.**

**Siedzieli razem przy komputerze, kiedy Lancelot ponownie zgłosił się do chatroomu. Była piętnasta trzydzieści.**

**–Nie wytrzymał – zwróciła się do Hufstedlera. – Mam cię, świrusie! Hufstedler spojrział na nią spod uniesionych brwi.**

**–Trzecia trzydzieści, Patsy. Co ci to mówi? Możliwe, że gra w pracy.**

**Ale założę się, że nasz Lancelot chodzi jeszcze do szkoły.**

**–Albo lubi grać z dziećmi. – Zdenerwowała się na samą myśl o tym.**

**Tym razem nie próbowała się skontaktować z Lancelotem. Słuchała tylko ogłupiającej dyskusji o grach RPG, podczas gdy Chuck próbował zlokalizować Lancelota.**

**–Dobry jest, prawdziwy haker. Zabezpieczył się na wszystkie strony. Ale my go dostaniemy, prędzej czy później.**

**–Wierzę w ciebie, Chuck.**

**Lancelot został w chatroomie do czwartej trzydzieści. Potem było po wszystkim. Chuck miał już jego nazwisko i adres: Michael Ormson, Hutchins Place, Foxhall.**

**Kilka minut przed siedemnastą dwa granatowe mikrobusy zajechały przed dom w Georgetown. Pięciu agentów w kurtkach F-Bi-al rozstawiło się wokół dużego domu w stylu Tudorów z rozległymi trawnikami i pięknym widokiem na okolicę.**

**Hampton z agentką F-Bi-al Brigid Dwyer podeszła do frontowych drzwi, które okazały się otwarte. Weszły cicho do środka z bronią gotową do strzału i zaskoczyły Lancelota w jego kryjówce.**

**Wyglądał na trzynaście lat. Szczeniak! Siedział przed komputerem w szortach i czarnych skarpetkach.**

**–Hej, co się dzieje? Hej! Co robicie w moim domu? Nie zrobiłem nic złego. Kim jesteście? – pytał Michael Ormson piskliwym, zaczepnym, ale drżącym głosem.**

**Był chudy. Twarz pokrywał mu młodzieńczy trądzik. Wypryski miał również na karku i ramionach. Chuck Hufstedler trafił w dziesiątkę.**

**Lancelot był uczniakiem, który po szkole gra na wyrafinowanym komputerze. Nie był Łasicą. Ten chłopiec nie mógł być Łasicą.**

**–Michael Ormson? – zapytała Patsy Hampton. Opuściła broń, ale nie schowała jej do kabury.**

**Chłopiec spuścił głowę i wyglądało na to, że zaraz się rozplacze.**

**–O Boże, Boże! – wyjęczał. – Tak, nazywam się Michael Ormson. Kim jesteście?**

## **Powiecie moim rodzicom?**

### **Rozdział 57**

**Rodzice Michaela zostali powiadomieni natychmiast: ojciec w szpitalu uniwersyteckim Georgetown, matka w obserwatorium morskim.**

**Ormsonowie byli w separacji, ale dotarli do Foxhall w niecałe dziesięć minut, mimo godzin szczytu. Pozostałe dzieci;**

**Laura i Anne Marie, wróciły już do domu ze szkoły.**

**Patsy Hampton przekonała rodziców, że lepiej będzie, jak porozmawia z ich synem na miejscu, w domu. Powiedziała Ormsonom, że mogą być obecni przy przesłuchaniu, mogą wpływać na jego przebieg, a nawet je przerwać, jeżeli uznają to za stosowne. W innym wypadku będzie musiała zabrać Michaela do siedziby F-Bi-al na przesłuchanie.**

**Ormsonowie uznali, że lepiej, aby Michael mówił. Byli przerażeni, zwłaszcza obecnością personelu F-Bi-al, ale zdawali się ufać Patsy Hampton.**

**Jak większość ludzi, o czym Patsy świetnie wiedziała. Była ładna, szczerą i miała rozbijający uśmiech, który działał cuda.**

**–Interesuje mnie gra o nazwie Czterej Jeźdźcy – zwróciła się do chłopca. – Tylko z tego powodu tu jestem, Michael. Potrzebna mi twoja pomoc.**

**Nastolatek ponownie opuścił głowę na piersi i potrząsał nią nerwowo.**

**Hampton obserwowała go przez chwilę, po czym postanowiła zaryzykować.**

**–Michael, cokolwiek złego zrobiłeś, dla nas to bez znaczenia. Kompletnie bez znaczenia. Nie obchodzi nas, co zmagistrowałeś ze swoim komputerem. To w ogóle nie ma nic wspólnego z tobą ani z twoją rodziną. W Waszyngtonie miała miejsce seria strasznych morderstw, być może powiązanych z grą o nazwie Czterej Jeźdźcy. Proszę, pomóż nam Michael. Jesteś jedynym człowiekiem, który może to zrobić. Jedynym.**

**Mark Ormson, radiolog w szpitalu uniwersyteckim Georgetown, pochylił się naprzód na czarnej skórzanej kanapie. Wydawał się bardziej przestraszony teraz, niż w chwili, gdy wszedł do domu.**

**–Chyba powinienem wezwać adwokata – powiedział.**

**Patsy Hampton potrząsnęła głową i uśmiechnęła się łagodnie do rodziców Michaela.**

**–Tu nie chodzi o waszego syna, drodzy państwo. Zapewniam, że nic do niego nie mamy.**

**Zwróciła się znów do nastolatka.**

**–Michael, co wiesz o Czterech Jeźdźcach? Wiemy, że nie jesteś jednym z graczy. Wiemy, że to prywatna gra.**

**Chłopiec podniósł wzrok. Patsy czuła, że ją lubi i może nawet trochę jej ufa.**

**–Prawie nic nie wiem, proszę pani.**

**Hampton skinęła głową.**

**–To dla nas bardzo ważne, Michael. Ktoś morduje ludzi w**

**Southeast -morduje ich naprawdę, Michael. To nie jest gra RPG. Myślę, że możesz nam pomóc. Ocalić wielu ludzi od strasznej śmierci.**

Michael ponownie spuścił głowę. Prawie nie spojrzął na rodziców, odkąd weszli do domu.

–Jestem dobry w komputerach. Pewnie już sami do tego doszliście.

Detektyw Hampton kiwnęła potakująco głową, zachęcając chłopca do mówienia.

–Owszem. Mieliśmy kłopoty, żeby cię namierzyć. Mój znajomy, Chuck Hufstedler z F-Bi-a jest naprawdę pod wrażeniem. Kiedy to wszystko się skończy, zaprosi cię do siebie do pracy. Spodoba ci się. Zobaczysz, jaki ma sprzęt.

Michael uśmiechnął się, ukazując duże, wystające zęby.

–Jakoś tak na początku lata, pod koniec czerwca, ten facet zgłosił się do Gamesters Chatroom, tam gdzie pani mnie znalazła.

Patsy Hampton próbowała utrzymać kontakt wzrokowy z chłopcem.

Bardzo potrzebowała jego pomocy, czuła, że dzięki niemu zrobi ogromny krok naprzód.

Michael mówił dalej cichym głosem.

–Nie dawał nikomu dojść do słowa. Okropnie zjechał

Highlandera, DD, Millenium, wszystkie najlepsze gry. Nie mogliśmy nic wtrącić.

Zupełnie jakby był na jakichś prochach, albo co. Cały czas dawał do zrozumienia, że istnieje jakaś kompletnie inna gra, w którą on gra. Czterej Jeźdźcy.

Z początku nie chciał nic o niej powiedzieć, ale potem zdradził parę szczegółów, niewiele. Gadał i gadał, jakby nie mógł przestać. – Powiedział, że postaci w Dungeons and Dragons, w Dune i w Condottiere są nudne i sztapowe i, muszę przyznać, że czasami faktycznie takie są. Potem powiedział, że niektóre postaci w jego grze są agentami zła zamiast stróżami prawa i porządku. Powiedział, że nie są wydumanymi bohaterami, jak w większości gier RPG, bardziej przypominają ludzi z rzeczywistego świata. Są egoistyczne, nie troszczą się o innych, nie przestrzegają zasad życia w społeczeństwie.

Tylko tyle powiedział nam o Czterech Jeźdźcach, ale to mi w zupełności wystarczyło.

Widać od razu, że to gra dla skończonych psycholi.

–Jak brzmi jego kryptonim? – zapytała Michaela agentka

Dwyer.

–Kryptonim czy nazwisko? – Michael rzucił jej uśmiech pełen wyższości.

Agentka Dwyer i detektyw Hampton wymieniły spojrzenia.

Kryptonim czy nazwisko? Odwróciły się do Michaela.

–Wytropiłem go tak, jak wy wytropiliście mnie. Znam jego nazwisko i wiem, gdzie mieszka. Wiem nawet, gdzie pracuje. To Shafer – Geoffrey Shafer. Pracuje w ambasadzie brytyjskiej na Massachusetts Avenue. Sprawdziłem w dyplomatycznym Kto jest kim. Jest analitykiem informacji czy kimś takim. Ma czterdzieści cztery lata.

Michael Ormson rozejrzał się głupkowato po pokoju. Nawiązał kontakt wzrokowy z rodzicami, którzy wyglądali jak ludzie, którym kamień spadł z serca. Potem spojrzął znów na Hampton.

–Czy to pani pomoże? Czy pomogłem pani?

–Tak, Zabawlot, bardzo mi pomogłeś.



## Rozdział 58

Geoffrey Shafer przysiągł sobie, że dziś nie nafaszeruje się prochami. Postanowił również, że będzie trzymać swoje fantazje na wodzy.

Doskonale wiedział, co pomyślą ci durni policyjni psychologowie: że jego urojone życie wzięło górę nad rzeczywistością, że wchodzi w fazę rozpasania. Psychologowie mieliby absolutną rację – i właśnie dlatego postanowił troszkę zwolnić, uspokoić się.

Był utalentowanym kucharzem – był utalentowany w wielu dziedzinach, jeżeli chodzi o ścisłość. Czasem przygotowywał wystawne dania dla swojej rodziny, a nawet duże obiady proszone. Gotując, lubił mieć w kuchni całą rodzinę; kochał audytorium, choćby składało się tylko z żony i dzieci.

–Dzisiaj zjemy klasyczny obiad tajski – oznajmił Lucy i dzieciom zgromadzonym przy stole. Był trochę nabuzowany i bał się, żeby sprawy nie wymknęły mu się spod kontroli. Może przed przystąpieniem do gotowania powinien wziąć valium? Jak dotąd łyknął tylko odrobinę xanaxu.

–Tym, co wyróżnia kuchnię tajską z kuchni azjatyckiej, są bardzo wyraźne zasady określające proporcje składników, zwłaszcza przypraw – powiedział, przygotowując półmisek z pokrojonymi warzywami.

–Jest to charakterystyczna kuchnia łącząca elementy kuchni chińskiej, indonezyjskiej, indyjskiej, portugalskiej. Założę się, że tego nie wiedziałyście, Tricia i Erika?

Dziewczynki roześmiały się niepewnie – dwa wcielenia swej matki.

Włożył kwiaty jaśminu we włosy Lucy. Potem po kwiatku we włosy bliźniaczek. Próbował zrobić to samo z Robertem, ale syn odsunął się ze śmiechem.

–Tylko nic ostrego, kochanie. Dzieci...! – Ostrzegła Lucy.

–Dzieci! Oczywiście, kochanie. Skoro mowa o ostrych przyprawach, cała ostrość bierze się z owocu tej oto małej papryczki chili. Papryka parzy nawet skórę, nie tylko język, więc mądrze jest nosić rękawiczki przy krojeniu. Ja nie noszę rękawiczek, ponieważ nie jestem mądry. Jestem za to odrobinę szalony. – Roześmiał się.

Wszyscy mu zawtórowali, Lucy z dość niepewną miną.

Shafer podał obiad sam, bez żadnej pomocy i oznajmił nazwę każdej potrawy, jaka wjeżdżała na stół, po tajsku i angielsku.

Plea meuk yang, lub pieczona kałamarnica. Bardzo smakowite. Mfieng kum, nadziewane pierożki, pycha! Plea yaang kaent phet, dorada z grilla w sosie chili. Wyśmienite.

Może troszkę ostre. Hm.

Patrzył z napięciem, jak ostrożnie próbują potrawy. Kiedy natrafili na doradę, popłynęły łzy. Erika zaczęła kaszleć.

–Tatusiu, to jest za ostre! – poskarżył się Robert, łapiąc powietrze otwartymi ustami.

Shafer przytaknął radośnie. Uwielbiał to – łzy, mnóstwo łez, cierpienie całej doskonałej rodziny. Rozkoszował się każdą sekundą ich cierpienia. Mimo wszystko udało mu się przekształcić rodzinny obiad w przewrotną grę.

Za piętnaście dziewiąta ucałował Lucy i wymówiwszy się obowiązkami służbowymi, zniknął z domu. Wsiadł do jaguara i przejechał kilka przecznic na Phelps Place, cichą, marnie oświetloną uliczkę.

Wziął potężną dawkę thorazine i librium, potem zrobił sobie zastrzyk z toradolu. Łyknął jeszcze jeden xanax.

A potem pojechał do swojej pani doktor.

## Rozdział 59

Shafer nie lubił cholernych, aroganckich portierów w budynku Boo Cassady i sądził, że oni odpłacają mu tym samym.

Miał ich gdzieś. Byli tępymi, ospałymi nieudacznikami, zdolnymijedynie do otwierania drzwi i przymilnych uśmiechów pod adresem obleśnych, obrosłych w tłuszcz lokatorów.

–Do doktor Cassady – oznajmił Shafer znajomemu czarnemu kretynowi z plakietką Mal przypiętą do klapy marynarki. Prawdopodobnie po to, żeby nie zapomniał, jak ma na imię.

–Jedną chwileczkę.

–Chciałeś chyba powiedzieć: Jedną chwileczkę, sir?

–Zgadza się, sir. Zadzwoń do doktor Cassady. Proszę poczekać, sir.

Shafer poprzez trzaski domofonu usłyszał głos Boo. Zostawiła przecież wyraźne polecenie, by wpuścić pana Shafera natychmiast, jak się pojawi.

Wiedziała, że przyjdzie – dzwonił do niej z samochodu.

–Może pan wejść na górę, sir – powiedział w końcu portier.

–Wiesz, Mal, pieprzę ją do utraty przytomności. – Shafer wszedł do windy tanecznym krokiem, szeroko uśmiechnięty. – Broń tych drzwi. Z narażeniem życia.

Boo była w połowie korytarza, kiedy drzwi windy otworzyły się na dziesiątym piętrze. Miała na sobie ciuchy przynajmniej za pięć tysięcy dolarów. Mogła się pochwalić naprawdę pięknym ciałem, ale w tym krzykliwym stroju wyglądała jak toreador lub liderka orkiestry dętej.

Nic dziwnego, że porzucili ją dwaj pierwsi mężowie. Ten drugi był terapeutą i praktykującym lekarzem. Ale była dobrą, stałą kochanką, która dawała o wiele więcej, niż otrzymywała w zamian. A co ważniejsze dostarczała mu thorazine, librium, ativan, xanax. Większość leków pochodziła z próbek rozdawanych lekarzom przez firmy farmaceutyczne. Drugi eks – mąż zostawił jej spory zapas, kiedy się wyprowadził. Ilość owych próbek zdumiewała Shafera, ale Boo zapewniła go, że to normalna praktyka. Miała innych „przyjaciół” lekarzy i dała Shaferowi do zrozumienia, że dostarczają jej leki w zamian za jeden czy dwa numerki. Mogła zdobyć wszystkie prochy, jakich potrzebował.

Shafer miał ochotę wziąć ją od razu w korytarzu i wiedział, że Boo spodobałaby się jego spontaniczność i namiętność, której wyraźnie brakowało jej w życiu. Ale nie dzisiaj, pomyślał. Miał pilniejsze potrzeby.

Narkotyki.

–Nie wydajesz się zachwycony moim widokiem, Geoff –  
pożaliła się.

Ujęła jego twarz w wypielęgnowane dłonie. Chryste, jej długie, krwistoczerwone paznokcie mogły naprawdę przerazić.

–Co się stało, kochanie? Widzę przecież. Powiedz swojej Boo.

Shafer wziął ją w ramiona i przycisnął mocno. Miała duże miękkie piersi i wspaniałe nogi. Gładził jej lakierowane jasne włosy, pieścił podbródkiem. Świadomość władzy, jaką miał nad Boo, dawała mu prawdziwą rozkosz.

–Nie chcę jeszcze o tym mówić. Jestem z tobą. Już czuję się lepiej.

–Co się stało, kochany? Musisz mi o wszystkim mówić.

Więc na oczekaniu wymyślił historię, odegrał ją. Nie sprawiło mu to najmniejszej trudności.

–Lucy twierdzi, że wie o nas. Boże, miała paranoję, zanim zacząłem się z tobą spotykać. Teraz grozi, że zniszczy mi życie. Że mnie zostawi, obedrze z tych groszy, jakie mam. Jej ojciec załatwi mi zwolnienie z pracy, wyśle za mną wilczy bilet do sektora rządowego i prywatnego, a ma takie możliwości. Najgorsze jest to, że nastawia dzieci przeciwko mnie.

Używają tych samych pogardliwych zwrotów, co ona:  
nieudacznik, kompletne zero, idź do prawdziwej pracy, tato.

Czasem zastanawiam się, czy nie mają racji.

Boo pocałowała go lekko w czoło.

–Nie, nie, kochany! Jesteś ceniony w ambasadzie. Wiem, że jesteś kochającym ojcem. Po prostu twoja żona jest złośliwą sekutnicą, która się na tobie wyładowuje. Nie pozwól jej na to.

Wiedział, co Boo chce teraz usłyszeć, więc powiedział:

–To już nie potrwa długo. Zamierzam skończyć z żoną sekutnicą. Przysięgam na Boga, Boo. Kocham cię i wkrótce zostawię Lucy.

Patrzył na jej twarz z grubym pokładem makijażu. Patrzył, jak łzy wzbierają w jej oczach, a twarz traci piękno.

–Kocham cię, Geoff – wyszeptała, a Shafer uśmiechnął się, jakby to wyznanie sprawiło mu przyjemność.

Boże, był w tym dobry.

W kłamstwach.

Fantazjach.

Udawaniu kogoś innego.

Rozpiął górny guzik jedwabnej bluzki Boo, rozgniółł dłonią pierś, potem zaniósł panią doktor do mieszkania, na kanapę.

–To jest najlepsza terapia – wyszeptał namiętnie do ucha Boo. – Niczego więcej mi nie potrzeba.

Rozdział 60

Wstałem przed piątą. Musiałem zadzwonić do inspektora Patricka Busby na Bermudach. Gdybym mógł, dzwoniłbym do niego codziennie albo jeszcze częściej, ale zdawałem sobie sprawę, że to pogorszyłoby tylko sprawę, doprowadziło do

napięć w stosunkach z miejscową policją. Busby uznałby to za dowód braku zaufania do jego umiejętności.

–Patrick? Tu Alex Cross z Waszyngtonu. Nie przeszkadzam? Możesz poświęcić mi chwilę? – Staralem się, żeby mój głos brzmiał możliwie pogodnie.

W rzeczywistości byłem zgnębiony. Wstałem o piątej, zjadłem śniadanie z Naną, a potem spacerowałem po domu, czekając niecierpliwie aż wybije ósma trzydzieści i będę mógł zadzwonić na posterunek w Hamilton.

Busby był sumiennym policjantem, zjawiał się w pracy o ósmej.

Miałem go przed oczami, kiedy z nim rozmawiałem, chudego, żylastego faceta. Wyobraziłem sobie kanciapę, w której pracuje. Widziałem Christine na rowerze, machającą do mnie na pożegnanie w piękne, słoneczne popołudnie.

–Mam kilka informacji od znajomego z Interpolu. – Powiedziałem mu o uprowadzeniu przed kilkoma miesiącami jednej kobiety na Jamajce i drugiej na Barbados. Oba zniknięcia były podobne, choć nie identyczne. Nie sądziłem, żeby te trzy sprawy były ze sobą powiązane, ale chciałem podsunąć mu coś, cokolwiek.

Patrick Busby był rozsądnym i cierpliwym człowiekiem, wysłuchał w milczeniu wszystkiego, co miałem do powiedzenia, zanim zadał mi swą zwykłą liczbę logicznych pytań. Jak na policjanta był zbyt uprzejmy.

Ale przynajmniej się nie poddawał.

–Zakładam, że uprowadzonych kobiet nie odnaleziono.

–Nie. Żadnej już nigdy nie widziano. Przepadły bez śladu.

Są nadal na liście zaginionych.

Westchnął do słuchawki.

–Mam nadzieję, że ta informacja okaże się pomocna, Alex, w taki czy inny sposób. Na pewno zadzwonię na te dwie wyspy i dowiem się czegoś więcej. Jeszcze jakieś informacje z Interpolu albo z F-Bi-al?

Chciałem zatrzymać go na linii – na linii życia, tak o tym myślałem.

–Kilka podobnych spraw na Dalekim Wschodzie, w Bangkoku, na Filipinach, w Malezji. Kobiety uprowadzone i zamordowane, same Jane Doe.

Jeżeli mam być szczery, nic obiecującego.

Oczami duszy widziałem, jak wydyma cienkie wargi i kiwa głową w zamyśleniu.

–Rozumiem, Alex. Będę wdzięczny za każdą informację z twoich źródeł. Nam trudno uzyskać wsparcie spoza wyspy. Moje prośby o pomoc często spotykają się z odmową. Szczerze pragnąłbym przekazać ci dobrą wiadomość, ale niestety nie mogę. Z wyjątkiem Perri Grahama, nikt nie widział mężczyzny w furgonetce. Nikt nie widział Christine Johnson w Hamilton ani St. George. To mnie naprawdę zdumiewa. Nie wierzę, żeby w ogóle tam dotarła. Dla nas to również frustrujące. Modłę się za ciebie, za twoją wspaniałą rodzinę, no i oczywiście za Johna Sampsona.

Podziękowałem Patrickowi Busby i odwiesiłem słuchawkę.

Poszedłem na górę i ubrałem się do pracy.

Nadal nie miałem żadnych konkretów w sprawie morderstwa Franka Odenkirka, a Jefe nękał mnie codziennie za pośrednictwem poczty elektronicznej. Dobrze

wiedziałem, co czuje rodzina Odenkirka.

Zainteresowanie mediów zabójstwem szczęśliwie opadło, jak to się często zdarza. Na nieszczęście wygasło również zainteresowanie „Postu” nie rozwiązanymi morderstwami w Southeast.

Biorąc gorący prysznic, rozmyślałem o DeWitt Lukeu i jego tajemniczym obserwatorze na S Street. Co robił tam tak długo mężczyzna w mercedesie? Miał jakiś związek ze śmiercią Tori Glover i Marion Cardinal?

Wszystko to nie trzyma się kupy. Zabójstwa Jane Doe nie trzymają się kupy. Łasica nie jest podobny do innych seryjnych morderców. Nie jest kryminalnym geniuszem jak Gary Soneji, ale jest skuteczny. Po prostu załatwia sprawę bezbłędnie.

Muszę to sobie dobrze przemyśleć. Dlaczego ktoś czatował pod domem Tori Glover? Prywatny detektyw? Maruder? Morderca? Nagle zastanowiła mnie pewna ewentualność. Może mężczyzna w samochodzie był współnikiem zabójcy? Dwóch morderców pracujących razem? Zetknąłem się z czymś takim w Karolinie Północnej.

Rozkręciłem kurki z nadzieją, że gorąca woda pomoże mi się skoncentrować. Rozpuści wąte, jaką miałem w głowie. Wyrwie z krainy umarłych.

Nana zaczęła walić w rury na dole.

–Wychodź stamtąd, Alex! Zużyjesz mi całą ciepłą wodę – wrzasnęła, przekrzykując szum wody.

–Na rachunku za prąd i wodę figuruje moje nazwisko – odkrzyknąłem.

–Ja rządę gorącą wodą. Tak zawsze było i zawsze będzie – odparła Nana.

Rozdział 61

Co noc wychodziłem na ulice Southeast, pracowałem z coraz większym wysiłkiem, ale bez większych rezultatów. Kontynuowałem poszukiwanie fioletowo – niebieskiej taksówki i najnowszego modelu czarnego mercedesa, którego Luke widział na S Street.

Czasem miałem wrażenie, że żyję w lunatycznym śnie, ale robiłem to dalej, starając się jeszcze bardziej zwiększyć tempo. Wszystko w tym śledztwie opierało się na daleko idących domysłach i marnych poszlakach.

Codziennie otrzymywałem informacje, które należało sprawdzać, ale które prowadziły do nikąd.

Tego wieczoru wróciłem do domu parę minut po szóstej, na ostatnich nogach, ale mimo zmęczenia pozwoliłem dzieciom zawlec się do piwnicy na lekcję boksu. Damon wykazywał dużą szybkość uderzeń, niezłą pracę nóg i siłę jak na swój wiek: Rozumiał przy tym ducha sportu i wiedziałem, że nie użyje swoich umiejętności w szkole.

Jannie była bardziej studentką boksu, chociaż zdawała się doceniać korzyści płynące z umiejętności samoobrony. Szybko opanowywała techniki walki, nawet jeżeli nie wkładała w nią całego serca. Wolą torturować mnie i swojego brata żądełkami dowcipu.

–Alex, telefon! – zawołała Nana ze szczytu piwnicznych schodów.

Spojrzałem na zegarek. Za dwadzieścia ósma.

–Poćwiczcie pracę nóg – powiedziałem dzieciom i wspiałem

się na strome betonowe schody. – Kto dzwoni?

–Nie podał nazwiska – odparła Nana, wracając do kuchni.

Przygotowywała na kolację kukurydzianą zapiekankę z krewetkami. Kuchnię wypełniał cudowny zapach piernika i jabłek pieczonych w miodzie. Nana czekała z kolacją, aż wróćę do domu.

Podniosłem słuchawkę z kuchennego stołu.

–Alex Cross.

–Wiem, kim pan jest, detektywie Cross. – Natychmiast rozpoznałem głos, chociaż słyszałem go tylko raz w życiu: w Hotelu Belmont na Bermudach. Przeniknął mnie dreszcz.

–Na Fourth Street przed tanią drogerią jest płatny telefon. Pani Johnson jest bezpieczna, na razie. Mamy ją. Ale niech się pan pośpieszy! Może ona dzwoni tam teraz! Mówię poważnie. Niech się pan śpieszy!

Rozdział 62

Wyprysnąłem tylnymi drzwiami, nie mówiąc słowa Nanie i dzieciom.

Nie miałem czasu na wyjaśnienia. Poza tym, nie wiedziałem właściwie, co się dzieje. Czy rozmawiałem z Łasicą?

Niech się pan pośpieszy! Może ona dzwoni tam teraz? Mówię poważnie.

Pędem przebyłem Fifth Street i boczną alejką na skróty dostałem się na Fourth. Potem jeszcze cztery przecznice na południe w stronę Anacostii.

Ludzie oglądali się za mną. Byłem jak tornado mknące przez Southeast.

Dostrzegłem metalową budkę na długo zanim jej dopadłem. Jakaś dziewczyna ze słuchawką przy uchu stała oparta plecami o ścianę drogerii.

Jeszcze w biegu wyciągnąłem z kieszeni policyjną odznakę.

Wiedziałem, że mnóstwo ludzi z sąsiedztwa używa tego telefonu z braku własnego.

–Policja! Wydział zabójstw. Proszę się rozłączyć!

Potrzebuję tego telefonu! – rozkazałem dziewczynie, która wyglądała na dziewiętnaście lat.

Popatrzyła na mnie jak ktoś, kto ma w głębokim poważaniu potrzeby policji.

–Teraz ja korzystam z telefonu. Nie obchodzi mnie, kim pan jest.

Może pan poczekać w kolejce jak każdy. – Odwróciła się do mnie plecami.

–Zadzwoń pan do swojej dziewczyny, jak ja skończę.

Wyrwałem jej słuchawkę z ręki, rozłączyłem rozmowę.

–Kurde, co pan sobie myśli! – krzyknęła z twarzą

wykrzywioną gniewem. – Rozmawiałam! Co pan sobie w ogóle wyobraża?!

–Zjeżdżaj stąd! To sprawa życia i śmierci. Odejdź od tego telefonu.

Jazda! Ale już! – Nie miała zamiaru ruszyć się z miejsca. – Porwano kobietę! – darłem się jak opętany.

Cofnęła się w końcu. Bała się, że ma do czynienia z wariatem i może faktycznie miała.

Stałem z dłonią na słuchawce, drżąc. Czekałem na telefon, czułem jak pot. Okrywa moje ciało.

Wzrokiem omiotłem ulicę.

Nic podejrzanego. Ani śladu fioletowo – niebieskiej

taksówki. Nikt mnie nie obserwował. A jednak ktoś wiedział, kim jestem. Człowiek, który zadzwonił do hotelu Belmont; człowiek, który zadzwonił do mojego domu.

Jego słowa nadal dźwięczały mi w uszach. Słyszałem ten głęboki, szatański głos od tygodni.

Jest bezpieczna, na razie.

Mamy ją.

Aż do dzisiaj była to jedyna wiadomość, jaką porywacz przekazał mi przez sześć tygodni.

Słyszałem walenie własnego serca, jakby zwielokrotnione echem, szum krwi w żyłach. Nie mogłem tego znieść. Przecież rozmówca kazał mi się pośpieszyć!

Do telefonu podszedł młody człowiek. Popatrzył na moją dłoń na słuchawce.

–Co jest, facet? Muszę zadzwonić. Telefon. Słyszysz mnie, facet?

–Proszę odejść! To sprawa policyjna, – Zmierzyłem go twardym wzrokiem. –

Odejdź!

–Nie wygląda mi to na sprawę policyjną – mruknął młody człowiek.

Odszedł, oglądając się przez ramię z grymasem niechęci, ale najwyraźniej nie zamierzał szukać ze mną zwady.

Rozmówca chciał całkowicie panować nad sytuacją, myślałem stojąc bezradnie przed drogerią. Kazał mi czekać tak długo od tamtego pierwszego telefonu właśnie po to, żeby zademonstrować swoją władzę. Teraz robił to samo. Czego naprawdę chciał? Dlaczego porwał Christine? Mamy ją, powiedział wtedy i powtórzył te same słowa dzisiaj. Czy istnieli jacyś „my”?

Kto za nim stał? Czego chcieli ode mnie ci ludzie?

Tkwiłem przy telefonie dziesięć, piętnaście, dwadzieścia

minut. Czuję, że tracę rozum, ale stałbym tak przez całą noc, gdybym musiał.

Zacząłem się bać, że to nie ten aparat, chociaż udzielone spokojnym, rzeczowym tonem instrukcje rozmówcy były zupełnie jasne.

Po raz pierwszy od tygodni pozwoliłem odrozdzić się nadziei, że Christine żyje. Zobaczyłem jej twarz, jej brązowe oczy, w których malowało się tyle miłości i ciepła, Może pozwolą mi z nią porozmawiać.

Poczułem wzbierający gniew na nieznanego rozmówcę, ale szybko go zdławiłem, opanowałem emocje i czekałem, starając się zachować spokój.

Ludzie wchodzili i wychodzili z drogerii. Czasem ktoś chciał skorzystać z telefonu. Rzucił mi jedno spojrzenie i szedł szukać innej budki.

Za pięć dziesiątą telefon zadzwonił. Natychmiast podniosłem słuchawkę.

–Tu Alex Cross.

–Tak, wiem, kim jesteś. To już zostało ustalone. A teraz

powiem, co masz zrobić. Wycofać się. Po prostu się wycofać. Zanim stracisz wszystko, co kochasz. To się może stać tak łatwo. W jednej chwili. Jesteś dość mądry, by to rozumieć, prawda?

Rozmówca się rozłączył. Linia była głucha, Walłem słuchawką w kadłub aparatu i

kłamię w żywe kamienie. Kierownik drogerii wyszedł ze sklepu i patrzył na mnie uważnie.

–Idę zadzwonić na policję – powiedział. – To jest publiczny telefon.

Nie raczyłem mu nawet powiedzieć, że policja już tu jest.

Rozdział 63

Czy to dzwonił Łasica? Miałem do czynienia z jednym mordercą czy z przestępczą grupą?

Gdybym tylko potrafił wypracować jakąś teorię dotyczącą tożsamości rozmówcy, tajemniczego „my”...! Wiadomość przeraziła mnie tak samo jak pierwsza, może nawet bardziej, ale równocześnie dała nadzieję, że Christine żyje.

Wraz z nadzieją wrócił ostry ból. Gdyby tylko pozwolili mi z nią porozmawiać! Musiałem usłyszeć jej głos.

Czego chcieli? Wycofaj się. Z czego miałem się wycofać?

Z dochodzenia w sprawie Odenkirka? Ze śledztwa Jane Doe? Z

prób odnalezienia Christine? Czyżby F-Bi-al wpadło na trop grupy i było tak blisko, że zaniepokoiło jej członków? Nie szykowało się rozwiązanie żadnej ze spraw i zdawałem sobie sprawę, że czas gra w tym przypadku decydującą rolę.

W środę rano pojechaliśmy z Sampsonem do Eckington. Mieszkała tam kobieta, która twierdziła, że zna miejsce postoju fioletowo – niebieskiej taksówki. Sprawdziliśmy już tuzin takich informacji i zamierzaliśmy sprawdzić każdą następną, niezależnie od tego, ile ich jeszcze będzie.

–Właściciel taksówki nazywa się Arthur Marshall – powiedziałem Sampsonowi, kiedy szliśmy w stronę kamienicy, która pamiętała lepsze czasy. – Kłopot w tym, że to fałszywe nazwisko. Gospodyni twierdzi, że ten Marshall pracuje w sklepie Targeta. Target twierdzi, że nie zatrudnia nikogo o tym nazwisku i nigdy nie zatrudniał. Gospodyni przyznaje, że nie widziała go od pewnego czasu.

–Może go przestraszyliśmy.

–Mam nadzieję, że nie.

Rozejrzałem się po ulicy zamieszkannej przez niższą klasę

średnią. Bezchmurne niebo rozpościerało się nad nami niby błękitna płachta.

Jedno – i dwupiętrowe domy, zbudowane ciasno przy sobie, ciągnęły się po obu stronach ulicy. Jaskrawopomarańczowe ulotki powiewały ze skrzynek na listy. Każde okno mogło być punktem obserwacyjnym Łasicy. Wycofać się, ostrzegł.

Nie mogłem. Nie po tym, co zrobił. Zdawałem sobie jednak sprawę, że wiele ryzykuję.

Prawdopodobnie zauważył, że przeczesujemy okolicę. Był odpowiedzialny za morderstwa Jane Doe, przez długi czas działał nie zauważony.

Był skuteczny, dobry w zabijaniu, dobry w zacieraniu śladów.

Właścicielka mieszkania powiedziała nam wszystko, co

wiedziała o Arthurze Marshallu, czyli tyle, ile on sam jej powiedział, wynajmując kawalerkę z garażem. Dała nam zestaw kluczy i wyprawiła do sąsiedniego domu.

Był podobny do domu gospodyni z tą tylko różnicą, że został pomalowany na niebiesko jak wielkanocne jajko. Najpierw sprawdziliśmy garaż.



Stała w nim fioletowo – niebieska taksówka.

Arthur Marshall powiedział gospodyni, że jest właścicielem wozu i pracuje na pół etatu. Było to możliwe, ale mało prawdopodobne. Łasica był blisko. Czułem to bardzo wyraźnie. Czy wiedział, że znajdziemy taksówkę?

Najprawdopodobniej tak. Co teraz? Co dalej? Na czym polegał jego plan? Jego fantazja?

–Trzeba się zastanowić, jak ściągnąć tu techników – zwróciłem się do Sampsona. – Coś musi być w taksówce albo w mieszkaniu na górze.

Włosy, włókna, odciski.

–Oby nie części ciała – mruknął Sampson z grymasem. Był to klasyczny policyjny żart, tak typowy, że nie zwróciłem na niego uwagi.

–W takich miejscach zawsze poniewierają się ludzkie szczątki, Alex. Nie chcę ich oglądać. Wolę, żeby stopy były dołączone do kostek, głowy do szyi, nawet jeżeli wszystko razem jest martwe.

Sampson przeszukiwał wnętrze taksówki.

–Papiery w schowku. Opakowania po czekoladkach i gumie do żucia.

Może poprosimy Kyle, o Craiga? Ściągniemy tu F-Bi-a?

–Rozmawiałem już z Craigem wczoraj wieczorem – odparłem. – Biuro jest zaangażowane od jakiegoś czasu. Pomogą nam, jak tylko o to poprosimy.

Sampson rzucił mi parę rękawiczek i przystąpiłem do oględzin tylnego siedzenia taksówki. Na tapicerce zauważyłem plamy, przypominające krew. Łatwo to będzie ustalić.

Zakończywszy oględziny taksówki poszliśmy, do mieszkania nad garażem. Było zakurzone, posępne, umeblowane tylko najniezbędniejszymi sprzętami i bardzo nieprzytulne. Jeżeli ktoś tu mieszkał, musiał być bardzo dziwnym lokatorem. Co stwierdziła już gospodyni.

Kuchnia była prawie pusta. Jedynym osobistym akcentem była luksusowa sokowirówka. Żadna tam taniocha – najlepszy model. Wyjąłem chusteczkę i owinąwszy rękę, otworzyłem lodówkę. Nie było w niej nic poza butelką wody mineralnej i przywędłymi owocami. Gniły już i wzdrygnąłem się na myśl, co jeszcze znajdziemy w tym mieszkaniu.

–Zdrowotny świr – podsunął Sampson.

–W każdym razie świr. Wyczuwam tu zwierzęcy strach. Ten gość jest strasznie spięty, podniecony, kiedy tu przychodzi.

–Aha – powiedział Sampson. – Znam to uczucie.

W sypialni stało tylko wąskie łóżko i dwa tapicerowane krzesła. Tu również dawało się wyczuć strach.

Otworzyłem drzwi szafy i zmartwiałem. W środku znajdowała się para spodni khaki, niebieska koszula, granatowy blezer – i coś jeszcze.

–John, chodź tutaj! – zawołałem. – John!

–O kurde! Muszę? Tylko żadnych zwłok!

–Po prostu chodź tu. To on! To jest mieszkanie Łasicy.

Jestem pewny.

To gorsze niż zwłoki.

Otworzyłem drzwi szerzej, żeby Sampson mógł zobaczyć znalezisko.

–Cholera! – jęknął. – Kurde, Alex!

Ktoś wykleił tył szafy biało – czarnymi fotografiami. I nie

był to ołtarzyk poświęcony zabójcy. Ta wystawa została przygotowana specjalnie dla mnie.

Zdjęcia przedstawiały Nanę, Damona, Jannie, mnie i Christine.

Christine śmiała się wprost w obiektyw tym wspaniałym uśmiechem, tymi pięknymi, przyjaznymi oczami.

Fotografie zrobiono na Bermudach. Zrobił je człowiek, który wynajmował to mieszkanie. W końcu mogłem powiązać porwanie Christine z morderstwami w Waszyngtonie. Wiedziałem, kto ją porwał.

Wycofaj się.

Zanim stracisz wszystko.

Znowu poczułem strach. Tym razem mój własny.

Rozdział 64

Patsy Hampton uznała, że nie jest jeszcze gotowa zwierzyć się ze swych dokonań Georgeowi Pittmanowi. Nie chciała, żeby Jefe ją kontrolował i ograniczał w jakikolwiek sposób. Nie mówiąc o tym, że zwyczajnie mu nie ufała, nie lubiła padalca.

Nadal nie podjęła decyzji w sprawie Aleksa Crossa. Cross stanowił pewną komplikację. Im dogłębniej go sprawdzała, tym lepiej wypadał.

Wychodziło na to, że jest świetnym, oddanym pracy detektywem i czuła się paskudnie, ukrywając przed nim rewelacje Chucka Hufstedlera. Chuck był jego źródłem, odbiła go Crossowi, wykorzystując fakt, że komputerowiec czuł do niej miętę.

Późnym popołudniem podjechała. Dżipem pod ambasadę brytyjską. Wzięła Geoffreya Shafera pod dyskretną obserwację – swoją własną. Bez trudu uzyskałaby posiłki, ale musiałyby zgłosić się po nie do Pittmana. A Patsy nie chciała, żeby ktokolwiek się do niej wtrącał.

Zrobiła wstępne rozpoznanie Shafera. Pracował w Security Service, co oznaczało, że działa w wywiadzie brytyjskim poza Anglią.

Najprawdopodobniej był szpiegiem operującym z ambasady na Massachusetts Avenue.

Cieszył się dobrą reputacją. Obecnie pracował przy rządowym programie ochrony praw człowieka, czyli nie robił nic. Mieszkał w Kaloramie, w domu, którego nie mógłby utrzymać z urzędniczej pensji. Kim więc był kolega Shafer?

Hampton siedziała w samochodzie zaparkowanym przed ambasadą na California Street. Paliła marlboro light i robiła rachunek sumienia. Naprawdę powinna porozmawiać z Crossem o śledztwie. Może wiedział coś, co pchnęłoby sprawę

naprzód? Może on też natknął się na Shafera? To kryminal, że nie skontaktowała się z Crossem, nie przekazała mu informacji uzyskanych od Chucky Cheesea.

Uczucia Pittmana wobec Crossa były powszechnie znane: uważał go za rywala. Patsy nie wiedziała, co na ten temat sądzi Cross, ale nie dało się zaprzeczyć, że często trafiał na pierwsze strony gazet. Tak czy inaczej, chciała dowiedzieć się, co działał Cross, a zwłaszcza, czy na jego radarze pojawił się Geoffrey Shafer.

Po drugiej stronie California Street odbywały się roboty drogowe i panował potworny jazgot. Hampton rozboleła od tego głowa. Całe jej życie było jednym wielkim bólem głowy i marzyła już tylko o tym, żeby robotnicy przestali wiercić, piłować i walić młotem. Z takiej czy innej przyczyny wokół National Mosque przewalały się dzisiaj tłumy ludzi.

Parę minut po siedemnastej Shafer wszedł do jaguara na parkingu przed szklaną rotundą.

Widziała go po raz trzeci w życiu. Był w bardzo dobrej formie, atrakcyjny, chociaż nie w jej typie. Opuścił miejsce pracy równo z wybiciem godziny siedemnastej. Miał coś do załatwienia albo nienawidził tego, co robi.

Patsy doszła do wniosku, że pewnie jedno i drugie.

Jechała w bezpiecznej odległości za jaguarem zatłoczoną

Massachusetts Avenue. Shafer nie kierował się do domu, nie jechał również do Southeast.

Gdzie udamy, się dzisiaj? – zastanawiała się, trzymając się na ogonie jaguara.-I co to ma wspólnego z Czterema Jeźdźcami? Jaką ty grę prowadzisz, facet? Co ci chodzi po głowie? Jesteś złym człowiekiem, Geoffrey?

Jesteś mordercą? Nie wyglądasz na to, blondasie, I, jak na parszywego zabójcę, masz za dobry samochód.

Rozdział 65

Po pracy Geoffrey Shafer wpadł w zatkaną arterię, jaką w godzinach szczytu stawała się Massachusetts. Okrążając budynek ambasady, dostrzegł czarnego dżipa.

Ogon ciągnął się za nim, kiedy posuwał się Massachusetts Avenue.

–Kto jest w dżipie? Któryś z graczy? Policja? Detektyw Alex Cross?

Znaleźli garaż w ECKINGTON. Teraz znaleźli mnie. To musi być cholerna policja.

Obserwował czarnego dżipa trzymającego się cztery samochody za nim.

W środku znajdowała się tylko jedna osoba, chyba kobieta.

Przecież nie Lucy?! Czy to możliwe, żeby dowiedziała się prawdy?

Boże, czyżby w końcu odkryła, kim i czym jest jej mąż?

Sięgnął po komórkę i zadzwonił do domu. Lucy odebrała po kilku sygnałach.

–Kochanie, wracam jednak do domu. W biurze nic się nie dzieje.

Możemy zamówić coś do jedzenia, chyba że ty i dzieci macie już jakieś plany.

Paplała w swój zwykły irytujący sposób. Wybierali się do kina na Mrówki, ale chętnie zostaną z nim w domu. Zamówią pizzę z Pizza Hut.

Będzie wesoło.

–O tak, będzie wesoło! – przytaknął Shafer i na samą myśl

poczuł dreszcz obrzydzenia. Pizza Hut serwowała niestrawną teksturę

prześlągniętą wstrętnym ketchupem. Rozłączył się, tyknął vicodin i kilka xanaxów. Miał wrażenie, że obręcz, jaka ścisnęła jego mózg, zaczęła się rozluźniać.

Wykonał niebezpieczny zwrot na Massachusetts Avenue i ruszył w stronę domu. Minął dzipa jadącego w przeciwnym kierunku i miał ochotę pomachać na pożegnanie. Kobieta za kierownicą. Ciekawe, co to za jedna?

Pizza dotarła do domu około siódmej i Shafer otworzył butelkę drogiego caberneta. W łazience na parterze popił kolejny xanax winem.

Czuł się z lekka dezorientowany i miał trudności ze skupieniem wzroku, ale uznał, że widocznie tak musi być.

Jezu Chryste, nie mógł znieść rodziny, miał wrażenie, że za chwilę wypełźnie z własnej skóry. Już jako chłopiec fantazjował, że jest gadem i może zrzucić skórę. Na długo zanim zaczął czytać Kafkę. Jeszcze teraz nawiedzały go podobne sny.

Sącząc wino, rzucił w myślach kości, grał przy stole w jadalni. Jeżeli wyjdzie siedemnaście, zamorduje ich wszystkich dzisiaj wieczorem. Przysiągł sobie, że to zrobi. Najpierw bliźniaczki, potem Roberta., A na końcu Lucy.

Paplała bez końca o tym, jak spędziła dzień. Uśmiechał się pogodnie, kiedy opowiadała o zakupach w Bloomingdales i BatheBody Works, i u Gino Ciprianiego.

Co za ironia losu! Pakuje w siebie góry antydepresantów i z każdą minutą popada w głębszą depresję. Jezu, znowu go bierze! Rozpoczął zjazd w dół.

–Siedemnaście, proszę! – powiedział na głos.

–Słucham, kochanie? – zapytała Lucy. – Mówiłeś coś?

–Tata już gra w swoją grę – powiedział Robert i parsknął. –

Prawda, tatusiu? To twoja gra RFG, mam rację?

–Masz rację, synu – odparł Shafer a w myśli dodał:

–Jezu, jestem szalony.

Delikatnie wyrzucił kości na stół. Zabije ich – jeżeli

wyjdzie siedemnaście. Kości potoczyły się po obrusie, odbiły od zatłuszczonego pudełka po pizzy.

–Tatuś i jego gry...! – Powiedziała Lucy i roześmiała się. Potem roześmiały się Erika i Tricia, a na końcu roześmiał się Robert.

Sześć, pięć, jeden, policzył. Cholera! Cholera!

–Zagramy dzisiaj we dwoje? – zapytał Robert.

Shafer uśmiechnął się z przymusem.

–Nie dzisiaj, chłopie! Chciałbym, ale nie mogę. Muszę wyjść.

Rozdział 66

Robiło się naprawdę interesująco. Patsy Hampton patrzyła, jak Shafer wychodzi z dużego, luksusowego domu w Kaloramie. Była ósma trzydzieści wieczorem. Wybierał się chyba na kolejną nocną hulankę. Facet był wampirem.

Wiedziała, że Cross i jego przyjaciele nazwali mordercę Łasicą i nazwa ta pasowała do Shafera jak ulał. Było w nim coś niepokojącego, zmiennego.

Pojechała za czarnym jaguarem, ale Shafer nie skierował się w stronę Southeast, jak tego oczekiwała. Zatrzymał się przed modnymi delikatesami Sutton on the Run,

tuż przy Dupont Circle, Hampton znalazła sklep i nazywała go Dłaczego nie przepłacić?

Zaparkował niezgodnie z przepisami i wbiegł do delikatesów. Immunitet dyplomatyczny! Takie rzeczy wkurzały ją jak cholera. Co za eurodureń!

Podczas gdy Shafer robił zakupy, Hampton podjęła decyzję, że porozmawia z Alekssem Crossem. Dużo o tym myślała, rozważyła wszystkie za i przeciw. Teraz doszła do wniosku, że zachowując zdobyte informacje dla siebie, naraża życie ludzi w Southeast. Jeżeli ktoś zginie, ona tego nie zniesie. Poza tym Cross dostałby te informacje, gdyby nie flirtowała z Chuckiem Hufstedlerem.

Shafer wyszedł z Sutton on the Run i rozejrzał się po zatłoczonym Dupont Circle. Pod pachą niósł torbę z zakupami. Dla kogo? zastanawiała się Patsy. Nie spojrzał w stronę jej dżipa zaparkowanego za rogiem. Śledziła czarnego jaguara zachowując bezpieczną odległość. Ruch był niewielki. Wjechali na Connecticut Avenue. Patsy nie sądziła, żeby ją zauważył, musiała jednak pamiętać, że facet jest agentem MI6.

Byli już blisko ambasady. Chyba nie wraca do pracy o tej godzinie? Po co kupowałby jedzenie, jeżeli wraca do ambasady?

Jaguar zjechał do podziemnego garażu przedwojennego domu w Woodley Park. Nad wejściem widniała mosiężna tablica z nazwą budynku:

The Farragut. Hampton odczekała kilka minut, potem wjechała do garażu.

Chciała się rozejrzeć i, jeśli to możliwe, dowiedzieć czegoś więcej.

Garaż był publiczny, płatny, nie ryzykowała więc niczym.

Podeszła do oszklonej budki obsługi i podała swoje nazwisko.

–Widział pan już kiedyś tego jaguara, który wjechał przede mną? – zapytała.

Mężczyzna skinął głową. Był chyba jej rówieśnikiem i widać było, że nade wszystko pragnie jej zaimponować.

–Jasne! Znam gościa tylko z widzenia. Przyjeżdża tu do lokatorki z dziesiątego, doktor Elizabeth Cassady. To lekarka od czubków. Ten facet jest chyba pacjentem. Dziwnie mu z oczu patrzy, ale z drugiej strony, w dzisiejszych czasach wszystkim dziwnie z oczu patrzy!

–A mnie? – zapytała Hampton.

–Nieeee. No, może trochę – zaśmiał się.

Shafer spędził z doktor Cassady prawie dwie godziny. Potem wsiadł do jaguara i pojechał prosto do domu w Kaloramie.

Patsy Hampton pojechała za nim, potem obserwowała dom jeszcze przez pół godziny. Uznała, że Shafer zadekował się na noc. Podjechała do pobliskiej restauracji, ale nie od razu weszła do środka. Nie czekając, aż się rozmyśli, wyjęła z torebki telefon komórkowy. Znała adres Crossa i otrzymała jego numer z biura informacji. Trochę za późno; żeby dzwonić?

Chrzani to, załatwi sprawę teraz albo nigdy.

Zdziwiła się, że słuchawkę podniesiono zaraz po pierwszym sygnale.

Usłyszała przyjemny męski głos. Miły. Silny.

–Halo, tu Alex Cross.

Omam się nie rozłączyła. Interesujące, że zdołał ją na

chwilę onieśmielić.

–Mówi detektyw Patsy Hampton. Pracuję ostatnio nad morderstwami Jane Doe.

Śledzę podejrzanego. Chyba musimy porozmawiać.

–Gdzie jesteś, Patsy? – zapytał Cross bez chwili wahania. – Przyjadę do ciebie.

Powiedz mi tylko, dokąd.

–Jestem w knajpce City Limits na Connecticut Avenue.

–Już jadę.

Rozdział 67

Nie czułem się zaskoczony tym, że Pittman przydzielił kogoś do sprawy Jane Doe. Zwłaszcza po artykule Zacha Taylora w „Washington Post”. Byłem zainteresowany wszystkim, co detektyw Hampton ma mi do powiedzenia.

Znałem ją z widzenia, jednak nie tak dobrze, jak ona mnie.

Przepowiadano jej szybką karierę, była inteligentna i

efektywna w robocie, chociaż z tego, co słyszałem, lubiła polować samotnie.

Żadnych przyjaciół w wydziale, o ile się orientuję.

Okazało się, że jest o wiele ładniejsza niż ją zapamiętałem. Szczupła, wysportowana, sądząc na oko, młodsza ode mnie o jakieś dziesięć lat.

Krótkie jasne włosy, bystre niebieskie oczy, które zdawały się przeszywać kłęby papierosowego dymu wypełniające lokal.

Umalowała usta jaskrawoczerwoną szminką, a może używała jej zawsze.

Zastanawiałem się, co nią kieruje, jakie ma motyw. Nie sądziłem, żeby można jej zaufać.

–Kto pierwszy? Ty czy ja? – zapytała, kiedy już zamówiliśmy kawę.

Siedzieliśmy przy oknie wychodzącym na Connecticut Avenue.

–Obawiam się, że nie wiem, o co chodzi – powiedziałem.

Upiła łyk kawy i popatrzyła na mnie znad krawędzi filiżanki.

Była silną, pewną siebie kobietą. Tyle wyczytałem z jej oczu.

–Naprawdę nie wiesz, że ktoś pracuje nad Jane Doe?

Potrząsnąłem głową.

–Pittman powiadomił mnie, że sprawy są zamknięte. Wziąłem jego słowa za dobrą monetę. Zawiesił kilku świetnych detektywów za to, że pracowali nad sprawą po służbie.

–Dzieje się trochę świństw w tym wydziale. Nic nowego! – Odstawiła filiżankę i ciężko westchnęła. – Myślałam, że sama sobie z tym poradzę.

Teraz nie jestem już tego taka pewna.

–Pittman przydzielił ci Jane Doe? Tobie osobiście?

Skinęła głową, mrużąc niebieskie oczy.

–Przydzielił mi sprawę Glover i Cardinal i wszystkie inne, jakie zechcę zbadać. Dał mi wolną rękę.

–I mówisz, że coś masz?

–Może... Mam potencjalnego podejrzanego. Jest zaangażowany w grę role – playing, bazującą na morderstwach w Southeast. Istnieje możliwość, że przeczytał o nich w gazetach i fantazjuje.

Pracuje w ambasadzie brytyjskiej.  
Informacja była nowa i zaskoczyła mnie.

–Kto o tym wie?

–W każdym razie nie Pittman. Sama zrobiłam dyskretne rozpoznanie podejrzanego. Problem w tym, że wygląda na praworządneho obywatela.

Sumienny pracownik, przynajmniej tak utrzymuje ambasada.

Sympatyczna rodzina w Kaloramie. Trochę jeździłam za Shaferem, licząc na łut szczęścia.

Ma na imię Geoffrey.

Wiedziałem, że jest trochę wolnym strzelcem i że nie toleruje głupców.

–Jesteś tu dzisiaj sama? – zapytałem.

Wzruszyła ramionami.

–Zwykle pracuję sama. Partnerzy mnie spowolniają. Pittman o tym wie.

Dał mi zielone światło. Na wszystko.

Wiedziałem, że czeka, że teraz ja jej coś powiem – o ile coś wiem.

Postanowiłem zastosować się do reguł gry.

–Znaleźliśmy taksówkę, której morderca używał w Southeast.

Trzymał ją w garażu w Eckington.

–Ktoś widział podejrzanego w tamtej okolicy? – To było jej pierwsze pytanie.

–Właścicielka mieszkania, które wynajmował. Chciałbym jej pokazać zdjęcia tego twojego faceta. Czy wolisz to sama zrobić?

Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji.

–Ja to zrobię. Zaraz z samego rana. Znaleźliście coś w mieszkaniu?

Chciałem być z nią szczery. Bądź co bądź to ona była inicjatorką tego spotkania.

–Fotografie moje i mojej rodziny naklejone na ścianę szafy.

Zostały zrobione na Bermudach. Kiedy byliśmy na wakacjach.

Obserwował nas przez cały czas.

Twarz kobiety złagodniała.

–Słyszałam, że twoja narzeczona zaginęła na Bermudach.

Takie rzeczy szybko się rozchodzą.

–Były tam również zdjęcia Christine.

W jej niebieskich oczach pojawił się smutek. Na chwilę ukazała mi się prawdziwa Patsy Hampton.

–Naprawdę ci współczuję – powiedziała.

–Jeszcze nie straciłem nadziei. Posłuchaj, nie chcę uznania

swoich zasług przy rozwiązywaniu tych spraw, pozwól mi tylko sobie pomóc. On do mnie zadzwonił wczoraj wieczorem. Powiedział, żebym się wycofał. Zakładam, że miał na myśli to śledztwo, chociaż oficjalnie nie mam prawa się nim zajmować. Jeżeli

**Pittman się o tym dowie...**

**Detektyw Hampton przerwała mi w pół słowa.**

**–Pozwól, że to sobie przemyślę. Zdajesz sobie sprawę, że**

**Pittman by mnie ukrzyżował za współpracę z tobą. Kłopot w tym, że mu nie ufam.**

**– Spojrzała mi prosto w oczy. – Nie mów nic swoim kumplom, nawet Sampsonowi.**

**Nigdy nic nie wiadomo. Spróbuję podjąć właściwą decyzję. Nie jestem nieużyta megierą, naprawdę. Jestem tylko trochę dziwna.**

**–Wszyscy jesteśmy trochę dziwni – uśmiechnąłem się.**

**Hampton była twardym gliniarzem, ale uważałem, że jest w porządku.**

**Wyjąłem z kieszeni pager – Weź go. Jeżeli znajdziesz się w kłopotach albo trafisz na kolejny ślad, daj mi znać niezależnie od pory. Jeżeli to Shafer jest mordercą, chcę z nim porozmawiać, zanim go zamkniemy. To sprawa osobista. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo osobista.**

**Hampton nadal patrzyła mi badawczo w oczy. Przypomniała mi kogoś, kogo kiedyś znałem, inną skomplikowaną kobietę policjantkę, Jezzie Flanagan.**

**–Pomyślę o tym. Dam ci znać.**

**–W porządku. Dzięki, że wciągnęłaś mnie w sprawę.**

**Wstała.**

**–Jeszcze cię nie wciągnęłam. Powiedziałam tylko, że dam ci znać. – Potem dotknęła mojej ręki. – Naprawdę ci współczuję.**

**Rozdział 68**

**A jednak oboje wiedzieliśmy, że będę uczestniczył w tym śledztwie.**

**Zawarliśmy w tym lokalu pewien układ. Miałem tylko nadzieję, że nie jestem wystawiany przez Hampton, Pittmana czy Bóg wie kogo jeszcze.**

**Przez następne dwa dni rozmawialiśmy czterokrotnie. Nadal nie wiedziałem, czy mogę jej ufać, ale nie miałem wyboru. Musiałem posuwać się naprzód. Hampton złożyła wizytę kobiecie, która wynajęła mieszkanie i garaż w Eckington. Nie rozpoznała Shafera na zdjęciu. Możliwe, że występował w przebraniu.**

**Jeżeli Patsy Hampton mnie wystawiała, była jednym z najlepszych kłamców, jakich w życiu spotkałem, a znałem kilku naprawdę dobrych.**

**Podczas jednej z rozmów wyznała, że Chuck Hufstedter był jej źródłem i że namówiła go, żeby zataił przede mną informację. Zignorowałem to. Nie miałem czasu i energii, żeby złościć się na nich.**

**Spędzałem dużo czasu w domu. Nie wierzyłem, żeby zabójca zagroził mojej rodzinie, skoro przetrzymywał Christine, ale pewności nie miałem żadnej. Kiedy musiałem wyjść z domu, zastępował mnie Sampson albo inny detektyw.**

**Trzeciego dnia wieczorem nastąpił swego rodzaju przełom w moich stosunkach z Patsy Hampton. Poprosiła mnie, żebym dołączył do niej, kiedy będzie obserwowała dom Shafera w Kaloramie.**

**Wrócił do domu około osiemnastej i pozostał w nim aż do dwudziestej pierwszej. Miał sympatycznie wyglądającą rodzinę: trójkę dzieci, żonę.**

**Mieszkał bardzo dobrze. Nic w jego otoczeniu nie sugerowało, że może być**



**zabójcą.**

**–Wychodzi codziennie mniej więcej o tej godzinie – powiedziała Hampton, kiedy patrzyliśmy jak Shafer podchodzi do lśniącego czarnego jaguara zaparkowanego na żwirowym podjeździe przy bocznej ścianie domu.**

**–Kieruje się siłą przyzwyczajęń – powiedziałem.**

**–Jak łasica. – Uśmiechnęliśmy się do siebie i było to pierwsze przełamanie lodów. Patsy przyznała, że sprawdziła mnie bardzo dokładnie i doszła do wniosku, że to Pittman jest szuja.**

**Jaguar wytoczył się na ulicę i pojechaliśmy za Shaferem do klubu nocnego w Georgetown. Zachowywał się tak; jakby nie zdawał sobie sprawy z naszej obecności. Problem polegał na tym, że musieliśmy go na czymś złapać. Nie mieliśmy żadnych dowodów, że jest naszym mordercą.**

**Shafer siedział sam przy barze, a my obserwowaliśmy go z ulicy.**

**Zastanawiałem się, czy specjalnie zajął miejsce przy oknie.**

**Wie, że go obserwujemy? Bawi się z nami?**

**Takie odniosłem wrażenie. Prowadził jakąś dziwaczną grę. Za piętnaście dwunasta wyszedł z baru i tuż po północy dotarł do domu.**

**–Drań! – Patsy skrzywiła usta z niesmakiem i potrząsnęła głową. Miękkie włosy zatańczyły wokół jej twarzy. Zdecydowanie przypominała Jezzcie Flanagan, agentkę Secret Service, z którą pracowałem nad porwaniem dwójki dzieci w Georgetown.**

**–Wrócił na noc do domu? – zapytałem. – Co to właściwie było? Facet wyszedł z domu, żeby obejrzeć mecz koszykówki w barze w Georgetown!?**

**–Robi to co wieczór. Myślę, że wie o nas.**

**–Jest oficerem wywiadu. To jego fach. Wiemy również, że lubi gry typu RPG. W każdym razie wrócił na noc do domu i ja zamierzam zrobić to samo, Patsy. Nie chcę zostawiać rodziny samej.**

**–Dobranoc, Alex! Dzięki za pomoc. Dostaniemy go. I może już wkrótce odnajdziemy twoją przyjaciółkę.**

**–Mam nadzieję.**

**Jadąc do domu rozmyślałem o detektyw Patsy Hampton. Wydała mi się bardzo samotna i zastanawiałem się, dlaczego tak jest. Była życzliwa i interesująca przy bliższym poznaniu. Z drugiej strony, nie sądziłem, żeby komukolwiek udało się ją naprawdę poznać.**

**Kiedy wjechałem na podjazd, ujrzałem światło palące się w kuchni.**

**Wszedłem tylnymi drzwiami i zobaczyłem Damona i Nanę w szlafrokach siedzących przy piecu. Wszystko było w porządku.**

**–Urządziliście sobie piżamowe przyjęcie? – zapytałem.**

**–Damon ma kłopoty z żołądkiem. Rozbijał się po kuchni, więc przyszedł mu potowarzyszyć.**

**–Nic mi nie jest – zaproponował Damon. – Po prostu nie mogłem zasnąć. Zobaczyłem, że jeszcze cię nie ma. Już po dwunastej.**

**Wydawał się zmartwiony i trochę smutny. Damon naprawdę lubił Christine i cieszył się, że znów będzie miał mamę. Już myślał o niej w ten sposób. Moje dzieci**

tęskniły za Christine. Po raz drugi utraciły kobietę, która pełniła w ich życiu bardzo ważną rolę.

–Po prostu miałem trochę więcej pracy niż zwykle. To bardzo skomplikowana sprawa, Damon, ale chyba posuwam się do przodu. – Wyjąłem z szafki dwie ekspresowe herbaty.

–Zrobię ci herbaty – zaproponowała Nana.

–Sam mogę to zrobić – powiedziałem, ale ona wyciągnęła rękę po torebki. Oddałem je potulnie. Nie warto kłócić się z Naną, zwłaszcza w jej własnej kuchni.

–Napijesz się herbaty albo mleka, twardzielu? – zapytałem Damona.

–W porządku! – przyzwolił łaskawie.

–Mówisz jak ta marna imitacja obrońcy z Filadelfii, Allen

Iverson -zwróciła się do niego Nana. Nie przepadała za slangiem. W młodości była nauczycielką angielskiego i nigdy nie przestała kochać książek i języka.

Kochała Tonię Morrison, Alice Walker, Mayę Anelou, a także Oprah Winfrey za to, że pisały dla szerokiej publiczności.

–On jest najszybszym lewoskrzydłowym w lidze, babciu! To dowodzi, ile wiesz o koszykówce – powiedział Damon. – Myślisz pewnie, że Magic Johnson jest nadal w lidze. I Wilt Chamberlain.

–Lubię Marburyego z Timberwolves i Stoudamirea z Portland, do niedawna z Toronto – odparła Nana z triumfującym uśmiechem. – W porządku?

Damon wybuchnął śmiechem. Nana wiedziała prawdopodobnie więcej o obrońcach z N.B.A niż którykolwiek z nas. Zawsze potrafiła człowieka zażyć, jeżeli tego chciała.

Siedzieliśmy przy kuchennym stole i piliśmy herbatę z mlekiem i dużą ilością cukru. Nie mówiliśmy wiele, ale było nam ze sobą dobrze.

Kocham moją rodzinę, zawsze ją kochałem. Ona leży u podstaw mojego istnienia, tego, kim jestem. Damon ziewnął i wstał od stołu. Podszedł do zlewu i wymył kubek.

–Teraz już zasnę – obwieścił. – A przynajmniej spróbuję.

Pocałował Nanę i mnie na dobranoc.

–Tęsknisz za nią, prawda? – wyszeptał z ustami przy moim policzku.

–Oczywiście, że tęsknię za Christine. Cały czas. W każdej godzinie. – Nie powiedziałem synowi, że wróciłem tak późno do domu, ponieważ śledziłem skurwysyna, który mógł ją porwać. Nie wspomniałem o drugim detektywie, który prowadzi śledztwo, o Patsy Hampton.

Kiedy Damon wyszedł, Nana położyła mi rękę na dłoni i siedzieliśmy tak przez kilka minut.

–Ja też za nią tęsknię – odezwała się w końcu Nana. – Modlę się za was oboje, Alex.

Rozdział 69

Następnego dnia wieczorem urwałem się z pracy i poszedłem na próbę chóru do Sojourner Truth School. Zebrałem grubą tekę informacji o Geoffreyu Shaferze, ale

nie miałem nic, co powiązałoby go z którymś z morderstw.

Patsy Hampton również nie. Może był tylko zwyczajnym graczem komputerowym. A może Łasica przycałił się, odkąd znaleźliśmy jego taksówkę.

Przerażała mnie myśl o pójściu do Truth School, ale nie miałem wyboru. Uświadomiłem sobie, co przeżywają moje dzieci, chodząc tam każdego dnia. Szkoła przywoływała zbyt wiele wspomnień. Miałem wrażenie, że się duszę, nie mogę złapać tchu. Zimny pot okrył mi czoło i kark.

Zaraz po tym, jak rozpoczęła się próba, Jannie w milczeniu ujęła mnie za rękę. Usłyszałem jej ciche westchnienie. Od powrotu z Bermudów okazywaliśmy sobie więcej czułości i ciepła, i chyba jeszcze nigdy nie byliśmy sobie tak bliscy.

Trzymaliśmy się za ręce, podczas gdy chór śpiewał walijską piosenkę ludową All Through the Night, utwór Bacha i zupełnie nową aranżację hymnu O, Fix Me.

Wyobrażałem sobie, że Christine zjawi się nagle w szkole i raz czy dwa obejrzałem się nawet w stronę korytarza, który prowadził do jej gabinetu.

Oczywiście nie było jej tam, a mnie ogarniał nieutulony żal, straszna pustka.

W końcu zmusiłem się, żeby nie myśleć, odciąć się od wszystkiego i poddać muzyce, cudownej harmonii chłopięcych głosów.

Kiedy wróciliśmy do domu, zgłosiła się Patsy Hampton ze swojego punktu obserwacyjnego. Było parę minut po ósmej. Nana i dzieci wystawiały właśnie na stół zimnego kurczaka, pokrojone jabłka i gruszki, cheddar, sałatkę z cykorii i kapusty pekińskiej.

Shafer jest nadal w domu, relacjonowała Patsy. W dodatku odbywa się tam przyjęcie urodzinowe dla dzieci.

–Mnóstwo uśmiechniętych szkrabów z całego sąsiedztwa i wynajęty klaun o imieniu Głupi Jaś. Może jesteśmy na niewłaściwym tropie, Alex.

–Nie sądzę. Myślę, że nie mylimy się co do Shafera.

Obiecałem, że przyjadę koło dziewiątej dotrzymać jej towarzystwa. Była to pora, w jakiej Shafer zwykle wybywał z domu.

O ósmej trzydzieści, w chwili, gdy dobierałem się do pysznego, dobrze przyrządzonego kurczaka, zadzwonił telefon. Nana zmarszczyła brwi.

Rozpoznałem głos w słuchawce.

–Powiedziałem, żebyś się wycofał, prawda? Teraz będziesz musiał ponieść konsekwencje swojego nieposłuszeństwa. To twoja wina! Przy starej małpiarni w zoo jest automat. Główną bramę zamykają o ósmej, ale możesz się dostać do środka wejściem dla personelu. Może Christine Johnson czeka na ciebie w ogrodzie. Lepiej to sprawdź! Tylko szybko, Cross. Śpiesz się! Mamy ją!

Rozmówca rozłączył się, a ja pognałem na górę po mojego glocka. Zadzwoiłem do Patsy Hampton i powiedziałem jej, że dostałem kolejny telefon, prawdopodobnie od Łasicy. Będę w zoo:

–Shafer jest nadal na przyjęciu urodzinowym – powiedziała. – Oczywiście mógł dzwonić z domu. Z miejsca, gdzie stoję, widzę furgonetkę Głupiego Jasia.

–Bądźmy w kontakcie, Patsy. Telefony i pagery. Pager tylko w nagłym wypadku. Uważaj!

–Okay. Nic mi tu nie grozi, Alex. Głupi Jaś nie przedstawia większego zagrożenia. Nic się nie stanie, dopóki Shafer jest w domu. Jedź do zoo, Alex.

I bądź ostrożny.

Rozdział 70

Za dziesięć dziewiąta stanąłem przed bramą ogrodu. Pomyślałem, że zoo znajduje się niedaleko apartamentu doktor Cassidy w Farragut. Czy to zbieg okoliczności, że znalazłem się tak blisko psychiatry Shafera?

Nie wierzyłem już w zbiegi okoliczności.

Przed wyjściem z samochodu zadzwoniłem do Patsy Hampton, ale tym razem nie odebrała. Nie użyłem pagera, nie był to nagły wypadek, przynajmniej na razie.

Znałem zoo z licznych wycieczek z Damonem i Jannie, a jeszcze lepiej z czasów, gdy byłem chłopcem i przychodziłem tu z Naną, a czasem z Sampsonem. Główne wejście mieści się na rogu Connecticut i Hawthorne, ale stara małpiarnia znajduje się milę dalej, niemal na drugim końcu ogrodu.

Nikogo nie było widać, ale furtka dla obsługi okazała się otwarta – tak jak to przewidział mój telefoniczny rozmówca. A więc on także znał zoo.

Kolejna gra, pomyślałem. Drań musi to naprawdę lubić.

Kiedy wszedłem do parku, drzewa i wzgórze zasłoniły światła otaczającego miasta. Nieliczne niskie latarnie dawały niewiele światła.

Czułbym się dziwnie, może nawet bym się bał, będąc tu sam.

Oczywiście wiedziałem, że sam nie jestem.

Małpiarnia znajdowała się w głębi ogrodu, dalej niż mi się wydawało.

W końcu zlokalizowałem ją w ciemności. Przypominała stary wiktoriański dworzec kolejowy. Po drugiej stronie dziedzińca wyłożonego kocimi łbami majaczył o wiele nowocześniejszy budynek, w którym mieściło się terrarium.

Tablica nad drzwiami starej małpiarni głosiła: Uwaga:

Kwarantanna -Nie wchodzić!. Poczuję się jeszcze bardziej nieswojo. Pchnąłem wysokie dwuskrzydłowe drzwi, ale były zamknięte.

Na ścianie zobaczyłem wyblakły, białe – niebieski wizerunek telefonu, informujący, że aparatu należy szukać wewnątrz. Czy to o ten automat mu chodziło?

Szarpnąłem drzwi. Były stare, drewniane i zagrzechotały głucho. W środku małpy podniosły rwetes. Najpierw te mniejsze: szympansy i gibbony, potem rozległ się głębszy pomruk goryla.

Dostrzegłem czerwoną poświatę po drugiej stronie dziedzińca.

Tam też był automat.

Pośpieszyłem na drugą stronę. Sprawdziłem godzinę. Dwie po dziewiątej.

Ostatnim razem kazał mi czekać.

Zastanawiałem się, na czym polega ta gra? Czy morderca wcielał się w kogoś innego? Kiedy wygrywał? Kiedy tracił?

Martwiłem się, że stoję przy złym automacie. Wprawdzie był jedyny w polu widzenia, ale pozostawał jeszcze ten w małpiarni.

Czy z tego aparatu mam skorzystać? Byłem potwornie zdenerwowany.

Narastało we mnie tyle niebezpiecznych emocji.

Rozległo się długie, przyduszone aaahhh, jakim kibice

piłkarscy witają zwykle rozpoczęcie meczu. Dźwięk mnie przeraził, dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że to goryle w małpiarni.

Dlaczego się zaniepokoiły? Może ktoś był w środku? Kręcił się koło telefonu?

Odczekałem jeszcze pięć minut, i jeszcze pięć. Byłem na granicy obłądu. Dłużej nie mogłem tego znieść i zacząłem się zastanawiać, czy nie wezwać Patsy.

W tym momencie odezwał się pager i aż podskoczyłem.

Patsy! Nagły wypadek.

Przez pół minuty gapiłem się na telefon, potem chwyciłem słuchawkę.

Zadzwoiłem pod numer pagera i zostawiłem numer automatu. I czekałem dalej.

Patsy nie oddzwoniła.

Nie zadzwonił również tajemniczy rozmówca.

Byłem zlany potem.

Musiałem podjąć decyzję. Utknąłem w bardzo złym miejscu. W głowie mi wirowało.

Nagle telefon zadzwonił. Chwyciłem słuchawkę tak gwałtownie, że omal nie wyleciała mi z ręki. Słyszałem walenie własnego serca.

–Mamy ją!

–Gdzie? – wrzasnąłem do słuchawki.

–Jest w Farragut, oczywiście. Łasica rozłączył się. Tym razem nie powiedział, że jest bezpieczna.

Rozdział 71

Nie potrafiłem sobie wyobrazić, dlaczego Christine miałyby być w Farragut w Waszyngtonie, ale Łasica tak właśnie powiedział. Po co wprowadzałyby mnie w błąd? Co on mi robił? Co robił jej?

Pobiegłem w stronę, gdzie, jak mi się wydawało, powinna być Cathedral Avenue. Ale w parku panowały niemal atramentowe ciemności.

Wzrok mnie zawodził, może dlatego, że znajdowałem się na granicy szoku. Nie potrafiłem zebrać myśli.

Otumaniony potknąłem się o kamień i upadłem na jedno kolano. Rozciąłem sobie rękę, podarłem spodnie. W sekundę później byłem znów na nogach i przedzierałem się przez gęste krzaki, które dały mi ubranie, raniły skórę twarzy i rąk.

Wszędzie wokół zwierzęta wyły, pojękiwały, ryczały nieustannie. Wyczuwały, że dzieje się coś złego. Rozpoznawałem głosy niedźwiedzi grizzli i fok. Zrozumiałem, że znalazłem się blisko Koła Arktycznego, ale nie pamiętałem, jak to się ma do reszty zoo i ulic miasta.

Tuż przede mną wyrosła wysoka skała. Wdrapałem się na nią, żeby ustalić swoje położenie.

W dole zobaczyłem skupisko budek z pamiątkami i słodyczami, dwie wielkie połacie łąk. Już wiedziałem, gdzie jestem. Zszedłem ze skały i znów zacząłem biec. Christine była w Farragut. Czy w końcu ją odnajdę? Czy to naprawdę możliwe?

Minąłem Aleję Afrykańską i wybiegłem na dużą łąkę upstrzoną jakby kopami siana. Zrozumiałem, że mam przed sobą bizony. Byłem gdzieś w pobliżu Alei Prerii.

Pager uruchomił się ponownie.

Patsy! Nagły wypadek! Gdzie ona jest? Dlaczego nie oddzwoniła na numer automatu, który jej podałem?

Byłem zlany potem i na wpół przytomny ze zdenerwowania. Dzięki Bogu zobaczyłem przed sobą Cathedral Avenue, a potem Woodley Road.

Byłem daleko od miejsca, gdzie zaparkowałem samochód, ale bardzo blisko apartamentowca Farragut.

Przebyłem jeszcze ze trzydzieści metrów w ciemności, potem wdrapałem się na kamienny mur oddzielający zoo od ulicy. Na rękach miałem krew i nie wiedziałem, skąd tam się wzięła. Z rany na nodze? Zadrapań na twarzy? Gdzieś niedaleko rozległo się zawodzenie syren. Czyżby z Farragut?

Ruszyłem pędem w tamtą stronę. Było parę minut po dziesiątej. Minęła przeszło godzina od chwili, gdy odebrałem w kuchni telefon.

W kieszeni mojej koszuli dzwonił pager.

Rozdział 72

Coś złego stało się w Farragut. Przenikliwe zawodzenie syren przybierało na sile, kiedy biegnę w dół Woodley. W głowie mi wirowało, nie mogłem się skupić i zrozumiałem, że po raz drugi czy trzeci w życiu jestem bliski paniki.

Do budynku nie dotarła jeszcze policja ani nawet E.M.S.

Miałem być pierwszy na miejscu zdarzenia.

Przed wjazdem do podziemnego garażu stali dwaj portierzy i gromadka lokatorów w szlafrokach. To nie może być Christine, po prostu nie może!

Biegnę ku nim przez trawnik. Czy Łasica był w Farragut?

Dostrzegli mnie w końcu i zareagowali przerażeniem. Musiałem

przedstawić straszny widok. Przypomniałem sobie, że w zoo upadłem parę razy.

Prawdopodobnie wyglądałem jak szaleniec, może nawet jak morderca.

Miałem krew na rękach i Bóg wie, gdzie jeszcze.

Sięgnąłem po portfel, otworzyłem go, ukazując odznakę policyjną.

–Policja! Co tu się stało? – krzyknąłem. – Jestem detektywem wydziału zabójstw. Moje nazwisko Alex Cross.

–Ktoś został zamordowany – powiedział w końcu jeden z portierów. – Tędy, proszę.

Poszedłem za portierem w dół betonowej rampy prowadzącej do garażu.

–To kobieta – powiedział. – Chyba nie żyje. Zadzwoń na numer jeden jeden.

Boże! – jęknąłem, jakbym otrzymał cios w żołądek. Dżip Patsy Hampton stał zaparkowany tyłem do ściany. Drzwi były otwarte, światło wylewało się na zewnątrz.

Podchodząc, czułem strach, ból, szok. Patsy Hampton siedziała na przednim fotelu. Wiedziałem, że jest martwa.

Mamy ją. Więc o to im chodziło. Jezu, nie! Zamordowali Patsy Hampton. Kazali mi

się wycofać. Na litość boską, nie!

Jej nagie, wykręcone nogi tkwiły pod kierownicą. Tułów był odgięty niemal pod kątem prostym. Odrzucona do tyłu głowa leżała częściowo. Na siedzeniu pasażera. Jasne włosy były zakrwawione, puste oczy patrzyły wprost na mnie.

Patsy miała na sobie białą sportową koszulę. Na jej szyi widniały głębokie szarpane rany. Nadal sączyła się z nich krew. Była naga poniżej pasa, ale nie dostrzegłem nigdzie ubrania.

Niewykluczone, że została zgwałcona.

Podejrzywałem, że udusił ją jakimś drutem i że stało się to przed paroma minutami. Łasica posłużył się już kilkakrotnie liną lub garotą. Lubił zabijać rękoma, lubił mieć kontakt z ofiarami, prawdopodobnie po to, żeby czuć ich ból. Nie wykluczałem, że zabija podczas aktu seksualnego.

Zobaczyłem coś jakby odpryski farby w brzydkiej ranie na szyi.

Odpryski farby?

Coś jeszcze wydało mi się dziwne: samochodowe radio zostało częściowo wyrwane. Nie rozumiałem, dlaczego ktoś się do niego dobierał i w tym momencie nie wydawało mi się to ważne.

Wychyliłem się z dżipa.

–Czy nikt więcej nie ucierpiał? Sprawdziliście?

Portier potrząsnął głową.

–Nie. Nie wydaje mi się. Pójdę się rozejrzeć.

Policyjna syrena zawyła wewnątrz garażu. Zobaczyłem czerwono

–białe światła wirujące na tle ścian. Wraz z policją pojawili się lokatorzy.

Dlaczego musieli stać i gapić się na tę potworną zbrodnię?

Straszna myśl błysnęła mi w głowie. Wyrwałem kluczyki ze

stacyjki i wysiadłem z wozu. Przeszedłem na tył dżipa. Wsunąłem kluczyk w otwór i tylne drzwi się otworzyły. Serce znowu łomotało mi w piersi. Nie chciałem zajrzeć do środka, ale kiedy to zrobiłem, nic nie znalazłem. Jezu, Jezu, Jezu.

Mamy ją! Czy Christine też tu jest? Gdzie?

Rozejrzałem się po garażu. Tuż przy wejściu stał czarny jaguar Geoffreya Shafera. Shafer był w Farragut. Patsy przyjechała tu za nim.

Podbiegłem do samochodu. Położyłem rękę na masce, dotknąłem rury wydechowej. I jedno, i drugie było jeszcze ciepłe. Samochód nie stał w garażu zbyt długo. Drzwi były zamknięte. Nie mogłem się włamać. Bez nakazu groziło to poważnymi konsekwencjami.

Zajrzałem do środka. Na tylnym siedzeniu dostrzegłem koszule na drucianych wieszakach. Wieszaki były białe i pomyślałem o okruchach farby w ranie detektyw Hampton. Czyżby udusił ją wieszakiem? Czy Shafer był Łasicą?

Czy nadal przebywał w budynku? Co z Christine? Czy ona też tu była?

Zamieniłem kilka słów z policjantami z patrolu, którzy przyjechali po mnie i zabrałem ich na górę.

Uczynny portier powiedział, na którym piętrze mieszka terapeutka Shafera. OD,

penthouse. Jak wszystkie budynki w D. C. Farragut podlegał ograniczeniom wysokości, nie mógł być wyższy niż kopuła Kapitolu.

Wsiadłem do windy z dwoma umundurowanymi policjantami. Mieli po dwadzieścia parę lat i cholernego pietra. Byłem bliski furii.

Wiedziałem, że muszę zachować ostrożność, działać profesjonalnie, w jakiś sposób opanować emocje. Jeżeli dokonam aresztowania, będę musiał odpowiedzieć na kupę pytań, w pierwszej kolejności uzasadnić swoje zjawienie się w Farragut. Pittman dobierze się do mnie w dwie minuty. Żeby się trochę uspokoić, zacząłem rozmowę z policjantami.

–Dobrze się pan czuje? – zapytał jeden z nich.

–Świetnie. W porządku. Morderca może być jeszcze w budynku.

Ofiara była detektywem wydziału zabójstw. Była od nas. Prowadziła tu dochodzenie. Podejrzany utrzymuje kontakty z kobietą na górze.

Twarze policjantów stężały. Widok zamordowanej kobiety w samochodzie był paskudny, fakt, że była policjantką, detektywem na służbie, pogarszał sprawę. Byli gotowi stawić czoło mordercy gliniarza.

Wyszedłem pierwszy z windy, odszukałem mieszkanie doktor Cassady, i nacisnąłem dzwonek. Na dywanie pod drzwiami zobaczyłem plamki, które mogły być kroplami krwi. Popatrzyłem na swoje okrwawione ręce. Dwaj policjanci podążyli wzrokiem za moim spojrzeniem.

Ponieważ nie było reakcji na dzwonek, uderzyłem pięścią w drzwi. Bałem się, co znajdę w środku.

–Policja, otwierać!

Usłyszałem krzyk kobiety. Wyciągnąłem glocka, odbezpieczyłem. Byłem tak wściekły, że mógłbym zabić Shafera. Nie wiedziałem, czy zdołam się opanować.

Policjanci również wyjęli pistolety z kabur. Szykowałem się do wyważenia drzwi, z nakazem, czy bez. Przed oczami stała mi twarz Patsy Hampton, jej martwe, puste oczy, okropne rany na szyi.

W końcu drzwi mieszkania otworzyły się wolno.

Stanęła w nich kobieta o jasnych włosach – doktor Cassady, jak należało przypuszczać – ubrana w drogą błękitną garsonkę z mnóstwem złotych guzików. Była boso. Wydawała się przerażona i zła.

–Czego chcecie? – zapytała ostro. – Co tu się dzieje, do cholery?! Wiecie, co zrobiliście? Przerwaliście sesję terapeutyczną!

Rozdział 73

Geoffrey Shafer pojawił się w drzwiach tuż za swoją poirytowaną terapeutką. Był wysoki, imponujący i bardzo jasny.

–O co chodzi? Kim jesteście, panowie, i czego tu chcecie? – zapytał z wyraźnym angielskim akcentem.

–Zostało popełnione morderstwo – powiedziałem. – Jestem detektyw Cross. – Pokazałem legitymację. Nie patrzyłem na nich, wybiegłem wzrokiem dalej, w głąb mieszkania, szukając czegoś, co dałoby mi pretekst, by wejść do środka.



Zobaczyłem mnóstwo roślin doniczkowych na kwietnikach i parapetach – filodendrony, azalie, bluszcze – dywany w pastelowych kolorach, pluszowe meble.

–Tutaj nie ma żadnego mordercy – powiedziała terapeutka ostro. – Proszę stąd natychmiast odejść!

–Radzę posłuchać tej pani – dodał Shafer.

Nie wyglądał na mordercę. Ubrany był w granatowy garnitur, białą koszulę, morowy krawat. Doskonały smak. Nieskazitelnny wygląd, żadnych objawów strachu.

Potem spojrzałem na jego buty. Nie mogłem uwierzyć. Los nareszcie się do mnie uśmiechnął.

Wymierzyłem glocka w Shafera. W Łasicę. Podszedłem do niego i przyklęknąłem na jedno kolano. Drżałem na całym ciele. Przyjrzałem się prawej nogawce jego spodni.

–Co pan, u licha, robi! – zapytał, odsuwając się. – To jakiś absurd. Jestem pracownikiem ambasady brytyjskiej – oznajmił. – Powtarzam, jestem z ambasady brytyjskiej. Nie macie prawa!

Wezwałem dwóch policjantów, stojących nadal na korytarzu.

Próbowałem zachować spokój, ale mi to nie wychodziło.

–Widzicie to? – Wskazałem spodnie Shafera.

Policjanci podeszli bliżej i znaleźli się w salonie.

–Wynoście się z mieszkania! – krzyknęła terapeutka.

–Proszę zdjąć spodnie! – zwróciłem się do Shafera. – Jest pan aresztowany.

Shafer uniósł nogę i spojrzał. Zobaczył ciemną plamę, krew Patsy Hampton, rozmazaną na mankiecie spodni. W jego oczach mignął strach i Shafer stracił panowanie nad sobą.

–To pan ubrudził mi spodnie! To pan! – wrzasnął na mnie. Wyciągnął legitymację dyplomatyczną. – Jestem urzędnikiem ambasady brytyjskiej. Nie muszę poddawać się temu szaleństwu. Mam immunitet dyplomatyczny. Nie zdejmę spodni na pana rozkaz. Proszę natychmiast zadzwonić do ambasady.

Domagam się nietykalności!

–Wynoście się stąd! – Doktor Cassady pchnęła mnie na jednego z policjantów.

Shafer tylko na to czekał. Odwrócił się i przebiegł przez salon.

Wpadł do pierwszego pomieszczenia w korytarzu, zatrzasnął drzwi i zamknął je na klucz. Łasica próbował umknąć. To się nie mogło stać, nie mogłem na to pozwolić. Dopadłem drzwi kilka sekund po nim.

–Wychodź, Shafer! Jesteś aresztowany za zamordowanie detektyw Patsy Hampton.

Doktor Cassady podbiegła do mnie, wrzeszcząc.

Usłyszałem że Shafer odkręcił wodę. Nie, nie, nie! Cofnąłem się i kopnięciem wyważyłem drzwi.

Shafer, stojąc na jednej nodze ściągał spodnie. Natarłem na niego, przewróciłem i

przytrzymałem twarzą do dołu. Wykrzykiwał jakieś przekleństwa, machał ramionami, próbował podnieść się na czworaki. Przygniotłem mu twarz do płytek terakoty.

Terapeutka próbowała odciągnąć mnie od Shafera. Drapała mnie po twarzy, waliła pięściami po ramionach. Trzeba było dwóch policjantów, żeby ją obezwładnić.

–Nie możecie mi tego zrobić! – darł się Shafer, wijąc się w moim uścisku jak piskorz. – To wbrew prawu! Mam immunitet dyplomatyczny!

Zwróciłem się do jednego z policjantów.

–Skuć go.

Rozdział 74

To była długa i bardzo smutna noc w Farragut. Opuściłem budynek dopiero o trzeciej rano. Nigdy dotąd nie straciłem partnera, chociaż raz niewiele brakowało. W Północnej Karolinie omal nie straciłem Sampsona.

Teraz uświadomiłem sobie, że już zacząłem myśleć o Patsy Hampton jak o partnerze, przyjacielu. Dobrze chociaż, że ujęliśmy Łasicę.

Rano zasnęłam, pozwoliłem sobie na ten drobny luksus i nie nastawiłem budzika. Mimo to o siódmej byłem już zupełnie rozbudzony. W nocy śniła mi się Patsy Hampton i Christine. Chaotyczne, żywe sceny złożyły się na męczący sen, po którym człowiek wstaje równie zmęczony jak wtedy, gdy kładł się do łóżka. Pomodliłem się za nie obie, zanim w końcu zwlokłem się z łóżka. Mieliśmy Łasicę. Teraz musiałem wydobyć z niego prawdę.

Narzuciłem na siebie trochę podniszczony biały satynowy szlafrok.

Muhammad Ali nosił go na obozie treningowym w Manili przed walką z Joeem Frazierem. Sampson dał mi szlafrok na moje czterdzieste urodziny.

Bawiła go myśl, że podczas gdy większość ludzi traktowałaby go jak domową relikwię, ja schodzę w nim co rano na śniadanie.

Kocham ten stary szlafrok, chociaż zwykle nie przywiązuję wagi do pamiątek i rekwizytów przeszłości. Może wynika to stąd, że zewnętrznie przypominam Alego, a przynajmniej tak mówią ludzie. Jestem odrobinę przystojniejszy, za to on jest o wiele lepszym człowiekiem.

Kiedy zszedłem do kuchni, Nana i dzieci siedzieli przy stole i oglądali wiadomości na małym przenośnym telewizorku, który Nana trzyma w kuchni, ale rzadko z niego korzysta. Woli czytać, gawędzić, no i oczywiście -gotować.

–Ali – Jannie popatrzyła na mnie i pokazała zęby w uśmiechu, ale jej wzrok powędrował natychmiast w stronę ekranu. – Powinieneś to zobaczyć, tatusiu.

–Twój brytyjski morderca zdominował poranne wiadomości – mruknęła Nana do swojego kubka. – A także gazety. „Immunitet dyplomatyczny może ocalić dyplomatę przed procesem o zabójstwo”, „Szpieg podejrzany o brutalne zabójstwo detektywa”. Rozmawiali już z ludźmi na Union Station i Pensylwania Avenue. Wszyscy są wściekli jak cholera. Mówią, że to zhańbienie immunitetu dyplomatycznego. Straszne.

–Ja też jestem wściekły. To nie w porządku – powiedział Damon. – O ile on to zrobił. Zrobił to, tato?

Skinąłem głową.

–Zrobił. – Dołałem sobie mleka do kawy. Nie byłem jeszcze

gotów do konfrontacji z Shaferem, dziećmi, a zwłaszcza z myślą o strasznym, bezsensownym morderstwie z poprzedniej nocy. – Mówili coś jeszcze w wiadomościach?

–Wizards dali plamę – powiedział Damon z niewzruszoną miną.

–Rod Strickland miał podwójny dublet.

–Ciiii! – Nana rzuciła nam zirytowane spojrzenie. – Była relacja C.N.N z Londynu.

Media już porównują sprawę Shafera z tą niefortunną historią opiekunki do dziecka z Massachusetts. Twierdzą, że Geoffrey Shafer jest bohaterem wojennym, odznaczonym za odwagę i ma podstawy sądzić, że został wrobiony przez policję. Mają chyba na myśli ciebie, Alex.

–Z całą pewnością. Zobaczmy co mówią w C.N.N. – Nikt nie zgłosił zastrzeżeń, więc zmieniłem kanał. W żołądku czułem grudę. Nie podobało mi się to, co widziałem i słyszałem w telewizji.

Niemal natychmiast na ekranie pojawił się reporter.

Przedstawił się, po czym przekazał pompatyczną, trzydziestosekundową relację z wydarzeń poprzedniego wieczoru.

Spojrzał poważnym wzrokiem w obiektyw.

–A teraz okazało się, że policja waszyngtońska bada

zupełnie inną wersję wydarzeń. Starszy detektyw, który aresztował Geoffreya Shafera, może sam stać się podejrzanym o to zabójstwo. Przynajmniej takie informacje pojawiły się w amerykańskiej prasie.

Potrząsnąłem głową i zmarszczyłem brwi.

–Jestem niewinny – oznajmiłem Nanie i dzieciom. Wiedzieli o tym, rzecz prosta.

–Dopóki nie udowodnią ci winy – odparła Jannie i puściła do mnie oko.

Rozdział 75

Na ulicy przed domem wybuchła wrzawa i Jannie pobiegła do okna w salonie, żeby sprawdzić, co się dzieje. Wróciła do kuchni z oczami jak spodki i wyszeptwała głośno:

–Przyjechała telewizja i reporterzy. C.N.N, N.B.S – cała chmara, jak poprzednim razem, z Garym Soneji. Pamiętacie?

–Pewnie, że pamiętamy – powiedział Damon. – Nikt tu nie jest opóźniony w rozwoju z wyjątkiem ciebie.

–O Boże, Alex! – wtrąciła Nana. – Czy oni nie wiedzą, że przyzwoici ludzie jedzą teraz śniadanie? – Potrząsnęła głową, wzniosła oczy do nieba. – Sępy wróciły. Może powinnam wyrzucić ochłapy mięsa przez drzwi frontowe.

–Ty idź z nimi porozmawiać, Jannie – powiedziałem i wróciłem wzrokiem do ekranu telewizora. Moja propozycja ucieszyła Jannie na kilka sekund. Potem zrozumiała, że żartowałem.

–No dobra, nabrałam się – przyznała.

Wiedziałem, że nie odejdą, wziąłem więc kubek z kawą i ruszyłem do drzwi.

Wyszedłem na piękny jesienny poranek. Wiaterek szeleścił figlarnie w liściach

wiązów i klonów, plamki słonecznego światła tańczyły na głowach ekip telewizyjnych i dziennikarzy prasowych zgromadzonych na skraju naszego trawnika.

Sępy.

–Nie narażajcie się na śmieszność – powiedziałem. Spokojnie popijałem kawę i spoglądałem na hałaśliwy dziennikarski tłumek. – Oczywiście, że nie zabiłem detektyw Patsy Hampton ani nie wrobiłem nikogo w jej morderstwo. Odwróciłem się na pięcie i wszedłem do domu, nie odpowiadając na żadne pytanie.

Nana i dzieci znajdowali się tuż za wielkimi drewnianymi drzwiami.

–To było dobre – powiedziała Nana z błyszczącymi oczami.

Poszedłem na górę i ubrałem się do pracy.

–Marsz do szkoły! – zawołałem do Jannie i Damona. – Macie zbierać piątki.

Bawić się z kolegami. Nie zwracać uwagi na szaleństwo świata wokół was.

–Tak, tatusiu!

Rozdział 76

Powołanie się Shafera na immunitet dyplomatyczny oznaczało, że nie mamy prawa przesłuchiwać go w sprawie morderstwa detektyw Hampton ani w żadnej innej. Było to niesłychanie frustrujące. Złapaliśmy Łasicę i nie mogliśmy się do niego dostać.

Czekano już na mnie w komendzie i wiedziałem, że będzie to długi, męczący dzień. Byłem przesłuchiwany przez ministerstwo Spraw Wewnętrznych, przez głównego radcę prawnego, a także przez Mikea Kersee z biura prokuratora okręgowego.

Nie zwracać uwagi na szaleństwo świata, powtarzałem sobie raz po raz, ale trudno mi było zastosować się do własnej rady.

Około piętnastej zjawił się prokurator okręgowy we własnej osobie. Ron Coleman był wysokim, szczupłym, wysportowanym mężczyzną, z którym znaleźliśmy się jeszcze z czasów, kiedy pracował w biurze prokuratora jako niższy urzędnik. Zawsze uważałem, że jest sumienny, dobrze poinformowany, rozsądny i przytomny. Nigdy nie wydawał się bardzo upolityczniony, więc byłem zaskoczony, kiedy burmistrz Monroe mianował go na stanowisko prokuratora okręgowego. Ale Monroe zawsze lubił szokować ludzi.

–Pan Shafer ma już adwokata – oznajmił Coleman. – Jednego z najświetniejszych w palestrze. Wybrał sobie samego Julesa Halperna.

To prawdopodobnie Halpern rozpuścił wiadomość, że jesteś podejrzany, wiadomość nieprawdziwą, o ile mi wiadomo.

Wybałuszyłem oczy na Colemana. Nie wierzyłem własnym uszom.

–O ile ci wiadomo? Co to znaczy, Ron?

Prokurator wzruszył ramionami.

–Nas będzie reprezentowała Cathy Fitzgibbon. Myślę, że jest najlepszym oskarżycielem, jakiego teraz mamy. Przydzielimy jej do pomocy Lyndę Cole i może Stephenę Apta, oboje z pierwszej ligi. Na razie tyle mam do powiedzenia

w tej sprawie.

Znałem wszystkich trzech prokuratorów. Cieszyli się dobrą opinią, zwłaszcza Fitzgibbon. Byli młodzi, niestrudzeni, sprytni i oddani robocie -jak Coleman.

–Wygląda na to, że się przygotowujesz do wojny, Ron.

Skinął głową.

–Jak już wspomniałem, Jules Halpern będzie obrońcą Shafera.

Rzadko przegrywa. Jeżeli mam być szczery, nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek przegrał dużą sprawę. Nie przyjmuje przegranych spraw, Alex.

Spojrzałem prosto w ciemne oczy Colemana.

–Mamy krew Patsy Hampton na ubraniu mordercy. Mamy krew w łazience i założę się, że zanim ten dzień się skończy, będziemy mieli odciski palców Shafera w samochodzie Patsy Hampton. Prawdopodobnie będziemy mieli również wieszak, którym ją udusił.

Ron?

–Tak, Alex. Wiem, o co teraz zapytasz.

–Shafer ma immunitet dyplomatyczny. Po co wciągnął w to Julesa Halperna?

–Jest to cholernie dobre pytanie, które sam sobie zadaję.

Podejrzewam, że Halpern został wynajęty, żeby zmusić nas do wycofania wszelkich zarzutów.

–Mamy niepodważalne dowody. Zmywał z siebie krew Patsy Hampton w łazience.

Są ślady w zlewie.

Coleman skinął głową i zagłębił się w fotelu.

–Nie rozumiem, dlaczego Jules Halpern się w to zaangażował.

Ale jestem pewny, że wkrótce się dowiemy.

–Obawiam się, że tak – odparłem.

Tego wieczoru postanowiłem wyjść z budynku tylnymi drzwiami, na wypadek, gdyby dziennikarze czekali na mnie na Alabama Avenue.

Ledwo znalazłem się na zewnątrz, zza przyległego muru wyskoczył niski łysiejący mężczyzna w zielonkawym garniturze.

–Liczy pan na to, że ktoś pana zastrzeli? – zapytałem pół żartem, pół serio.

–Ryzyko zawodowe – zaszczębiotał. – Proszę nie zabijać posłańca.

Uśmiechnął się blado, wręczając mi białą kopertę.

–Aleksie Cross, otrzymał pan właśnie wezwanie do stawienia się w sądzie. Życzę miłego wieczoru – powiedział i zniknął równie nagle, jak się pojawił.

Rozdarłem kopertę i przebiegłem wzrokiem pismo. Jęknąłem. Wiedziałem już, dlaczego Jules Halpern podjął się obrony Shafera, wiedziałem, z czym mamy do czynienia.

Zostałem pozwany przed sąd cywilny za nieuzasadnione aresztowanie oraz zniesławienie pułkownika Geoffreya Shafera. Skarżył mnie o pięćdziesiąt milionów dolarów.

Rozdział 77

Następnego dnia rano zostałem wezwany do Wydziału Prawnego Okręgu Columbia w śródmieściu. Uznałem, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

Główny radca prawny James Dowd i Mike Kersee z biura prokuratora okręgowego czekali już na mnie rozparci w klubowych fotelach z czerwonej skóry, zaś szef detektywów Pittman dawał niezłe przedstawienie z pierwszego rzędu.

–Twierdzicie, że ponieważ Shafer ma immunitet dyplomatyczny może uniknąć procesu w sądzie karnym? Że może pójść sobie do sądu cywilnego i oskarżyć nas o nieprawne aresztowanie i pomówienie?

Kersee skinął głową i plasnął językiem.

–Właśnie! Nasi ambasadorzy i ich personel cieszą się takimi samymi przywilejami w Anglii i wszystkich innych krajach świata.

Wywarcie presji politycznej niczego nie da. Brytyjczycy nie uchylą immunitetu.

Shafer jest bohaterem wojennym z Falklandów. Cieszy się również poważaniem w służbach specjalnych, chociaż ostatnio miał, zdaje się, jakieś kłopoty.

–Jakie kłopoty? – zapytałem.

–Tego nam nie powiedzą!

Pittman nadal nękał prawników.

–A co z tym klaunem z ambasady jakiegoś kraju bałtyckiego?

Tym, który zmiotł uliczną kafejkę? On poszedł pod sąd!

Mike Kersee wzruszył ramionami.

–Był niskim urzędniczyzną z nieważnego państwa, które mogliśmy zastraszyć. Z Anglią to nie wchodzi w rachubę.

–Dlaczego nie? – Pittman zmarszczył brwi i walnął pięścią w poręcz fotela. –

Anglia gównu dzisiaj znaczy!

Zadzwoił telefon na biurku. Dowd uniósł rękę, nakazując ciszę.

–To pewnie Jules Halpern. Powiedział, że zadzwoni o dziesiątej, a drań jest słowny. Jeżeli to on, przełączę na głośnik. To powinno być równie interesujące jak badanie odbytnicze kaktusem.

Dowd odebrał telefon i przez jakieś trzydzieści sekund wymieniał uprzejmości z adwokatem. Potem Halpern przystąpił do rzeczy.

–Zdaje się, że mamy pewne kwestie do omówienia. Jestem dzisiaj bardzo zajęty. Z pewnością pana również czas goni.

–Tak, przejdźmy do sprawy – powiedział Dowd, unosząc grube, kędzierzawe brwi.

– Jak pan wie, policja ma prawo aresztować każdego, jeżeli istnieje po temu uzasadniony powód. Tu nie ma miejsca na sprawę cywilną, mecenasie...

Halpern przerwał Dowdowi w pół zdania.

–Policja nie ma takiego prawa, jeżeli podejrzany ujawni

fakt posiadania immunitetu dyplomatycznego, co mój klient uczynił. Pułkownik Shafer stał w drzwiach mieszkania swojej terapeutki, machając legitymacją brytyjskiego wywiadu jak znakiem stopu i w kółko powtarzał, że ma immunitet.

Dowd westchnął głośno do słuchawki.

–Miał krew na spodniach, mecenasie. Jest mordercą,

mecenasie, zabójcą policjantki. Chyba nie muszę mówić więcej. Jeżeli zaś chodzi

o rzekome zniesławienie, policja ma prawo powiadomienia prasy o przestępstwie.

–Więc oświadczenie szefa detektywów – w obecności reporterów i paru setek milionów widzów na całym świecie – nie jest oszczerstwem?

–Nie jest. Policja ma do tego prawo, nawet jeżeli sprawa dotyczy osób publicznych, takich jak pański klient.

–Mój klient nie jest osobą publiczną, panie Dowd. Jest osobą bardzo prywatną. Jest agentem wywiadu. Jego wyniki, a nawet życie, zależą od tego, czy będzie mógł pracować w tajemnicy.

Dowd był już mocno zirytowany, prawdopodobnie tym, że Halpern odpowiada spokojnie, choć z szybkością karabinu maszynowego.

–W porządku, panie Halpern. W jakiej sprawie pan do mnie dzwoni?

Halpern milczał dość długo, by pobudzić ciekawość Dowda.

Potem zaczął z innej beczki.

–Mój klient upoważnił mnie do przekazania panu niezwyklej propozycji.

Odradzałem mu to, ale ma prawo postąpić, jak zechce.

Dowd był zdumiony. Chyba nie oczekiwał propozycji ugody. Ja również nie. O co w tym wszystkim chodziło?

–Proszę kontynuować, panie Halpern – powiedział Dowd.

Czujnym wzrokiem powiódł po naszych twarzach. – Słucham.

–Nie wątpię, że pan słucha, podobnie jak pańscy szanowni koledzy.

Pochyliłem się naprzód, chłonąc każde słowo.

Jules Halpern wyjawiał właściwy powód swego telefonu.

–Mój klient chce otrzymać gwarancje, że nie zostanie mu wytoczony proces cywilny.

Wzniosłem oczy do nieba. Halpern chciał się upewnić, że nikt nie pozwie jego klienta przed sąd cywilny po tym, jak zakończy się sprawa karna.

Pamiętał, że O. J. Simpson został uwolniony przez jeden sąd tylko po to, by dać się obedrzeć przez drugi.

–Niemożliwe! – powiedział Dowd. – O czymś takim nie może być nawet mowy!

–Proszę posłuchać. To jest możliwe, inaczej nie poruszałbym w ogóle tematu.

Jeżeli mój klient otrzyma takie gwarancje i jeżeli obaj zdobędziemy pewność, że rozprawa odbędzie się szybko, mój klient zrzeknie się immunitetu dyplomatycznego. Dobrze pan słyszał, panie Dowd. Geoffrey Shafer chce udowodnić swoją niewinność w sądzie. Nalega na to.

Dowd kręcił głową z niedowierzaniem. Mike Kersee spoglądał na mnie przez szerokość pokoju oczami pełnymi zdumienia.

Nikt z nas nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał.

Geoffrey Shafer chciał iść do sądu.

Księża czwarta

Proces

Rozdział 78

Przez blisko sześć tygodni Zdobywca obserwował ją na High Street w Kensington. Stała się jego obsesją, jego fantazją, elementem gry.

Wiedział o niej absolutnie wszystko. Czuł – wiedział – że zaczyna się zachowywać jak Shafer. Wszyscy oni zaczęli się zachowywać jak Shafer.

Dziewczyna nazywała się Noreen Anne i dawno temu – to znaczy jakieś trzy lata temu – przyjechała do Londynu z Cork w Irlandii, marząc o karierze międzynarodowej modelki.

Miała wówczas siedemnaście lat, szczupłe, zgrabne ciało i twarz, o której w rodzinnym mieście mówiono, że powinna znaleźć się na okładkach czasopism, a może nawet na srebrnym ekranie.

Więc co robiła na High Street o pierwszej w nocy? Rozmyślała o tym, kiedy z wymuszonym, kokieteryjnym uśmiechem machała do mężczyzn objeżdżających wolniutko High Street, De Vere Gardens, Exhibition Road. Uśmiechali się pożądliwie.

Uważali, że jest ładna, a jakże! Jednak nie dość ładna, by trafić na okładki angielskich i amerykańskich czasopism, i nie dość dobra czy wyrafinowana, by zrobić z niej żonę czy choćby kochankę.

Cóż, miała plan i sądziła, że niezły. Noreen Anne oszczędziła prawie dwa tysiące funtów przez dwa lata pracy na ulicy. Zamierzała dozbierać jeszcze trzy, wrócić do Irlandii i założyć mały salon piękności. Wiedziała mnóstwo o urodzie i bardzo dużo o marzeniach.

A na razie stoję przed hotelem Kensington Palace, pomyślała, i odmrażam sobie śliczny tyłek.

–Przepraszam panią! – Odwróciła się przestraszona. Nie słyszała kroków.

–Zauważyłem, że pani tu stoi. Jest pani niezwykle piękna.

Ale to już pani z pewnością wie.

Noreen Anne odetchnęła z ulgą na widok mężczyzny. Gość nie mógł jej skrzywdzić, nawet gdyby chciał. Już prędzej ona mogła skrzywdzić jego.

Był stary, dobrze po sześćdziesiątce, obscenicznie gruby i siedział na wózku inwalidzkim.

Więc poszła z nim – ze Zdobywcą.

Wszystko to było częścią gry.

Rozdział 79

Amerykanie obiecali szybki termin procesu i dotrzyмали obietnicy, głupcy!

Minęło pięć miesięcy od morderstwa detektyw Patsy Hampton. Alex Cross krążył między Bermudami a Waszyngtonem i nadal nie miał pojęcia, co się stało z Christine. Shafer wyszedł z więzienia, ale czuł, że trzymają go na bardzo krótkiej smyczy. Nie grał od zabójstwa Hampton. Gra gier została zawieszona i to doprowadzało go do szału.

Teraz pełen nadziei siedział w swoim czarnym jaguarze na parkingu pod samym sądem. Chciał jak najprędzej stanąć przed obliczem sprawiedliwości, oskarżony o dokonanie brutalnego morderstwa pierwszego stopnia. Zasady gry zostały ustalone i napawało go to zadowoleniem.

Ostatnie tygodnie stały mu żywo w pamięci. Rozkoszował się każdą chwilą. Rozprawa wstępna odbyła się jeszcze przed wyborem sędziów przysięgłych, a jej celem było ustalenie, jakie dowody zostaną dopuszczone w trakcie procesu.



Rozprawa miała miejsce w obszernej kancelarii sędziego Michaela Fescoe. Sędzia określał zasady, był więc swego rodzaju mistrzem gry.

Shafer był zachwycony, oczarowany.

Jego adwokat, Jules Halpern, w swoim wystąpieniu podkreślił,

że Shafer odbywał sesję terapeutyczną w gabinecie doktor Cassady, a tym samym miał prawo do prywatności, – To prawo zostało pogwałcone. Po pierwsze, doktor Cassady zabroniła detektywowi Crossowi wstępu do swojego mieszkania. Po drugie, pułkownik Shafer pokazał detektywowi legitymację pracownika ambasady brytyjskiej, dyplomaty. Mimo to Cross wtargnął do gabinetu lekarskiego.

W konsekwencji wszelkie dowody – o ile istnieją – zostały zebrane w rezultacie bezprawnej rewizji.

Sędzia Fescoe rozważał tę kwestię przez resztę dnia i następnego ranka ogłosił decyzję: Wysłuchawszy obu stron, stwierdzam, że kwestia nie nasuwa żadnych wątpliwości i nie odbiega od postępowania w typowej sprawie o morderstwo, Pan Shafer ma immunitet dyplomatyczny, Jednakże, w moim przekonaniu, udając się do mieszkania doktor Cassady, detektyw Cross w najmniejszym stopniu nie naruszył prawa. Podejrzewał, że zostało popełnione straszne morderstwo. Doktor Cassady otworzyła drzwi, ukazując detektywowi ubiór pana Shafera. Pułkownik Shafer powtarzał nieustannie, że ma immunitet dyplomatyczny i na tej podstawie zakazał detektywowi Crossowi wstępu do mieszkania.

W związku z powyższym, zezwolę oskarżycielowi wykorzystać jako dowód ubranie, jakie pułkownik Shafer miał na sobie w wieczór morderstwa, a także krew na dywanie przed drzwiami mieszkania.

Oskarżyciel może również wykorzystać dowody znalezione na terenie garażu, w samochodzie detektyw Hampton i pułkownika Shafera – ciągnął sędzia Fescoe, zbliżając się do zasadniczej części orzeczenia. – Nie zezwolę natomiast na wykorzystanie dowodów zebranych po tym, jak detektyw Cross wszedł do mieszkania wbrew woli pułkownika Shafera i doktor Cassady.

Wszelkie dowody zebrane podczas tej i następnych rewizji nie zostaną dopuszczone w trakcie procesu.

Oskarżycielowi nie wolno było nawiązywać do innych morderstw, o których popełnienie policja podejrzewała Shafera. Ława przysięgłych miała wyjść z założenia, że Shafer jest podejrzany jedynie o zamordowanie detektyw Patrycji Hampton. Po zakończeniu rozprawy wstępnej obie strony przypisały sobie zwycięstwo.

Pierwszego dnia procesu przed budynkiem sądu kłębił się, niesforny tłum. Zwolennicy Shafera wiwatowali, machając nowiutkimi brytyjskimi chorągiewkami, a on śmiał się z niewiarygodnych głupców, unosząc jednocześnie nad głowę dłonie złożone na znak zwycięstwa. Czuł się wspaniale w roli bohatera.

Cudowne chwile! Cóż z tego, że był trochę nabuzowany po dawce leków.

Obie strony nadal zapowiadały miażdżące zwycięstwo. Prawnicy byli skończonymi kretynami.

Prasa okrzyknęła tę niesłychaną szaradę kryminalnym procesem dekady. Amok, w jaki wpadły media, w pełni oczekiwany i niemal rytualny, zachwycił go. Przyjmował

to jako hold i wyraz uwielbienia. Należały mu się.

Starannie opracował swój wygląd; chciał wywrzeć wrażenie na całym świecie. Wystąpił w szarym, szytym na miarę garniturze, koszuli w prążki od Budda i czarnych pantoflach od Lobba. Sfotografowano go setki razy już w pierwszych paru sekundach.

Wszedł na salę, poruszając się jak we śnie. Najpiękniejsze było to, że mógł stracić wszystko.

Sala numer cztery, największa w gmachu, mieściła się na trzecim piętrze. Po stronie ogromnych dwuskrzydłowych drzwi ciągnęła się galeria, która mogła pomieścić około stu czterdziestu widzów. W głębi stały stoły prawnicze, a jeszcze dalej ława sędziowska, zajmująca prawie jedną czwartą powierzchni.

Rozprawa rozpoczęła się o dziesiątej rano i z początku Shafer niewiele słyszał i widział. Głównym oskarżycielem była zastępczyni prokuratora okręgowego Catherine Marie Fitzgibbon. Już marzył o tym, żeby ją zabić i zastanawiał się, czy jest szansa, by to przeprowadzić. Chciał zawiesić sobie u pasa skalp panny Fitzgibbon. Miała dopiero trzydzieści sześć lat, była irlandzką katoliczką, samotną, seksowną na swój sposób, oddaną wysokim ideałom, jak większość jej irlandzkich ziomków. Nosila granatowe lub szare garsonki Ann Taylor, a na szyi nieodłączny złoty krzyżyk na złotym łańcuszku. Była znana w kręgach prawniczych Waszyngtonu jako Królowa dramatu. Jej melodramatyczne opisy potwornych zbrodni były obliczone na wzbudzenie współczucia sędziów przysięgłych.

Shafer uznał ją za godną przeciwniczkę. I godny siebie łup.

Siedział przy stole obrony i próbował się skoncentrować.

Słuchał, obserwował i czuł się wspaniale. Wiedział, że jest w centrum zainteresowania.

Zupełnie zrozumiałe.

Siedział i patrzył, ale pod czaszką mu wrzało. W końcu wstał

jego wielki adwokat, Jules Halpern, i Shafer usłyszał swoje nazwisko. To zwiększyło jego zainteresowanie. Był tu gwiazdą, nieprawdaż?

Jules Halpern miał nie więcej niż metr sześćdziesiąt wzrostu, ale na sali sądowej prezentował się okazale. Farbowane, kruczoczarne włosy zaczesywał gładko do tyłu. Garnitur wyszedł spod igły brytyjskiego krawca.

Ubieraj się jak Brytyjczyk, myśl jak Żyd, pomyślał Shafer cynicznie. Obok Halperna siedziała jego córka Jane, asystentka obrońcy. Była wysoka i szczupła. Po ojcu odziedziczyła czarne włosy i jego haczykowaty nos.

Jules Halpern miał mocny głos, jak na człowieka tak mizernej postury.

–Mój klient, Geoffrey Shafer, jest kochającym mężem, dobrym ojcem.

Na pół godziny przed śmiercią detektyw Patrycji Hampton uczestniczył w przyjęciu urodzinowym dwójki swoich dzieci. Pułkownik Shafer jest cenionym pracownikiem brytyjskiego wywiadu, odznaczonym za swe zasługi.

Jest byłym żołnierzem z piękną kartą wojenną. Pułkownik Shafer został oskarżony, ponieważ policja waszyngtońska na gwałt szukała sprawcy tego potwornego morderstwa. Sędziowie przysięgli, zamierzam to udowodnić i to

udowodnić w sposób, który nie pozostawi cienia wątpliwości. Pan Shafer został niesłusznie oskarżony, ponieważ pewien detektyw wydziału zabójstw ma poważne kłopoty osobiste i stracił rozeznanie sytuacji.

I w końcu – i jest to chyba czynnik najistotniejszy – pułkownik Shafer jest tutaj z własnej, nieprzymuszonej woli. Nie siedzi tu przed wami dlatego, że musi. Ma immunitet dyplomatyczny. Geoffrey Shafer jest tu, ponieważ pragnie oczyścić swe dobre imię.

Shafer omal nie wstał i nie zaczął wiwatować.

## Rozdział 80

Kierując się rozsądkiem, opuściłem pierwszy, a potem drugi i trzeci dzień rozprawy. Nie chciałem spotykać się z prasą i publicznością częściej niż to było konieczne. Miałem wrażenie, że jestem sądzony razem z Shaferem.

Bezwzględny morderca stał przed sądem, a śledztwo toczyło się dalej, nabierając tempa. Nadal szukałem dowodów w sprawie Jane Doe, śladów Christine. Chciałem się upewnić, że Shafer nie wyjdzie z sądu jako wolny człowiek, a co najważniejsze – musiałem poznać prawdę o Christine.

Musiałem wiedzieć. Przez ten cały dyplomatyczny szajs nie mogłem dobrać się do Shafera, i to przyprawiało mnie o największą frustrację. Oddałbym wszystko za parę godzin ze skurczybykiem.

Zmieniłem południową część naszego strychu w centrum operacyjne.

I tak nie było co robić z tą całą wolną przestrzenią. Z jakiegoś kąta wyciągnąłem stary mahoniowy stół. Naprawiłem antyczny wiatrak, dzięki czemu na strychu prawie zawsze dawało się wytrzymać – zwłaszcza wczesnym rankiem i późnym wieczorem, kiedy pracowałem najwięcej.

Na stole ustawiłem laptop, a do ściany przypiąłem pineskami różnokolorowe fiszki z najważniejszymi elementami sprawy, żeby zawsze mieć je przed oczami. W kilku pękatach, bezkształtnych kartonach trzymałem resztę akt; każdy najdrobniejszy dowód w sprawie uprowadzenia Christine i wszystko, co dało się zebrać o Jane Doe.

Nierozwikłane sprawy tworzą chaotyczną układankę, której fragmenciki zbiera się całymi latami. Czulem, że prowadzę skomplikowaną grę ze zręcznym przeciwnikiem, ale nie znałem zasad tej gry, nie wiedziałem, jak się w nią gra! Shafer miał nade mną olbrzymią przewagę.

Znalazłem trochę cennych informacji w notatkach Patsy Hampton. Pozwolono mi również przesłuchać nastolatka Michaela Ormsona, który gawędził z Shaferem o Czterech Jeźdźcach. Współpracowałem blisko z Chuckiem Hufstedlerem z F-Bi-al. Chuck miał wyrzuty sumienia, że oddał Patsy Hampton trop, chociaż to ja pierwszy się do niego zgłosiłem. Wykorzystałem jego poczucie winy.

F-Bi-al i Interpol prowadzili intensywne poszukiwanie w internecie.

Ja ze swej strony odwiedziłem dziesiątki internetowych klubów dyskusyjnych, ale nie natknąłem się na nikogo, kto słyszałby o tajemniczej grze.

Shafer został odkryty tylko dlatego, że zaryzykował i wszedł do chatroomu.

Zastanawiałem się, jakie jeszcze błędy popełnił.

Po aresztowaniu Shafera w Farragut przeszukaliśmy jego

jaguara, a potem spędziłem niemal godzinę w jego domu – zanim prawnicy zdążyli mi to uniemożliwić. Rozmawiałem z jego żoną Lucy, z jego synem Robertem, który potwierdził, że ojciec gra w Czterech Jeźdźców. Gra od siedmiu albo ośmiu lat.

Ani żona, ani syn nie znali pozostałych graczy i nic o nich nie wiedzieli.

Nie wierzyli, żeby Geoffrey Shafer mógł popełnić coś złego.

Syn nazwał ojca chodzącą uczciwością. Lucy Shafer

twierdziła, że jest dobrym człowiekiem i zdawała się wierzyć w swoje słowa.

W pokoju Shafera znalazłem czasopisma o grach komputerowych i kilka tuzinów kości do gry, ale żadnych innych fizycznych dowodów powiązanych z Jeźdźcami. Shafer zachowywał ostrożność, dobrze zacierał ślady.

Był przecież agentem wywiadu. Jakoś nie mogłem sobie wyobrazić, żeby wybierał ofiary rzucając kośćmi, ale z drugiej strony wyjaśniałoby to nieregularny schemat zabójstw.

Adwokat Jules Halpern uskarżał się głośno i energicznie na inwazję, jakiej dokonałem, i gdybym znalazł istotne dowody w domu Shafera, z pewnością nie zostałyby uwzględnione w procesie. Niestety, nie miałem dość czasu, a Shafer był zbyt mądry, by trzymać obciążające dowody we własnym domu. Popełnił jeden poważny błąd; mało prawdopodobne, by popełnił kolejne.

Czasem, późnym wieczorem, podczas pracy na strychu, nagle zamierałem, obezwładniony wspomnieniem Christine. Wspomnienia były bolesne i smutne, ale jednocześnie kojące. Marzyłem o chwili, kiedy będę mógł myśleć o niej do woli, bez przeszkód. Czasem wychodziłem na oszkloną werandę, gdzie stało pianino i grałem nasze piosenki: Unforgettable, Moonglow Wonderful. Nadal pamiętałem, jak wyglądała, kiedy odwiedzałem ją w domu – sprane dżinsy, nagie stopy, T – shirt albo jej ulubiony żółty sweter, kościany grzebień w długich włosach, zawsze pachnących szamponem.

Nie chciałem uważać się nad sobą, ale czułem się okropnie. Zostałem wtrącony w czarną otchłań i wiedziałem, że nie wydostanę się z niej, dopóki nie poznam prawdy o Christine.

To mnie paraliżowało, okaleczało, sprawiało, że czułem się taki smutny i pusty w środku. Wiedziałem, że muszę żyć dalej, ale nie mogłem.

Musiałem poznać odpowiedzi, przynajmniej niektóre.

Zastanawiałem się, czy Christine jest częścią tej dziwnej gry.

Czterej Jeźdźcy stawali się moją obsesją.

Czy ja również brałem w nich udział?

Wierzyłem, że tak. I miałem nadzieję, że Christine również.

To była jedyna szansa, że żyje.

Rozdział 81

Okazało się więc, że uczestniczę w dziwacznej grze, która staje się bardzo złym nawykiem. Zacząłem wymyślać własne zasady. Wciągałem do niej nowych graczy. Chciałem wygrać.

Chuck Hufstedler z F-Bi-al nadal mi pomagał. Powoli uświadamiałem sobie, że podkochiwał się w detektyw Hampton. Świadomość, że los doświadczył nas w

podobny sposób, bardzo nas do siebie zbliżyła.

Późnym wieczorem w piątek, po obejrzeniu Zorzo z Damonem, Jannie, Naną i kocicą Rosie, poszedłem na strych. Musiałem jeszcze sprawdzić kilka faktów przed położeniem się spać.

Włączyłem komputer, zalogowałem się i usłyszałem znajomą wiadomość:

Masz pocztę. Od tamtej nocy na Bermudach te zwykłe słowa przerażają mnie śmiertelnie, sprawiają, że zimny dreszcz przelatuje mi po krzyżu.

Tym razem była to Sandy Greenberg z Interpolu. Odpowiedziała na jeden z moich e – mailów. Pracowaliśmy razem nad sprawą Mr. Smitha i zaprzyjaźniliśmy się. Poprosiłem ją, żeby sprawdziła dla mnie parę rzeczy.

**ZADZWON, ALEX, NIEZALEŻNIE OD PORY, POWTARZAM, NIEZALEŻNIE  
OD PORY. TWÓJ IRYTUJĄCY UPÓR PRZYNIÓSŁ, ZDAJE SIĘ, REZULTATY.**

## **KONIECZNIE ZADZWOŃ – SANDY.**

Zadzwoń do Sandy, do Europy. Odebrała po drugim sygnale.

–Alex? Myślę, że znaleźliśmy jednego z nich. Ten twój durny pomysł wypalił. Shafer grał przynajmniej z jednym ze swoich starych kumpli z MI6.

Trafiłeś w dziesiątkę.

–Jesteś pewna, że to jeden z graczy?

–Jestem! – odpaliła. – Siedzę tu i gapię się na egzemplarz

Czterech Jeźdźców Durera. Jak wiesz, jeźdźcy to Zdobywca, Głód, Wojna i Śmierć.

Niesympatyczne towarzystwo. W każdym razie zrobiłam, o co prosiłeś.

Pogadałam ze znajomym w MI6, który dowiedział się, że Shafer kontaktuje się regularnie z jednym z tych facetów. Przez komputer. Mam też wszystkie twoje notatki, bardzo dobre, trzeba przyznać. Nie do wiary, ile udało ci się wydedukować w tych zamorskich koloniach. Poza tym jesteś bardzo dobry.

–Dzięki. – Pozwoliłem Sandy jeszcze trochę pogadać. Podczas pobytu w Europie odniosłem wrażenie, że czuje się samotna i chociaż często udaje zręczną, w rzeczywistości brakuje jej towarzystwa.

–Gość, o którym mówię, odgrywa Zdobywcę. Mieszka w Dorking, w Surrey – mówiła dalej Sandy. – Nazywa się Oliver Highsmith i jest emerytowanym pracownikiem MI6. Pracował w Azji w tym samym czasie, co Shafer. Był jego szefem. Dlaczego do niego nie zadzwonisz?

–zasugerowała Sandy. – Albo wyślij mu e – mail. Mam jego adres.

A pozostali uczestnicy gry? Czy naprawdę było ich czworo, czy była to tylko nazwa? Kim byli? Na czym polegała gra? Czy faktycznie wprowadzali swoje fantazje w życie? Wszyscy, czy tylko jeden z nich?

Wiadomość, jaką przekazałem Zdobywcy była prosta. Bardzo się starałem, żeby nie zabrzmiała w niej groźba. Czułem, że nie oprze się pokusie, by mi odpowiedzieć.

**SZANOWNY PANIE HIGHSMITH,**

**JESTEM DETEKTYWEM WYDZIAŁU ZABÓJSTW W WASZYNGTONIE.**

**ZBIERAM INFORMACJE O PUŁKOWNIKU GEOFFREYU SHAFERZE I JEGO**

**UDZIALE W CZTERECH JEŹDŹCACH. ROZUMIEM, ŻE SHAFER PRACOWAŁ DLA**

**PANA W AZJI. POTRZEBUJĘ PAŃSKIEJ POMOCY. CZAS MA ZASADNICZE**

**ZNACZENIE. PROSZĘ SKONTAKTOWAĆ SIĘ ZE MNĄ.**

# DETEKTYW ALEX CROSS

## Rozdział 82

Ku mojemu zdumieniu odpowiedź nadeszła natychmiast. Oliver Highsmith – Zdobywca – musiał być na linii, kiedy wysłałem e – mail.

### DETEKTYWIE CROSS!

ZNAM PANA I CAŁĄ SPRAWĘ, JAKO ŻE TOCZĄCY SIĘ PROCES CIESZY SIĘ OGROMNYM ZAINTERESOWANIEM W ANGLII I CAŁEJ EUROPIE. ZNAM G. S. OD DWUNASTU LAT ALBO I DŁUŻEJ. FAKTYCZNIE PRACOWAŁ PODE MNĄ PRZEZ KRÓTKI CZAS. JEST ZNAJOMYM RACZEJ NIŻ PRZYJACIELEM, NIE MAM WIĘC PODSTAW ORZEKAĆ O JEGO WINIE CZY NIEWINNOŚCI. OCZYWIŚCIE MAM

### NADZIEJĘ, ŻE UDOWODNI TO OSTATNIE.

W SPRAWIE PAŃSKIEGO PYTANIA O CZTERECH JEŹDZCÓW. SAMA GRA – A JEST TO GRA, PODKREŚLAM – JEST NIEZWYKŁA W TYM SENSIE, ŻE WSZYSCY GRACZE PRZYJMUJĄ ROLĘ MISTRZA GRY, TO ZNACZY KAŻDY Z UCZESTNIKÓW KONTROLUJE WŁASNE PRZEZNACZENIE, WŁASNĄ HISTORIĘ. HISTORIA G. S. JEST NAJBARDZIEJ URZEKAJĄCA I FRAPUJĄCA. ODGRYWANA PRZEZ NIEGO POSTAĆ – ŚMIERĆ NA SIWYM KONIU – JEST SKAŻONA, MOŻNA NAWET POWIEDZIEĆ, ŻE JEST UOSOBNIENIEM ZŁA. PRZYPOMINA TROCHĘ OSOBE, KTÓRA STAJE TERAZ PRZED SĄDEM W WASZYNGTONIE, PRZYNAJMNIEJ TAK MI SIĘ WYDAJE.

MUSZĘ JEDNAKŻE PODKREŚLIĆ, ŻE POJAWIENIE SIĘ MORDERSTWA – FANTAZJI W NASZEJ GRZE NASTĘPOWAŁO ZAWSZE KILKA DNI PO UKAZANIU SIĘ RELACJI W ŚRODKACH MASOWEGO PRZEKAZU.

PROSZĘ MI WIERZYĆ, SPRAWDZILIŚMY TO NATYCHMIAST PO ARESZTOWANIU G. S. SPRAWĄ ZAINTERESOWAŁ SIĘ NAWET INSPEKTOR JONES

Z SECURITY SERVICE W LONDYNIE, DZIWI MNIE WIĘC, ŻE NIE ZOSTAŁ PAN O TYM POINFORMOWANY. INSPEKTOR PRZESŁUCHIWAŁ MNIE W SPRAWIE G. S.

I MUSIAŁ BYĆ CAŁKOWICIE USATYSFAKCJONOWANY WYJAŚNIENIAMI, SKORO JUŻ SIĘ U MNIE NIE POKAZAŁ.

POZOSTALI UCZESTNICY CZTERECH JEŹDZCÓW – RÓWNIEŻ SPRAWDZENI PRZEZ SŁUŻBY SPECJALNE – REPREZENTUJĄ POZYTYWNE POSTACI. I CHOĆ PRYZNAJĄ, ŻE GRA POTRAFI WCIĄGNAĆ, POZOSTAJE JEDYNIEM GRĄ. A PROPOS, WIE PAN, ŻE NIEKTÓRZY NAUKOWCY TWIERDZĄ, ŻE ISTNIEJE PIĄTY JEŹDZIEC? CZYŻBY TO PAN NIM BYŁ, DOKTORZE CROSS?

UFAM, ŻE PAN ANDREW JONES ZE SŁUŻB SPECJALNYCH POTWIERDZI W CAŁEJ ROZCIĄGŁOŚCI MOJE OŚWIADCZENIE. JEŻELI CHCE PAN KONTYNUOWAĆ

NASZĄ ROZMOWĘ, ZROBI TO PAN NA WŁASNE RYZYKO. MAM 67 LAT, JESTEM

**EMERYTOWANYM AGENTEM WYWIADU I OKROPNYM GADUŁĄ. ŻYCZĘ PANU  
POWODZENIA W POSZUKIWANIACH PRAWDY I SPRAWIEDLIWOŚCI. CZASEM MI**



## **TEGO BRAKUJE. ZDOBYWCA**

**Przeczytałem wiadomość raz, drugi. Powodzenia w poszukiwaniach? Czy to zdanie miało taki podtekst, jaki mu przypisywałem?**

**I czy zostałem piątym Jeźdźcem?**

**Rozdział 83**

**Przez następny tydzień chodziłem do sądu codziennie i w końcu proces mnie wciągnął, jak wielu innych obserwatorów. Jules Halpern był najlepszym mówcą, jakiego zdarzyło mi się widzieć w sądzie, a Catherine Fitzgibbon niewiele mu ustępowała. Zrozumiałem, że werdykt będzie zależał od tego, kto wywrze większe wrażenie na ławie przysięgłych. Wszystko to było teatrem, grą. Pamiętam, że w dzieciństwie oglądaliśmy z Naną sądowy dramat pod tytułem Obrońcy. Na początku każdego odcinka narrator o głębokim głosie mówił: Amerykański system sprawiedliwości daleki jest od doskonałości, ale i tak jest najlepszy na świecie, albo coś w tym rodzaju.**

**Może to i prawda, ale siedząc w waszyngtońskim sądzie nie mogłem się pozbyć wrażenia, że proces o morderstwo, sędzia, ława przysięgłych, prawnicy i wszystkie ustanowione przez nich zasady, są jedynie elementami kolejnej skomplikowanej gry i że Geoffrey Shafer już planuje swój następny ruch, rozkoszuje się każdą chwilą rozprawy przeciwko sobie.**

**Nadal kontrolował przebieg gry. Był jej mistrzem. On to wiedział i ja to wiedziałem.**

**Patrzyłem, jak Jules Halpern gładko prowadzi przesłuchania, które miały na celu przekonanie ławy przysięgłych, że jego psychopatyczny klient jest niewinny jak nowo narodzone dziecko. Nietrudno było umknąć myślami w bok od przydługich przesłuchań w krzyżowym ogniu. Mimo to niczego nie przegapiłem, ponieważ wszystkie ważne punkty powtarzano aż do znudzenia.**

**–Alex Cross...**

**Usłyszałem swoje nazwisko i skupiłem uwagę na Julesie Halpernie.**

**Pokazywał powiększoną fotografię, która ukazała się w „Post” następnego dnia po morderstwie. Zdjęcie zrobił jeden z lokatorów Farragut i sprzedał gazecie.**

**Halpern zbliżył się do podium, na którym stał mężczyzna o nazwisku Carmine Lopes. Był nocnym portierem w budynku, gdzie została zamordowana Patsy Hampton.**

**–Panie Lopes, ma pan przed sobą fotografię mojego klienta i detektywa Aleksa Crossa. Została zrobiona na dziesiątym piętrze budynku, kilkanaście minut po odkryciu ciała detektyw Hampton.**

**Powiększenie było tak duże, że dostrzegłem większość szczegółów z czwartego rzędu, z miejsca gdzie siedziałem. Zdjęcie było szokujące.**

**Shafer wyglądał na nim tak jakby przed chwilą zszedł z okładki „Dżentelmena”. Moje ubranie było podarte i uwalane ziemią. Zakończyłem właśnie szalony maraton przez zoo i oględziny ciała biednej Patsy w garażu. Dłonie miałem zaciśnięte w pięści i zdawałem się ryczeć z wściekłości. Zdjęcia kłamią. Wszyscy to wiemy. Fotografia**

była w wysokim stopniu myśląca i czułem, że wywrze wpływ na sędziów przysięgłych.

–Czy zdjęcie oddaje wiernie wygląd obu mężczyzn o godzinie dwudziestej drugiej trzydzieści tamtego wieczoru? – zapytał Halpern portiera.

–Bardzo wiernie. Tak ich zapamiętałem.

Jules Halpern skinął głową, jakby otrzymał tę zasadniczą informację po raz pierwszy.

–Mógłby pan opisać własnymi słowami, jak wtedy wyglądał detektyw Cross?

Portier zawahał się i wydawał się zupełnie zdezorientowany pytaniem.

Ja nie. Wiedziałem już, do czego zmierza Halpern...

–Był brudny? – podsunął Halpern.

–Brudny... Jasne. Był w okropnym stanie.

–Spocony? – pytał dalej obrońca.

–Spocony... Tak. Wszyscy byliśmy spoceni, bo w garażu było duszno.

To była parna noc.

–Czy ubranie detektywa Crossa było podarte?

–Tak, było. Podarte i brudne.

Jules Halpern spojrział najpierw na przysięgłych, potem na swojego świadka.

–Czy ubranie detektywa Crossa było poplamione krwią?

–Tak, tak... poplamione. To zauważyłem najpierw, krew.

–Czy krew była tylko na jego ubraniu, czy jeszcze gdzieś?

–Na rękach. Nie można było nie zauważyć. Ja w każdym razie, zauważyłem – A pan Shafer? Jak on wyglądał?

–Był czysty i ubranie miał w porządku. Wydawał się bardzo spokojny i opanowany.

–Zauważył pan krew na panu Shaferze?

–Nie, proszę pana. Żadnej krwi.

Halpern skinął głową i odwrócił się w stronę ławy przysięgłych.

–Panie Lopes, który z tych dwóch mężczyzn wyglądał na kogoś, kto właśnie popełnił morderstwo?

–Detektyw Cross – powiedział portier bez wahania.

–Sprzeciw! – krzyknęła pani prokurator, ale dzieło zniszczenia już się dokonało.

Rozdział 84

Tego popołudnia obrona miała wezwać na świadka szefa detektywów, Georgea Pittmana. Zastępca prokuratora okręgowego Catherine Fitzgibbon wiedziała, że Pittman jest na liście i zaproponowała mi spotkanie na lunchu.

–Jeżeli jeszcze nie straciłeś apetytu – dodała.

Catherine była inteligentna i dokładna. Odesłała za kratki

niemal tylu zbrodniarzy, ilu Jules Halpern wypuścił na wolność. Spotkaliśmy się na sandwiczach w zatłoczonych delikatesach w pobliżu sądu. Perspektywa ujrzenia

**Pittmana na miejscu dla świadka nie zachwycała żadnego z nas.**

**Obrona niszczyła moją reputację detektywa i ciężko było patrzeć na to z założonymi rękoma.**

**Catherine wgrzyła się w wielowarstwową kanapkę. Trochę musztardy wyciekło jej na palce. Uśmiechnęła się.**

**–Nieporęczne, ale smakowite. Nie bardzo się zgadzacie z Pittmanem, co? Powiedzmy nawet, że się nie cierpicie?**

**–Łączy nas wzajemna, głęboka antypatia. Próbował dopiec mi kilka razy. Uważa, że zagrażam jego karierze.**

**Catherine ponowiła atak na kanapkę.**

**–Hmy, mam pewien pomysł. Byłbyś lepszym szefem detektywów?**

**–Nie ubiegałbym się o to stanowisko i nie przyjąłbym go, nawet gdyby ktoś wystąpił z taką propozycją. Nie byłoby ze mnie żadnego pożytku, gdybym siedział w gabinecie i grał w politycznego ping – ponga.**

**Catherine roześmiała się serdecznie. Jest jedną z tych osób, które we wszystkim potrafią dostrzec coś zabawnego.**

**–Super! Obrona wzywa szefa detektywów na swojego cholernego świadka. Jest określony jako wrogi, ale nie sądzę, żeby okazał się nieprzychylny:**

**Dokończyliśmy razem kanapkę Catherine.**

**–No, chodźmy zobaczyć, czym uraczy nas dzisiaj pan Halpern**

**–powiedziała pani prokurator.**

**Na początek Jules Halpern omówił wyczerpująco kwalifikacje zawodowe Pittmana, które z pewnością mogły wyrzeć wrażenie na laiku.**

**Uniwersytet Georgea Washingtona, potem wydział prawniczy, dwadzieścia cztery lata służby w policji, medale za odwagę i pochwały rozmaitych merów.**

**–Panie Pittman, jak opisałby pan osiągnięcia detektywa Crossa w policji? – zapytał Halpern.**

**Skuliłem się na krześle. Odruchowo zmarszczyłem brwi. No, teraz usłyszysz...**

**–Detektyw Cross prowadził kilka poważnych spraw, które zakończyły się sukcesem wydziału – powiedział Pittman i na tym poprzestał. Nie była to pochwała, ale nagana również nie.**

**Halpern pokiwał mądrze głową.**

**–Czy coś wpłynęło, a jeżeli tak, to w jaki sposób, na jego osiągnięcia w ostatnim czasie?**

**Pittman popatrzył w moją stronę, potem odpowiedział:**

**–Kobieta, z którą się spotykał, zaginęła, kiedy byli razem na wakacjach, na Bermudach. Od tamtego czasu jest zdekoncentrowany i rozkojarzony. Zrobił się wybuchowy, nie jest sobą.**

**Nagle zapragnąłem wstać i skomentować wypowiedź Pittmana.**

**Nie miał pojęcia, co łączyło mnie z Christine.**

**–Czy detektyw Cross występował kiedykolwiek w charakterze podejrzanego w sprawie zaginięcia jego znajomej, pani Christine Johnson?**

**Pittman skinął głową.**

–To standardowa procedura policyjna. Jestem pewien, że był przesłuchiwany.

–Ale jego zachowanie w pracy zmieniło się po zaginięciu pani Johnson?

–Tak. Nie potrafi się skoncentrować. Nie przychodzi do pracy.

–Czy proszono go, żeby zasięgnął pomocy specjalisty?

–Tak.

–Prosił go pan o to osobiście?

–Tak. Pracujemy razem od lat. Wiem, że żyje pod presją.

–Można powiedzieć, że pod dużą presją?

–Tak. Nie zamknął ostatnio żadnej sprawy.

–Kilka tygodni przed zabójstwem Hampton zawiesił pan kilku detektywów, z którymi Cross się przyjaźnił.

–Niestety, byłem do tego zmuszony – odparł Pittman z ubolewaniem.

–Dlaczego ich pan zawiesił?

–Detektywi prowadzili śledztwo pozostające poza auspicjami wydziału.

–Czy można powiedzieć, że ustanawiali własne zasady, działając jako członkowie straży obywatelskiej?

Catherine Fitzgibbon wstała i zgłosiła sprzeciw, którego sędzia Fescoe nie uwzględnił.

Pittman odpowiedział.

–Nic na ten temat nie wiem. Z pewnością działali bez mojej zgody.

Prowadzimy w tej sprawie dochodzenie.

–Czy detektyw Cross należał do grupy detektywów, którzy ustanawiali własne prawa w rozwiązywaniu spraw pozostających w gestii wydziału zabójstw?

–Nie jestem pewien. Ale rozmawiałem z nim na ten temat. Uznałem, że nie powinienem zawieszać detektywa Crossa. Ostrzegłem go jedynie, żeby się wycofał. Popeliłem błąd – powiedział Pittman.

–Nie mam więcej pytań.

Nie są już potrzebne, pomyślałem.

Rozdział 85

Tego wieczoru, po opuszczeniu budynku sądu, Shafer poddał się uczuciu euforii. Uznał, że wygrywa. Był nabuzowany jak cholera i było mu z tym zarazem dobrze i źle. Zaparkował w ciemnym garażu pod budynkiem Boo Cassady. Większość maniakalnie – depresyjnych nie wie, kiedy rozpoczyna epizod chorobowy, ale Shafer wiedział. Symptomy nie pojawiały się nagle.

Narastały w nim i narastały.

Ryzyko, jakim było pojawienie się w Farragut, umknęły jego uwagi.

Powrót na miejsce zbrodni i takie tam... Tak naprawdę, chciał pojechać dzisiaj do Southeast, ale to byłoby zbyt ryzykowne. Nie mógł zapolować, nie teraz. Miał coś

innego na oku. Wprowadził do gry kilka nowych elementów.

Oskarżeni w sprawie o morderstwo pierwszego stopnia rzadko spacerują sobie samopas, ale był to jeden z warunków, na których zgodził się zrezygnować z immunitetu. Nie pozostawił prokuratorowi żadnego wyboru. Gdyby się nie zgodził, Shafer zachowałby po prostu swoją przepustkę do wolności.

Wszedł do windy z lokatorem, którego znał z widzenia i pojechał na dziesiąte piętro. Zadzwoił do drzwi Boo. Czekał. Usłyszał jej ciche kroki na drewnianej podłodze. Tak, akt pierwszy dzisiejszego przedstawienia już się rozpoczął.

Wiedział, że obserwuje go przez wizjer, tak jak on obserwował Aleksa Crossa tej nocy, kiedy Patsy Hampton dostała za swoje. Po wyjściu z aresztu spotkał się z Boo kilka razy, ale potem zupełnie zerwał kontakty.

Załamala się, kiedy przestał się z nią widywać. Dzwoniła do niego do pracy, do domu, wydzwaniwała na komórkę, aż w końcu musiał zmienić cholerny numer. W najgorszych chwilach przypominała mu tę wariatkę, którą Glenn Close grała w Fatalnym zauroczeniu.

Zastanawiał się, czy nadal ma nad nią władzę. Była stosunkowo inteligentna i to w dużej mierze było źródłem jej kłopotów. Za wiele myślała, o wiele za wiele. Większość mężczyzn, zwłaszcza tępych Amerykanów, nie lubiła inteligentnych kobiet.

Przyłożył twarz do drzwi, wyczuł chłód drewna na policzku.

Rozpoczął przedstawienie.

–Umieram z tęsknoty, Boo. Nie masz pojęcia, jak to jest. Jedno potknięcie, jeden fałszywy ruch i jestem skończony. A przecież jestem niewinny. Wiesz o tym. Opowiedziałem ci wszystko tamtej nocy, kiedy jechaliśmy do ciebie do domu. Wiesz, że nie zabiłem tej detektyw. Elizabeth?

Boo?

Proszę, powiedz coś. Przynajmniej mnie zwymyślaj. Wyrzuć z siebie złość...

Boo?

Nie było odpowiedzi. To mu się podobało. Dzięki temu bardziej ją sobie cenił. Kurde, była bardziej zakręcona niż on sam!

–Wiesz przecież przez co przechodzę. Jesteś jedynym człowiekiem, który rozumie, co się ze mną dzieje. Potrzebuję cię, Boo. Jestem maniakalnie – depresyjny, dwubiegunowy... Pamiętasz Boo?

Shafer zaczął płakać, tłumiąc zarazem śmiech. Wydawał głośne, rozdzierające łkania. Wiedział, że jest lepszym aktorem niż wielu okrzyczanych pseudogeniuszów, jakich widywał na ekranie.

Drzwi mieszkania otworzyły się wolno.

–O! – wyszeptała Boo. – Biedny Geoff cierpi? Jaka szkoda!

Dziwka, pomyślał, ale musiał się z nią zobaczyć. Wkrótce miała zeznawać. Potrzebował jej dzisiaj, potrzebował jej pomocy w sądzie.

–witaj, Boo – odpowiedział również szeptem.

Rozdział 86

Akt drugi wieczornego przedstawienia.

Patrzyła na niego wielkimi ciemnobrązowymi oczami.

Przypominały bursztynowe paciorki, które kupowała w tych swoich ekskluzywnych butikach. Straciła na wadze, ale dzięki temu wydała mu się bardziej seksowna, bardziej zdesperowana. Stała przed nim w granatowych szortach i eleganckim T – shircie z różowego jedwabiu, cała zboląła.

–Zraniłeś mnie jak nikt dotąd – wyszeptała.

Zapanował nad sobą, grał i było to prawdziwe aktorstwo.

–Walczę o życie. Przysięgam, myślę tylko o tym, jak się zabić. Nie słyszałaś, co powiedziałem? Chcesz żeby twoje zdjęcie znalazło się znowu na pierwszych stronach popołudniówek? Nie rozumiesz? Dlatego trzymałem się od ciebie z daleka.

Roześmiała się gorzko, z ironią.

–To się stanie tak czy inaczej, jak tylko zacznę zeznawać.

Fotoreporterzy będą wszędzie, gdzie się obrócę.

Shafer zamknął oczy.

–Cóż, wtedy będziesz miała okazję, żeby się na mnie odegrać, kochanie.

Potrząsnęła głową, zasępiona.

–Wiesz, że tego nie chcę. Och, Geoff, dlaczego przynajmniej nie zadzwoniłeś? Ale z ciebie drań!

Shafer zwiesił głowę jak skruszony łobuziak.

–Wiesz, że byłem bliski załamania, jeszcze zanim to się zaczęło.

Teraz jest gorzej. Oczekujesz, że będę się zachowywał jak człowiek dorosły i odpowiedzialny?

Uśmiechnęła się cierpko. Zobaczył książkę na stoliku w korytarzu: Człowiek i jego symbole, Carla Junga. Bardzo na czasie.

–Nie, Geoff, nie oczekiwałam tego. Czego chcesz? Prochów?

–Potrzebuję ciebie, Boo. Chcę cię wziąć w ramiona. To wszystko.

Tej nocy dała mu czego pragnął. Kopulowali jak zwierzęta na szarej aksamitnej kanapce, na której zwykle usadzała swoich pacjentów, a potem na bujanym fotelu w stylu Kennedyego, gdzie siadywała podczas sesji terapeutycznych. Shafer wziął jej ciało – i duszę.

Potem dała mu leki – środki przeciwbólowe i antydepresyjne, prawie cały swój zapas próbek. Nadal była w stanie wyciągnąć je od swojego byłego, psychiatry. Shafer nie wiedział, jakie stosunki ich łączą i, prawdę mówiąc, nie obchodziło go to. Przełknął trochę librium i od razu na miejscu wstrzyknął sobie vicodin.

Potem wziął Boo ponownie na ladzie kuchennej – na rzeźnickim kłocu, pomyślał. Oboje byli nadzy, spotniali i szaleni.

Opuścił Boo około jedenastej. Wychodząc, uzmysłowił sobie, że czuje się gorzej niż kiedy do niej przyszedł. Ale wiedział, co teraz robi. Wiedział, jeszcze zanim zjawił się u Boo. Rozsadzi ich ciasne mózdzki. Załatwi ich wszystkich. Dziennikarzy.

**Przysięgłych.**

**Niech więc się rozpocznie akt trzeci.**

**Rozdział 87**

**Trochę po północy dostałem wiadomość, która przyprawiła mnie niemal o szaleństwo. W ciągu paru minut rozpędziłem starego porsche do stu trzydziestu na godzinę i pędziłem Rock Creek Parkway. Policyjna syrena wdarła się w nocną ciszę.**

**Dotarłem do Kaloramy dwadzieścia pięć po dwunastej. Na ulicy pełno było ambulansów, wozów policyjnych i ekip telewizyjnych.**

**Sąsiedzi Shafera wyszli ze swoich wielkich, luksusowych domów, żeby popatrzeć na nocny koszmar. Nie mogli uwierzyć, że coś takiego stało się w ich ekskluzywnej enklawie.**

**Trzaski policyjnych krótkofalówek i urywane rozkazy wypełniły nocne powietrze. Helikopter wiadomości telewizyjnych już krążył nam nad głową.**

**Przyjechała furgonetka z napisem C.N.N i zaparkowała tuż obok mnie.**

**Podszedłem do detektywa Malcolma Ainsleya, który stał na frontowym trawniku. Zналиśmy się z innych miejsc zbrodni, a nawet z kilku przyjęć. Nagle otworzyły się frontowe drzwi domu Shafera...**

**Dwaj sanitariusze wynieśli nosze. Błysnęły flesze aparatów fotograficznych, dziesiątki fleszów.**

**–To Shafer – powiedział Ainsley. – Sukinsyn próbował się zabić. Podciął sobie żyły i nałykał się prochów. Puste opakowania po lekach były wszędzie. Przestraszył się w ostatniej chwili i wezwał pomoc.**

**Znałem już Shafera na tyle dobrze – z przesłuchań poprzedzających proces, a także z jego profilu psychologicznego – żeby domyślić się przebiegu zdarzeń. Moją pierwszą myślą było, że miał jakieś zaburzenia osobowości, które wywoływały epizody maniakalno – depresyjne. Mógł również cierpieć na cyklofrenię, która przejawia się zarówno epizodami maniakalnymi, jak i symptomami depresyjnymi. Do objawów zalicza się przerost ambicji, zmniejszone zapotrzebowanie na sen, wzmożone oddawanie się przyjemnościom oraz potrzebę celowego działania – w przypadku Shafera mogłaby to być próba przyspieszenia zwycięstwa w Czterech Jeźdźcach.**

**Postąpiłem naprzód, jakbym dryfował w koszmarze, najgorszym, jaki można sobie wyobrazić. Rozpoznałem jednego z techników, Ninę Disesę.**

**Pracowałem z nią przy kilku sprawach w Georgetown.**

**–Dotarliśmy do drania w sam czas – powiedziała Nina i zmrużyła ciemne oczy. – Szkoda, co?**

**–Poważna próba? – zapytałem.**

**Nina wzruszyła ramionami.**

**–Trudno powiedzieć. Przegub poharatał sobie nieźle. Ale tylko lewy.**

**Potem prochy, mnóstwo prochów – próbki lekarskie.**

**Pokręciłem głową z niedowierzaniem.**

**–Ale ostatecznie wezwał pomoc?**

–Żona i syn twierdzą, że usłyszeli jego wołanie z gabinetu:

Tatuś potrzebuje pomocy, Tatuś umiera. Tatuś jest chory.

–Tu ma niewątpliwie rację. Tatuś jest niewiarygodnie chory.

Tatuś jest monumentalnym świrem.

Podszedłem do białego – czerwonego ambulansu. Ulica nadal rozbłyskała fleszami aparatów fotograficznych. Myśli wirowały, w głowie miałem chaos. Wszystko jest dla niego grą. Ofiary w Southeast, Patsy Hampton, Christine. Teraz to. Bawi się nawet własnym życiem.

–Puls nadal silny – usłyszałem, kiedy znalazłem się przy karetce.

Zobaczyłem sanitariuszy wewnątrz wozu, robiących Shaferowi E.K.G. Słyszałem nawet popiskiwanie aparatury.

Wtedy ujrzałem twarz Shafera. Włosy miał mokre od potu, twarz bladą jak papier. Spojrzał mi w oczy, skupił wzrok. Rozpoznał mnie.

–Ty mi to zrobiłeś. – Dobywając resztek sił, próbował usiąść na noszach.

–Zrujnowałeś mi życie dla kariery. To przez ciebie! Ty jesteś za to odpowiedzialny. Och, Boże, Boże! Moja biedna rodzina! Dlaczego to nas spotyka?

Kamery telewizyjne zarejestrowały cały ten aktorski popis, zasługujący na Oscara. Tak, jak to Geoffrey Shafer przewidział.

Rozdział 88

Rozprawa musiała zostać odroczone z uwagi na samobójczą próbę Shafera. Sądowe zmagania odłożono aż do następnego tygodnia.

Tymczasem dziennikarze mieli używanie i nie szczydziłi sobie nagłówek na pierwszych stronach „Washington Post”, „New York Timesa”, „U.S.A Today”. Przerwa w procesie dała mi czas, by jeszcze popracować nad sprawą. Shafer był dobry. Boże, był bardzo dobry.

Rozmawiałem z Sandy Greenberg niemal każdej nocy. Pomagała mi zebrać informacje o pozostałych graczech Czterech Jeźdźców. Pojechała nawet porozmawiać ze Zdobywcą. Nie sądziła, żeby Oliver Highsmith był mordercą. Miał sześćdziesiąt parę lat, poważną nadwagę i był przykuty do wózka inwalidzkiego.

Tego dnia Sandy zadzwoniła o siódmej wieczorem. Jest dobrym przyjacielem. Przeze mnie systematycznie nie dosypiała. Odebrałem telefon w swoim sanktuarium na strychu.

–Zgłosi się do ciebie Andrew Jones z Security Service – oznajmiła w swój zwykły obcesowy, zaczepny sposób. – Czy to nie wspaniała wiadomość? Zapewniam cię, że tak. Prawdę mówiąc, nie może się doczekać spotkania z tobą. Nie powiedział mi tego wprost, ale nie sądzę, żeby pałał sympatią do pułkownika Shafera. Nie chciał powiedzieć, dlaczego. I tak się szczęśliwie składa, że jest w Waszyngtonie. Jest szychą. Dużo znaczy w kręgach wywiadu. Jest bardzo dobry, Alex. Z reguły trafia w dziesiątkę.

Podziękowałem Sandy i natychmiast zadzwoniłem do hotelu Jonesa.

Odebrał telefon w pokoju.

–Tak, Andrew Jones przy telefonie. Z kim rozmawiam?

–Detektyw Alex Cross z policji waszyngtońskiej. Przed



sekundą rozmawiałem z Sandy Greenberg. Jak się miewasz?

–Dobrze, bardzo dobrze. To znaczy, nie! Do cholery! Miewałem się już lepiej.

Prawdę mówiąc, siedzę w tym hotelu i czekam, żebyś zadzwonił.

Co powiesz na spotkanie, Alex? Jest tu jakieś miejsce, gdzie nie rzucalibyśmy się za bardzo w oczy?

Zaproponowałem bar na M Street za pół godziny i przyjechałem minutę, dwie przed czasem. Rozpoznałem Jonesa z rysopisu, jaki mi podał przez telefon: szeroki w ramionach, krępy, ogorzały. Typ byłego gracza rugby – chociaż nigdy, kurde, nie grałem, nawet nie oglądałem tego chłamu.

A tak! Włosy czerwone jak marchewka i taki sam wąs. To powinno pomóc, no nie?

Pomogło. Usiedliśmy w ciemnym kącie sali. Przez następne czterdzieści pięć minut Jones mówił mi o polityce i zasadach działania angielskiego wywiadu i policji, o reputacji ojca Lucy Shafer i jego stanowisku w armii, a także o wyraźnych rozkazach rządu, by nie dopuścić do jeszcze większego skandalu niż obecny paszтет.

–Alex, gdyby się okazało, że jeden z naszych agentów mordował z zimną krwią podczas zagranicznej misji i że wywiad brytyjski coś o tym wiedział, byłby potworny skandal i duży wstyd. Ale gdyby się okazało, że wiedziało o tym MI6! No, to jest absolutnie nie do pomyślenia!

–Naprawdę? – zapytałem. – Czy taka sytuacja jest naprawdę nie do pomyślenia?

–Nie odpowiem, Alex, wiesz, że nie mogę. Ale jestem gotowy ci pomóc, jeżeli tylko będę mógł.

–Dlaczego? – zapytałem znowu. – Dlaczego teraz?

Potrzebowaliśmy waszej pomocy przed rozpoczęciem procesu.

–Dobre pytanie, uczciwe pytanie. Jesteśmy gotowi pomóc, ponieważ masz teraz tyle informacji, że mógłbyś przysporzyć nam cholernych kłopotów. Mogłoby się stać to, co nie do pomyślenia.

Nie odpowiedziałem. Wydawało mi się, że rozumiem aluzję.

–Dowiedziałeś się o istnieniu gry komputerowej o nazwie

Czterej Jeźdźcy. Biorą w niej udział czterej gracze, między innymi Shafer. Już skontaktowałeś się z Oliverem Highsmithem. Może jeszcze tego nie wiesz, ale dowiedziałbyś się prędzej czy później, że wszyscy gracze są lub byli agentami wywiadu.

Innymi słowy, Geoffrey Shafer może być tylko początkiem naszych problemów.

–Wszyscy czterej mordują? – zapytałem.

Andrew Jones nie odpowiedział: Nie musiał.

Rozdział 89

–Uważamy, że gra powstała w Bangkoku, gdzie w dziewięćdziesiątym pierwszym przebywali na placówkach trzech z czterech graczy.

Czwarty, Highsmith, był mentorem Georgea Bayera, który jest Głodem w Czterech Jeźdźcach. Highsmith zawsze działał z Londynu.

–Opowiedz mi o nim – poprosiłem.

–Jak już mówiłem, zawsze działał z bazy w Londynie. Był

analitikiem, potem kierował pracą kilkunastu agentów. Mądry z niego gość, dobrze o nim mówią.

–Powiedział mi, że Czterej Jeźdźcy to tylko nieszkodliwa gra komputerowa.

–Dla niego może taka być, Alex. Niewykluczone, że mówi prawdę. Od osiemdziesiątego piątego jeździ na wózku. Wypadek samochodowy. Żona go opuściła, załamał się. Jest ogromny, waży przeszło sto pięćdziesiąt kilogramów. Wątpię, czy grasuje po Londynie, mordując młode kobiety w co gorszych dzielnicach. Bo twoim zdaniem, to właśnie robi Shafer w Waszyngtonie, prawda? Morderstwa Jane Doe?

Jones miał rację, nie próbowałem zaprzeczyć.

–Wiemy, że jest zamieszany w kilka morderstw i sądzę, że byliśmy bliscy ujęcia go. Woził ofiary swoją taksówką.

Znaleźliśmy wóz. Tak, Andrew, wiemy, że jest wielokrotnym mordercą.

Jones ułożył namiocik ze swoich grubych palców, wydał wargi.

–Myślisz, że Shafer wiedział, jak blisko do niego podeszliście, ty i detektyw Hampton?

–Może i wiedział, ale trzeba pamiętać i o tym, że żył pod straszną presją. Popenił parę błędów, które doprowadziły nas do mieszkania, które wynajmował.

Jones skinął głową. Sporo wiedział o Shaferze, a to świadczyło o tym, że i on go obserwował. Może obserwował i mnie?

–Jak twoim zdaniem zareagowali pozostali gracze, kiedy Shaferowi odbiło? – zapytałem.

–Z pewnością się przestraszyli. To zrozumiałe. Stanowił zagrożenie dla nich wszystkich. Nadal stanowi – ciągnął Jones. – Tak więc, mamy Shafera, który najprawdopodobniej mordował tutaj, w Waszyngtonie, wprowadzając w życie swoje fantazje. I mamy Highsmitha, który prawdopodobnie nie byłby w stanie tego zrobić, działał za to jako swego rodzaju kontroler.

Jest jeszcze James Whitehead na Jamajce, ale nie odnotowano morderstw w stylu Jane Doe ani na tej wyspie, ani na okolicznych.

Sprawdziliśmy bardzo dokładnie. Czwartym graczem jest George Bayer na Dalekim Wschodzie.

–No właśnie, Bayer. Zakładam, że jego również sprawdziliście?

–Oczywiście. W jego aktach nie ma nic szczególnego, ale istnieje pewna okoliczność, która może go powiązać z Łasicą. Należałoby pójść tym tropem. W zeszłym roku w Bangkoku zniknęły dwie dziewczyny, striptizerki w barze Pat Pong. Po prostu rozplynęły się w powietrzu. Jedna miała szesnaście, druga osiemnaście lat. Tancerki i prostytutki. Alex, znaleziono je przytwierdzone do siebie w pozycji misjonarskiej, ubrane jedynie w pasy i pończochy. Nawet w Bangkoku, mieście uciech, wywołało to spore poruszenie.

Nie przypomina ci to tych dwóch dziewczyn zabitych w Eckington?

Skinąłem głową.

–Mamy więc przynajmniej dwie Jane Doe w Bangkoku. Czy Bayer był w ogóle przesłuchiwany?

–Jak dotąd nie, ale jest pod obserwacją. Pamiętasz zasady działania, strach przed skandalem, o których wspomniałem na początku rozmowy?

Toczy się śledztwo w sprawie Bayera i pozostałych, ale mamy związane ręce, przynajmniej do pewnego stopnia.

–Za to ja nie – powiedziałem. – To właśnie chciałeś ode mnie usłyszeć, prawda? Czego ode mnie oczekujesz? Dlaczego się ze mną spotkałeś?

Jones zrobił się bardzo poważny.

–Niestety, takimi prawami rządzi się ten świat. Od tej chwili pracujemy razem. Jeżeli nam pomożesz... obiecuję, że zrobię wszystko, by dowiedzieć się, co się stało z Christine Johnson.

Rozdział 90

Proces wznowiono szybciej niż się można było spodziewać, bo już w środę. Trwały spekulacje na temat stanu zdrowia Shafera i ran, jakie sobie zadał. Perwersyjne zainteresowanie publiki sprawą nie osłabło ani na jotę.

Wyniku procesu nie dawało się przewidzieć i starałem się, żeby ten oczywisty fakt nie podziałał na mnie zbyt przygnębiająco.

Tego środowego ranka byliśmy w sądzie obaj – Shafer i ja. Shafer wydawał się osłabiony, blady. Być może było to obliczone na wywołanie współczucia. Ja w każdym razie nie mogłem oderwać od niego wzroku.

Robiło się coraz dziwniej i dziwniej. Przynajmniej z mojego punktu widzenia. Tego ranka powołano na świadka sierżanta Waltera Jamiesona.

Jamieson wykładał na Akademii Policyjnej w czasach, gdy tam studiowałem.

Nauczył mnie fachu i był tam nadal, ucząc innych. Nie potrafiłem wyobrazić sobie, dlaczego został wezwany jako świadek w sprawie morderstwa Patsy Hampton.

Jules Halpern podszedł do niego z ciężką, otwartą księgą w ręce.

–Przeczytam panu fragment tekstu z podręcznika

Zabezpieczanie miejsca zbrodni, który napisał pan dwadzieścia lat temu, i który nadal wykorzystuje pan na zajęciach: Jest absolutnie konieczne, aby detektyw nie naruszył miejsca przestępstwa aż do chwili przybycia wsparcia i potwierdzenia stanu miejsca przestępstwa. Dopiero wtedy detektyw może przystąpić do zbierania dowodów przestępstwa. Podczas pobytu na miejscu przestępstwa konieczne jest noszenie rękawiczek.

–Czy pan to napisał, sierżancie Jamieson?

–Tak. Z całą pewnością. Dwadzieścia lat temu, jak pan zauważył.

–Nadal się pan pod tym podpisuje? – zapytał Halpern.

–Tak, oczywiście. Wiele się zmieniło, ale to nie.

–I słyszał pan wcześniejsze zeznanie, że detektyw Cross miał rękawiczki zarówno w samochodzie detektywa Hampton, jak i w mieszkaniu Cassady?

–Tak, słyszałem zeznanie. Czytałem również transkrypcje sądowe.

Halpern włączył projektor.

–Zwracam pana uwagę na odciski numer jeden – siedemdziesiąt

–sześć i dwa jedenaście, dostarczone przez biuro prokuratora.

Widzi je pan?

–Numery jeden – siedemdziesiąt – sześć i dwa jedenaście.

Tak, widzę.

–Odciski te zostały opisane następująco: „Klamra paska detektyw Hampton – Identyfikacja: Alex Cross/prawy kciuk”. Oraz:

„Lewa strona deski rozdzielczej – Identyfikacja: Alex Cross/palec wskazujący lewej ręki”.

Co to znaczy? Może nam pan to wyjaśnić?

–To znaczy, że odciski Aleksa Crossa zostały znalezione na pasku detektyw Hampton, a także na desce rozdzielczej jej samochodu. Jules Halpern milczał przez dziesięć sekund zanim podjął przesłuchanie.

–Sierżancie Jamieson, czy wobec tego możemy wysnuć wniosek, że to właśnie detektyw Cross jest mordercą i gwałcicielem?

–Sprzeciw! – krzyknęła Catherine Fitzgibbon, zrywając się z miejsca.

–Wycofuję pytanie – powiedział obrońca. – Już skończyłem.

Rozdział 91

Oskarżyciel i obrońca nadal bywali stałymi gośćmi Larryego Kinga i innych telewizyjnych talk – show i nadal chełpili się pewnym zwycięstwem.

Gdyby wierzyć ich słowom, żadna ze stron nie mogła przegrać.

Na sali sądowej Jules Halpern mówił i zachowywał się jak człowiek pełen determinacji i niezłomnej wiary we własne siły.

Wręcz parł naprzód.

Przypominał dżokeja, który pogania swego rumaka mając przed oczami tylko jeden cel – zwycięstwo.

Woźny wstał i oznajmił:

–Obrona wzywa pana Williama Payaza.

Nie skojarzyłem nazwiska.

Wezwanie pozostało bez odpowiedzi.

Nikt nie wystąpił.

Ludzie zaczęli się rozglądać po sali. Nadal nikt się nie zgłaszał. Kim był tajemniczy świadek?

–Pan Payaz – powtórzył woźny, trochę głośniejszym głosem. – Pan William Payaz.

Dwuskrzydłowe drzwi na tyłach otworzyły się nagle i na salę wszedł cyrkowy klaun. Na widowni rozległy się głośne szepty, ktoś się roześmiał.

Co za świat! Prawdziwy cyrk.

Klaun zajął miejsce dla świadka. Zarówno oskarżyciel, jak obrońca zostali natychmiast wezwani przez sędziego Fescoe na konferencję.

Wywiązała się gorąca dyskusja, z której nie usłyszeliśmy ani słowa. Kwestia klauna została w końcu rozstrzygnięta na korzyść obrony, świadka zaprzysiężono i poproszono o podanie danych personalnych.

Uniósł prawą dłoń w białej rękawiczce i powiedział:

–Jaś.

–Proszę podać nazwisko – zażądał woźny.

–Imię – Głupi, nazwisko – Jaś. Głupi Jaś. Zmieniłem nazwisko oficjalnie – wyznał, odwracając się ku sędziemu.

Jules Halpern rozpoczął przesłuchanie, traktując klauna z szacunkiem i powagą. Najpierw poprosił, żeby przedstawił swoje kwalifikacje zawodowe, co też klaun uczynił bardzo uprzejmie.

Potem Halpern zapytał:

–A co pana tu dzisiaj sprowadza?

–Organizowałem przyjęcie dla pana Shafera w Kaloramie, w pamiętnym, strasznym dniu morderstwa. To były piąte urodziny bliźniaczek. Organizowałem im przyjęcie również w zeszłym roku. Przyniosłem film video.

Chcecie zobaczyć? – zapytał, jakby zwracał się do gromadki trzylatków.

–Oczywiście – odparł Jules Halpern.

–Sprzeciw! – zawołała Catherine Fitzgibbon.

Film został dopuszczony po oddaleniu sprzeciwu prokuratora i kolejnej długiej debacie na stronie. Prasa utrzymywała, że Jules Halpern onieśmiela sędziego Fescoe i chyba rzeczywiście tak było.

Na ekranie ukazała się przerażająca twarz klauna w dużym zbliżeniu. Kiedy kamera odjechała, przekonaliśmy się, że było to malowidło na furgonetce Głupiego Jasia, zaparkowanej przed pięknym domem z czerwonej cegły, ze szklaną oranżerią dobudowaną do głównej bryły budynku. Był to dom Shafera.

Następna scena ukazywała Głupiego Jasia dzwoniącego do frontowych drzwi. Potem ujrzelśmy zaskoczone buzie dzieci Shafera.

Oskarżyciel ponownie zgłosił sprzeciw. Odbyła się kolejna narada na stronie. Prawnicy wrócili na swoje miejsca i podjęto projekcję filmu.

Mali goście podbiegli do drzwi. Klaun rozdał zabawki z worka przewieszzonego przez ramię – pluszowe misie, laleczki, czerwone wozy strażackie.

Potem Głupi Jaś pokazywał magiczne sztuczki na słonecznej werandzie wychodzącej na śliczny ogród pełen drzewek pomarańczy, białych pnących róż, jaśminu i ozdobnych krzewów.

W pewnym momencie klaun odwrócił się do kamery.

–Czekajcie! Coś usłyszałem! – zawołał i zniknął z kadru.

Dzieci pobiegły za nim. Na ich twarzyczkach malowało się zaskoczenie i najwyższa radość.

Zza rogu budynku wyłonił się siwy kucyk. Siedział na nim Głupi Jaś.

Ale kiedy klaun zsiadł z konia, dzieci odkryły, że tak naprawdę klaunem jest Geoffrey Shafer! Dzieci zupełnie oszalały, zwłaszcza bliźniaczki Shafera. Podbiegły i uściskały swojego tatusia – idealnego ojca.

Potem nastąpiła seria wzruszających ujęć, na których dzieci jadły urodzinowy tort i bawiły się w urodzinowe gry. Shafer śmiał się i bawił razem z dziećmi. Podejrzywałem, że ostateczna wersja filmu powstała pod okiem Julesa Halperna. Była bardzo przekonująca.

Dorośli goście, wystrojeni i bardzo wyrafinowani, rozplýwali się w pochwałach.

**Mówili, że Geoffrey Shafer i jego żona są idealnymi rodzicami.**

**Geoffrey Shafer, teraz już w eleganckim granatowym garniturze, bronił się skromnie przed pochwałami. Miał na sobie to samo ubranie, w którym został ujęty w Farragut.**

**Na zakończenie filmu uśmiechnięte i śliczne bliźniaczki powiedziały do kamery, że kochają mamusię i tatusia za to, że spełnili ich marzenie. Zapalono światła. Sędzia zarządził krótką przerwę.**

**Byłem wściekły, że pokazano film. Robił z Shafera wspaniałego ojca i prawdziwą ofiarę!**

**Przysięgli byli cali w uśmiechach, Jules Halpern również. W mistrzowskim wystąpieniu udowodnił, że kasetą jest niezbędna dla ukazania stanu umysłu, w jakim znajdował się Shafer na krótko przed tym, jak zamordowano Patsy Hampton. Był tak utalentowanym oratorem, że w jego ustach niesłychane żądanie projekcji filmu wydawało się w pełni uzasadnione.**

**Jedna wielka inscenizacja.**

**Shafer uśmiechał się szeroko tak, jak jego żona i dzieci.**

**Uświadomiłem sobie nagle, że Shafer ukazał się na przyjęciu dzieci na siwym koniu. Był Śmiercią z Czterech Jeźdźców Apokalipsy.**

**Dla niego wszystko to było teatrem, grą. Jego całe życie.**

**Rozdział 92**

**Czasem pragnąłem zacisnąć mocno powieki, żeby już nie patrzeć na to, co działo się na sali sądowej. Pragnąłem, żeby wszystko było tak jak przed pojawieniem się Łasicy.**

**Catherine Fitzgibbon radziła sobie świetnie z kolejnymi świadkami, ale sędzia zdawał się faworyzować obronę. Zaczęło się to podczas rozprawy wstępnej i trwało nadal.**

**Tego popołudnia miejsce dla świadków zajęła Lucy Shafer. Filmowe wyobrażenia ciepłego, rodzinnego domu Shafera tkwiły jeszcze żywo w umysłach przysięgłych.**

**Próbowałem zrozumieć dziwny i zaskakujący stosunek Lucy do męża.**

**Zaintrygował mnie już w chwili, gdy ją poznałem tej nocy, gdy zginęła Patsy Hampton. Czy kobieta mogła żyć z takim odrażającym potworem jak Shafer i nie wiedzieć o tym? Czy Lucy Shafer mogła się aż tak mylić w ocenie męża?**

**A może kierowała się innymi pobudkami, może istniało coś; co uzależniło ją w jakiś sposób od Shafera? W swojej praktyce lekarskiej stykałem się z różnymi typami małżeństw, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem.**

**Przesłuchanie prowadziła Jane Halpern, równie pewna siebie i zwycięska jak ojciec. Wysoka i szczupła, miała sztywne, czarne włosy związane w kucyk ciemnoczerwoną wstążką. Dopiero przed czterema laty ukończyła wydział prawa w Yale, ale wydawała się starsza i mądrzejsza.**

**–Pani Shafer, od jak dawna znacie się z mężem?**

**Lucy Shafer mówiła łagodnym, lecz zdecydowanym głosem.**

**–Znam Geoffreya przez całe dorosłe życie, Mój ojciec był jego przełożonym w wojsku. Miałam chyba czternaście lat, kiedy poznałam**

**Geoffa. Był dziewięć lat starszy ode mnie. Pobraliśmy się, kiedy skończyłam dziewiętnaście lat i drugi rok studiów w Cambridge. Pewnego razu, kiedy uczyłam się do egzaminów, zjawił się na uniwersytecie w galowym mundurze – szabla, medale, błyszczące czarne buty. W takim stroju ukazał mi się na środku biblioteki. Siedziałam w swetrze, czy czymś równie nietwarzowym, z włosami nie mytymi od kilku dni. Geoff powiedział mi, że to nie ma znaczenia. Nie zwracał uwagi na wygląd. Powiedział, że mnie kocha i zawsze będzie kochał. Muszę przyznać, że dotrzymał obietnicy.**

**–Jak miło! – Jane Halpern wydawała się całkowicie oczarowana, jakby nigdy przedtem nie słyszała tej historii. – I nadal jest taki romantyczny?**

**–Och, nawet bardziej. Nie ma tygodnia, żeby Geoff nie przyniósł mi kwiatów, czy pięknej apaszki Hermesa, które kolekcjonuję. No i są jeszcze nasze wyprawy auu!**

**Jane Halpern zmarszczyła nos i popatrzyła na panią Shafer z rozbawieniem.**

**–Co to są wyprawy auu? – zapytała z radosną ciekawością gospodyni porannego talk – show.**

**–Geoff zabiera mnie do Nowego Jorku, Paryża czy Londynu, a ja kupuję ubrania, dopóki on nie powie auu! Jest bardzo szczodry.**

**–Więc jest dobrym mężem?**

**–Lepszego nie mogłabym sobie wymarzyć. Ciężko pracuje, ale nie zapomina o rodzinie. Dzieci go uwielbiają.**

**–Tak, mogliśmy się o tym przekonać oglądając film video, pani Shafer. Czy to przyjęcie było ewenementem?**

**–Och, nie! Geoffrey cały czas wydaje przyjęcia. Jest bardzo towarzyski, pełen życia, radości i niespodzianek. Jest wrażliwym, bardzo kreatywnym człowiekiem.**

**Przeniosłem wzrok z Lucy Shafer na ławę przysięgłych. Całkowicie ich oczarowała, nie mogli oderwać od niej oczu. Była bardzo wiarygodna. Nawet ja czułem, że ona szczerze kocha męża, a co ważniejsze, wierzy, że jest przez niego kochana.**

**Jane Halpern wycisnęła z zeznań Lucy Shafer, ile się dało. Nie mogłem się jej dziwić. Lucy była atrakcyjna, miła, łagodna, zakochana w mężu i dzieciach, ale nie wyglądała na głupią. Wyglądała na kobietę, która znalazła dokładnie takiego mężczyznę, jakiego szukała i wysoko go ceni. Tym mężczyzną był Geoffrey Shafer.**

**I z takim to nieodpartym wrażeniem przysięgli opuścili salę sądową tego dnia.**

**Był to całkowity fałsz stworzony przez mistrza.**

**Rozdział 93**

**Po powrocie do domu przedyskutowałem sprawę z Andrew Jonesem.**

**Próbowałem ponownie skontaktować się z Oliverem Highsmithem, ale jak dotąd nie otrzymałem odpowiedzi. Nie pojawiła się również żadna nowa okoliczność, która pozwoliłaby powiązać Shafera z morderstwami Jane Doe w Waszyngtonie. Wyglądało na to, że od dobrych paru miesięcy nikogo nie zabił, przynajmniej tutaj, na miejscu.**

**Po kolacji złożonej z zapiekanki z kurczaka, sałaty i ciasta rabarbarowego Nana wyjątkowo zwolniła dzieci z codziennego obowiązku zmywania naczyń. Poprosiła,**

żeby jej pomógł i został towarzyszem w brudzie i trudzie, jak mawialiśmy przy takich okazjach.

–Zupełnie jak za dawnych, dobrych czasów. – Spryskiwałem naczynia i srebra płynem w porcelanowym zlewie tak starym jak dom.

Nana wycierała naczynia równie szybko, jak ja je myłem.

Palce miała nie mniej sprawne niż umysł.

–Chciałabym wierzyć, że jesteśmy starsi i mądrzejsi – odparła z ożywieniem.

–No, nie wiem. Ciągłe trzeba mi pomagać w zmywaniu.

–Nie powiedziałam ci czegoś, co powinnam była powiedzieć. –

Nana spoważniała.

–Okay. – Przestałem rozchlapywać pianę wokół zlewu. – Strzelaj!

–Chciałam powiedzieć, że jestem dumna z tego, jak sobie poradziłeś z tą tragedią.

Twoja siła i cierpliwość natchnęły mnie otuchą. A mnie niełatwo natchnąć otuchą.

Wiem, że Damon i Jannie czują podobnie i czerpią z ciebie siłę.

Oparłem się o zlew. Byłem w nastroju do zwierzeń.

–To najgorsze doświadczenie w moim życiu, najtrudniejsza próba.

Jest nawet gorzej niż po śmierci Marii, chociaż kiedyś wydawałoby mi się to niemożliwe. Ale wtedy miałem przynajmniej pewność, że ona nie żyje.

Mogłem pozwolić sobie na rozpacz. Mogłem ją oplakać i pozwolić jej odejść.

Zacząć żyć od nowa.

Nana obeszła zlew i wzięła mnie w ramiona. Zawsze zaskakiwała mnie ich siłą.

Spojrzała mi prosto w oczy.

–Pozwól sobie na rozpacz, Alex – powiedziała. – Pozwól jej odejść.

Rozdział 94

Geoffrey Shafer miał atrakcyjną, kochającą żonę i ten niepojęty, potwornie niesprawiedliwy fakt nie dawał mi spokoju. Nie potrafiłem tego zrozumieć ani jako psycholog, ani jako policjant.

Zeznania Lucy Shafer ciągnęły się również następnego dnia rano, bite dwie godziny. Jane Halpern chciała, żeby przysięgli usłyszeli coś więcej o cudownym mężu Lucy.

W końcu nadeszła kolej Catherine Fitzgibbon. Na swój sposób była równie twarda i groźna jak Jules Halpern.

–Pani Shafer, słuchałam pani z wielką uwagą, wszystko to brzmiało bardzo sielankowo i słodko, ale muszę przyznać, że coś mnie w tym obrazie niepokoi. Otóż: osiem dni temu pani mąż próbował popełnić samobójstwo.

Pani mąż próbował się zabić! Więc może jednak nie jest człowiekiem, jakim się wydaje. Może wcale nie jest taki zrównoważony i normalny. Może wcale nie wie pani, kim jest naprawdę.

Lucy Shafer spojrzała prosto w oczy prokurator.

–W ciągu ostatnich paru miesięcy życie mojego męża, jego



kariera, jego dobre imię, wszystko to zostało zagrożone na skutek fałszywego oskarżenia. Mój mąż nie mógł uwierzyć, że wysuwa się wobec niego tak straszne zarzuty. Cała ta absurdalna historia, żywcem wyjęta z Kawki, doprowadzała go do rozpacz. Nie ma pani pojęcia, co to znaczy utracić dobre imię.

Catherine Fitzgibbon uśmiechnęła się.

–Jasne, że wiem. Nawet bardzo dobrze. Nie czytała pani ostatnio „National Enquirer?” – zażartowała.

Rozległ się śmiech na widowni, a nawet w ławie przysięgłych.

Widać było, że lubią Catherine. Ja też ją lubiłem.

–Czy to prawda – Ciągnęła – że pani mąż leczył się na tę „rozpacz” przez wiele lat? On chodzi do psychiatry, pani Shafer. Cierpi na depresję maniacką, prawda? Lucy potrząsnęła głową.

–Przechodzi kryzys wieku średniego, nic więcej. To nic niezwykłego u mężczyzn w jego wieku.

–Rozumiem. I nie była pani w stanie mu pomóc w tym kryzysie?

–Oczywiście, że byłam w stanie! Chociaż nie w odniesieniu do jego pracy.

Większość tego, co robi, jest objęte tajemnicą państwową. Czyba to pani rozumie?

–Czyba rozumiem – odparła pani prokurator, po czym natychmiast zadała następne pytanie. – Więc mąż ma przed panią tajemnice?

Lucy zmarszczyła czoło. Jej oczy ciskały błyskawice na podstępną prokurator.

–Tylko takie, które dotyczą jego pracy.

–Wiedziała pani, że chodzi do Cassady? Boo Cassady?

–Tak, oczywiście. Często o tym rozmawialiśmy.

–Jak często do niej chodził? Wie pani? Powiedział to pani?

Czy to również jest objęte tajemnicą państwową?

–Sprzeciw! – krzyknęła Jane Halpern.

–Podtrzymuję. Panno Fitzgibbon – ostrzegł sędzia Fescoe, unosząc brwi.

–Przepraszam, Wysoki Sądzie. Przepraszam, Lucy. Więc jak często pani mąż widywał Boo Cassady?

–Przypuszczam, że tak często, jak to było konieczne. Poza tym ona ma na imię Elizabeth.

–Raz w tygodniu? Dwa razy w tygodniu? Codziennie? – nalegała Fitzgibbon całkowicie niewzruszona.

–Myślę, że raz w tygodniu. Przeciętnie raz w tygodniu.

–Ale portier w Farragut zeznał, że widywał tam pani męża o wiele częściej. Przeciętnie trzy, cztery razy w tygodniu.

Lucy Shafer potrząsnęła ze znużeniem głową i popatrzyła wrogo na Fitzgibbon.

–Ufam Geoffreyowi bez zastrzeżeń. Nie ograniczam go w żaden sposób. Na pewno nie liczę jego sesji terapeutycznych.

–Nie przeszkadzało pani, że doktor Cassady – Elizabeth – jest taką atrakcyjną kobietą?

–Nie. To wręcz śmieszne!

Fitzgibbon wydawała się szczerze zdumiona.

–Dlaczego to jest dla pani śmieszne? Dla mnie w każdym razie nie.

Myślę, że obeszłoby mnie to bardzo, gdyby mój mąż widywał się z atrakcyjną kobietą w jej domowym gabinecie dwa, trzy, cztery razy w tygodniu. I nie przeszkadzało pani – ciągnęła niezmordowanie Fitzgibbon – że Boo Cassady jest seksuologiem pani męża?

Lucy Shafer zawahała się, wyglądała na zdziwioną, rzuciła szybkie spojrzenie mężowi. Tego nie wiedziała. Trudno było jej nie współczuć.

Jane Halpern szybko wstała z miejsca – Sprzeciw! Wysoki Sądzie, nie ma podstaw do twierdzenia, że mój klient chodził do seksuologa.

Lucy Shafer wzięła się w garść. Najwyraźniej była silniejsza, niż się wydawało na pierwszy rzut oka. Czy ona również grała? Czy była jednym z Czterech Jeźdźców? A może ona i jej mąż prowadzili zupełnie odmienną grę?

–Odpowiem na to pytanie, pani prokurator – przemówiła. – Mój mąż Geoffrey jest tak dobrym mężem, takim dobrym ojcem, że nawet gdyby odczuwał potrzebę zasięgnięcia porady seksuologa i nie chciał, wstydził się mi o tym powiedzieć, zrozumiałabym.

–A gdyby popełnił bezwzględne morderstwo i nie chciał pani o tym powiedzieć? – zapytała prokurator i odwróciła się w stronę ławy przysięgłych.

## Rozdział 95

Elizabeth – Boo – Cassady dobiegała czterdziestki, była szczupła i bardzo atrakcyjna ze swoimi lśniąco-brązowymi włosami. Nosila długie od czasu, gdy była małą dziewczynką. Odwiedzała regularnie sklepy Neimana Marcusa, Saksa, Nordstroma, Bloomingdalea i rozmaite modne butikie rozsiane po Waszyngtonie. I było to po niej widać.

Otrzymała swój przydomek jako niemowlę, ponieważ zaśmiewała się, ilekroć ktoś pochylił się nad nią i zawołał „buu”. Wkrótce nauczyła się naśladować ten dźwięk i powtarzała: „buu, buu, buu”. W szkole i w collegeu zachowała przezwisko, ponieważ, jak twierdzą przyjaciele, czasami potrafiła ich trochę nastraszyć.

Tego dnia w sądzie wystąpiła w jednoczęściowym kombinezonie, pięknie skrojonym z jakiegoś miękkiego, lejącego się materiału. Cała była w przyjemnych dla oka brązach i beżach. Wyglądała na osobę kompetentną, na kogoś, kto odnosi sukcesy w swoim zawodzie.

Jules Halpern poprosił ją o podanie danych personalnych i kwalifikacji zawodowych. Był uprzejmy, ale rzeczowy, traktował Boo Cassady odrobinę chłodniej niż innych świadków.

–Doktor Elizabeth Cassady. Jestem psychoterapeutką – odpowiedziała spokojnie.

–Doktor Cassady, jakie stosunki łączą panią z pułkownikiem Shaferem?

–Jest moim pacjentem od ponad roku. Przyjmuję go w swoim gabinecie na Woodley Avenue 1208 raz, dwa razy w tygodniu.

Zwiększyliśmy liczbę sesji po samobójczej próbie pana Shafera.

Halpern skinął głową.

–O której odbywają się sesje?

–Zazwyczaj wczesnym wieczorem, ale o różnych godzinach, w zależności od rozkładu zajęć pana Shafera.

–Doktor Cassady, wróćmy teraz do dnia morderstwa. Czy Geoffrey Shafer miał sesję tego wieczoru?

–Tak. Od dwudziestej pierwszej do dwudziestej drugiej. Myślę, że przyjechał trochę wcześniej. Ale był umówiony na dziewiątą.

–Mógł przyjechać już o ósmej trzydzieści?

–Nie. To niemożliwe. Rozmawialiśmy przez telefon od chwili, gdy wyszedł z domu w Kaloramie aż do jego przyjazdu do Farragut.

Ostatnio czuł się winny, że nie potrafi opanować przygnębienia, chociaż zbliża się urodzinowe przyjęcie córeczek.

–Rozumiem. Czy miała miejsce jakaś przerwa w pani rozmowie z pułkownikiem Shaferem?

–Tak. Ale bardzo krótka.

Halpern utrzymywał szybkie tempo przesłuchania.

–Ile czasu upłynęło od chwili, gdy przerwaliście rozmowę do czasu, gdy zjawił się w gabinecie?

–Dwie, trzy minuty. Najdalej pięć. Tyle, ile trzeba, żeby zaparkować i wjechać windą na górę. Nie więcej.

–Czy kiedy wszedł do gabinetu, sprawiał wrażenie wytrąconego z równowagi?

–Nie, wcale. Był w stosunkowo dobrym nastroju. Wydał właśnie udane przyjęcie urodzinowe dla bliźniaczek. Miał wrażenie, że wszystko poszło dobrze, a on świata nie widzi poza tymi dziećmi.

–Był zdyszany, spięty, spocony? – pytał dalej Halpern.

–Nie. Był spokojny i wyglądał dobrze. Pamiętam to bardzo dokładnie.

A po nalocie policji sporządziłam notatki, żeby niczego nie przeoczyć. – Zerknęła w stronę stołu oskarżenia.

–Więc sporządziła pani notatki, aby zachować wszystko żywo w pamięci?

–Tak.

–Doktor Cassady, czy zauważyła pani krew na ubraniu pułkownika Shafera?

–Nie.

–Rozumiem. Nie zauważyła pani śladów krwi na ubraniu Shafera. A na ubraniu detektywa Crossa?

–Tak. Miał ciemne plamy lub smugi krwi na koszuli i marynarce.

A także na rękach.

Jules Halpern zrobił pauzę, żeby przysięgli mogli przetrwać tę informację. Potem zadał końcowe pytanie:

–Czy pułkownik Shafer wyglądał na kogoś, kto właśnie popełnił morderstwo?

–Z pewnością nie!

–Nie mam więcej pytań – powiedział adwokat.

Ze strony oskarżenia przesłuchanie prowadził Dan Weston.

Miał dwadzieścia dziewięć lat, był błyskotliwy, inteligentny. Uznawano go w prokuraturze za wschodzącą gwiazdę, a także za bezwzględного przeciwnika.

Był przystojnym blondynem o wyrazistych rysach twarzy. Wyglądem przypominał Boo Cassady. Tworzyli piękną parę i właśnie to pragnął zasugerować ławie przysięgłych.

–Panno Cassady, nie była pani psychiatrą pana Shafera, prawda?

Zmarszczyła lekko czoło, a potem uśmiechnęła się z wysiłkiem.

–Nie, psychiatra jest lekarzem medycyny. Jestem pewna, że pan to wie.

–A pani nie jest lekarzem medycyny?

–Nie jestem. Mam doktorat z socjologii. To też pan wie.

–Czy jest pani psychologiem? – zapytał Weston.

–Psycholog jest zwykle magistrem psychologii, czasem lekarzem medycyny.

–Jest pani magistrem psychologii?

–Nie. Jestem psychoterapeutką.

–Rozumiem. Gdzie się pani wyuczyła zawodu?

–Na American University. Ukończyłam wydział socjologii.

Daniel Weston nadal naciskał Cassady. Pytanie padało natychmiast po odpowiedzi.

–Jakie jest wyposażenie tego gabinetu psycho-terapeutycznego w Farragut?

–Kanapa, biurko, lampa. Mebli jest niewiele, za to dużo kwiatów.

Działają kojąco na pacjentów.

–Pudełko z chusteczkami higienicznymi obok kanapy?

Myślałem, że to nieodzowne w takich gabinetach.

Przesłuchiwana była wyraźnie zirytowana, może nawet roztrzęsiona.

–Traktuję moją pracę bardzo poważnie, panie Weston. Moi pacjenci również.

–Geoffrey Shafer trafił do pani z czyjegoś polecenia?

–Nie. Poznaliśmy się w Galerii Narodowej... Na wystawie dzieł Picassa o tematyce erotycznej. Prasa pisała o niej wyczerpująco.

Weston skinął głową i blady uśmiezek przemknął po jego wargach.

–Ach rozumiem. Czy sesje z Geoffreyem Shaferem były również erotyczne?

Rozmawialiście o seksie?

Jules Halpern zerwał się z krzesła – wyraźnie weszło mu to w nawyk.

–Sprzeciw! To tajemnica lekarska.

Młody prokurator wzruszył ramionami i dłonią odgarnął jasne loki.

–Wycofam pytanie. Nie ma problemu. Jest pani seksuologiem?

–Nie jestem. Jak już mówiłam, jestem psychoterapeutką.

–Czy w dniu morderstwa detektyw Hampton rozmawiała pani z Geoffreyem Shaferem o...

Jules Halpern podniósł się z miejsca.

–Sprzeciw! Doktor Cassady obowiązuje tajemnica lekarska.

Weston wznosił ramiona w geście frustracji. Uśmiechnął się do przysięgłych, mając nadzieję, że czują podobnie.

–Dobrze, już dobrze! A więc, pozwoli pani, że wyjdę poza sferę relacji lekarz – pacjent i zapytam po prostu, czy pani, panna Cassady – kobieta, utrzymywała stosunki seksualne z Geoffreyem Shaferem – mężczyzną?

Elizabeth – Boo – Cassady zwiesiła głowę i wlepiła wzrok w swoje kolana.

Daniel Weston uśmiechnął się, mimo że Jules Halpern zgłosił sprzeciw i został poparty przez sędziego Fescoe. Weston czuł, że doprowadził przesłuchanie do końca.

## Rozdział 96

–Proszę wezwać detektywa Aleksa Crossa.

Wziąłem głęboki oddech, zebrałem myśli, ciało i duszę i

ruszyłem szeroką nawą w stronę podium dla świadka. Patrzyli na mnie wszyscy, ale ja widziałem tylko Geoffreya Shafera. Łasicę. Nadal grał rolę niewinnie oskarżonego i pragnąłem go zdemaskować. Chciałem wziąć go w krzyżowy ogień, zadać te pytania, które powinny paść, powiedzieć ławie przysięgłych o wszystkich dowodach, sprawić, by spadło na niego ramię sprawiedliwości z całą jego miażdżącą siłą.

Pracowałem uczciwie przez tyle lat, a teraz byłem oskarżony o nadużycie władzy, sfingowanie dowodów albo jeszcze coś gorszego. Miałem jednak okazję wszystko wyjaśnić, oczyścić swoje dobre imię.

Jules Halpern uśmiechnął się do mnie kordialnie, kiedy usiadłem na miejscu dla świadka. Nawiązał ze mną kontakt wzrokowy, przeniósł spojrzenie na przysięgłych i znowu na mnie. Jego ciemne oczy błyszczały inteligencją. Wydało mi się marnotrawstwem, że pracuje dla Shafera.

–Na wstępie chciałbym powiedzieć, że jestem zaszczycony, mogąc pana poznać, detektywie Cross. Od lat czytam w gazetach waszyngtońskich o sprawach, które pomógł pan rozwiązać. Jestem pewny, że przysięgli również.

Podziwiamy pana dotychczasowe dokonania.

Skinąłem głową, a nawet uśmiechnąłem się niechętnie.

–Dziękuję. Mam nadzieję, że będzie pan podziwiał również moje obecne i przyszłe dokonania.

–Miejmy nadzieję – odparł Halpern, po czym przystąpił do przesłuchania.

Krzyżowaliśmy szpady mniej więcej przez pół godziny, zanim w końcu zapytał;

–Na krótko przed aresztowaniem pułkownika Shafera przeżył pan straszną osobistą tragedię, Mógłby pan nam o tym opowiedzieć?

Stłumiłem pragnienie, by wyciągnąć rękę i chwycić tego ugrzecznionego, podstępного człowieka za gardło. Pochyliłem się nad mikrofonem, próbując zapanować nad sobą.

–Ktoś bardzo mi bliski został uprowadzony, kiedy byliśmy na Bermudach na wakacjach. Moja narzeczona nie została odnaleziona.

Jeszcze nie straciłem nadziei. Co dnia modłę się, żeby jeszcze żyła.

Halpern cmoknął ze współczuciem. Był dobrym aktorem, nie gorszym niż jego klient.

–Naprawdę mi przykro. Czy wydział udzielił panu urlopu okolicznościowego?

–Moi przełożeni okazali zrozumienie i pomoc – odparłem, czując jak twarz tężeje mi z gniewu. Oburzało mnie, że Halpern wykorzystuje Christine, aby wytrącić mnie z równowagi.

–Detektywie Cross, czy w dniu śmierci detektyw Hampton pełnił pan już normalne obowiązki służbowe?

–Tak. Wróciłem do czynnej służby tydzień przed morderstwem.

–Zasugerowano, żeby pozostał pan na urlopie trochę dłużej?

–Pozostawiono to mojemu uznaniu. Mój przełożony miał wątpliwości, czy jestem gotów podjąć obowiązki, ale decyzję pozostawił mnie. Halpern pokiwał głową ze zrozumieniem.

–Obawiał się, że myślami przebywa pan gdzie indziej? Chyba nie można się panu dziwić.

–Byłem wytrącony z równowagi, nadal jestem, ale nie wpływa to w żaden sposób na moją sprawność detektywa. Powrót do pracy dobrze mi zrobił. Tak właśnie powinienem był postąpić.

Padło jeszcze kilka pytań o stan mojego umysłu, po czym Halpern zapytał:

–Kiedy odkrył pan, że detektyw Hampton została zamordowana, był pan bardzo zdenerwowany?

–Robiłem, co do mnie należało. Jak na każdym miejscu potwornej zbrodni.

–Twój klient to rzeźnik. Naprawdę chcesz go wybronić?

Zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz? – pytałem w duchu.

–Pańskie odciski znajdowały się na pasku detektyw Hampton i na desce rozdzielczej jej samochodu. Jej krew była na pana ubraniu.

Milczałem przez kilka sekund. Potem spróbowałem wyjaśnić.

–Detektyw Hampton miała poszarpaną tętnicę szyjną. Krew była wszędzie. W samochodzie, a nawet na betonowej podłodze garażu. Próbowałem pomóc detektyw Hampton, w nadziei, że jeszcze żyje. To dlatego moje odciski znajdowały się w jej samochodzie, a jej krew na moim ubraniu.

–Rozniósł pan tę krew?

–Nie. Sprawdziłem buty bardzo starannie przed wyjściem z garażu.

Sprawdziłem dwukrotnie. Sprawdziłem, ponieważ nie chciałem roznieść krwi po budynku.

–Ale musi pan przyznać, że był pan mocno wytrącony z równowagi.

Zamordowano funkcjonariusza policji. Zapomniał pan nałożyć rękawiczki przed przystąpieniem do oględzin miejsca zbrodni. Na pana ubraniu była krew. Skąd pewność, że jej pan nie rozniósł?

Spojrzałem mu prosto w oczy, starając się zachować spokój.

–Wiem doskonale, co wydarzyło się tamtego wieczoru. Wiem,

**kto z zimną krwią zabił Patsy Hampton.**

**Adwokat nagle podniósł głos.**

**–Otóż nie, detektywie Cross! W tym tkwi sedno. Nie wie pan!**

**Czy możemy założyć, że rewidując pułkownika Geoffreya Shafera wszedł pan z nim w kontakt fizyczny?**

**–Tak.**

**–A czy istnieje możliwość, że krew z pana ubrania dostała się na jego spodnie? Nawet nie dopuszcza pan takiej ewentualności?**

**Nie mogłem mu ustąpić ani o krok. Nie mogłem.**

**–Nie dopuszczam. Krew znajdowała się na spodniach Geoffreya Shafera zanim wszedłem do mieszkania.**

**Halpern odwrócił się i odszedł kilka kroków. Chciał mnie zdenerwować. Zbliżył się do ławy przysięgłych, spoglądając na mnie przez ramię.**

**Zadał jeszcze kilka pytań o miejsce zbrodni, a potem powiedział:**

**–Ale doktor Cassady nie widziała śladów krwi, a dwaj pozostali funkcjonariusze stwierdzili jej obecność dopiero po tym, jak wszedł pan w kontakt fizyczny z pułkownikiem Shaferem. Pułkownik Shafer rozmawiał ze swoją terapeutką na dwie, trzy minuty przed przyjściem do jej gabinetu.**

**Pojechał do niej prosto z przyjęcia urodzinowego dzieci. Nie ma pan dowodów, detektywie Cross! Poza tymi, które sam pan wniósł do mieszkania doktor Cassady. Nie ma pan absolutnie żadnych dowodów! Aresztował pan niewłaściwego człowieka! Oszkalował pan niewinnego człowieka.**

**Jules Halpern wyrzucił ręce w górę gestem oburzenia.**

**–Nie mam już absolutnie żadnych pytań.**

**Rozdział 97**

**Wszedłem z sądu tylnymi drzwiami. Robiłem tak zawsze, ale tego dnia było to koniecznością. Musiałem uniknąć tłumów i dziennikarzy, potrzebowałem chwili samotności, żeby dojść do siebie po przesłuchaniu.**

**Właśnie przed chwilą dokopał mi ekspert od dokopywania. Jutro, Cathy Fitzgibbon spróbuje naprawić zło, jakie już się dokonało.**

**Nieśpiesznie schodziłem schodami ewakuacyjnymi, używanymi zwykle tylko przez konserwatorów budynku i sprzątaczy.**

**Zaczynało mi świtać w głowie, że Geoffrey Shafer ma duże szanse na uniewinnienie. Zatrudnił najlepszych prawników, a my straciliśmy ważne dowody w rozprawie wstępnej.**

**A ja popełniłem wielki błąd na miejscu przestępstwa, kiedy w pośpiechu, pragnąc pomóc Patsy Hampton, zapomniałem założyć rękawiczki.**

**Było to wybaczone w tych okolicznościach, ale prawdopodobnie posiało wątpliwość w umysłach przysięgłych. Nie dawało się zaprzeczyć, że byłem bardziej okrwawiony niż Shafer. Shaferowi mogło się upiec i ta myśl była nie do zniesienia. Schodząc z kolejnych kondygnacji krętych schodów miałem ochotę wrzeszczeć.**

**I zrobiłem to. Nabrałem powietrza do płuc i wrzasnąłem ze wszystkich sił.**

**Doskonale mi to zrobiło, chociaż ulga, jakiej doznałem, trwała zaledwie chwilę.**

**Betonowe schody sprowadziły mnie aż do piwnicy. Ruszyłem długim, ciemnym korytarzem w stronę parkingu na tyłach budynku, gdzie zostawiłem porsche. Nadal byłem zatopiony w myślach, ale dużo spokojniejszy po tym, jak ulżyłem sobie na klatce schodowej.**

**W ostatnim swoim odcinku korytarz skręcał ostro. Wyszedłem zza rogu i zobaczyłem go. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Przede mną stał Łasica.**

**Odezwał się pierwszy.**

**–Co za niespodzianka, doktorze Cross. Umyka pan przed tym tłumem szaleńców? Z ogonem podwiniętym pod siebie? Proszę się nie trapić, wypadł pan nieźle, tam na górze. Czy to pan wrzeszczał? Takie prymitywne odreagowanie świetnie robi, prawda?**

**–Czego ty, do cholery, chcesz, Shafer. Nie wolno nam się spotykać ani rozmawiać.**

**Wzruszył szerokimi ramionami, odgarnął jasne włosy z czoła.**

**–Myślisz, że przejmuję się jakimiś zasadami? Gównu mnie obchodzą.**

**Czego ja chcę? Chcę, żeby przywrócono mi dobre imię. Chcę, żeby moja rodzina nie musiała przechodzić przez piekło. Tylko tyle.**

**–Nie trzeba było zabijać tych wszystkich ludzi. Zwłaszcza Patsy Hampton. Shafer się uśmiechnął.**

**–Jesteś bardzo pewny siebie, co? Nie ustępujesz ani na krok.**

**Podziwiam cię za to, do pewnego stopnia. Sam kiedyś bawiłem się w bohatera. W wojsku. Interesujące na krótką metę.**

**–O wiele ciekawiej jest być maniakałnym zabójcą – stwierdziłem.**

**–Widzisz? Trwasz przy swoich przekonaniach, uparty jak muł. Kocham to. Jesteś cudowny.**

**–To nie są przekonania tylko pewność.**

**–Więc to udowodnij, Cross. Wygraj tę żalosalną, kurewską sprawę. Pokonaj mnie w sprawiedliwej walce. Dałem ci nawet przewagę rodzimego sądu.**

**Ruszyłem ku niemu; nie mogłem się powstrzymać. Nie cofnął się.**

**–Dla ciebie to tylko wariacka gra. Znałem już takich gnojków jak ty, Shafer. Wygrywałem z nimi. Wygram z tobą.**

**Roześmiał mi się w twarz.**

**–Szczere w to wątpię.**

**Minąłem go i wszedłem w wąski tunel.**

**Pchnął mnie mocno od tyłu. Był potężnym mężczyzną, silniejszym nawet niż się wydawało.**

**Potknąłem się, omal nie upadłem na beton. Nie oczekiwałem wybuchu gniewu z jego strony. Ukrywał go tak starannie podczas rozprawy, ale buzował tuż pod**



powierzchnią. Szał, którego ucieleśnieniem był Geoffrey Shafer. Przemoc.

–No to już, pokonaj mnie! Zobaczmy, czy potrafisz! – wrzasnął na całe gardło. – Pokonaj mnie od razu, tutaj! Wątpię, czy potrafisz, Cross. Wiem, że nie potrafisz.

Postąpił krok w moją stronę. Był nie tylko silny, ale również zwinny i wysportowany. Dorównywał mi wzrostem i masą ciała. Przypomniałem sobie, że był oficerem w armii, a potem agentem MI6. I zachował doskonałą formę.

Pchnął mnie ponownie obiema dłońmi. Z gardła wyrwał mu się głośny pomruk.

–Jeżeli pokonywałeś lepszych, to nie powinieneś mieć kłopotów. Jeden ruch i po mnie.

Omal nie wyrzuciłem sierpowego; chciałem to zrobić. Pragnąłem aż do bólu powalić go na ziemię, zetrzeć z jego twarzy filisterski wyraz wyższości.

Ale chwyciłem go tylko za ramiona, pchnąłem na ścianę tunelu i przytrzymałem.

–Nie teraz. Nie tutaj – powiedziałem chrapliwym szeptem. – Nie uderzę cię, Shafer. Po co? Żebyś zawiadomił prasę i telewizję? Ale cię dopadnę.

Już wkrótce.

Uwolnił się z szalonym śmiechem.

–Jesteś kurewsko zabawny, wiesz o tym? Jesteś zabawny facet. Cudownie!

Zostawiłem go i wszedłem w ciemny tunel. Była to najtrudniejsza rzecz, jaką przyszło mi w życiu zrobić. Chciałem wytluc z niego odpowiedzi, wydobyć przyznanie się do winy. Chciałem dowiedzieć się o Christine.

Miałem tyle pytań, ale wiedziałem, że on na nie nie odpowie.

Był tutaj, żeby mnie dręczyć, żeby grać.

–Tracisz... Wszystko – odezwał się za moimi plecami.

Sądzę, że mógłbym go zabić na miejscu.

Otworzyłem skrzypiące drzwi i wyszedłem na zewnątrz. Słońce wypełniło mi oczy, oślepiło na jedną oszalamiającą chwilę. Osłaniając twarz ramieniem, pokonałem kamienne schody na parking, gdzie czekała na mnie jeszcze jedna niemiła niespodzianka.

Na parkingu stało kilkunastu przedstawicieli mediów, w tym kilku dobrze znanych reporterów. Ktoś ich uprzedził; ktoś im podszeptał, że wyjdę tylnymi drzwiami.

Obejrzałem się na szare metalowe drzwi, ale Geoffrey Shafer nie wyszedł za mną. Wycofał się do piwnicy.

–Detektywie Cross! – usłyszałem. – Przegrywa pan tę sprawę.

Wie pan o tym, prawda?

Tak, wiedziałem. Przegrywałem życie. I nie wiedziałem, co zrobić, żeby temu zapobiec.

Rozdział 98

Następnego dnia Catherine Fitzgibbon wzięła mnie w krzyżowy ogień.

Zrobiła, co mogła, żeby naprawić szkody wyrządzone przez Julesa Halperna i częściowo jej się to udało. Ale niezupełnie. Halpern nieustannie przerywał rytm przesłuchania kolejnymi sprzeciwami. Jak większość głośnych procesów, tak i ten mógł doprowadzić człowieka do szału. Wydawało się, że nic łatwiejszego, jak osądzić

**i skazać Geoffreya Shafera. Rzecz miała się zupełnie inaczej.**

**Dwa dni później otrzymaliśmy naszą największą szansę i to od samego Shafera, zupełnie jakby nas prowokował. Wiedzieliśmy już, że jest bardziej szalony, niż się z początku wydawało. Stawką w tej grze było jego życie; nic innego nie miało znaczenia.**

**Shafer zgodził się zasiąść na miejscu dla świadka. Myślę, że byłem jedynym człowiekiem na sali, którego nie zaskoczył fakt, że będzie zeznawał, że będzie grał przed nami.**

**Catherine Fitzgibbon nie wątpiła, że Jules Halpern odradzał, prosił i ostrzegał klienta, niemniej Shafer szedł teraz w stronę podium dla świadków z taką miną, jakby za chwilę miał otrzymać tytuł szlachecki z rąk królowej.**

**Przypuszczałem, że nie mógł się oprzeć pokusie odegrania wielkiej sceny. Był równie opanowany i pewny siebie, jak w dniu, w którym aresztowałem go pod zarzutem zamordowania Patsy Hampton. Wystąpił w granatowym dwurzędowym garniturze, białej koszuli i złotym krawacie.**

**Każdy jasny włos był na swoim miejscu, nie dawało się dostrzec nawet śladu szaleństwa, które buzowało pod tą wymuskaną powierzchownością.**

**Jules Halpern zwrócił się do niego tonem towarzyskiej pogawędki, ale wyczuwałem, że niepokoi go to niepotrzebne ryzyko.**

**–Pułkowniku Shafer, przede wszystkim chciałem panu podziękować za to, że zechciał pan zeznawać. Zaznaczam, że w pana przypadku jest to całkowicie dobrowolne. Już na samym początku oznajmił pan, że stanie przed sądem, żeby oczyścić swoje dobre imię.**

**Shafer uśmiechnął się uprzejmie i uciszył swojego adwokata uniesieniem dłoni. Prawnicy obu stron wymienili spojrzenia. Co się działo? Co Shafer zamierzał?**

**Pochyliłem się naprzód na krześle. Zaświtało mi w głowie, że Jules Halpern wie o winie swojego klienta. Jeżeli tak, nie mógł go przesłuchiwać.**

**Z prawnego punktu widzenia, nie mógł zadawać pytań, których celem było ukrycie znanych mu faktów.**

**Tylko w jeden sposób Shafer mógł dać popis w świetle reflektorów -wygłaszając monolog. Raz stanąwszy na podium, miał prawo przemówić.**

**Nie było to często praktykowane, ale całkowicie legalne. Jeżeli Halpern wiedział, że jego klient jest winny, tylko w ten sposób Shafer mógł zająć miejsce świadka i nie zostać oskarżonym przez własnego obrońcę.**

**Shafer zabrał głos.**

**–Za pańskim pozwoleniem, panie Halpern, sądzę, że mogę sam przemówić do tego szacownego grona. Poradzę sobie znakomicie. Widzi pan, nie potrzebuję pomocy prawnika, by powiedzieć prostą prawdę.**

**Jules Halpern cofnął się, skinął poważnie głową i próbował robić dobrą minę do złej gry. Cóż innego mu pozostało w tych okolicznościach?**

**Jeżeli dotąd nie wiedział, że jego klient jest egocentrycznym wariatem, z pewnością zrozumiał to teraz.**

**Shafer spojrzał na sędziów przysięgłych.**

–Jak to już zostało powiedziane, jestem pracownikiem angielskiego wywiadu, a także MI6. Obawiam się jednak, że bardzo marny ze mnie szpieg. Agent 00-0.

Widownia zareagowała śmiechem na tę dyskretną autoironię.

–Jestem zwyczajnym, szarym urzędnikiem, jak tylu innych w Waszyngtonie. Moja praca opiera się na rutynowych czynnościach. W zasadzie wszystko, co robię, zyskuje aprobatę moich przełożonych. Moje życie domowe jest również proste i uporządkowane. Jesteśmy małżeństwem blisko szesnaście lat. Kochamy się szczerze. Jesteśmy oddani trójce naszych dzieci.

Chciałem więc przeprosić moją żonę i dzieci. Jest mi tak strasznie przykro, że naraziłem ich na tę piekielną próbę. Przepraszam mojego syna Roba, i bliźniaczki, Tricię i Erikę. Gdybym wiedział, przez co będą musieli przejść, zachowałbym immunitet dyplomatyczny i zrezygnował z oczyszczenia swojego nazwiska, ich nazwiska.

A skoro już jestem przy temacie, chciałbym również przeprosić ławę przysięgłych za to, że ją teraz zanudzam. Ale kiedy człowiek zostaje oskarżony o morderstwo, o coś tak ohydneho, tak niewyobrażalnego, rozpaczliwie chce zrzucić z siebie ten ciężar. Najbardziej ze wszystkiego pragnie powiedzieć prawdę. Właśnie to chcę dzisiaj uczynić.

Przedstawiono wam dowody – po prostu ich nie ma.

Wysłuchaliście zeznań świadków. A teraz usłyszycie to ode mnie. Nie zabiłem detektyw Patsy Hampton. Myślę, że już to wiecie, ale chciałem powiedzieć to głośno. Dziękuję, że zechcieliście mnie wysłuchać – powiedział i złożył lekki ukłon.

Shafer mówił krótko, ale był spokojny, elokwentny i na nieszczęście, bardzo przekonujący. Patrzył przysięgłym w oczy. Nie chodziło nawet o same słowa, lecz o sposób, w jaki je wypowiadał.

Catherine Fitzgibbon przystąpiła do przesłuchania świadka. Z początku była bardzo ostrożna, wiedziała, że w tej chwili ława przysięgłych jest po stronie Shafera. Dopiero pod koniec krzyżowego ognia zdecydowała się uderzyć w jego najczulszy punkt.

–Pańskie oświadczenie poruszyło nas wszystkich. A teraz, siedząc przed ławą przysięgłych, twierdzi pan, że jego stosunki z doktor Cassady miały charakter zawodowy, że nigdy nie była pana kochanką, zgadza się?

Proszę pamiętać, że zeznaje pan pod przysięgą.

–Tak. Doktor Cassady była i, mam nadzieję, nadal będzie moją terapeutką.

–Mimo faktu, że ona sama przyznaje się do romansu z panem?

Shafer wyciągnął dłoń w stronę Julesa Halperna, chcąc uprzedzić jego sprzeciw.

–Sądzę, że protokół sądowy wykaże, iż nic takiego nie powiedziała. Fitzgibbon zmarszczyła brwi.

–Nie nadażam. Dlaczego uważa pan, że doktor Cassady nie

**odpowiedziała twierdząco na to pytanie?**

**–To takie oczywiste – odparował Shafer. – Ponieważ odpowiedź na podobne pytanie byłaby poniżej jej godności.**

**–A kiedy zwiesiła głowę i spojrzała na swoje kolana? Było to równoznaczne z odpowiedzią twierdzącą.**

**Shafer popatrzył na ławę przysięgłych i potrząsnął głową ze zdumieniem.**

**–Źle to pani zinterpretowała. Całkowicie błędnie, pani prokurator.**

**Jeżeli można, wytłumaczę to pani. Jak to powiedział król Karol zanim został ścięty: „Dajcie mi płaszcz, bo inaczej pomyślą, że drzę ze strachu”.**

**Doktor Elizabeth Cassady była głęboko zażenowana niedelikatną supozycją pani znakomitego kolegi, podobnie jak cała moja rodzina i ja również.**

**Geoffrey Shafer spojrzał na prokurator stalowymi oczami.**

**Potem zwrócił się ponownie do ławy przysięgłych.**

**–I ja również – powtórzył.**

**Rozdział 99**

**Rozprawa dobiegała końca i rozpoczął się najgorszy okres – oczekiwanie na werdykt. Był wtorek. Ławnicy wycofali się do pokoju przysięgłych, by uzgodnić stanowisko w sprawie morderstwa Patsy Hampton, Po raz pierwszy dopuściłem do siebie myśl, że Shafer może zostać uniewinniony, Siedzieliśmy z Sampsonem w ostatnim rzędzie widowni i patrzyliśmy jak dwunastu członków ławy opuszcza salę: ośmiu mężczyzn i cztery kobiety. John przyszedł parę razy na rozprawę, nazywał ją najlepszą farsą po tej stronie Ovalnego Gabinetu. Wiedziałem, że przychodzi, żeby mnie wesprzeć.**

**–Sukinsyn jest winny; jest szurnięty jak ten mały Davey Berkowitz -powiedział, obserwując Shafera. – Ale ma po swojej stronie kupę dobrych aktorów: zaślepioną żonę, zaślepioną kochankę, dobrze opłacanych prawników, Głupiego Jasia. Może wykręcić się sianem.**

**–Zdarza się – przyznałem mu rację. – Przysięgli są i zawsze byli nieobliczalni.**

**Patrzyłem, jak Shafer wymienia uściski dłoni z członkami ekipy obrony. Jules i Jane lialpern mieli na twarzach wymuszone uśmiechy.**

**Wiedzą.**

**Ich klient jest Łasicą, masowym mordercą.**

**–Geoffrey Shafer potrafi sprawić, że ludzie mu wierzą. Jest najlepszym aktorem, jakiego zdarzyło mi się widzieć – powiedziałem.**

**John poszedł, a po chwili i ja wymknąłem się tylnym wyjściem. Tym razem na parkingu nie czatował na mnie ani Shafer, ani dziennikarze.**

**Usłyszałem kobiecy głos i zamarłem. Wydawało mi się, że to Christine.**

**Kilkadziesiąt osób szło do samochodów, mijając mnie obojętnie. Zalewały mnie fale gorąca, kiedy szukałem jej wzrokiem. Nie było jej w tłumie.**

**Skąd więc ten głos?**

**Pojechałem na przejażdżkę starym porsche i słuchałem Georgea**

**Bensona z płyty kompaktowej. Przypomniałem sobie policyjny raport o szalonej**

jeździe Shafera, która zakończyła się w pobliżu Dupont Circle.

Pomysł wydał mi się dziwnie nęcący. Postanowiłem, że nie będę próbował zgadnąć, jaką decyzję podejmie ława przysięgłych. Na dwoje babka wróżyła.

Pozwoliłem sobie pomyśleć o Christine i coś chwyciło mnie za gardło.

Tego było mi za wiele. Łzy zaczęły mi ściekać po twarzy.

Musiałem się zatrzymać.

Zaczerpnąłem głęboko powietrza, raz, drugi. Ból w sercu był równie ostry, jak tego dnia na Bermudach, kiedy Christine zaginęła.

Próbowała trzymać się ode mnie z daleka, ale jej nie pozwoliłem. Byłem odpowiedzialny za to, co się stało.

Jeździłem po mieście, zataczając szerokie, bezcelowe kręgi.

Dwie i pół godziny po wyjściu z sądu dotarłem w końcu do domu.

Nana wybiegła mi na spotkanie. Musiała widzieć, jak skręcam na podjazd.

Najwyraźniej czekała na mnie.

Wychyliłem się z okna. Didżej Public Radio mówił coś sympatycznym głosem.

–O co chodzi, dobra kobieto? Co się znów stało? – zawołałem do Nany.

–Dzwoniła panna Fitzgibbon, Alex. Przysięgli wracają na salę. Mają werdykt.

Rozdział 100

Bąłem się. Ale byłem również ciekawy ponad ludzkie wyobrażenie.

Wyprysnąłem tyłem z podjazdu i ruszyłem w stronę centrum. Dotarłem do sądu w niecałe piętnaście minut. Tłum na E Street był większy i bardziej niesforny niż w szczytowym momencie procesu. Z pół tuzina angielskich flag powiewało na wietrze, kontrastując z flagami amerykańskimi wymalowanymi na twarzach i gołych torsach.

Przedzierałem się mozolnie przez zwarty tłum podchodzący aż pod schody sądu. Ignorowałem pytania dziennikarzy, Próbowałem omijać każdego, kto miał aparat fotograficzny w ręku albo zgłodniały wyraz oczu, co zdradzało reportera.

Wszedłem do napakowanej sali w chwili, gdy sędziowie przysięgli zasiadali na swoich miejscach.

Omali się nie spóźniłeś, koleś, powiedziałem do siebie.

Sędzia Fescoe zabrał głos, jak tylko ławnicy zajęli miejsca.

–Po ogłoszeniu wyroku nie będzie żadnych demonstracji.

Gdyby jednak miały miejsce, szeryfowie natychmiast opróżnią salę – powiadomił cicho, ale wyraźnie.

Stałem kilka rzędów za stołem oskarżenia i starałem się wyrównać oddech. Było nie do pomyślenia, żeby Geoffrey Shafer został oczyszczony z zarzutów; nie miałem cienia wątpliwości, że zamordował kilkanaście osób -nie tylko Patsy Hampton, ale przynajmniej część ofiar Jane Doe. Był seryjnym mordercą, jednym z najgorszych, i przez wiele lat uchodziło mu to na sucho. Uzmysłowiłem sobie, że Shafer może być największym i najśmielszym ze wszystkich morderców, z jakimi miałem do czynienia. Grał brawurowo i nie dopuszczał nawet myśli o porażce.

–Czy sędziowie przysięgli uzgodnili werdykt? – zapytał sędzia Fescoe z powagą.

Starszy przysięgły, Raymond Horton, odpowiedział:

–Wysoki Sądzie, uzgodniliśmy werdykt.

**Spojrzałem na Shafera; był zupełnie spokojny. Jak każdego dnia procesu, tak i dzisiaj wystąpił w garniturze szytym na miarę, koszuli i krawacie. Nie miał sumienia, nie bał się niczego. Może dlatego tak długo grasował bezkarnie.**

**Sędzia Fescoe przybrał niezwykle srogi wygląd.**

**–Doskonale. Oskarżony, proszę wstać.**

**Geoffrey Shafer stanął przy stole obrony. Jasne, długie włosy połyskiwały w ostrym świetle lamp. Górował nad Julesem Halpernem i jego córką Jane. Trzymał ręce za plecami, jakby były skute kajdankami.**

**Zastanawiałem się, czy ściska w nich kości takie, jakie znalazłem w jego gabinecie.**

**Sędzia Fescoe zwrócił się do przewodniczącego.**

**–Czy oskarżony jest winny morderstwa pierwszego stopnia z premedytacją?**

**Przewodniczący ławy przysięgłych:**

**–Niewinny, Wysoki Sądzie.**

**Sala zawirowała mi w oczach. Publiczność kompletnie oszalała. Dziennikarze parli do przodu. Sędzia obiecał opróżnić salę, ale już rejterował do swojej kancelarii.**

**Ujrzałem Shafera. Wydawało się, że idzie w stronę dziennikarzy, ale wyminął ich szybko. Co on wyczyniał? Zauważył mężczyznę w tłumie i skinął mu sztywno głową. Kto to był?**

**Shafer kierował się do miejsca, gdzie stałem. Chciałem rzucić się na niego przez krzesła. Tak bardzo pragnąłem go dopaść, a wiedziałem, że właśnie straciłem szansę, aby zrobić to zgodnie z prawem.**

**–Detektywie Cross! – zwrócił się do mnie w swój zwykły, wyniosły sposób. – Chciałem panu coś powiedzieć. Od wielu miesięcy.**

**Dziennikarze otoczyli nas kołem; atmosfera zrobiła się klaustrofobiczna. Ze wszystkich stron błyskały flesze. Teraz, kiedy rozprawa się skończyła, nie obowiązywał zakaz robienia zdjęć na sali sądowej. Shafer zdawał sobie oczywiście sprawę, jaka to wyjątkowa okazja. Przemówił ponownie tak, żeby wszyscy mogli go słyszeć. Zapadło nagle milczenie, znaleźliśmy się w kokonie ciszy i złowróżbnego oczekiwania.**

**–Zabiłeś ją – powiedział Shafer i zajrzał mi głęboko w oczy, jakby chciał dotrzeć do mózgu.**

**Ogarnęła mnie drętwota. Nogi się pode mną ugięły.**

**Wiedziałem, że on nie ma na myśli Patsy Hampton.**

**Miał na myśli Christine.**

**Nie żyła.**

**Geoffrey Shafer ją zabił. Odebrał mi wszystko, dotrzymał słowa.**

**Wygrał.**

**Rozdział 101**

Shafer był wolnym człowiekiem i był szczęśliwy. Rzucił na szalę swoje życie. Zaryzykował wszystko i wygrał w wielkim stylu. W wielkim stylu!

Nigdy w życiu nie doświadczył takiego uczucia euforii, jak w chwili po ogłoszeniu werdyktu.

Wraz z Lucy i dziećmi przeszedł do okazałej, paradnej sali, gdzie miała się odbyć konferencja prasowa z udziałem zaproszonych dziennikarzy. Pozował do niezliczonej ilości zdjęć z rodziną. Rodzina obściskowała go, a Lucy nie mogła przestać płakać niby bezrozumne, beznadziejnie rozpaskudzone, nienormalne dziecko, którym faktycznie była. Jeżeli ktoś uważał go za lekomana, powinien zobaczyć, co bierze Lucy! Chryste, przecież to ona ukazała mu zdumiewający świat leków.

W końcu wznosił ramię w szyderczym geście zwycięstwa. Cała sala rozbłysła fleszami. Fotreporterzy nie mogli się nim nasycić.

Blisko stu dziennikarzy tłoczyło się na sali. Kochały go zwłaszcza kobiety. Był już niekwestionowaną gwiazdą mediów, prawda? Znow był bohaterem.

Paru nachalnych agentów sławy i fortuny wcisnęło mu do ręki wizytówki, obiecując absurdalne sumy za prawo do książki... Miał gdzieś ich niestosowne oferty. Już kilka miesięcy temu wybrał agenta na Nowy Jork i Hollywood.

Chryste, był wolny jak ptak! Szybował w powietrzu. Po konferencji prasowej odesłał dzieci do domu pod pozorem, że niepokoi się o ich bezpieczeństwo, a sam spotkał się w sądowej bibliotece z przedstawicielami Bertelsmann Group, największego koncernu wydawniczego na świecie, by omówić warunki publikacji swoich wspomnień. Oczywiście, nie zamierzał publikować nic zbliżonego do prawdy. Na takiej chyba zasadzie funkcjonuje w dzisiejszych czasach tak zwana literatura faktu? Ludzie od Bertelsmanna wiedzieli o tym, a jednak sypnęli forszą.

Po spotkaniu zjechał staroświecką windą na wewnętrzny parking sądu.

Nadal był w euforii, co mogło okazać się niebezpieczne.

Kości paliły go w kieszeni spodni.

Rozpaczliwie pragnął zagrać. Zaraz! Zagrać w Czterech Jeźdźców. Albo jeszcze lepiej – w Solipsis, własną odmianę gry. Nie ulegnie jednak pokusie, jeszcze nie teraz. Było to zbyt niebezpieczne, nawet dla niego.

Od początku procesu parkował jaguara w tym samym miejscu; miał jednak swoje zwyczaje. Ani razu nie raczył wrzucić monety do parkomatu. Codziennie znajdował plik mandatów za wycieraczkami.

Dzisiejszy dzień nie był wyjątkiem.

Wyrwał idiotyczne karteczki zza wycieraczki i zmiął w dłoni.

Potem upuścił kulkę na poplamiony olejem beton.

–Mam immunitet dyplomatyczny – powiedział na głos i uśmiechnął się wsiadając do jaguara.

Księga piąta

Koniec gry

Rozdział 102

Shafer nie mógł w to uwierzyć. Popęłnił bardzo poważny i być może nieodwracalny błąd. Spodziewał się zupełnie czego innego i teraz cały świat zdawał

się rozpadać na kawałki. Czasem myślał, że nie mogło być gorzej, nawet gdyby poszedł do więzienia za morderstwo z premedytacją popełnione z zimną krwią na Patsy Hampton.

Wiedział, że to nie są urojenia szaleńca. Żalosne ambasadzkie dupki obserwowały go, ilekroć wychodził z gabinetu. Jego współpracownicy nie kryli odrazy i strachu, zwłaszcza kobiety. Kto nastawił ich przeciwko niemu? Ktoś musiał być za to odpowiedzialny.

Stał się białym, angielskim O. J. Simpsonem. Dziwnym, anormalnym tworem. Był winny, choć został uniewinniony.

Siedział więc w swoim gabinecie za zamkniętymi drzwiami. Spełniał swoje znikome obowiązki z rosnącą irytacją, sfrustrowany, z poczuciem absurdu. Świadomość, że został schwytany w pułapkę, stał się żalonym widowiskiem dla personelu ambasady, doprowadzała go do szału.

Grał niemrawo na komputerze i czekał na wznowienie Czterech Jeźdźców, ale pozostali gracze byli temu przeciwni. Twierdzili, że w tej chwili nie wolno im grać, nie wolno im się nawet komunikować i żaden nie potrafił zrozumieć, dlaczego właśnie teraz jest najlepsza pora na grę.

Dużo czasu spędzał gapiąc się bezmyślnie przez okno na Massachusetts Avenue. Słuchał radiowych talk – show. Wzbierał w nim gniew. Musiał zagrać.

Ktoś zapukał do drzwi gabinetu. Odwrócił głowę tak gwałtownie, że zabolalo go w karku. W tym samym momencie zadzwonił telefon.

Podniósł słuchawkę i usłyszał głos swojej asystentki, panny Wynne Hamerman.  
–Pan Andrew Jones do pana.

Andrew Jones?! Shafer był zaszokowany. Jones był głównianym dyrektorem w Security Service w Londynie. Shafer nie wiedział, że przyjechał do Waszyngtonu. Czego chce od niego? Andrew Jones był wysoko postawionym, bezwzględny fiutem, który nie wpadał ot tak po prostu na południową herbatkę.

Jones stał w korytarzu zniecierpliwiony i wściekły. Jego stalowoszare oczy były chłodne, twarz tak sztywna, jak oblicze angielskiego żołnierza w Belfaście. Za to płomiennorude włosy i wąsy nadawały mu pogodny, niemal radosny wygląd. W Londynie nazywano go Andrew Czerwony.

–Wejdźmy do gabinetu. Zamknij za sobą drzwi, Shafer – powiedział Jones cichym, rozkazującym tonem.

Shafer otrząsnął się z pierwszego zaskoczenia i zaczął go trafiać szlag.

Kim był ten pompatyczny dupek, żeby pakować się tak do jego gabinetu?

Jakim prawem tu był? Jak śmiał? Wstrętny typ! Nadęty przydupas z Londynu.

–Możesz usiąść, Shafer – powiedział Jones. Był to kolejny rozkaz.

–Przejdę od razu do rzeczy.

–Oczywiście – odparł Shafer. Nadal stał. – Proszę przejść do rzeczy.

Z pewnością jesteście obaj bardzo zajęci.

Jones zapalił papierosa, zaciągnął się krótko i wolno wypuścił dym.



–W Waszyngtonie to nielegalne – rzucił Shafer prowokacyjnie.

–Otrzymasz rozkaz powrotu do Anglii w terminie trzydziestu dni – Jones zaciągnął się spokojnie. – Przynosisz nam wstyd w Waszyngtonie i będziesz przynosił wstyd w Londynie. Oczywiście, popołudniówki zrobią z ciebie męczennika, ofiarę brutalności i braku kompetencji amerykańskiej policji i wymiaru sprawiedliwości. Potraktują cię jako kolejny dowód na wszechobecną korupcję i naiwność w Stanach. Obaj wiemy, że w tym przypadku jest to kompletna bzdura.

Shafer uśmiechnął się szyderczo.

–Jak śmiesz przychodzić tutaj, Jones, i przemawiać do mnie w ten sposób? Zostałem wrobiony w ohydne przestępstwo, którego nie popełniłem.

Zostałem uniewinniony przez amerykański sąd. Zapomniałeś o tym?

Jones patrzył na niego ze zmarszczonym czołem.

–Tylko dlatego, że zasadnicze dowody nie zostały uwzględnione w rozprawie. Krew na twoich spodniach? Krew tej biednej kobiety w łazience twojej kochanki? – Jones wydmuchał dym kącikiem warg. – Wiemy wszystko, ty żaloszny głupcze. Wiemy, że jesteś świrniętym maniakałnym zabójcą.

Więc wrócisz do Londynu i zostaniesz tam – dopóki cię na czymś nie złapiemy. A złapiemy na pewno, Shafer. Spreparujemy dowody, jeżeli będzie trzeba. Mdli mnie od przebywania z tobą w jednym pokoju. Z prawnego punktu widzenia uniknąłeś kary, ale my będziemy na ciebie bardzo uważać.

Dostaniemy cię i to prędzej niż myślisz.

Shafer wydawał się rozbawiony. Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Wiedział, że nie powinien grać, ale nie mógł oprzeć się pokusie.

–Spróbuj, ty zakichany, świętoszkowaty durniu. Niewątpliwie możesz spróbować.

A teraz, jeżeli pozwolisz, mam mnóstwo pracy.

Andrew Jones potrząsnął głową.

–Jeżeli chodzi o ścisłość, nie masz żadnej pracy, Shafer.

Ale wyjdę z przyjemnością. Smród, jaki tu panuje, jest nie do zniesienia.

Kiedy kąpałeś się po raz ostatni? – Roześmiał się pogardliwie. – Chryste, stoczyłeś się.

Rozdział 103

Po południu spotkałem się z Jonesem i trzema jego agentami w hotelu Willard w pobliżu Białego Domu. To ja zwołałem zebranie, w którym brał udział również Sampson. Sampson uzyskał pozwolenie powrotu na łono wydziału, ale nauczka, jaką dostał od Pittmana, najwyraźniej niczego go nie nauczyła, bo powtarzał te same błędy.

–Uważam, że jest stuknięty – powiedział Jones o Shaferze. – Śmierdzi jak szafka na buty. Lada chwila zwali się na deski. Jak oceniasz jego stan psychiczny?

Znałem już Shafera od podszewki. Wiedziałem wszystko o jego rodzinie: o braciach, maltretowanej matce, dominującym ojcu. O ich podróżach z jednej bazy

wojskowej do drugiej.

–Zaczął się od poważnych zaburzeń nastrojów, co przeszło w tak zwaną depresję maniacką. Miał to już jako dziecko. Teraz faszeruje się lekami. Zażywa xanax, benadryl, haldol, ativan, valium, librium i jeszcze kilka innych. Niezła mieszanka. Można to dostać na receptę za odpowiednią cenę.

Zdumiewa mnie, że on w ogóle funkcjonuje. Ale żyje. Nie poddaje się. I zawsze wygrywa.

–Powiedziałem Geoffreyowi, że musi opuścić Waszyngton. Jak on to przyjmie? – zwrócił się do mnie Jones. – Przysięgam, że jego gabinet cuchnie tak, jakby przechowywał w nim trupy.

–Zapach może być objawem tej choroby, ale zwykle jest to metaliczna, ostra, bardzo charakterystyczna woń. On się po prostu nie myje.

Ale jego wola gry, zwycięstwa i przetrwania jest zdumiewająca – powiedziałem.

–On nie zrezygnuje.

–Co się dzieje z pozostałymi graczami? – zapytał Sampson. –

Tak zwanymi Jeźdźcami?

–Utrzymują że już nie grają, że dla nich była to zwykła zabawa, gra -powiedział Jones. – Oliver Highsmith jest z nami w kontakcie, prawdopodobnie po to, by trzymać rękę na pulsie. Z niego też jest kawał drania. Twierdzi, że śmierć detektywu Hampton głęboko go zasmuciła. Nadal nie jest przekonany na sto procent, że to Shafer ją zabił. Radzi, żebym zachował otwarty umysł.

–Zachowujesz go? – Przesunąłem wzrokiem po obecnych.

Jones się nie zawahał.

–Nie mam wątpliwości, że Geoffrey Shafer jest wielokrotnym mordercą. Widziałem się z nim, a resztę usłyszałem od ciebie. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że jest maniackim zabójcą na niespotykaną dotąd skalę. Nie mam również wątpliwości, że w końcu wpadnie.

Skinąłem głową.

–Zgadzam się ze wszystkim. Zwłaszcza z tym, że jest maniackim zabójcą.

Rozdział 104

Tej nocy Shafer znów mówił do siebie. Nie mógł się opanować, im bardziej próbował, tym było gorzej. Im bardziej się wściekał, tym częściej mówił do siebie.

–Mogą się gonić – Jones, Cross, Lucy i dzieciaki, Boo Cassady, pozostali gracze, cholerne mięczaki. Pieprzyć ich wszystkich. Czterej Jeźdźcy mieli głęboką treść. To nie była zwyczajna gra. To było coś więcej niż zabawa konikami.

Dom w Kaloramie był pusty, nocą zbyt cichy. Był tak wielki i absurdalny, jak może być tylko amerykański dom. „Oryginalne” architektoniczne detale, dwa salony, sześć kominków, dawno zwiędłe kwiaty z kwaciarni Aster, nie przeczytane książki w skórzanych złoconych oprawkach, duchowa pożywka Lucy. Wszystko to sprawiało, że miał ochotę łązić po wysokich na trzy metry ścianach.

Przez następną godzinę próbował wmówić sobie, że nie jest szalony, a zwłaszcza, że nie jest narkomanem. Ostatnio zdobył jeszcze jedno źródło leków – lekarza w

Maryland. Niestety, nielegalne recepty kosztowały majątek. Długo tak nie pociągnie. A leki były mu potrzebne. Lit i haldol kontrolowały wahnięcia nastrojów, rzeczywiście bardzo dokuczliwe. Thorazine koła nerwicę, równie kurewsko dokuczliwą jak wahnięcia nastrojów.

Wyrównywał je również narcan. Zwielokrotnione dawki loradolu były na coś innego, na jakiś ból, który brał się nie wiadomo skąd. Wiedział, że istnieją równie ważne powody zażywania xanaksu, compazyny, benadrylu.

Lucy uciekła do Londynu i zabrała ze sobą dzieci. Wyjechali dokładnie tydzień po zakończeniu procesu. Prawdziwą przyczyną wyjazdu był ojciec Lucy. Przyleciał do Waszyngtonu, rozmawiał z córką niecałą godzinę, a ona spakowała się i odeszła jak Tatusiowa Córeczka, którą zawsze była.

Przed wyjazdem miała jeszcze czelność powiedzieć Shaferowi, że stała u jego boku dla dobra dzieci i ojca, ale teraz nie ma już wobec niego żadnych obowiązków. Nie wierzy, że jest mordercą, jak twierdzi ojciec, ale wie, że jest narkomanem, a tego nie znieśnie ani chwili dłużej.

Boże, jakże pogardzał tą małą kurewką. Zanim odeszła, uświadomił ją, że pełniła ten swój obowiązek jedynie ze strachu. Bała się, że on, Shafer, powiadomi prasę o jej niesmacznej lekomanii. Zresztą nie wie jeszcze, czy tego nie robi.

O jedenastej wybrał się na swoją nocną przejażdżkę. Dręczył go straszny niepokój, uczucie zamykania się przestrzeni. Zastanawiał się, czy opanuje się jeszcze przez jedną noc, jedną minutę. Czuł nieznośne mrowienie skóry, męczyły go jakieś nerwowe tiki. Nie mógł przestać stukać cholerną nogą!

Kości do gry paliły go żywym ogniem w kieszeni spodni. Myśl wybiegała w niebezpiecznych kierunkach, bardzo, bardzo złych. Chciał, musiał kogoś zabić. Miał to od dawna, to był jego mały brzydki sekret.

Pozostali Jeźdźcy wiedzieli o tym, wiedzieli nawet, jak to się zaczęło. Shafer był porządnym angielskim żołnierzem, trochę zbyt ambitnym, żeby pozostać w armii. Z pomocą ojca Lucy uzyskał przeniesienie do MI6. Wydawało mu się, że tam będzie miał większe możliwości awansu.

Został wysłany do Bangkoku, tam spotkał Jamesa Whiteheada, Georgea Bayera i Olivera Highsmitha. Whitehead i Bayer pracowali nad nim kilka tygodni, rekrutując Shafera do specjalnych zadań: miał zostać zabójcą, ich prywatnym egzekutorem, człowiekiem od mokrej roboty. W ciągu następnych dwóch lat wykonał trzy wyroki w Azji i odkrył, że naprawdę kocha uczucie władzy, jaką mu daje zabijanie. Oliver Highsmith, który kontrolował Bayera i Whiteheada z Londynu, powiedział mu kiedyś, żeby akt zabijania pozbawić aspektu osobowego, potraktować go jak grę, i Shafer tak właśnie zabijał. Nigdy nie przestał być zabójcą.

Włączył odtwarzacz kompaktowy. Głośno, żeby zagłuszyć głosy we własnej głowie. Starzy rockersi, Jimmy Page i Robert Plant, rozpoczęli duet w kokpicie jaguara.

Wycofał się z podjazdu i ruszył w dół Tracy Place. Nacisnął pedał gazu i dobił do setki na krótkim odcinku między domem a Twenty – Fourth Street.

Czas na kolejny samobójczy rajd?

Czerwone światła błysnęły gdzieś z boku. Shafer zaklął brzydko, kiedy policyjny radiowóz ruszył w jego stronę. Cholera!

Podjechał do krawężnika i czekał. Dupki! – wrzeszczał mu głos w głowie. – Cholernie impertynenckie dupki! I ty też jesteś dupkiem! – odpowiedział sobie szeptem. – Wykaż trochę opanowania, Geoff: Weź się w garść.

I to zaraz!

Radiowóz zatrzymał się tuż obok, niemal drzwi w drzwi.

Shafer widział gliniarzy zaglądających w okna jaguara.

Jeden z nich wysiadł wolno i podszedł do niego takim krokiem, jakby odgrywał pieprzonego bohatera w amerykańskim filmie. Shafer najchętniej wpakowałby w niego serię. Wiedział, że może to zrobić. Miał pistolet automatyczny pod fotelem. Dotknął rękojeści. Boże, jakie to cudowne uczucie!

–Prawo jazdy i dowód rejestracyjny – zażądał policjant cholernie zadowolony z siebie. Zniekształcony głos w głowie Shafera zaskrzeczał: Zastrzel go teraz. Szlag ich trafi, kiedy zabijesz jeszcze jednego policjanta!

Podał mu jednak żądane dokumenty i wysilił się na głupawy uśmiech.

–Skończyły się nam pampersy – powiedział. – Trzeba było jechać do Seven – Eleven. Wiem, że jechałem za szybko i bardzo mi przykro, panie władzo. Ludzka głupota. Ma pan dzieci?

Policjant nie odrzekł słowa. Skurwiel nie wykazał krzty uprzejmości. Wypisywał mandat za przekroczenie szybkości i wyraźnie się tym rozkoszował.

–Proszę, panie Shafer. – Wręczył mu mandat i dodał: – A tak przy okazji, obserwujemy cię, gnojku. Człowieku, masz nas na karku. Nie upiekło ci się morderstwo Patsy Hampton. Tylko myślisz, że ci się udało.

W bocznej uliczce, gdzie przed kilkoma minutami stał wóz patrolowy, jakiś samochód zamrugał światłami raz, drugi.

Shafer wyteńczył wzrok, zmrużonymi oczami wpatrzył się w mrok.

Rozpoznał samochód, czarnego porsche.

Cross tam był, patrzył. Alex Cross czekał.

Rozdział 105

Andrew Jones siedział obok mnie w cichym, mrocznym kokpicie porsche. Współpracowaliśmy ze sobą od dwóch tygodni. Jones, a wraz z nim Security Service, był zdecydowany unieszkodliwić Shafera zanim popełni następne morderstwo. Tropił również Wojnę, Głód i Zdobywcę.

Patrzyliśmy w milczeniu, jak Geoffrey Shafer wolno zawraca i rusza z powrotem do domu.

–Widział nas, Zna mój samochód – powiedziałem. – To dobrze.

Nie dostrzegłem twarzy Shafera w ciemności, ale niemal

czułem, jak mu się kotłuje pod czaszką. Wiedziałem, że jest jak oszalały. Słowa „maniakalny zabójca” rozbrzmiewały mi w uszach. Shafer był takim właśnie maniakalnym zabójcą i nadal pozostawał na wolności. Popełnił morderstwo kilkanaście morderstw i uszedł sprawiedliwości.

–Alex, nie boisz się, że wpadnie w szal? – zapytał Jones kiedy zatrzymałem

jaguara przed georgiańskim domem w Kaloramie. Podjazd tonął w mroku. Nie widzieliśmy Geoffreya Shafera, nie wiedzieliśmy, czy wszedł do środka.

–Już wpadł. Stracił pracę, żonę, dzieci, grę, która stanowi sens jego życia. A co najgorsze, ograniczono jego swobodę poruszania się.

Shafer nie lubi żadnych ograniczeń, nie cierpi, kiedy ujmuje się go w ramki.

Nie cierpi przegrywać.

–Sądysz, że zrobi coś pochopnego?

–Na to jest za mądry. Ale z pewnością wykona jakiś ruch. Na tym polega ta gra.

–A wtedy ponownie zamącimy mu w głowie?

–Właśnie!

Późnym wieczorem, w drodze do domu, postanowiłem zajechać do świętego Antoniego. Kościół był wyjątkowy w tym sensie, że nie zamykano go na noc. Monsignor John Kelliher uważał, że tak powinno być, nawet kosztem wandalizmu i złodziejstwa. Na ogół jednak mieszkańcy dzielnicy strzegą świętego Antoniego.

Kiedy wszedłem około północy, w oświetlonym świecami kościele siedziało kilku wiernych. Zawsze ktoś jest w środku. Bezdomnym nie wolno tu spać, ale przewijają się przez kościół przez całą noc.

Usiadłem i zapatrzyłem się na migotliwe światło czerwonych wotywnych lamp. Wdychałem mocny zapach kadzideł. Podniosłem oczy na wielki złożony krzyż i piękne witraże, którymi zachwyciałem się już jako dziecko.

Zapaliłem świecę dla Christine i pomyślałem, że być może gdzieś jeszcze żyje. Nie wydawało się to prawdopodobne. Przybladła trochę w mojej pamięci i nie mogłem się z tym pogodzić. Nagły ból przeszył mi piersi, pozbawiając tchu. Tak było zawsze, od tamtej nocy, kiedy zniknęła, prawie rok temu.

Po raz pierwszy przyznałem sam przed sobą, że ona odeszła.

Nigdy jej nie zobaczę. Myśl utkwiała niby okruch szkła w gardle.

Łzy wezbrały w oczach.

–Kocham cię – wyszeptałem w przestrzeń. – Tak bardzo cię kocham i strasznie za tobą tęsknię.

Pomodliłem się, a potem wstałem z długiej drewnianej ławki i ruszyłem w stronę drzwi westybulu. Nie zauważyłem kobiety klęczącej w bocznej ławie. Przestraszyła mnie jakimś nagłym ruchem.

Znałem ją z kuchni polowej. Miała na imię Magnolia, a przynajmniej tak mówiła. Nic więcej nie potrafiłbym o niej powiedzieć. Zawołała do mnie głośno.

–Hej, Człowieku od Masła Orzechowego, teraz już wiesz, jak to jest.

Rozdział 106

Dzięki wpływom Jonesa i Sandy Greenberg z Interpolu pozostali Jeźdźcy znaleźli się pod nadzorem policji. Zarzucaliśmy sieci szeroko, licząc na to, że zdobycz będzie potężna.

Security Service w Londynie robiła wszystko, co możliwe, by zmniejszyć rozmiary skandalu. Gdyby czterej angielscy agenci okazali się mordercami zamieszkanymi w

dziwną grę, całe środowisko wywiadowcze poniosłoby niewyobrażalne, nieodwracalne straty.

W środę i w czwartek Shafer stawiał się obowiązkowo do pracy. Przyjeżdżał do ambasady tuż przed dziewiątą i wychodził punktualnie o piątej.

Większą część dnia spędzał zamknięty w małym gabinecie i nie wychodził nawet na lunch. Całymi godzinami siedział na America Online, co było monitorowane.

Przychodził do pracy w tych samych szarych spodniach i niebieskim blezerze. Ubrania były zmięte i sprawiały wrażenie brudnych. Gęste jasne, zaczesane do tyłu włosy były tak tłuste, że dawały odpór ostrym waszyngtońskim wiatrom. Shafer był blady i sprawiał wrażenie znerwicowanego.

Czyżby zbliżało się załamanie?

W piątek po kolacji siedziałem z Naną na tylnej werandzie domu na Fifth Street. Od lat nie spędzaliśmy ze sobą tyle czasu.

Wiedziałem, że Nana się martwi i pozwalałem jej troszczyć się o mnie, ile zechce. Dla dobra nas obojga.

Jannie i Damon zmywali w kuchni naczynia i nawet nie kłócili się przy tym zanadto. Damon zmywał, Jannie wycierała. Z magnetofonu Damona płynęła piękna melodia, ścieżka dźwiękowa z filmu Beloved.

–Większość rodzin ma w dzisiejszych czasach zmywarkę i suszarkę do naczyń. – Nana upiła łyk herbaty. – Niewolnictwo się skończyło w Ameryce, Alex. Słyszałeś o tym?

–My też mamy zmywarkę i suszarkę do naczyń. Zdaje się, że pracują bez zakłóceń. I mają tę zaletę, że ich koszt utrzymania jest niewielki.

Nana mlasnęła językiem.

–Zobaczymy, jak długo to potrwa.

–Jeżeli chcesz zmywarkę do naczyń, to ją kupimy. A może tylko ćwiczysz się w sztuce argumentacji, zanim przejdziesz do tematu godnego twoich umiejętności? O ile pamiętam jesteś zwolenniczką Demostenesa i Cyncerona. Trąciła mnie łokciem.

–Dowcipniś. Myślisz, że jesteś taki mądry?

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

–Niezupełnie, Nano. To nigdy nie było moim problemem.

–Nie, chyba nie. Masz rację, nigdy nie byłeś zbyt zarozumiały. – Nana popatrzyła mi w oczy. Miałem wrażenie, że wwierca mi się do duszy.

Zawsze potrafiła odkryć sedno naprawdę ważnych spraw. – Nigdy nie przestaniesz się obwiniać? Wyglądasz okropnie.

–Dzięki. Nigdy nie przestaniesz mnie nękać? – Uśmiechnąłem się do niej. Rozmowy z nią zwykle poprawiały mi samopoczucie.

Skinęła głową.

–Oczywiście, że przestanę. Pewnego dnia. Nikt nie jest wieczny, wnuczusiu.

Roześmiałem się.

–Myślę, że ty jesteś. Przeżyjesz mnie i dzieci.

Nana ukazała rzędy zębów – swoich własnych.

–Faktycznie czuję się nieźle, zważywszy wszystko-przyznała. – Nadal go ścigasz, prawda? Dlatego pracujesz nocami.

Ty, John Sampson i ten Anglik Andrew Jones.

Westchnąłem.

–Tak, nadal go ścigam. I dostaniemy go. W serię tych morderstw mogą być zamieszane aż cztery osoby. Tutaj, w Azji, na Jamajce i w

Londynie.

Kiwnęła na mnie palcem wskazującym.

–Przysuń się.

Uśmiechnąłem się szeroko. Jest taka łagodna i słodka, a również upierdliwa jak cholera.

–Chcesz, żebym ci usiadł na kolanach, stara kobieto? Jesteś absolutnie pewna?

–Dobry Boże, nie! Nie siadaj na mnie, Alex! Pochyl się tylko i okaż szacunek

mojemu wiekowi i mądrości. A przy okazji możesz mnie uściskać.

Zrobiłem, co mi kazała, i zauważyłem, że z kuchni nie dochodzą już żadne odgłosy bratersko – siostrzanych utarczek.

Zerknąłem na siatkowe drzwi i zobaczyłem nosy moich wszędobylskich rozpląszczone na siatce. Machnąłem ręką i twarze znikły.

–Chcę, żebyś był bardzo, bardzo ostrożny – wyszeptała Nana, kiedy trzymałem ją łagodnie w ramionach. – Ale chcę również, żebyś go złapał. On jest najgorszy z nich wszystkich. Geoffrey Shafer jest najgorszy, Alex.

Rozdział 107

Gra wcale się nie skończyła, ale uległa ogromnym przeobrażeniom od czasu procesu w Waszyngtonie.

W Londynie była siedemnasta trzydzieści i Zdobywca czekał przy komputerze, zarazem zaniepokojony i podniecony tym, co się miało wydarzyć: za chwilę Czterej Jeźdźcy zostaną wznowieni.

Była pierwsza trzydzieści w nocy w Manili na Filipinach.

Głód czekał na wiadomość, na nowy początek ukochanej gry.

Wojna oczekiwał na wiadomości w swoim wielkim domu na Jamajce.

On również miał obsesję na punkcie gry i zwycięstwa.

W Waszyngtonie dochodziła dwunasta trzydzieści w południe.

Geoffrey Shafer jechał z ambasady do centrum handlowego White Flint Mall.

Miał wiele do zrobienia tego popołudnia. Był rozgorączkowany, podekscytowany.

Przemknął Massachusetts Avenue, minął budynek ambasady i dom wiceprezydenta. Zastanawiał się, czy go śledzą i uznał, że to możliwe.

Jeszcze ich nie zauważył, a to mogło oznaczać tylko jedno:

zabrali się do rzeczy na poważnie.

Skręcił błyskawicznie w prawo, objechał rondo i wyprysnął na Nebraska Avenue, kierując się w stronę Uniwersytetu. Przez jakiś czas krążył bocznymi uliczkami, po czym wyjechał na Wisconsin i pognał w stronę centrum handlowego.

Wszedł do Bloomingdalea i wybrał taki dział, w którym było mało ludzi. Było to odrobinę przygnębiające. Nie cierpiał amerykańskiej scenerii sklepowej. Przypominała mu Lucy i jej potomstwo. Przeszedł nieśpiesznie przez dział odzieży męskiej, wybrał kilka absurdalnie drogich sportowych koszul Ralpho Laurena i dwie pary ciemnych spodni.

Przerzucił sobie przez ramię czarny garnitur Giorgio Armaniego i zaniósł to wszystko do przymierzalni. Oddał ubrania ekspedientowi, który stał tam tylko po to, by ukrócić złodziejstwo sklepowe.

–Zmieniłem zdanie – powiedział.

–Nie ma sprawy, proszę pana.

Shafer ruszył wąskim korytarzem prowadzącym do tylnego wyjścia.

Dobiegł do szklanych drzwi i wypadł na parking na tyłach budynku.

Zobaczył tablice informacyjne pokazujące drogę do Bruna Cipriani i Lord Taylor i wiedział, że idzie we właściwym kierunku.

Ford Taurus stał w sekcji F. Shafer wskoczył do środka, uruchomił silnik i przejechał do odległego o dwa kilometry Montrose Crossing.

Uznał, że zgubił ogon. Przeszedł na drugą stronę Montrose i znalazł się w centrum handlowym Federal Plaza. Znalazł Cyber Exchange, sklep z oprogramowaniem i komputerami.

W mgnieniu oka wypatrzył to, czego potrzebował.

–Chciałbym wypróbować nowy iMac – zwrócił się do sprzedawcy.

–Proszę bardzo. Gdyby potrzebował pan pomocy, proszę zawołać -powiedział sprzedawca. – Ale to łatwe.

–Wiem. Chyba sobie poradzę. Zawołam, gdybym utknął. Ale zdaje się, że kupię tego iMaca.

–Doskonały wybór.

–Tak. Doskonały.

Leniwy sprzedawca zostawił go samego i Shafer natychmiast włączył komputer. Wklepując wiadomość dla pozostałych graczy czuł niezdrowe podniecenie zabarwione odrobiną smutku. Przemyślał wszystko i wiedział, co musi napisać, co musi zrobić.

WITAM I POZDRAWIAM. NASZA WSPANIAŁA, BEZPRECEDENSOWA OŚMIOLETNIA PRZYGODA, CZTEREJ JEŹDŹCY, DOBIEGA KOŃCA. PRZEDSTAWILIŚCIE SVOJE STANOWISKO BARDZO PRZEKONYWAJĄCO I AKCEPTUJĘ SMUTNY WNIOSEK, DO JAKIEGO DOSZLIŚCIE. GRA STAŁA SIĘ ZBYT NIEBEZPIECZNA. PROPONUJĘ WIĘC STWORZYĆ NIEZAPOMNIANE ZAKOŃCZENIE. SĄDZĘ, ŻE SPOTKANIE TWARZĄ W TWARZ BĘDZIE WŁAŚCIWYM ZAKOŃCZENIEM. JEDYNYM, JAKIE BYŁBYM W STANIE ZAAKCEPTOWAĆ. PRZYPUSZCZAM, ŻE BYŁO TO NIEUNIKNIONE. ROZMAWIALIŚMY O TYM WIELOKROTNIE. WIECIE, GDZIE GRA SIĘ KOŃCZY. PROPONUJĘ, ŻEBY ROZPOCZAĆ ROZGRYWKĘ W CZWARTEK. WIERZCIE MI, STAWIĘ SIĘ NA WIELKI FINAŁ. JEŻELI OKAŻE SIĘ TO KONIECZNE, ZACZNĘ BEZ WAS. NIE



# ZMUSZAJCIE MNIE DO TEGO... ŚMIERĆ

## Rozdział 108

W poniedziałkowy rano Shafer dołączył do posępnej kolejki wyrobników tkwiących w korku przed Embassy Row. Miał cudowne przeczucie, że kiedy ten dzień się skończy, nigdy już nie będzie musiał pracować.

Wszystko w jego życiu ulegnie zmianie. Nie było odwrotu.

Serce łomotało mu w piersi, kiedy zatrzymał się na zielonym świetle na Massachusetts Avenue. Samochody za nim zaczęły trąbić i przypomniał sobie samobójczy rajd sprzed roku. To były czasy, niech to! Potem wyrwał się do przodu na czerwonym świetle. Uciekał. Musiał przećwiczyć ucieczkę.

Na wszelki wypadek.

Ujrzał przed sobą spory kawałek pustej jezdni i docisnął pedał gazu.

Jaguar skoczył do przodu jak koń dźgnięty ostrogą i pomknął w stronę labiryntu uliczek wokół American University.

Dziesięć minut później skierował jaguara w stronę White Flint Mall.

Przemknął przez niemal pusty parking z prędkością stu kilometrów na godzinę. Był już pewien, że nikt go nie śledzi.

Podjechał do dużego sklepu muzycznego Borders Books Music, skręcił w prawo i posuwał się krętą alejką między budynkami.

Z centrum prowadziło pięć dróg wyjazdowych. Przyśpieszył gwałtownie, aż zapiszczały opony.

Nadal znajdował się w labiryncie wąskich uliczek i nadal nie miał za sobą nikogo.

Znał mało używaną, jednokierunkową uliczkę prowadzącą na wiadukt Rockville. Wjechał w nią, naprzeciw strumienia samochodów zdążających do śródmieścia. Nie zauważył za sobą żadnego samochodu ani na parkingu, ani w alejkach, ani na wiadukcie.

Prawdopodobnie posłali za nim jeden lub najwyżej dwa wozy. Zupełnie zrozumiałe. Policja stołeczna nie miała środków na to, żeby roztoczyć nad nim większy nadzór. I nie sądził, żeby to zrobiła, nawet gdyby te środki były.

Prawdopodobnie ich zgubił. Wydał okrzyk radości i zaczął trąbić na tych żalonych frajerów tkwiących w korku na sąsiednim pasie, w drodze do pracy. Prawie osiem lat czekał na tę chwilę.

W końcu dotarł do mety.

Koniec gry.

## Rozdział 109

–Nadal go mamy? – zapytałem Jonesa, spoglądając nerwowo na grupkę agentów w pokoju operacyjnym w ambasadzie brytyjskiej. Wypełniał go nowoczesny sprzęt elektroniczny, w tym z pół tuzina monitorów video.

–Nadal go mamy. Nie wymknie się tak łatwo, Alex. Poza tym, chyba wiemy, gdzie oni się wybierają.

Umieściliśmy w jaguarze maleńki wyrafinowany aparat naprowadzający, ale

istniała realna możliwość, że Shafer go znajdzie. Jak dotąd nie znalazł. A teraz uciekał jaguarem, uciekał z przynętą – a przynajmniej tak mi się wydawało.

Wszyscy Jeźdźcy wyruszyli w podróż. Oliver Highsmith udał się ze swojego domu w Surrey na lotnisko Gatwick pod Londynem. Agenci na lotnisku upewnili się, że Zdobywca wsiadł do samolotu brytyjskich linii lotniczych lecącego do Nowego Jorku, a następnie przekazali informację do Waszyngtonu.

Kilka godzin później zadzwonił agent z Filipin. George Bayer był na lotnisku Ninoy Aquino w Manili. Głód nabył bilet na Jamajkę via Nowy Jork.

Wiedzieliśmy już, że James Whitehead przebywa na Jamajce.

Wojna czekał na przyjazd pozostałych Jeźdźców.

–Próbuję ustalić stałe elementy tej gry, ale na każdy można spojrzeć z innego punktu widzenia. I to właśnie sprawia, że tak im się ta gra podoba, że się od niej uzależnili – powiedziałem do Jonesa, kiedy czekaliśmy na dalsze informacje.

–Wiemy, że przynajmniej trzech z nich gra od czasu pobytu w Tajlandii w dziewięćdziesiątym pierwszym. Mniej więcej w tym czasie w Bangkoku zaczęły znikać prostytutki. Miejscowa policja przeprowadziła dość powierzchowne śledztwo. Dziewczęta w Pat Pong zniknęły już wcześniej.

Policja w Waszyngtonie podchodzi w ten sam sposób do morderstw Jane Doe.

Te dziewczęta niewiele znaczą. Zostały z góry spisane na straty.

Dochodzenia w sprawie morderstw i zaginięć w Southeast z całą pewnością nie są tak gruntowne, jak śledztwa w Georgetown czy na Capitol Hill. To jeden z brzydkich sekretów Waszyngtonu.

Jones zapalił nowego papierosa od niedopałka poprzedniego.

–Całkiem możliwe, że w obecną serię zabójstw zamieszany jest tylko Shafer – mówił dalej Andrew. – Inaczej musielibyśmy założyć, że pozostali są od niego o wiele ostrożniejsi.

Wzruszyłem ramionami. Nie wierzyłem w to, ale nie miałem dość dowodów, żeby przekonać Jonesa, który sam był znakomitym detektywem.

–A więc zbliża się koniec Czterech Jeźdźców, tak? Sądzisz, że naprawdę skończą zabawę? – zapytał Sampson.

–Wygląda na to, że zamierzają się spotkać – powiedziałem. – Czterej agenci brytyjskiego wywiadu, czterej dorośli mężczyźni, którzy uwielbiają diaboliczne zabawy. W moim przekonaniu, czterej mordercy.

–Możliwe. – Andrew Jones przyznał w końcu, że to, co niewyobrażalne może być prawdą. – Alex, obawiam się, że masz rację.

Rozdział 110

Wybrano Jamajkę, ponieważ dawała pewną prywatność, a także dlatego, że James Whitehead miał tam duży dom na plaży. Może zresztą istniały inne powody, może był to jakiś element Czterech Jeźdźców. Miałem nadzieję, że wkrótce się tego dowiemy.

Oliver Highsmith i George Bayer dotarli na wyspę niemal równocześnie. Spotkali się przy odbiorze bagażu na lotnisku Donalda Sanstera, wsiedli w samochód i pojechali do luksusowego Jamaica Inn w Ocho Rios.

**My również podróżowaliśmy. Sampson i ja dotarliśmy na Jamajkę wczesnym samolotem z Waszyngtonu. Pogoda była cudowna. Błękitne niebo, łagodny wiaterek. Na lotnisku angielski mieszał się z kreolskim, reggae ze ska. Szelest liści bananowców w podmuchach morskiej bryzy był jak cicha muzyka.**

**Hotel w Ocho Rios, przytulny i staroświecki, miał tylko czterdzieści pięć pokoi wychodzących na morze. Przybyliśmy równocześnie z czterema ekipami angielskimi. Na miejscu były również dwie ekipy detektywów z Kingston.**

**Biuro Wysokiego Komisarza w Kingston zostało uprzedzone o naszej obecności i celu misji. Obiecano nam pełną współpracę. Wszyscy byli zdecydowani unieszkodliwić czterech graczy niezależnie od konsekwencji i byłem pod wrażeniem ich determinacji.**

**Czekaliśmy na Geoffreya, Shafera usytuowani strategicznie na zboczu zalesionego wzgórza między hotelem a roziskrzonym Morzem Karaibskim.**

**Obserwowaliśmy wąską, ocienioną alejkę, prowadzącą do Jamaica Inn. Andrew Jones i jeszcze jeden agent siedzieli w samochodzie ukrytym w pobliżu wejścia do hotelu. Sześciu agentów Jonesa przeobraziło się w obsługę hotelową. Na terenie posiadłości przebywali również detektywi jamajscy.**

**Nie mieliśmy żadnych informacji o Shaferze. W końcu go zgubiliśmy.**

**Ale byłem przekonany, że dołączy do pozostałych graczy. Jones narzekał, że jest nas za mało, żeby powstrzymać Shafera, jeżeli zechce wymordować Jeźdźców. Przyznałem mu rację; jeżeli Shafer zabawi się w kamikadze, nie powstrzymamy go.**

**Czekaliśmy i czekaliśmy, odbierając kolejne komunikaty przez krótkofalówkę. Podawano je przez całe popołudnie. Były jakby elektronicznym pulsem policyjnej akcji.**

**–Oliver Highsmith jest ciągle w swoim pokoju. Najwyraźniej nie chce, żeby mu przeszkadzano...**

**–Bayer też jest u siebie... Obiekt wyszedł na taras dziesięć minut temu, obserwował plażę przez lornetkę...**

**–Bayer wyszedł z pokoju... Dał nura w to niebieściutkie morze...**

**Obiekt ma na sobie kąpielówki w czerwone paski. Nie da się go zgubić. Tylko oczy bolą patrzeć...**

**–Przed bramę zajechał czarny mercedes. Kierowca jest wysokim blondynem. To może być Geoffrey Shafer. Widzisz go, Alex?**

**Odezwałem się natychmiast.**

**–To nie jest Shafer. Powtarzam, to nie jest Shafer. Za młody, prawdopodobnie Amerykanin. Młoda żona i dwójka dzieci.**

**Fałszywy alarm. To nie Shafer.**

**Wznowiono komunikaty radiowe.**

**–Highsmith zamówił sobie do pokoju dwa angielskie śniadania w środku dnia. Jeden z naszych ludzi mu je zanieśie...**

**–Bayer wyszedł z wody. Jest opalony. Drobny, ale dobrze umięśniony. Próbował poderwać jakieś panie. Dały odpór.**

**W końcu, około szóstej po południu złożyłem raport.**

**–James Whitehead właśnie przyjechał zielonym range roverem!**

**Wchodzi do hotelu. Wojna jest na miejscu.**

**Brakowało tylko jednego gracza.**

**Czekaliśmy. Śmierć jeszcze nie przybył.**

**Rozdział 111**

**Shafer nie śpieszył się z zakończeniem rozgrywki.**

**Spokojniutko rozpatrywał wszystkie możliwe scenariusze. Już kilka godzin temu dostrzegł wybrzeże Jamajki. Przed dwoma dniami przyleciał do Puerto Rico i wypłynął stamtąd wynajętą łodzią. Chciał zabezpieczyć sobie odwrót drogą morską i powietrzną.**

**Teraz czekał spokojnie na zapadnięcie zmroku, dryfując z chłodnym pasatem. Była to sławna „niebieska godzina” na morzu, tuż po zachodzie słońca, niezwykle spokojna i piękna. A także magiczna i jakby trochę nierealna. Shafer zrobił pięćset pompek na pokładzie i nawet nie dostał zadyszki.**

**Z pokładu widział wielkie pasażerskie statki przycumowane w pobliżu Ocho Rios. Wszędzie wokół pływały mniejsze jednostki, podobne do jego własnej.**

**Przeczytał gdzieś, że Jamajka była kiedyś prywatną własnością Krzysztofa Kolumba. Myślał z przyjemnością, że istniał czas, kiedy człowiek mógł wziąć, co mu się podobało i często to robił.**

**Ciało miał mocne i twarde, opalone na brąz po trzech dniach podróży, włosy rozjaśnione słońcem. Od tygodnia panował całkowicie nad prochami.**

**Był to z jego strony akt woli i sprostał temu wyzwaniu.**

**Chciał wygrać.**

**Shafer czuł się jak bóg. Nie, był bogiem! Kierował swoim życiem i życiem kilku innych osób. Oczywiście, niespodzianki są nieuniknione, pomyślał chłodząc ciało strumieniami wody. Czekają na każdego, kto nadal chce brać udział w grze. Była to jego gra.**

**Jego plan.**

**Jego zakończenie.**

**Ponieważ to nigdy nie była jedynie gra. Pozostali gracze z pewnością już o tym wiedzieli. Musieli zrozumieć, co zrobili i że nadszedł czas rewanżu. O to właśnie chodziło w Czterech Jeźdźcach: koniec gry jest rewanżem, a rewanż jest mój... A może ich? Kto wie?**

**Ojciec nauczył go żeglować i była to prawdopodobnie jedyna przysługa, jaką wyświadczył Shaferowi i jego braciom. Teraz Geoffrey naprawdę potrafił odnaleźć spokój na morzu. To był prawdziwy powód, dlaczego przybył na Jamajkę łodzią.**

**O ósmej popłynął do brzegu, mijając żaglówki i kilka motorówek. Wysilek fizyczny okazał się najlepszym lekarstwem na nerwy. Był doskonałym pływakiem i nurkiem, był dobry niemal w każdej dziedzinie sportu.**

**Noc była cicha, spokojna i aromatyczna. Morze było płaskie jak stół, nic nie marszczyło tafli wody.**

**Samochód czekał na niego tuż przy nadmorskiej szosie, czarny ford mustang, połyskujący lakierem w świetle księżyca.**

Uśmiechnął się na jego widok. Gra rozwijała się pięknie.

Głód przyjechał, żeby się z nim spotkać.

Nie, Głód był tu z zupełnie innego powodu.

George Bayer czekał na brzegu, żeby go zabić.

Rozdział 112

–Georgea Bayera nie ma w pokoju. Nie jest z Oliverem Highsmithem ani z Jamesem Whiteheadem. Do jasnej cholery! Zgubiliśmy go!

Alarmująca wiadomość nadeszła przez krótkofalówkę. Od ośmiu godzin obserwowaliśmy południową część hotelu i byliśmy pewni, że George Bayer nie pojawił się na naszym terenie.

–Pamiętajcie, że Czterej Jeźdźcy są takimi samymi agentami jak my -rozległ się w radio zaniepokojony głos Andrew Jonesa. – Są profesjonalistami, są śmiertelnie niebezpieczni. Trzeba natychmiast znaleźć Bayera i uważać na Geoffreya Shafera. Shafer jest najgroźniejszy z całej czwórki – przynajmniej tak nam się wydaje.

Wysiedliśmy pośpiesznie z wynajętego sedana. W dłoniach trzymaliśmy pistolety, ale wydawały się zupełnie nie na miejscu w tej pięknej, spokojnej scenerii. Podobnie czułem się rok temu na Bermudach.

–Bayer nie wyszedł tędy – powiedział Sampson. Niepokoiło go, że ludzie Jonesa zgubili Głoda. My nie popełnilibyśmy tego błędu, ale to agenci Jonesa byli właściwą grupą operacyjną, my służyliśmy im tylko wsparciem.

Wspięliśmy się szybko na pobliskie wzgórze, skąd roztaczał się widok na wypielęgnowane trawniki opadające do hotelowej plaży. Ściemniło się, ale teren wokół hotelu był stosunkowo dobrze oświetlony. Jakaś para w kostiumach i płaszczach kąpielowych szła ku nam, trzymając się za ręce, nieświadoma niebezpieczeństwa. Ani śladu Georgea Bayera.

–Jak myślisz, jak to się ma zakończyć? – zapytał Sampson. – Ta gra?

–Nie sądzę, żeby któryś z nich wiedział na pewno. Mają pewnie jakieś koncepcje, ale w tej chwili wszystko może się zdarzyć. Wszystko zależy od Shafera, od tego, czy będzie przestrzegał zasad. Myślę, że przekroczył już tę granicę i pozostali gracze zdają sobie z tego sprawę.

Przemykaliśmy się między hotelowymi budynkami, obrzucani niespokojnymi spojrzeniami gości, którzy spacerowali po wąskich, krętych alejkach.

–Wszyscy są mordercami, cała czwórka. Nawet Jones musiał to w końcu przyznać. Zabijali jako agenci wywiadu, a potem nie mogli, czy nie chcieli przestać. Lubią to. Może teraz chcą się wzajemnie pozabijać w myśl zasady „zwycięzca bierze wszystko”.

–A Geoffrey Shafer nie cierpi przegrywać – zauważył Sampson.

–Shafer nie przegrywa. Zdążyliśmy się o tym przekonać. To jego metoda, John. Element, który przeoczyliśmy.

–Tym razem nam nie umknie, złotko. Choćby nie wiem co, Shafer się nie wywinie. Nie odpowiedziałem Sampsonowi.

Rozdział 113

Shafer nie był nawet zdyszany, kiedy w końcu dotarł na białą plażę.

George Bayer wysiadł z czarnego forda mustanga i Shafer czekał, aż Głód wyciągnie broń. Szedł ku niemu, grał o najwyższą stawkę – o swoje życie.

–Kurde, ty tu przyplynałeś?! – zapytał Bayer jowialnie, a zarazem kpiąco.

–Noc jakby do tego stworzona – powiedział Shafer i niedbale otrząsnął się z wody. Czekał aż Bayer go zaatakuje. Obserwował jak kuli i rozprostowuje palce prawej ręki, jak z lekka pochyła ramiona.

Shafer zdjął wodoodporny plecak i wyjął suche ubranie i buty. Teraz miał już dostęp do broni.

–Niech zgadnę. Oliver zaproponował, żebyście się przeciwko mnie zmówili – powiedział. – Trzech na jednego.

Bayer uśmiechnął się chytrze.

–Oczywiście. Musieliśmy rozważyć taką opcję. Odrzuciliśmy ją, ponieważ nie zgadzała się z charakterem gry.

Shafer potrząsnął głową, żeby otrzepać włosy z wody. Naciągając ubranie, obrócił się bokiem do Bayera. Uśmiechnął się do siebie. Boże, kochał to. – Grę o życie lub śmierć przeciwko innemu Jeźdźcowi, mistrzowi gry. Podziwiał spokój Bayera i to, że potrafi być taki gładki.

–Zawsze wiedziałem, co zrobisz jako gracz, jako agent i jako analityk.

George, wysłali cię tu, ponieważ myśleli, że nie będę cię podejrzewał, że spróbujesz zdjąć mnie samodzielnie. Jesteś ich pierwszym ruchem.

Zbyt oczywistym, a tym samym straconym.

Bayer zmarszczył się trochę, ale nie stracił spokoju, nie

okazał, co czuje. Uważał, że tak jest najbezpieczniej, ale potwierdził w ten sposób podejrzenia Shafera: Głód przyszedł go zabić. Był tego pewien. Chłodny spokój Georgea Bayera go wydał.

–Nic podobnego – odparł Bayer. – Dziś pogramy zgodnie z regułami.

Reguły są dla nas bardzo ważne. Będzie to konkurs strategii i odwagi.

Przyjechałem tu po ciebie, zgodnie z planem. Mamy się spotkać w hotelu.

–Będziemy rzucać kości? – zapytał Shafer.

–Tak, oczywiście, Geoff. – Bayer wyciągnął rękę i pokazał mu trzy dwudziestoboczne kostki.

Shafer zaśmiał się krótko. To było takie wspaniałe, takie satysfakcjonujące!

–Więc, co mówią kości, George? Jak mam przegrać? Jak mam umrzeć?

Nóż? Pistolet? Głosowałbym raczej za przedawkowaniem.

Bayer nie mógł powstrzymać śmiechu. Shafer był takim

zarozumiałym draniem, takim dobrym mordercą. Miał wspaniałą psychopatyczną osobowość.

–No cóż, przyznaję, że taka myśl przyszła nam do głowy, ale graliśmy zgodnie z zasadami. Jak już mówiłem, czekają na nas w hotelu. Jedźmy!

Shafer odwrócił się na chwilę plecami do Bayera. Odepchnął się z całej siły prawą nogą i zwałił na przeciwnika.

Ale Bayer był gotów. Krótkim, mocnym uderzeniem pięści trafił Shafera w policzek, naruszył, a może nawet obluzował kilka zębów. Shafer stracił czucie w

prawej połowie twarzy.

–Świetnie, George! To było dobre.

Z całych sił uderzył go głową. Usłyszał chrzęst, ujrzał eksplozję jaskrawego światła przed oczami. Skoczył mu poziom adrenaliny. Kości wypadły z ręki Bayera, kiedy sięgnął po pistolet, czy jakąś inną broń, zatknęta z tyłu za paskiem.

Shafer chwycił prawe ramię Bayera, wykręcił je, łamiąc rękę w łokciu.

Bayer zawył z bólu.

–Nie możesz mnie pokonać! Nikt nie może! – wrzasnął Shafer.

Chwycił Georgea Bayera za gardło i ścisnął z nadludzką siłą.

Bayer otworzył usta i zrobił się czerwony na twarzy, jakby cała krew odpłynęła mu do głowy. George był silniejszy, niż się wydawało, ale Shafera napędzała adrenalina i lata czystej nienawiści. Miał nad Bayerem przewagę dziesięciu kilogramów, z czego dziewięćdziesiąt dziewięć procent stanowiły mięśnie.

–Nieeee... Posłuchaj mnie – wystękał George Bayer. Z trudem łapał powietrze. – Nie tak. Nie tutaj.

–Tak, tak, George. Tutaj, teraz. Sami zaczęliście tę grę.

Żegnaj, staruszk.

Ty mi to zrobiłeś. Zrobiłeś ze mnie to, czym jestem: Śmierć.

Usłyszał głośny, suchy trzask i George Bayer znieruchomiał mu w rękach. Shafer pozwolił mu opaść na piasek.

–Jednego mniej – powiedział i w końcu pozwolił sobie na głęboki, pełny oddech. Pochwycił kości, potrząsnął nimi w dłoniach i wyrzucił daleko w morze. – Już nie używam kości – powiedział.

Rozdział 114

Było mu tak cholernie dobrze. Tak dobrze! Boże, jak tęsknił za tym przyływem adrenaliny, za tym nieporównywalnym dreszczem. Wiedział, że Jamaica Inn może być obserwowany przez policję, zaparkował więc mustanga w pobliskim Plantation Inn.

Przeszedł pośpiesznie przez zatłoczony Bougainvillea Terrace. Podawano drinki, a z głośników płynął nieszczęsny Yellowbird. Przez chwilę marzył o tym, żeby wystrzelać ludzi na tarasie, zafajdanych turystów, więc szybko odszedł, dla własnego i cudzego dobra.

Pospacerował po plaży i to go uspokoiło. Było cicho, spokojnie.

Gdzieś z oddali dobiegały łagodne dźwięki muzyki. Teren między dwoma hotelami przyciągał wzrok mnóstwem świateł, wstęgą białego piasku i parasoli z palmowych liści ustawionych w równych odstępach. Bardzo ładny plac zabaw.

Wiedział, że Oliver Highsmith zatrzymał się w słynnym Białym Apartamencie, w którym spał Winston Churchill, David Niven i Ian Fleming.

Highsmith kochał luksus niemal tak bardzo jak Czterech Jeźdźców.

Shafer gardził Jeźdźcami, między innymi dlatego; że nie przynależał do ich snobistycznej kasty. Dostał się do MI6 przez ojca Lucy, inni skończyli właściwe uniwersytety. Ale był jeszcze inny, ważniejszy powód nienawiści: ośmielili się go wykorzystać, traktowali go z jawną wyższością.

Wszedł na teren Jamaica Inn przez białą furtkę ogrodową.

Zaczął biec.

Chciał się ruszać, pocić. Czuł, że zbliża się atak obłędu.

Gra zbyt go podnieciła.

Przez chwilę trzymał się za głowę. Chciało mu się śmiać, krzyczeć ze wszystkich sił. Oparł się o drewniany słupek na ścieżce prowadzącej na plażę, próbował złapać oddech. Wiedział, że ma załamanie i że nie mogło przyjść w gorszym momencie.

–Wszystko w porządku, proszę pana? – Zatrzymał się przy nim hotelowy kelner.

–Och, cudownie. Jestem przecież w raju. – Odprawił kelnera ruchem ręki.

Ruszył w stronę Białego Apartamentu. Uzmysłował sobie, że czuje się tak samo, jak tego ranka przed rokiem, kiedy omal nie rozbił jaguara w Waszyngtonie. Był w poważnych kłopotach. Mógł przegrać, mógł stracić wszystko. Należało zmienić strategię. Musi być bardziej zdecydowany, bardziej agresywny. Musi więcej działać, mniej myśleć. Układ sił był nadal dwa do jednego na jego niekorzyść.

Na drugim końcu dziedzińca zauważył mężczyznę i kobietę w wieczorowych strojach. Kręcili się przy białym portyku ozdobionym kwiatami.

Shafer uznał, że są ludźmi Jonesa. Wyszli przecież z hotelu.

Byli tu dla niego i czuł się zaszczycony.

Mężczyzna zerknął w jego stronę i Shafer gwałtownie opuścił głowę.

Nie mogli zrobić nic, żeby go zatrzymać czy opóźnić. Nie mogli mu udowodnić żadnego przestępstwa. Nie był poszukiwany przez policję. Nie, był wolnym człowiekiem.

Podszedł więc do nich spacerowym krokiem, jakby ich w ogóle nie widział. Gwizdał Yellowbird.

Dzieliło go od nich kilka kroków, kiedy podniósł wzrok.

–To ja jestem człowiekiem, na którego czekacie. Nazywam się Geoffrey Shafer. Witam w grze.

Wyjął SmithaWesson kaliber dziewięć i wystrzelił dwa razy.

Kobieta krzyknęła i chwyciła się za lewą stronę piersi.

Krwawa plama już zabarwiła szmaragdowy materiał sukienki. Jej oczy wyrażały zdumienie i szok. Potem źrenice umknęły w tył głowy.

Agent miał czarną dziurę w miejscu, gdzie przed chwilą było lewe oko.

Shafer wiedział, że mężczyzna nie żyje, zanim jego głowa uderzyła tępo o kamienną podłogę dziedzińca.

Więc nie stracił umiejętności przez te lata! Ruszył w stronę Białego Apartamentu, do Zdobywcy.

Ktoś z pewnością usłyszał strzały. Ludzie Jonesa nie oczekiwali, że wejdzie w pułapkę tak po prostu. A jednak to zrobił.

Dwie pokojówki wypchnęły z Białego Apartamentu skrzypiący hotelowy wózek. Pewnie przygotowały Zdobywcy łóżko na noc. Może nawet zostawiły grubasowi miętowe pastylki do possania przed snem.

–Wynoście się stąd! – wrzasnął Shafer i uniósł pistolet. – Wynocha, ale już! Bo zabiję!



Jamajskie pokojówki uciekły, jakby gonił je sam diabeł. Będą opowiadać dzieciom, że widziały szatana we własnej osobie.

Shafer wpadł do apartamentu i ujrzał Olivera Highsmitha toczącego się w wózku po świeżo wyszorowanej podłodze.

–Oliver, to ty – powiedział Shafer. – Zdaje się, że ująłem osławionego zabójcę z Covent Garden, prawda? Przyznaj się Oliver. Gra się skończyła.

Jednocześnie myślał: Uważaj na niego. Bądź ostrożny ze Zdobywcą.

Oliver Highsmith zatrzymał się, potem szybko odwrócił się z wózkiem w stronę Shafera. Spotkanie twarzą w twarz, bardzo dobrze. Tak jest najlepiej. Highsmith kierował pracą Bayera i Whiteheada w czasach, gdy byli agentami. Czterej Jeźdźcy byli jego pomysłem, rozrywką emeryta.

Nazywał ją naszą niemądrą grą.

Przyjrzał się Shaferowi chłodnym, lustrującym wzrokiem. Był mądry -jajogłowy geniusz, a przynajmniej tak utrzymywali Bayer i Whitehead.

–Mój drogi chłopcze, jesteśmy twoimi przyjaciółmi – powiedział. – Jedynymi, jacy ci jeszcze zostali. Rozumiemy twój problem.

Porozmawiajmy spokojnie, Geoffrey.

Shafer skwitował śmiechem żalosne kłamstwa grubasa, jego protekcyjny ton, jego spokój.

–George Bayer twierdził co innego. Powiedział, że zamierzasz mnie zabić! Tak traktujesz przyjaciół?

Highsmith nawet nie mrugnął, nie zawahał się.

–Nie jesteśmy tu sami, Geoff. Są w hotelu. Ludzie ze służb bezpieczeństwa. Musieli cię śledzić.

–I ciebie, Bayera i Whiteheada! Wiem o tym, Oliver. Spotkałem parę znakomitych agentów przy wejściu. Zastrzeliłem ich. Dlatego nie mogę zabawić dłużej. Gra się toczy. Można przegrać na wiele sposobów.

–Musimy porozmawiać, Geoff – Porozmawiać? – Shafer potrząsnął głową, zaśmiał się chrapliwie. – Nie, my już nie mamy o czym rozmawiać. To taka przereklamowana rozrywka. Nudziarstwo. Wolę zabijać niż rozmawiać. Kocham to na śmierć.

–Jesteś obłąkany – wykrzyknął Highsmith. Jego szaroniebieskie oczy rozszerzył strach. W końcu zrozumiał, kim jest Shafer. Nie teoretyzował już, czuł tę wiedzę w sobie.

–Nie, nie jestem obłąkany. Wiem doskonale, co robię, zawsze wiedziałem i zawsze będę wiedział. Znam różnicę między dobrem a złem. No i popatrz, kto teraz mówi: Jeździec na Białym Koniu.

Rozdział 115

Shafer podszedł szybko do Highsmitha.

–To nie będzie walka. Zrobię to tak, jak nauczono mnie w Azji.

Umrzesz, Oliver. Czy to cię nie zdumiewa? Nadal uważasz, że to jakaś cholerna gra?

Nagle Highsmith zerwał się na równe nogi. Shafer nie był zaskoczony; wiedział, że

**inwalida nie mógł popełnić tych morderstw w Londynie.**

**Highsmith miał prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, był otyły, ale zdumiewająco szybki. Miał potężne ramiona i dłonie.**

**Shafer był od niego szybszy. Uderzył Highsmitha ręką pistoletu i Zdobywca zwał się na jedno kolano. Shafer uderzył ponownie, a potem jeszcze raz. Highsmith rozciągnął się na podłodze. Jęczał głośno, ślinił się i pluł krwią. Shafer kopał go w plecy, w twarz, w nogi.**

**Potem pochylił się i przyłożył lufę do szerokiego czoła Zdobywcy.**

**Gdzieś z holu dobiegał odgłos szybkich kroków. Jaka szkoda – szli po niego. Szybko, szybko!**

**–Spóźnili się – powiedział do Zdobywcy. – Nikt już cię nie uratuje.**

**Chyba że ja. Jaki ma być przebieg gry? Oświeć mnie. Czy mam oszczędzić mistrza?**

**–Proszę, Geoff. Nie możesz mnie zabić. Nadal możemy sobie pomagać.**

**–Z przyjemnością zostałbym dłużej, ale muszę lecieć. Rzucam kości.**

**W swojej wyobraźni. Och, mam dla ciebie złą wiadomość, Oliver.**

**Niestety, przegrałeś.**

**Wepchnął lufę pistoletu w grube ucho Highsmitha i nacisnął spust.**

**Krew i szara materia obryzgała ściany i podłogę. Shafer żałował tylko, że nie mógł torturować Olivera Highsmitha o wiele, wiele dłużej.**

**Rzucił się do ucieczki i nagle zaskoczyła go pewna myśl:**

**miął po co żyć. To była wspaniała, cudowna gra.**

**Chcę żyć. „ Skoczyliśmy z Sampsonem w stronę odrębnego skrzydła hotelu, gdzie mieszkał Oliver Highsmith. Gdzieś rozległy się strzały, ale nie mogliśmy przecieżyć się rozerwać i być wszędzie w tej samej chwili. Przez cały czas trwała strzelanina z drugiej strony Jamajca Inn.**

**Nie byłem przygotowany na krwawą masakrę, jaką zobaczyliśmy. Dwaj angielscy agenci leżeli w podwórzu. Współpracowałem z nimi, tak samo jak z Patsy Hampton.**

**Jones i jeszcze jeden agent, wraz z grupą miejscowych detektywów, tłoczyli się w apartamencie Highsmitha. W pokoju kipiało. Wybuch morderczego szaleństwa zamienił wszystko w chaos i jatkę.**

**–Shafer załatwił dwóch moich ludzi, żeby się tu dostać – powiedział Jones głosem pełnym goryczy. Palił papierosa. – Wpadł strzelając, zabił Laurę i Gwynna. Highsmith też nie żyje. Nie znaleźliśmy jeszcze Georgea Bayera.**

**Ukląknę i rzuciłem okiem na dziurę w czaszce Highsmitha. Został zastrzelony z bliska i rana była ogromna. Wiedziałem od Jonesa, że Shafer nienawidził inteligencji szefa. No i teraz rozwalił mu mózg.**

**–Mówiłem ci, że on kocha zabijać. On to musi robić, Andrew.**

**Nie może się powstrzymać.**

**–Teraz Whitehead! – powiedziałem. – To jest koniec gry!**

**Rozdział 116**

**Jechaliśmy szybciej niż pozwalała wąska, kręta droga wijąca się ku domowi**

Whiteheada. Nie było daleko. Minęliśmy drogowskaz z napisem Mallards Beach – San Antonio. Sampson i ja siedzieliśmy cicho, pogrążeni w zadumie. Myślałem o Christine, nie mogąc uwolnić się od powracających obrazów. Mamy ją. Czy jeszcze była to prawda?

Nie wiedziałem. Tylko Shafer i może jeszcze Whitehead mogliby odpowiedzieć na to pytanie. Chciałem zachować ich przy życiu, na ile to możliwe. Wszystko na tej wyspie, egzotyczne widoki, zapachy, przypominało mi Christine. Starłem się, jak mogłem wyobrazić sobie szczęśliwe zakończenie tego wszystkiego. Ale nie udawało się.

Plaża była coraz bliżej. Pędziliśmy teraz obok prywatnych domów i rzadko rozrzuconych wielkich posiadłości, do których czasem prowadziły stumetrowe i dłuższe podjazdy.

Zobaczyłem w oddali kolejny zarys budynku i domyśliłem się, że zbliżamy się do domu Jamesa Whiteheada. Czy Wojna jeszcze żyje? Czy Shafer już tu był i uciekł dalej?

–To tutaj! – zachrypiał głos Jonesa w radiu. – Ten dom ze szkła i kamienia przed nami. Nikogo nie widzę.

Zatrzymaliśmy się przy wysypanym odłamkami muszelek podejździe prowadzącym do willi. Dom był ciemny, czarny jak smoła. Na całej posiadłości nie błyszczało ani jedno światło.

Wyskoczyliśmy z samochodów. Było nas ośmiu, w tym grupa detektywów z Kingston oraz Kenyon i Anthony, którzy wykazywali duże zdenerwowanie.

Rozumiałem ich. Czuję się tak samo. Łasica wpadł w szal, a wiedzieliśmy, że nie zależy mu na życiu. Geoffrey był zbrodniczym samobójczym maniakiem.

Sampson i ja przebiegliśmy przez mały ogród z basenem i kosztami plażowymi z jednej strony, i rozległym trawnikiem, ciągnącym się do morza, z drugiej.

Zobaczyłem, jak ludzie Jonesa kładą się wachlarzem na ziemi. Shafer wpadł do hotelu, strzelając na prawo i lewo. Zdawało się, że nie zależy mu na życiu. Mnie jednak na jego życiu bardzo zależy. Muszę mu zadać parę pytań.

Muszę dowiedzieć się tego, o czym on wie. Muszę znać odpowiedź.

–Co się dzieje z tym kutasem Whiteheadem? – zapytał Sampson, gdy biegliśmy do budynku.

Głęboka ciemność leżała przy wodzie. Dogodne miejsce do zaatakowania. Każde drzewo i krzak rzucały długie cienie.

–Nie wiem, John! W hotelu był krótko. Widzisz, on jest graczem i też chce dorwać Shafera. To jest wielki finał. Jeden z nich zostanie zwycięzcą całej gry. A Shafer jest tutaj. Jestem pewien.

Czuję obecność Geoffreya Shafera, nie miałem wątpliwości. I to, że wiem, przerażało mnie równie jak on sam.

W zaciemnionym domu rozległy się strzały.

Serce skoczyło mi do gardła, kłębiły się we mnie sprzeczne pragnienia:

–Boże, nie pozwól Shaferowi zginąć.

## Rozdział 117

Jeszcze jeden cel, ostatni przeciwnik i wszystko się skończy.

Osiem cudownych lat gry, osiem lat zemsty, osiem lat nienawiści. Nie zniósłby porażki. Pokazał Bayerowi i Highsmithowi, na co go stać. Teraz pokaże Whiteheadowi, który z nich naprawdę przewodzi.

Z hałasem przedarł się przez gęste zarośla, potem zanurzył się do pasa w cuchnące bagno. Woda była paskudnie zimna, tłusty jak olej plankton pokrywający powierzchnię miał kilka centymetrów grubości.

Starał się nie myśleć o moczarach, o kryjących się w nich robakach i węzłach. Brodził już w dużo gorszym świństwie w swoim czasie w Azji. Nie spuszczał wzroku z kosztownego domu plażowego Jamesa Whiteheada.

Jeszcze jeden musi zginąć, jeszcze jeden Jeździec.

Bywał już w tej willi i znał ją dobrze. Za bagnem rozciągał się pas, gęstych zarośli, potem łańcuchowe ogrodzenie i wypieszczone podwórze Whiteheada. Uznał, że Whitehead nie będzie się go spodziewał od strony bagna. Ale Wojna jest mądrzejszy niż inni. Mordował na Karaibach od wielu lat i nie dał policji nawet cienia dowodu pozwalającego powiązać te zbrodnie. Wojna pomógł mu również załatwić sprawę Christine Johnson, i spisał się znakomicie. Była to zagadka w zagadce, część jednej kompleksowej gry.

Na chwilę lub dwie stracił kontakt z rzeczywistością: nie wiedział gdzie jest, kim jest i co musi zrobić.

Do diabła, to dopiero jest straszne, taka przerwa w funkcjonowaniu mózgu w najgorszym momencie! Co za ironia; to przecież Whitehead w Azji wprowadził go w świat zależności od napędzających i hamujących prochów.

Zagłębił się w cuchnące bagno, mając nadzieję, że woda go nie zakryje.

Okazała się nie tak głęboka. Wydostał się na suchy grunt i przelazł przez ogrodzenie. Ruszył przez trawnik.

Zawładnęło nim obsesyjne pragnienie zniszczenia Jamesa Whiteheada.

Zapragnął poddać go torturom. Lecz skąd wziąć na to czas?! Whitehead był jego pierwszym prowadzącym w Tajlandii. Potem na Filipinach. To głównie on zrobił z niego zabójcę. To Whitehead ponosi za to odpowiedzialność.

W domu panowała ciemność, ale Shafer był pewien, że Wojna tam jest.

Nagle z domu padł strzał. Oczywiście, Wojna!

Shafer zaczął biec zygzakami, jak piechur dobrze wyszkolony w walce.

Serce biło mu jak młotem. Rzeczywistość docierała do niego w dziwacznie poszatkowanych obrazach: to nieruchomych, to błyskawicznie pędzących przed jego oczami. Zastanowił się, czy Whitehead ma karabin z noktowizorem. Czy jest dobrym strzelcem?

Czy kiedykolwiek brał udział w walce?

Czy się boi? Czy jest podniecony wydarzeniami?

Stwierdził, że drzwi do domu były zamknięte i Wojna

przyczajony, ukryty w środku czeka na okazję do oddania strzału bez większego

ryzyka.

Nigdy przecież sam nie wykonywał swojej brudnej roboty, zresztą żaden z nich ani Whitehead, ani Bayer czy Highsmith. Wykorzystywali do tego Śmierć. Ale teraz przyszedł po nich. Gdyby nie zgodzili się spotkać na Jamajce, załatwiłby ich jednego po drugim.

Zerwał się i rzucił pełnym biegiem w stronę budynku. Huk wystrzałów detonował w domu. Kule zagwizdały wokół niego. Żadna nie trafiła.

Ponieważ był tak dobry? Albo Wojna tak marny.

Zasłonił twarz obiema rękami. Teraz! Runął w wielkie okno na loggi.

Szkoło eksplodowało tysiącami odłamków. Znalazł się w środku.

Wojna też tam był, w pobliżu. Gdzie jest wróg? Na co stać

Jamesa Whiteheada? Jego myśli pochłonięte były ważnymi pytaniami.

Gdzieś w domu czekał pies.

Shafer potoczył się po kaflowej posadzce i walnął w nogę ciężkiego stołu, ale zerwał się, strzelając na oślep. Nikogo. Pokój był pusty.

Usłyszał jakieś głosy na zewnątrz, od frontu willi. Policja!

Zawsze próbowali zepsuć mu przyjemność.

I wtedy zobaczył Wojnę. Próbował uciec. Wysoki, wiotki z wijącymi się czarnymi włosami. Kierował się ku frontowym drzwiom, szukając ratunku, o ironio, u policjantów.

–Nie dasz rady, Whitehead! Stój! Nie pozwolę ci wyjść. Graj dalej!

Whitehead musiał zrozumieć, że nie wyjdzie frontowymi drzwiami.

Rzucił się ku schodom. Shafer za nim, kilka kroków z tyłu.

Wojna odwrócił się gwałtownie i strzelił znowu.

Shafer trącił wyłącznik na ścianie. Zabłyśły lampy w holu.

–Śmierć przyszła po ciebie! Nadszedł twój czas! Spójrz na mnie! Patrz na Śmierć! – wrzeszczał.

Whitehead biegł dalej. Shafer ze spokojem strzelił mu w pośladki.

Zobaczył wielką, ziejącą ranę. Whitehead zakwicział jak zarzynana świnia.

Zakręcił się na pięcie i runął w dół schodów. Padając, uderzył twarzą w metalową poręcz.

Legł w końcu, w konwulsjach, u stóp schodów, a Shafer postrzelił go znowu, tym razem między nogi. Wojna zaskowyczał. Potem zaczął jęczeć i szlochać.

Shafer stał nad nim tryumfując, z łomocącym sercem.

–Nie sądzisz, że egzekucje są częścią gry? Czy dla ciebie jest to ciągle gra? – zapytał najłagodniej, jak tylko mógł. – Uważam, że to wspaniała zabawa. A ty?

–Nie, Geoffrey, to nie gra – wystękał Whitehead głosem przerywanym przez szloch. – Przestań, proszę! Już dość!

Shafer zaczął się uśmiechać. Wykrzywione wargi ukazały wielkie zęby.

–Och, jakże się mylisz! To takie przyjemne! To przecież najprzyjemniejsza z gier, jaką można sobie wyobrazić. Powinieneś czuć, co ja teraz czuję, władzę nad życiem i

śmiercią.

Naszła go pewna myśl i to zmieniło wszystko, zmieniło przebieg całej gry zarówno dla niego, jak i dla Whiteheada. O ileż lepsze było to rozwiązanie od tego, co wcześniej zaplanował!

–Zdecydowałem, że pozwolę ci żyć. Nie za dobrze, jednak będziesz żył.

Wystrzelił jeszcze raz, tym razem mierząc w podstawę kręgosłupa Whiteheada.

–Nigdy mnie nie zapomnisz, a gra toczyć się będzie do końca twego życia. Graj dobrze. Wiem, że ja tak będę będę.

Rozdział 118

W momencie, gdy rozległy się strzały, pobiegliśmy do willi.

Wyprzedziłem wszystkich. Musiałem dorwać Shafera przed nimi.

Musiałem dostać go w swoje ręce. Musiałem z nim pogadać, poznać prawdę raz na zawsze.

Zobaczyłem, jak Shafer wymyka się z domu bocznymi drzwiami.

Whitehead musiał już być załatwiony. Shafer wygrał.

Biegł ku morzu szybko i bez wahania. Zniknął mi z oczu za małą wydumą w kształcie żółwia. Dokąd uciekał? Co chciał zrobić tym razem?

Zobaczyłem go znowu. Zrzucał z nóg buty i spodnie. Po co?

Usłyszałem kroki doganiającego mnie Sampsona.

–Nie zabijaj go, John! – wrzasnąłem. – Nie zabijaj, jeśli nie będziesz musiał!

–Wiem! Wiem! – zawołał.

Skoczyłem naprzód.

Shafer odwrócił się i wygarnął do mnie. Odległość była zbyt wielka na celny strzał z pistoletu, ale był snajperem i kule gwizdnęły mi tuż nad głową.

Wiedział, jak posługiwać się bronią, i to nie tylko z bliskiej odległości.

Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem, że Sampson zdejmuje buty i ściąga spodnie. Zrzuciłem z siebie bluzę i koszulkę. Pokazałem ręką na morze.

–Musi tam mieć swoją łódź. Jedną z tych!

Shafer pobiegł w morze, przeskakując fale na płytkiej karaibskiej plaży, ku stożkowi światła, jakie rzucał księżyc.

Rzucił się w wodę i zaczął płynąć dobrze wytrenowanym kraulem.

Sampson i ja byliśmy już w samej bieliźnie. Niemal równocześnie skoczyliśmy do wody.

Shafer pływa świetnie i coraz bardziej oddalał się od nas. Twarz trzymał zanurzoną w wodzie, tylko co kilka uderzeń wychylając ją bokiem, aby zaczerpnąć łyk powietrza. Jego jasne włosy zlepily się z tyłu czaszki i lśniły w świetle księżyca. Jedna z łodzi kołyszających się na falach musiała należeć do niego.

Ale która?

Moje myśli powtarzały jeden rozkaz: ramię do przodu, nogi pracują.

Ramię do przodu, nogi pracują. Poczulem przyływ nowych sił. Musiałem złapać Shafera. Musiałem poznać prawdę o tym, co zrobił Christine.

**Ramię do przodu, nogi pracują. Ramię do przodu, nogi pracują.**

**Sampson męczył się za mną. Coraz bardziej zostawał w tyle.**

**–Wracaj! – zawołałem. – Wracaj po pomoc! Ja sobie dam radę.**

**Weź kogoś i skontroluj tamte łodzie.**

**–On pływa jak ryba! – odkrzyknął Sampson.**

**–Wracaj! Nie martw się o mnie!**

**Przed sobą widziałem głowę Shafera i barki połyskujące w**

**kremowobiałej poświacie księżyca. Jego ramiona uderzały wodę rytmicznie z**

**wielką siłą.**

**Nie ustawałem, nie oglądałem się do tyłu, na brzeg, nie chciałem wiedzieć, jak daleko wypłynąłem. Nie zgadzałem się na zmęczenie, poddanie się, na porażkę.**

**Przyśpieszyłem. Musiałem zmniejszyć dystans dzielący mnie od Shafera. Łodzie były jeszcze daleko. On ciągle płynął szybko. Ani śladu zmęczenia.**

**Zmieniłem taktykę. Przestałem patrzeć, gdzie on jest. Skoncentrowałem się wyłącznie na własnym rytmie. Nie istniało nic, tylko ten rytm, rytm stał się całym moim wszechświatem.**

**Poczułem, jak moje ciało coraz bardziej harmonizuje się z ruchem wody.**

**Dodało mi to otuchy. Uderzenia moich ramion stawały się coraz bardziej płynne, coraz mocniejsze.**

**W końcu podniosłem głowę. Zaczynał tracić rytm. A może to tylko ja chciałem wiedzieć, że słabnie? Nieważne, pozwoliło mi to złapać drugi oddech, dodało nowych sił.**

**A co, jeśli w końcu dogonię go tutaj? Co wtedy? Walka na śmierć?**

**Nie mogłem pozwolić mu dopłynąć do łodzi przede mną. Na pewno ma w niej broń. Musiałem dopaść go w wodzie. Musiałem tym razem wygrać.**

**Która łódź należy do niego?**

**Zmusiłem się do jeszcze większego wysiłku. Powiedziałem**

**sobie, że też jestem w dobrej formie. I byłem. Chodziłem do sali gimnastycznej**

**codziennie przez niemal cały rok, odkąd zniknęła Christine.**

**Znowu podniosłem głowę. Zaszokowało mnie to, co ujrzałem.**

**Miałem Shafera. O parę metrów. O kilka uderzeń. Czy przegrał**

**wyścig?**

**Czy też czekał na mnie, zbierając siły?**

**Najbliższa łódź podskakiwała na falach jakieś sto, sto**

**pięćdziesiąt metrów ode mnie.**

**–Skurcz! – krzyknął Shafer. – To straszne!**

**I zniknął pod wodą.**

**Rozdział 119**

**Nie wiedziałem, co myśleć, co robić. Twarz Shafera wyrażała autentyczny ból i strach. Ale przecież był też dobrym aktorem.**

**Coś działo się pode mną! Złapał mnie mocno w kroczu.**

**Krzyknąłem i zdołałem się wyrwać. Bolało, jak diabli!**

**Schwyciliśmy się nawzajem, walcząc jak podwodni zapaśnicy. Nagle wciągnął**

mnie ze sobą pod wodę. Był silny. Jego długie ramiona trzymały mnie jak w imadle.

Opadaliśmy w dół. Poczułem lodowaty, najpotworniejszy strach w moim życiu. Nie chciałem utonąć. Ale Shafer był górą! Zawsze znajdował na mnie sposób.

Z bliska zajrzałem mu w oczy. Było w nich niesamowite napięcie i szaleństwo. Usta miał zaciśnięte, wykrzywione i złe. Miał mnie. Znowu wygrywał!

Rzuciłem się do przodu z całą siłą. Gdy poczułem, że jego ciało wyprostowało się obok mnie, zmieniłem kierunek. Kopnąłem go w szczękę, może w gardło. Uderzyłem go z całych sił i zobaczyłem, że zaczyna tonąć.

Długie, jasne włosy wiły się wokół jego twarzy, jego nogi i ręce zwiotczały.

Zaczął tonąć. Popłynąłem za nim. Ogarnęły mnie ciemności. Pochwyciłem jego ramię. Ledwo mogłem go utrzymać. Jego ciężar wciągał mnie na dno. Ale nie mogłem go puścić. Musiałem się dowiedzieć wszystkiego o Christine. Nie mogłem żyć nieświadom jej losu.

Nie wiedziałem, jak tu jest głęboko. Shafer miał teraz otwarte oczy tak samo, jak usta. Jego płuca musiały już wciągnąć pełno wody.

Złamałem mu kark? Był już martwy, czy tylko nieprzytomny?

Poczułem odrobinę satysfakcji, że zgruchotałem Łasicy kark.

A potem przestało to mieć znaczenie. Nic nie miało już znaczenia. W płucach nie miałem ani odrobiny powietrza. Wydawało mi się, że klatka piersiowa łamie się do wewnątrz. Ogarniał mnie płomień. Zaczęło mi potwornie dzwonić w uszach. Zakręciło mi się w głowie, traciłem świadomość.

Puściłem Shafera, pozwoliłem mu pójść na dno. Nie miałem wyboru.

Nie byłem w stanie myśleć o nim. Musiałem wydostać się na powierzchnię.

Nie mogłem dłużej wstrzymać oddechu.

Bezładnie popłynąłem w górę, zagarniając wodę ramionami, kopiąc nogami. Byłem pewien, że nie zdołam się uratować. Byłem zbyt głęboko. Powietrza!

Zobaczyłem nad sobą twarz Sampsona. Blisko, bardzo blisko...

Jeszcze trochę...

Widziałem jego głowę na tle granatowego nieba i gwiazd.

–Kotku! – zawołał, gdy w końcu wydostałem się na powierzchnię. Podtrzymał mnie, pozwolił odetchnąć, odetchnąć bezcennym powietrzem.

Wolno rozgarnialiśmy wodę ramionami. Z trudem odzyskiwałem świadomość. Wypatrywałem wśród fal ciała Shafera. Wysilałem zmęczony wzrok, ale nie dostrzegłem nikogo. Shafer musiał utonąć.

Zawróciliśmy do brzegu.

Nie zdobyłem tego, co chciałem. Nie zdołałem wycisnąć prawdy z Shafera, zanim poszedł na dno.

Jeszcze raz po raz oglądałem się do tyłu, żeby sprawdzić, czy Shafer nie płynie za nami, czy naprawdę utonął. Lecz na powierzchni nie było już nic.

Były tylko nasze zmęczone ramiona rozgarniające łagodne fale.

Rozdział 120



Jeszcze dwa wyczerpujące dni i dwie noce pochłonęło nam zamknięcie śledztwa przez miejscową policję, lecz byłem zadowolony z konieczności skupienia się na czymś. Straciłem już nadzieję na odnalezienie Christine, lub choćby tylko odkrycie prawdy o jej losie.

Oczywiście, istniała niewielka szansa na to, że ktoś inny niż Shafer uprowadził Christine, że uczynił to inny szaleniec związany z moją przeszłością, jednak nad tą możliwością prawie się nie zastanawiałem. Był to zbyt szalony pomysł, nawet jak na mnie.

Początkowo nie potrafiłem pograć się w żalobie, teraz jednak prawda o potwornym losie Christine zwała się na mnie z całą swą brutalną siłą.

Czułem się, jakby wyrwano ze mnie wnętrzności. Nieustanny tępy ból, jaki tak długo mi towarzyszył, przeistoczył się w ostre eksplozje cierpienia, które rozrywały mi serce po każdym przebudzeniu. Nie mogłem spać, jednak zdawało mi się, że nigdy nie zdołałem się w pełni otrząsnąć ze snu.

Sampson wiedział, co się ze mną dzieje. Nie mógł mi pomóc, jednak próbował mnie uspokoić, zajmując rozmowami o niczym.

Nana zatelefonowała do mnie do hotelu. Domyśliłem się, że za sprawą Sampsona, choć oboje temu zaprzeczali. Jannie i Damon przyłączyli się do rozmowy i byli kochani, pełni życia i nadziei. Namówili nawet Rosie, naszą kocicę, na przyjacielskie międzymiastowe miauu. Nie wspomnieli o Christine, ale wiedziałem, że zawsze o niej myślą.

Ostatniego wieczoru na wyspie jedliśmy kolację z Jonesem.

Zaprzyjaźniliśmy się z nim, a on zechciał podzielić się z

nami wiedzą o kilku faktach, które zostały utajnione ze względów bezpieczeństwa. Chciał, żebym i ja mógł coś zamknąć. Zasługiwałem przynajmniej na tyle.

W 1989 roku Shafer, po podjęciu służby w MI6, został zwerbowany przez Jamesa Whiteheada. Ten z kolei podlegał Oliverowi Highsmithowi, podobnie jak George Bayer. W ciągu następnych. Trzech lat Shafer dokonał w Azji co najmniej czterech egzekucji. Podejrzewano również, aczkolwiek nigdy nie zdołano udowodnić, że on, Whitehead i Bayer mordowali prostytutki w Manili i Bangkoku. Zbrodnie te były oczywiście wstępem do morderstw Jane Doe i do samej gry. Biorąc wszystko pod uwagę, był to jeden z najgorszych skandali w historii Security Service. Został bezwzględnie zatuszowany. Jones chciał nadal trzymać to wszystko w tajemnicy, a ja nie zgłaszałem sprzeciwu. Było aż nadto paskudnych historii uzasadniających cyniczny stosunek ludzi do rządów.

Zakończyliśmy kolację około jedenastej. Obiecaliśmy sobie z Jonesem, że pozostaniemy w kontakcie. Jeden fakt nadal nas niepokoił, chociaż nie chcieliśmy przeceniać jego znaczenia. Otóż dotychczas nie znaleziono ciała Geoffreya Shafera. Na swój sposób fakt ten pasował do całej sprawy.

We wtorek rano mieliśmy złapać pierwszy samolot do Waszyngtonu.

Planowy odlot dziesięć minut po dziewiątej.

Tego ranka po niebie pędziły czarne chmury. Ulewa tłukła w

dach naszego samochodu przez całą drogę z hotelu na lotnisko Donalda

**Sanstera.**

**Dzieciaki truchtały poboczem drogi do szkoły, chroniąc głowy pod liśćmi bananowców.**

**Ulewa zmoczyła nas doszczętnie, gdy biegliśmy pod blaszany daszek przy parkingu wypożyczalni samochodów. Deszcz był zimny i przyjąłem go z wdzięcznością na twarz, głowę i plecy.**

**–Nareszcie do domu! – powiedział Sampson, gdy w końcu schroniliśmy się pod jasnożółtym daszkiem.**

**–Już czas! – zgodziłem się. – Tęsknię za Damonem i Jannie, i Naną. Tęsknię za domem.**

**–Ciało się w końcu znajdzie – rzucił Sampson. – Shafera.**

**–Wiem, o kogo ci chodziło.**

**Deszcz bębnił w dach dworca lotniczego bez miłosierdzia, a ja myślałem, jak bardzo nienawidzę latania w takie dni. Z chęcią jednak wracałem do domu, gdzie może zdołam zakończyć ten koszmar, który wtargnął w moją duszę, zawładnął moim życiem. Sądzę, że na swój sposób stał się on grą, w takim samym stopniu, jak wyczyny Shafera. Ta zbrodnia stała się moją obsesją na ponad rok. Stanowczo za długo.**

**Christine prosiła mnie, żebym zrezygnował. Nana też mi to radziła.**

**Nie posłuchałem ich. Prawdopodobnie nie umiałem spojrzeć na swoje życie i funkcjonowanie tak jasno jak obecnie. To przecież ja zostałem Pogromcą Smoka ze wszystkimi tego dobrymi i złymi konsekwencjami. W ostatecznym jednak rozrachunku to ja byłem odpowiedzialny za porwanie i zamordowanie Christine.**

**Przeszliśmy się z Sampsonem wzdłuż szeregu barwnych stoisk, właściwie nie zwracając na nie uwagi. Straganiarze sprzedawali drewnianą biżuterię i inne ozdóbki, a także jamajską kawę i kakao.**

**Każdy z nas niósł czarny worek na ubrania, ale nie wyglądaliśmy na turystów. Ciągle wyglądaliśmy na policjantów.**

**Nagle za plecami usłyszałem głośnie nawoływanie. Odwróciłem się i zobaczyłem Johna Anthonyego, jednego z jamajskich detektywów, wykrzykującego moje nazwisko w zgiełku dworca lotniczego. Biegł w naszym kierunku. O parę kroków za nim podążał Andrew Jones, na którego twarzy malowała się ogromna konsternacja.**

**Jones i Anthony na lotnisku?! Co się, na Boga, znowu zdarzyło?!**

**Znowu coś złego?**

**–Łasica? – zapytałem. Zabrzmiało to jak przekleństwo.**

**Zatrzymaliśmy się, pozwalając im dobiec. Właściwie nie miałem najmniejszej ochoty usłyszeć, co mają do powiedzenia.**

**–Musisz wrócić z nami, Alex! – Chodź ze mną – powiedział Jones łapiąc oddech. – Chodzi o Christine Johnson. Pojawiło się coś nowego.**

**Chodź!**

**–O co chodzi? Co się stało? – zapytałem Jonesa, a potem, gdy nie mogłem doczekać się odpowiedzi od Anglika, zwróciłem się do Anthonyego.**

**Detektyw zawahał się, ale po chwili powiedział:**

**–Nie mamy żadnej pewności. To może być nic nie warte. Ale złapaliśmy kogoś, kto utrzymuje, że ją widział. Może w końcu znajdować się tutaj na Jamajce. Chodź z nami.**

**Nie mogłem uwierzyć w to, co usłyszałem. Poczulem, jak obejmuje mnie ramię Sampsona, ale wszystko inne wydawało się nierzeczywiste jak we śnie.**

**Koniec jeszcze nie nadszedł.**

**Rozdział 121**

**Podczas jazdy z lotniska Andrew Jones i detektyw Anthony podzielili się z nami swoimi najnowszymi informacjami. Zauważyłem, że starają się nie rozniecać we mnie wielkich nadziei. Bywałem w takich nieznośnych sytuacjach wiele razy, nigdy jednak jako ofiara zbrodni.**

**–Zatrzymaliśmy tej nocy drobnego miejscowego złodziejaszka, gdy włamywał się do domu w Ocho Rios – powiedział Anthony znad kierownicy swojej toyoty, w którą wepchnęliśmy się we czwórkę. – Powiedział, że może prehandlować nam pewną informację. Oznajmiliśmy mu, że wysłuchamy, co ma do powiedzenia, a potem to wycenimy. Powiedział wtedy, że wśród wzgórz na wschód od Ocho Rios, niedaleko miasteczka Euarton, przetrzymywana jest jakaś Amerykanka. Mieszka tam czasami jakaś grupa przestępcza.**

**Dowiedziałem się o tym dopiero dziś rano. Zadzwoiłem do Andrew i popędziliśmy na lotnisko. Tamten facet powiada, że nazywają ją Piękna.**

**Nie zna żadnego innego jej imienia. Zatelefonowałem do waszego hotelu, ale już się wymeldowaliście. Więc przyjechaliśmy po was tutaj.**

**–Dziękuję – powiedziałem w końcu, gdy zrozumiałem, że prawdopodobnie powiedzieli mi wszystko, co wiedzą.**

**–Dlaczego jednak – zastanowił się Sampson – ten pomocny złodziej pojawia się dopiero teraz, gdy tyle czasu minęło?**

**–Mówi, że parę dni temu doszło do strzelaniny, po której wszystko się zmieniło. Po śmierci białych ludzi Amerykanka przestała być ważna. To są jego słowa.**

**–Znasz tych facetów? – spytałem detektywa.**

**–Facetów, kobiety, dzieci... Tak, miałem już z nimi do czynienia.**

**Palą mnóstwo gandzy. Praktykują swoją pomieszaną religię. No wiesz. Czczą cesarza Haile Sellasje. Niektórzy z nich to złodziejaszki. W zasadzie pozwalamy im żyć.**

**W samochodzie zapanowała cisza. W milczeniu pędziliśmy drogą wiodącą wzdłuż wybrzeża do Runaway Bay i Ocho Rios. Burza minęła szybko i piekielne słońce tej wyspy znowu zapłonęło na niebie. Na pola trzciny cukrowej wracali robotnicy z maczetami u boku.**

**Minąwszy Runaway Bay, Anthony zjechał z głównej szosy i skierował się drogą nr 1 w stronę wzgórz. Drzewa i krzaki tworzyły tu nieprzeniknioną dżunglę. Wkrótce droga stała się tunelem biegnącym pod pnąciami i gałęziami. Anthony musiał włączyć reflektory.**

Zdawało mi się, że płynę przez mgłę przyglądając się światu, który przetaczał się przed moimi oczami jak sen. Była to prawdopodobnie forma samoobrony, zupełnie jednak nieskuteczna.

Kim jest Piękna? Nie mogłem uwierzyć, że Christine żyje, ale pojawiła się przynajmniej jakaś szansa. Uchwyciłem się jej. Kilka tygodni temu zrezygnowałem. Teraz pozwoliłem sobie przypomnieć, jak bardzo ją kocham, jak mocno za nią tęsknię. Coś dławiło mnie w gardle. Odwróciłem twarz do okna. Pograżyłem się w swoich myślach.

Nagle jaskrawe światło uderzyło mnie w oczy. Po czterech czy pięciu kilometrach drogi wiodącej przez zarośla wydostaliśmy się na otwartą przestrzeń. Szosa wiała się teraz między wzgórzami porośniętymi bujną roślinnością, przypominającymi wyglądem amerykańskie Południe: Georgię lub Alabamę z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Dzieci w znoszonej odzieży bawiły się przed małymi, zniszczonymi domami. Starsi siedzieli na krzywych, chylących się ku upadkowi werandach i przyglądali się przejeżdżającym od czasu do czasu samochodom.

Wszystko to jawiło się przed moimi oczami jak surrealistyczny obraz.

Nie mogłem się skupić.

Skręciliśmy w wąską polną drogę z wysokimi korytarzami trawy rosnącej między wyżłobionymi koleinami. To musi być gdzieś tutaj. Serce tłukło się w mojej piersi głośno jak blaszany bębenek w tunelu. Każdy wybój na drodze odczuwałem jak brutalne uderzenie.

Piękna? Kim jest kobieta, którą tu trzymają? Czy może to być Christine?

Sampson sprawdził swojego glocka. Usłyszałem, jak pracuje mechanizm i odwróciłem się.

–Ci ludzie nie będą uszczęśliwieni naszym widokiem, ale broń nie będzie potrzebna – oznajmił Anthony. – Prawdopodobnie już wiedzą, że jedziemy. Obserwują miejscowe drogi. Zresztą Christine Johnson może już tu nie być, jeśli w ogóle była tu kiedykolwiek. Ale spodziewałem się, że zechcesz przekonać się o wszystkim na własne oczy.

Nie powiedziałem ani słowa. Nie mogłem. Usta miałem suche jak wiór, umysł pusty. Ciągle byliśmy wplątani w Czterech Jeźdźców Apokalipsy.

Czy mogła to być zagrywka Shafera? Czy mógł wiedzieć, że w końcu znajdziemy to miejsce wśród wzgórz? Czy nie zastawił na nas ostatniej pułapki?

Zatrzymaliśmy się przed starym, zielonym domkiem z postrzępionymi białymi zasłonami w oknach i jutowym workiem zamiast drzwi. Czterech mężczyzn natychmiast wyszło na zewnątrz, wszyscy w dreadlockach.

Podeszli do nas, mocno zaciskając usta, z błyskiem nieufności w oczach.

Sampson i ja przyzwyczailiśmy się do ich widoku na ulicach Waszyngtonu.

Dwaj z nich uzbrojeni byli w ciężkie maczety. Pozostali mieli na sobie luźne koszule. Wiedziałem, że pod nimi mają broń.

–Jazda stąd! Wracajcie, ludzie! – krzyknął jeden z nich. – Nie ma tu żadnej kobiety.

**–Nie!**

**Detektyw Anthony wysiadł z auta unosząc wysoko ręce.**

**Poszliśmy za jego przykładem.**

**Usłyszeliśmy bicie w tradycyjne bębny dochodzące spośród drzew za domem.**

**Para wylegujących się psów podniosła łby, aby popatrzeć na nas i szczeknęła kilka razy. Serce zaczęło mi bić szybciej.**

**Nie podobało mi się to wszystko.**

**Inny z mężczyzn zawołał do nas:**

**–Ja i ja chcę, żebyście stąd odjechali.**

**Rozpoznałem tę figurę stylistyczną: podwójne ja**

**reprezentowało rozmówcę i Boga, który żyje w każdym człowieku.**

**–Patrick Moss jest w więzieniu. Ja jestem detektyw Anthony z Kingston. To jest detektyw Sampson, detektyw Cross i pan Jones.**

**Macie tu amerykańską kobietę. Nazywacie ją Piękna.**

**Piękna? Czyżby to była Christine?**

**Mężczyzna z maczetą w ręku spojrzał na Anthonyego i powiedział:**

**–Wynoście się do swoich spraw! Zostawcie mnie teraz. Nie ma tu żadnej kobiety. Żadnej kobiety!**

**–To jest moja sprawa i nie zostawimy was w spokoju – powiedziałem.**

**–Żadnej kobiety tutaj. Żadnej Amerykanki – powtórzył mężczyzna, spoglądając na mnie ze złością.**

**–Zabierzemy tę Amerykankę i pójdziemy sobie. Wasz przyjaciel, Patrick Moss, wróci do domu dziś wieczorem. Możecie załatwić z nim sprawę po swojemu.**

**–Nie ma tu żadnej Amerykanki! – Główny rozmówca splunął wojowniczo na ziemię. Odwróćcie się. Wracajcie.**

**–Znacie Jamesa Whiteheada? Znacie Shafera? – zapytał ich Jones.**

**Nie zaprzeczyli, ale nie miałem nadziei, byśmy wydostali z nich coś więcej.**

**–Ja ją kocham – powiedziałem im. – Nie mogę stąd odejść. Na imię ma Christine. – Miałem ciągle spieczone usta i trudności z oddychaniem. – Uprowadzono ją rok temu. Wiemy, że została przywieziona tutaj.**

**Sampson wyjął swojego glocka i opuścił go luźno u boku.**

**Wpatrywał się w czterech mężczyzn, którzy wpatrywali się w nas. Dotknąłem rękojeści swojego rewolweru, ale nie wyjąłem go z kabury. Nie chciałem strzelaniny.**

**–Możemy narobić wam sporo kłopotów – odezwał się Sampson niskim, wibrującym głosem. – Nawet sobie nie wyobrażacie, jakie czekają was kłopoty.**

**Nie oglądając się na nic, ruszyłem przed siebie ścieżką wydeptaną w wysokiej trawie. Minąłem mężczyzn, lekko ocierając się o jednego z nich.**

**Nikt nie próbował mnie powstrzymać. Poczulem zapach gandzy i potu, przenikający ich kombinezony. Rosło we mnie napięcie.**

**Sampson szedł za mną w odległości nie większej niż jeden, dwa kroki.**

**–Obserwuję ich – powiedział. – Nikt na razie się nie rusza.**

**–Nie ma znaczenia. Muszę zobaczyć, czy ona jest tutaj.**

## Rozdział 123

Stara kobieta z długimi i bezładnie postrzępionymi siwymi włosami stanęła w drzwiach, gdy podszedłem do pokiereszowanych, niemalowanych schodów. Oczy miała otoczone czerwonymi obwódkami.

–Chodź ze mną – westchnęła. – Chodź. Nie potrzeba ci żadnej broni.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy pozwoliłem sobie na leciutki przebłysk nadziei, aczkolwiek nie było po temu powodów, poza plotką o kobiecie przetrzymywanej wbrew jej woli.

Piękna? Powrót nadziei na dobre życie i szczęście? Czyżby to mogła być Christine?

Stara kobieta chwiejnym krokiem okrążyła dom i poszła przez rzadkie zarośla. Po jakichś pięćdziesięciu metrach drogi przez gęstniejący las dotarła do sześciu szalásów i zatrzymała się. Szalásy były sklecone z drewna, bambusa i zardzewiałej blachy.

Podeszła do przedostatniego z nich.

Wyjęła klucz na skórzanym rzemieniu owiniętym wokół pasa, włożyła go do zamka i przekręciła.

Pchnęła drzwi do środka. Głośno zaskrzypiały zardzewiałe zawiasy.

Zajrzałem do wnętrza i zobaczyłem skromną, czystą, wysprzątaną izbę.

Ktoś napisał czarną farbą na ścianie: „Pan jest moim pasterzem”.

W izbie nie było nikogo.

Nie było Piękiej.

Nie było Christine.

Zamknąłem oczy. Ogarnęła mnie desperacja.

Powoli dźwignąłem powieki. Nie rozumiałem, dlaczego

zaprowadzono mnie do tej pustej izby, do tej starej budy w lesie.

Moje serce zostało znów rozdarte. Czy zastawiono na mnie pułapkę?

Łasica? Shafer? Czy był tutaj?

Ktoś wyszedł zza składanego parawanu w jednym z kątów izby. Poczułem się, jakbym frunął zawieszony w powietrzu i westchnienie wydarło się z moich ust.

Nie wiem, czego oczekiwałem, z pewnością jednak nie tego.

Sampson podtrzymał mnie. Ledwo zauważyłem jego dotknięcie.

Christine powoli weszła w snop światła wpadającego przez jedyne okno szalásu. Pomyślałem, że zaraz zniknie mi sprzed oczu.

Była znacznie szczuplejsza, włosy miała splecione i dłuższe niż kiedykolwiek przedtem. Ale miała te same mądre, piękne, brązowe oczy. Żadne z nas nie mogło wydobyć z siebie słowa. Była to najwspanialsza chwila w moim życiu.

Całe moje ciało ogarnął chłód, wszystko wokół mnie toczyło się w zwolnionym tempie. Małą izbę wypełniała nadnaturalna cisza.

Christine trzymała jasnożółty koc, z którego wyglądała niemowlęca główka. Zrobiłem krok, choć kolana trzęsły się pode mną, grożąc załamaniem.

Usłyszałem cichy szczebiot maleństwa.

–Och, Christine, Christine... – zdołałem w końcu wykrztusić

**z siebie. Łzy popłynęły z jej oczu, a potem z moich. Oboje zrobiliśmy krok do przodu i oto obejmowałem ją niezręcznie. Niemowlę patrzyło spokojnie w nasze twarze.**

**–To jest nasze dziecko. Prawdopodobnie uratowało mi życie. Ma tę skłonność po tobie – rzekła Christine. Potem delikatnie się pocałowaliśmy i było słodko i czule. Związani na całe, całe życie. Wtopiliśmy się w siebie. Żadne z nas nie mogło uwierzyć, że to jawa, nie sen.**

**–Ma na imię Alex! Więc zawsze tu byłeś – powiedziała Christine. – Zawsze byłeś ze mną.**

## Epilog

**Palenie mostów**

**Rozdział 124**

Nazywał się Frederick Neuman. Lubił uważać się za obywatela Wspólnoty Europejskiej, a nie jakiegoś konkretnego państwa, ale przyciśnięty do muru przyznawał, że jest Niemcem. Miał ogoloną głowę, co nadawało mu poważny wygląd. Robił wrażenie i uważał to za osiągnięcie samo w sobie.

Zapamiętano go jako dość wysokiego, szczupłego i łysego lub jako interesującego, artystyczny typ i rzeczywiście, kilka osób widziało go w tym tygodniu w londyńskiej Chelsea.

Chciał, żeby go zapamiętano. To ważne.

Odwiedzał sklepy, a raczej witryny sklepowe przy Kings Road i Sloane Street.

Był w kinie przy Kensington High Street.

I w księgarni Waterstones.

Wieczorami wypijał jedną, dwie szklanice piwa w Kings Head.

W pubie przesiadywał na ogół samotnie.

Miał już opracowany plan strategiczny. Zaczynała się nowa gra.

Któregoś popołudnia w sklepie Safeway zobaczył Lucy i bliźniaczki.

Obserwował je zza piramidy puszek z pieczoną fasolą, potem szedł za nimi alejką pełną kupujących. Żadnej krzywdy, żadnej szkody, żadnego kłopotu...

Nie potrafił się jednak oprzeć pokusie. W wyobraźni rzucił kości. Podały mu liczbę, na jaką miał ochotę.

Szedł za nimi w coraz mniejszej odległości, uważając, żeby mieć twarz nieco odwróconą, na wszelki wypadek, nieprzerwanie jednak obserwował kątem oka Lucy, pilnował bliźniaczek, które mogły okazać się bardziej niebezpieczne.

Lucy zajęła się oglądaniem szkockiego łososia. Zauważyła go w końcu, był tego pewien, ale – najwyraźniej – nie poznała. To samo bliźniaczki. Głupie, kretyńskie dziewczuszki, zwierciadlane odbicia mamusi!

Znów brał udział w grze. Jak cudownie! Przez jakiś czas był nieobecny.

Miał pieniądze na koncie w Szwajcarii. Po ucieczce łodzią z Jamajki obijał się trochę po Karaibach. Dostał się do San Juan, gdzie miał ochotę trochę podziałać. Potem przeniósł się do Europy, najpierw do Rzymu, Mediolanu, Paryża, Frankfurtu, Dublina, w końcu do kraju, do Londynu. Z drogi cnoty zszedł zaledwie parę razy. Stał się takim porządnym chłopcem!

Ale teraz, gdy zbliżył się – och, jak bardzo! – do Lucy, poczuł się znów jak w dawnych, dobrych czasach. Chryste! Wróciły dawne nerwowe tiki: postukiwanie stopą w podłogę, drżenie rąk.

Mogłaby to zauważyć, ale była z niej taka pusta blond krowa, takie zero, takie spartolenie jego cennego czasu, nie poznawała go nawet w tej chwili, gdy podchodził coraz bliżej, jeszcze krok, pół kroku...

–Och, Lucy... To ja, Ricky – powiedział i uśmiechnął się.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.



Ciął dwa razy, tam i z powrotem, gdy mijali się jak obcy w alejce Safewaya. Ostrze zrobiło tylko niewielki krzyżyk na gardle Lucy, ale przecięło je bardzo głęboko, na kilka centymetrów.

Opadła na te swoje kościste kolana, obie dłonie zacisnęła na szyi, jakby chciała się sama udusić. Dopiero wtedy rozpoznała go i w jej niebieskich oczach pojawiło się zaskoczenie, ból i w końcu coś, co zdawało się porażającym smutkiem.

–Geoffrey... – zdołała wycharczeć, zanim krew buchnęła z jej otwartych ust.

Jej ostatnie słowa na tym świecie. Jego imię.

Jakże pięknie je słyszeć, zostać rozpoznanym, czego tak

namiętnie pragnął, i mścić się na nich wszystkich... Odwrócił się, zmusił się do odejścia; żeby za chwilę nie załatwić również bliźniaczek.

Nikt już nie ujrzy go więcej w okolicach Chelsea, ale każdy zapamięta go do końca swoich dni.

Boże, ale będą wspominać!

Wysokiego, łysego potwora.

Ubrane na czarno nieludzkie monstrum.

Zabójcę bez serca, który popełnił tyle straszliwych

morderstw, że nawet on stracił rachubę.

Geoffreya Shafera. Śmierć.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-07

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/